

ZAKAMARKI NOCY

Dubaniowski Flaga-Andrzejewska Fulińska Iwaniak
Kajoch Kaszyński Kolenda Lipka Łoboda Łukasiewicz
Pankowski Pieczara Rogalska Smolarek Sukiennik Szabla
Trafalski Uznańska-Loch E.Zawadzki R.Zawadzki
Zegartowska Żymełka



Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Okładka utrzymana jest w kolorach sepii. Przedstawia klatkę schodową o przybrudzonych ścianach. Pod lewą ścianą ciągnie się rząd kilku schodów w górę, które następnie skręcają w prawo i kończą się wejściem bez drzwi i framugi. Do schodów domontowana jest prosta metalowa barierka. Na dolnej kondygnacji, przy ścianie po lewej, stoi postać zwrócona plecami do widza: mężczyzna w czarnych ubraniach, z podwiniętymi rękawami koszuli. Ręce ma opuszczone wzdłuż ciała, głowę lekko spuszczoną w dół. Niżej, po prawej stronie okładki, pod schodami, klęczy mało widoczna postać, prawdopodobnie kobiety. Jest rozmazana, lekko jaśniejsza od otoczenia, jak duch.

Na górze okładki znajduje się duży napis: Zakamarki nocy, na dole nazwiska wszystkich autorów opowiadań: Dubaniowski, Flaga-Andrzejewska, Fulińska, Iwaniak, Kajoch, Kaszyński, Kolenda, Lipka, Łoboda, Łukasiewicz, Pankowski, Pieczara, Rogalska, Smolarek, Sukiennik, Szabla, Trafalski, Uznańska-Loch, E. Zawadzki, R. Zawadzki, Zegartowska, Żymełka. Na dole po prawej stronie, obok nazwisk, znajduje się logo wydawnictwa Gmork, przedstawiające sylwetkę kota spacerującego po literach układających się w słowo „Gmork” i przetrącającego łapką literę O.

ZAKAMARKI
NOCY

Korekta i redakcja:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
PRZEMYSŁAW RYBA

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Okładka:
JOANNA WIDOMSKA

*Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są
własnością ich autorów*

Gmork
www.gmork.pl
email: kontakt@gmork.pl

2024

ŁUKASZ DUBANIOWSKI

CZWARTY DO BRYDŹA

Ryszard mieszkał z matką na parterze wrocławskiej kamienicy graniczącej z targowiskiem przy Ptasiej. Wzniesiony w 1899 roku budynek, o czym z dumą wieścił kartusz wykuty nad bramą, potwierdzał wszystkie stereotypy wygłaszane na temat poniemieckich czynszówek, które nie doczekały się modernizacji. Klatka schodowa, pomalowana zieloną farbą olejną, odłóżoną płatami ze zdobionych kiedyś kaflami ścian, mogła stać się scenografią horroru. Fasada, usiana śladami po kulach wystrzelonych kilkadziesiąt lat wcześniej, nie wyglądała lepiej, a sypany się tynk i odrapane sine okiennice dopełniały obrazu nędzy. Mieszkanie wychodziło na zaniedbane wąskie podwórko, przecięte grządką lichych kwiatów i wydeptanym trawnikiem, uciętym sypanych się ze śmierdzących śmietników odpadkami. Sień prowadziła do wysokiej bramy, po otwarciu której, po drugiej stronie ulicy, widać było zwieńczony lwim łbem herb miejscowego cechu

browarników pod numerem trzynastym. Wychodząc za każdym razem z domu, Ryszard czuł się jak karaluch opuszczający piwnicę po zagładzie nuklearnej. Całe to miejsce było jak zatęchła, zapomniana suterena.

Mieszkańcy kamienicy zaliczali się do, jak mawiał Ryszard swoim kolegom od brydża, roszczeniowej bigoterii utrzymującej się z darów pomocy społecznej i drobnej przestępczości. Rozróby milkły jedynie w niedzielne przedpołudnia, gdy tłum przelewał się przez podwórka, ciągnąc na mszę do pobliskiego kościoła, by wybuchnąć ze zdwojoną siłą po symbolicznym przekazaniu sobie znaku pokoju. Dla emerytowanego profesora filozofii, o którym świat akademicki dawno zapominał, życie w tym miejscu było jak zakucie w kajdany platońskiej jaskini. Za brudną szybą toczyło się życie, które próbował naśladować, opiekując się matką cierpiącą na głęboką postać Alzheimera, choć lekarze nie byli tak naprawdę pewni ostatecznego charakteru zaburzeń otępiennych wybitnej swego czasu sopranistki.

Trudno było mu wskazać, kiedy zaczęły się problemy kobiety, ale na pewno był wtedy jeszcze czynny zawodowo, bo w okolicy dopiero zaczęły powstawać plomby uzupełniające wybite wojenną zawieruchą zęby ciągów kamienic. Miał wrażenie, że matka zaczęła bredzić nocami, gdy łyżki koparek wgryzły się w pełną gruzu glebę. Im głębiej wbijały się ich zęby, tym bardziej staruszka tonęła w odmętach obłądu. A gdy mury pięły się w górę, jej stan się poprawiał i po zawieszeniu wiechy u stropu ostatniej kondygnacji nowego budynku wydawała się absolutnie nie odbiegać od normy.

I tak budynek po budynku, noc po nocy obłęd ścierał się z normalnością, choć w podwórzu nie zostało już zbyt wiele miejsca na stawianie kolejnych murów. Jak twierdzili lekarze, widoczna poprawa to działanie głęboko penetrujących leków. Jakby pigułki mogły rozjaśnić ciemność, w której po omacku błędziła jego matka. A każdy nowy wykop zbliżający się do ich kamienicy wylewał jej coraz więcej, co skutkowało zwiększaniem dawki neuroleptyków nowej generacji, niszczących imaginację chorego mózgu kobiety. Tak jak teraz, gdy przy bocznym wejściu na targowisko pojawiły się pierwsze maszyny pracowicie rozgarniające przesuszoną glebę.

– Oni tam grają w karty, Bogusiu – zwracała się do niego imieniem zmarłego ojca, stojąc nocami przy oknie wyglądającym na pogłębiający się wykop. – Chyba brakuje im czwartego, ale ja nie umiem grać w brydża – dodawała rezolutnie, patrząc na niego nieobecny wzrokiem.

– Mamo, usiądź, odpocznij. Tam za oknem nikogo nie ma. – Łapał ją łagodnie za łokieć.

– Cicho! – Podnosiła dłoń do ucha i pochylała się z trudem. – Słyszysz, Bogusiu? To chyba *Madame Butterfly* – szeptała przejęta, po czym zaczynała nucić łamiącym się głosem arię *Un Bel di Vedremo*.

– Mamo, proszę – wzdychał.

– Bogusiu, Hans zaprasza mnie do tańca. Patrz, jak pięknie tańczą! – krzyczała i zaczynała drobić w pokracznej imitacji walca, oddalając się od okna.

Im głębiej ryły koparki, tym głośniej śpiewała drżącym głosem w mrok otulający podwórze za oknem i tym zacieklej broniła się przed powrotem do łóżka, zaciskając

pomarszczone dłonie. Bał się, że nocą spróbuje wymknąć się przez okno i zrobi sobie krzywdę, gramoląc się na sięgającą jej pasa okienną ścianę. A nawet gdyby udało się jej sforsować tę przeszkodę, prześlizgnie się przez ogrodzenie, nieustannie uszkodzane przez miejscowych szabrowników, i wpadnie w ciemności do głębokiego wykopu, który przyciągał ją do okna jak magnes. Wpatrując się w czerń majaczącą za szybą, próbował wczuć się w stan swojej matki – zobaczyć licytujące przy brydżowym stoliku postaci, patefon, z którego tuby sączy się muzyka, wirujące w tańcu pary; posmakować życia, którego nie było. Na koniec odlepił się od zimnej tafli i podawał matce kolejną dawkę leków. Jako śpiące warzywo nie mogła sobie zrobić krzywdy. Aż w końcu pewnego listopadowego poranka po prostu się nie obudziła.

Był stoikiem, więc śmierć ostatniej bliskiej osoby przyjął z dystansem. Po miesiącach cierpienia i niezliczonych bezsennych nocach traktował ją jak wybawienie dla obojga – ulgę, która snopem ciepłego światła rozproszyła rozlewającą się w ich wspólnym życiu plamę mroku. Uroczystości pogrzebowe były skromne i krótkie, więc szybko wrócił do domu i zapadł się w starym fotelu o powycieranych poręczach. Po raz pierwszy od wielu miesięcy pozwolił sobie na otwarcie butelki piwa, które sączył powoli, napawając się samotnością i odgłosami życia, które nagle wybuchły w jego głowie, zastępując szuranie kapci, urywany oddech i długie dysputy, które chora toczyła sama ze sobą w bezsenne noce.

Intensyfikacja doznań przeraziła go. Słyszał, jak Wiśniewski okłada Wiśniewską, a potem rzyga na siebie w alkoholowym amoku. Szczyl spod czwórki terroryzował

swoją matkę, grożąc, że odda ją do domu starców i wreszcie uwolni się od jej jęków. Pod trójką drzwi właściwie się nie zamykały – nie wiedział, czy to mieszkanie dilerka, czy może regularna nadodrzańska melina, jakich w okolicy było kilka. Nie potrafił sobie z tym poradzić, spędzając bez celu całe dnie w czterech ścianach. Zasypiał dobrze po północy, gdy hałasy w końcu milkły, zastąpione sygnałami pędzących przez miasto karetek, stukotem kół nocnych tramwajów i pociągów towarowych mknących po nadodrzańskich wiaduktach i urywanym charkotem pełnych alkoholowych oparów płuc.

Nad ranem, gdy słońce nie zdążyło jeszcze rozświetlić mroku nocy, wrywało go z płytkiego snu pukanie w okno wyglądające na podwórze. Wstawał rozespany, patrzył na majaczący w mroku za szybą wykop i złorzeczył dowcipnisiom, którym zebrało się na żarty. I tak codziennie, a im głębszy był wykop za płotem, tym głośniejszy stukot budził go przed świtem. Zasypiał na powrót i śnił o pnącym się za jego oknem murze nowej kamienicy i fascynującej partii brydza z kolegami z uczelni. Matka dolewała mu pachnącego ciężko piwa, które pieniło się pod cynowym deklek kuffla. W tle słyszał ryk dzikiego zwierzęcia i muzykę przerywaną cichutkim pukaniem. Oglądał się za siebie, a za oknem, z plamy ciemności odcinała się sina postać, która raz po raz pochylała się, by zastukać kościstą dłonią w szybę. Prostując się, poprawiała wypadający monokl, który odślaniał pusty oczodół.

– Nie słyszycie pukania? Tam stoi jakiś przebieraniec – bełkotał, mrużąc oczy.

– Bogusiu, oni by chcieli, żebyś z nimi zagrał na podwórku – odpowiadała kobieta, rozpadając się na jego oczach na kawałki.

Budził się zlany potem, wciąż słysząc pukanie w szybę. Za oknem nikogo nie było, a pod napuchniętymi oczami czaił się powidok kobiety, której ciało odpadało kawałkami i rozplýwało się w powietrzu, zanim upadło na podłogę. Co noc ten sam sen, co noc te same postaci i uderzenia knykcia o szkło. Jedynie mur widmowej kamienicy był coraz wyższy, jakby jej mieszkańcy murowali go, gdy nie spał, a głos jego matki coraz bardziej dźwięczny, aż w końcu zaczął przypominać ten, który pamiętał z dzieciństwa, gdy na dobranoc zamiast kołysanek śpiewała mu *Prząśniczkę*. Widział ją, jak zachęca go do gry z nieznanymi, poprawia kruczoczarne loki ukryte pod ażurowym czepkiem i rozpada się powoli, śmiejąc się perliście.

Nie był w stanie tego wytrzymać. W sklepie budowlanym kupił płytę wiórową i torbę gwoździ i jeszcze tego samego dnia zabił okno wychodzące na podwórze, kalecząc przy tym dotkliwie rękę. Opatrzył niedbale rany, nalał sobie do szklanki piwa i zasnął w fotelu, trzymając na wszelki wypadek młotek pod ręką. Obudziła go muzyka, ale tym razem przytłumiona, jakby dochodziła zza ściany. I ten stukot, nieznośny, głuchy – *stuk-puk* w płytę, którą zabezpieczył okno. Rozbudził się, gdy kątem oka dostrzegł postać płasającą po pokoju.

– Bogusiu, na podwórku pięknie grają, a tutaj mało co słychać – skarżyła się matka, wirując po pokoju. – No rusz się, pomóż Hansowi odsłonić okno. A potem zagraj z nimi. – Obracała się dalej, sunąc bezgłośnie od ściany do ściany w takt sączącej się głucho muzyki.

Wstał ciężko, nie mogąc rozróżnić, czy to jawa, czy sen, otworzył okno na oścież i z całej siły, pomagając sobie młotkiem, wypchnął paździerz blokujący otwór okienny od zewnątrz. Zalało go zielone światło, skrzące się w ciemności niczym neon. W podwórzu, przed oficyną, która pięła się do nieba, jakby ktoś w cudowny sposób postawił kolejne piętro z nowymi mieszkańcami w ciągu minionego dnia, na drewnianym stoliku stał patefon. W takt muzyki, przerywanej dobywającym się nie wiadomo skąd zwierzęcym rykiem, płały pary, przesuwając się między jego oknem a miejscem, gdzie wcześniej stał płot zabezpieczający wykop. Obok, przy obróconej dnem do góry beczce z napisem *Kipke*, siedziały trzy postaci grające w karty i pociągające piwo z kufli. Jedna z nich wstała i kiwnęła na niego, a z oczodołu wypadł jej przykurzony monokl. Z miejsca, w którym powinna znajdować się gałka oczna, patrzyła na niego czarna pustka czaszki.

– Mówiłam ci, że Hans szuka czwartego do brydza – szepnęła mu do ucha matka.

Zamknął okno, obrócił się do niej, a ona zaczęła powoli rozpadać się, jak zawsze w jego snach. Cofnął się i oparł o szybę. Czuł, jak trup z wypadającym z oka szkiełkiem puka do okna po drugiej stronie. *Stuk-puk*, coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywie, aż poczuł w rzednących włosach okrucy szkła. Osunął się na podłogę, uderzył potylicą o parapet i światło widmowej oficyny zgasło.

– E, sąsiad, żyjesz? – zapytał przepity głos. – Pół dnia żeś zakładał ten paździerz, a tu jedno piwko, cyk, i wszystko

psu w dupę. Jeszcze ci szybę wytlukli, skurwysyny. – Głos splunął za siebie.

– Co? – zapytał Ryszard, otwierając zapuchnięte oczy.

– Oj, zabalowałaś, sąsiad. – Przez wybitą szybę patrzyły na niego przekrwione oczy. – Sąsiad, nie zostało ci coś w butelce? Rznąłem z chłopakami całą noc w karty, potrzebowalbym czegoś na pokrzepienie. – Człowiek wskazał oczami niedopitą butelkę, którą Ryszard otworzył, zanim zapadł się w śnie na jawie.

– W brydża? – zapytał odruchowo.

– W pokera, kierownika. A właśnie, nie masz sąsiad pożyczyć dwóch dych? Muszę się odegrać – zachrypiał, obserwując, jak filozof wstaje i podchodzi do stolika.

– Masz pan, panie Wiśniewski – powiedział Ryszard, podając mu butelkę i zaciągając zasłony.

Chwilę później zamówił szklarza, żeby wprawić szybę. Pod oknem znalazł odłożone płyty i ułożone równo na parapecie gwoździe. Na sprasowanej masie drzewnej widział wyraźne ślady krwi zostawione przez jego dłonie. Obrócił się do wykopu. Przy płocie przesuwają się postacie w żółtych kamizelkach z napisem *Prace archeologiczne* na plecach. Kilkoro archeologów pracowicie ustawiało w słupki cegły wywożone taczka z wykopu. Pokrzykiwali do siebie, zadowoleni i podnieceni, jakby znaleźli coś istotnego.

– Przedłuży się nam budowa, co? – zagaił Wiśniewski, stając obok Ryszarda z kiepem między zębami.

– Jak to: przedłuży?

– Coś tam wydfubali z ziemi pod zburzoną kamienicą. Że niby coś z browaru, i teraz będą to sobie badać do skutku. – Zaciągnął się.

Emerytowany filozof pociągnął nosem. Browar połączył od razu z płaskorzeźbą zdobiącą front kamienicy pod numerem trzynastym. Łeb lwa, szyszki chmielu i browarnicze emblematy. Czy w powracającym śnie, przy przewróconej beczce, nie lało się piwo, a w tle nie ryczało złowieszczo zwierzę? Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kilka zwitków i monet. Złapał Wiśniewskiego za rękę i wcisnął je w jego spoconą dłoń.

– Chciałeś pan dwadzieścia złotych. Tu jest pewnie ze trzy razy więcej. – Wbijał w niego wzrok, a zbitemu z tropu mężczyźnie papieros wysunął się z ust. – Przydałoby mi się trochę cegieł. Mam ochotę pomurować, rozumie pan? – Wskazał wzrokiem grupkę archeologów.

Wiśniewski pokiwał głową, podniósł kiepa z ziemi i wsadził go z powrotem w usta. Zaciągnął się głęboko, mrużąc oczy, i posłał niedopałek pstryknięciem w kierunku pracujących ludzi. Ryszard doszedł do wniosku, że mężczyzna zrozumiał, o co go prosił, bo ten wypiął pierś i zasalutował, po czym powolutku, szerokim krokiem skierował się w stronę wykopu.

Wiśniewski zapukał do jego drzwi po dwudziestej trzeciej. Chrząknął tylko i minął Ryszarda w progu, wtaczając do mieszkania taczkę pełną cegieł. Najpierw jedną, po chwili drugą. Na progu ustawił pół worka cementu i wiadro piachu, szczerząc niekompletny garnitur poźółkłych

zębów. Poklepał się po kieszeni na piersi, wypchanej zmiętymi banknotami i bilonem, i zniknął za zamkniętymi drzwiami. Ryszard tymczasem zapadł się w fotelu, czekając na stukanie w płytę zabezpieczającą okno od strony podwórza, którą na powrót osadził na ramie. Już po kwadransie czuwania dobiegło go miarowe pukanie, z czasem przechodzące w namolne *crescendo*.

Nie czekał ani chwili. Zarobił w wiadrze zaprawę i układał – począwszy od szerokiego drewnianego parapetu, pociętego strupami białej farby olejnej – rzędy ponemieckich cegieł wydobytych przez archeologów z zasypanej piwnicy. Jedne na drugich, metodycznie, tak że szybko zamurował większą część okna. Akurat wtedy płyta poddała się pod *staccato* widmowych dłoni i odpadła od fasady kamienicy. Znad ceglanej barykady widział pusty oczodół właściciela monoklu i kości dłoni pukające w położoną najwyżej szybę okna. *Stuk-puk*, jak każdej nocy po śmierci matki.

Stanął na stołku, aby widzieć lepiej. Mury kamienicy urosły o kolejne skrzące się zielenią w mroku piętro, w oknach którego widział nowych lokatorów, jakby w przeciągu doby ktoś dołożył kilka metrów muru i pozwolił postaciom emitującym zieloną poświatę wprowadzić się do niedokończonego budynku. W tle, za wciskającymi się w kit między szybą a ramą kośćmi palców, widział wysuszone twarze pozostałych brydżystów wlewających w siebie pienisty, bursztynowy płyn. Do poczerniałych ust raz po raz wędrowały precle obsypane grubymi kryształkami soli lub odkładane do kryształowej popielnicy cygaretki. Nie przeszkadzało im to, że piwo przeciekało przez trupieszające ciała i wsiąkało w marynarki, dym

kłębami sączył się z mankietów, a kęsy pieczywa sypały w zaprasowane w kant nogawki. Umarłym nie przeszkadzają takie rzeczy. Tak samo, jak ryk dzikiego zwierzęcia, przerywający muzykę dobiegającą z tuby patefonu ku uciesze tańczących par.

Widząc, jak niewiele pracy zostało, wrócił do murowania. Kładąc ostatnią warstwę cegieł, widział, jak trupie dłonie wyjmują szybę i próbują wyłamać drewniane szprosy, aby wdrzeć się do środka. Dołożył kilka ostatnich brył, zaciągnął zasłony i upadł na podłogę. Stukot umilkł, zniknęło widmowe światło, zapadła nienaturalna cisza. Odetchnął głęboko, podniósł się z podłogi i podszedł do lustra. W srebrzystej tafli zobaczył twarz trupa, po której bezwiednie płynęły łzy ulgi. Bezruch obezwładniał go spokojem i bezgłosem, jakby to, czego ostatnio doświadczał, odeszło na dobre. Zamknął oczy i oparł czoło o szkło.

Pod powierzchnią zwierciadła poczuł wibrację. Pomyślał, że to mury kamienicy przenoszą drgania pobliskiej ulicy wywoływane przez przejeżdżający tramwaj. Ale nie, wrażenie narastało, było nieregularne i zaczął towarzyszyć mu gardłowy dźwięk. Odskoczył od lustra. Nie widział w nim już swojej niezdrowej twarzy, tylko kamienny pysk ryczącego lwa. Dźwięk umilkł, jakby ktoś uciął go nożem, a w lustrze znowu widział swoje oblicze. I wtedy to usłyszał. *Stuk-puk* – ktoś miarowo, coraz głośniejsze pukał do jego drzwi. Powolutku podszedł do nich i zerknął przez wizjer. Dostrzegł błysk monoklu i zielonkawą poświatę.

Rzucił się do taczki i zaczął zamurowywać drzwi, nie zważając na natarczywy stukot. Mur rósł, ale wiedział, że cegieł ukradzionych przez Wiśniewskiego wystarczy

na połowę wejścia, może trochę więcej. Gdy położył ostatni prostopadłościan, zaczął miotać się po mieszkaniu. W desperacji zdjął drzwi do toalety, urwał klamki z szyldów i położył skrzydło na niewysokim murku.

– Bogusiu, co się stało? – dobiegł go zza pleców śpiewny głos matki.

– Nazywam się Ryszard, mamó! – krzyknął jej prosto w twarz.

– To nieistotne. Coś się tak zasapał? Mówiłam, żebyś tak nie szalał, bo się zgrzejesz albo jeszcze coś gorszego – odpowiedziała, nie zwracając uwagi na jego wzburzenie.

– Murowałem całą noc, mamó. – Upadł na kolana i zapłakał, patrząc w błyskające fosforycznie źrenice kobiety. – Już nie mam więcej siły, muszę odpocząć.

– Hans mówił, że nie chcesz go wpuścić. Brakuje im czwartego do brydża. Nie bądź taki, zagraj z nimi. Napijesz się piwa, odsapniesz po tak ciężkiej pracy – przekonywała, wskazując na krwistoczerwony mur ukryty za ciężkimi zasłonami.

– Dobrze mamó – poddał się. – Przyjdźcie jutro, możemy zagrać tutaj.

Kobieta pokręciła głową. Obserwował, jak podchodzi do okna, rozchyła zasłony, sięga do świeżo wzniesionej ściany i odsuwa ją lekko, jakby to były muślinowe firany. Poczłapał za nią – na dworze było ciemno, ale widział wyraźnie stężały rys kamienicy i szare postacie siedzące przy stoliku. Przed oknem stał mężczyzna. Poprawił monokl nad rumianym policzkiem, a odsłoniętą błękitną źrenicę wbił w zaskoczonego mężczyznę. Uśmiechnął się, prezentując pożółkłe zęby, i wyciągnął przed siebie

wypiełgnowaną dłoń. Ryszard przeszedł przez otwarte na oścież okno, a za nim murek lekko pokonała jego matka.

Przywitał się z mężczyzną, którego dłonie były ciepłe i przyjemne w dotyku. Po chwili zasiadł przy beczce, pociągnął łyk gorzkiego lagera przywiezionego od *Kipkego* z nieodległej Lange Gasse, który osadził się gęstą pianą na cynowym dekle, i zawistował. Wiedział, że od teraz będzie grać bez końca ze swoimi nowymi towarzyszami, aż przyjdzie czas któregoś z nich, aby rozwiać się w zapomnieniu. A wtedy znowu będą szukać czwartego do brydża. Znajdą go w mroku, za którymś z wysokich murów czynszówek Große Dreilinde Gasse, nazwanej później – nie wiadomo dlaczego – ulicą Ptasią, które otaczały widmową oficynę – jego nowy dom, choćby nie wiadomo jak wiele nocy wybraniec wznosił barykady między sobą a nimi. Taka jest bowiem natura murów, stwierdził: murujesz je całą noc, a gdy nadejdzie czas, wystarczy chwila i zostaje po nich gruz.

FLAGA-ANDRZEJEWSKA KAJA

SIOSTRZYCZKI ROZTOCZAŃSKIE

Po niebie śmignęła błyskawica, moment później po okolicy przetoczył się łoskot gromu. Następująca ciemność brzmiała milionem kropel spadającej ulewy.

Polną drogą, ślizgając się na błocie, szedł samotny człowiek. Brnął uparcie w kierunku upatrzonego na horyzoncie jasnego punktu. Ledwo widoczny ognik dawał mu nadzieję, a zatem i motywację, by zebrać resztki sił.

Stopniowo, gdy zbliżał się do źródła światła, z deszczowej nocy wyłaniał się zarys drewnianej chaty, zabudowań gospodarskich i krzywego, wyszczerbionego płotu. Całe podwórze zamieniło się w bajoro, woda lała się strugami z dachów krytych strzechą, ale w jednym z okien domu widać było pełgający płomień dogasającej świecy.

Kilka kroków od budynku mężczyzna upadł. Zawołał w stronę domostwa, ale głos zniknął wśród szumu deszczu i przetaczających się nad okolicą grzmotów. Posunął się jeszcze odrobinę naprzód na czworaka, aż

ostatecznie zwałił się w kałużę z ręką wyciągniętą ku oczekiwanemu wybawieniu.

Przewrócił się na plecy i pozwalając spadającym kroplom obmywać twarz, z zamkniętymi oczami uśmiechnął się.

To całkiem ciekawa noc na śmierć.

Nie dane było mu jednak umrzeć. Domownicy musieli usłyszeć jego głos, gdyż dobiegło go trzaskanie drzwi i wołanie.

– Kto tu jest?

Jedyne, na co mógł się zdobyć, to klapnięcie ręką w kałużę.

Chlupot okazał się wystarczającym hałasem. Po chwili usłyszał zbliżające się cmokanie błota oznaczające kroki.

Uratowany! – pomyślał i stracił przytomność.

Dwie kobiety w czerni haftowały w nikłym świetle świecy. Ta siedząca naprzeciwko okna zerkąła w szybę przy każdym błysku szalejącej na zewnątrz nawałnicy.

– Spójrz, Marianno, chyba ktoś się do nas zbliża!

Marianna, chorobliwie blada mysia blondynka, podniosła zmęczone i podkrążone oczy znad robótki.

– W taką pogodę?!

Jakby na potwierdzenie jej słów rozległ się grzmot tak głośny, że aż zatrzęsły się naczynia w kredensie.

– Wyjrzę na podwórko! – zawołała Helena niezrażona.

W odpowiedzi otrzymała tylko wzruszenie ramion, mimo to rzuciła na stół serwetkę, nad którą pracowała, i podniosła się z krzesła.

Druga z kobiet wyglądała o wiele zdrowiej. Jej cera miała lekko różowy odcień, a sylwetka wydawała się pełniejsza pod skromną wełnianą suknią. Mimo to zdradzała wiele podobieństw do Marianny. Miała tak samo jasne mysie włosy i podobne, choć mniej zmęczone oczy.

Szybkim krokiem przemierzyła pomieszczenie, chwyciwszy w biegu obszerną chustę. Narzuciła okrycie i wybiegła w deszcz.

Marianna, pozostawszy sama, westchnęła. Ona także odłożyła tamborek. Wstała z krzesła z wyraźnym wysiłkiem.

Już drugi rok przytrafiali się tutaj zbłąkani powstańcy, dezertrzy czy uciekinierzy z transportu na Sybir. Helena z entuzjazmem chciała pomagać wszystkim, niemalże jakby ratowała kocięta pozbawione matki. Marianna nie podzielała tego uczucia, dla niej każdy wędrowiec oznaczał nieprzespaną noc i sprzątaną chatę z brudu i krwi.

Nie wspominając oczywiście o ryzyku, jakie niosła za sobą pomoc powstańcom. Gdyby carscy żołdacy przyłapali któregoś z ich gości u nich w obejściu, siostry same skończyłyby na zsyłce.

Snując niewesołe myśli, powoli, ale metodycznie krzątała się po izbie. Zapaliła drugą świecę i postawiła ją na stole. Z sieni przyniosła miednicę, zgadując, że gościa trzeba będzie umyć bądź opatrzeć. Po chwili namysłu naszykowała również butelkę wódki i szklanę.

Rumor przy drzwiach obwieścił powrót Heleny. Sądząc po odgłosach, musiała ciągnąć spory ciężar po ziemi. Marianna niespiesznie skierowała swoje kroki ku wejściu.

– No i kogóż tym razem nam przywiało? – zagadnęła, zakładając ręce na piersi. Ani myślała pomagać siostrze.

– Padł pod samą bramą! A ciężki niemożebnie! – wysapała Helena, wciągając nieprzytomnego mężczyznę za nogi. – Zamknij chociaż za mną drzwi! – rzuciła z wyrzutem.

Gdy już udało się umiejscowić gościa na środku izby i zaryglować wszystkie drzwi, przyszedł czas ocenić sytuację. Wędrowiec wyglądał strasznie. Przemoczony i ubłocony od stóp do głów sprawiał wrażenie potwora z bagien.

Siostry bez słowa zabrały się do pracy. Stopniowo ściągały z mężczyzny ubranie i warstwy brudu. W ruch poszły miednica, szmatki i mydło.

Poczuł na skórze szorstki i drapiący materiał. Było mu zaskakująco sucho i ciepło.

W półmroku dostrzegł wewnątrz izby. Chciał się odezwać, ale wydobył z siebie jedynie nieskładny skrzek. Na odgłos ten w zasięgu wzroku pojawiła się sylwetka.

– Obudził się pan! – Kobieta aż klasnęła z radości. – Marianna, widzisz, jeszcze sporo w nim życia!

Druga postać również się zbliżyła i pochyliła nad leżącym na zaścielonej derką podłodze nieznanym.

– Kim pan jest? – spytała tonem policjanta przesłuchującego podejrzanego.

– Leon Szwykowski – wychrypiał.

– Powstaniec?

– Z oddziału pułkownika Władysława Ruckiego...

Próbował się podnieść, ale syknął tylko z bólu i opadł na łopatki. Odezwała się rwąco rana na brzuchu. Zadziało to trzeźwiąco, wracało czucie ciała, a oczy stopniowo przyzwyczajały się do półmroku. Izba pachniała ziołami

i mydlinami. Słyszał stukanie deszczu o szyby i szelest halek krzątających się po pomieszczeniu kobiet.

Twarz owionęła aromatyczna para unosząca się z podsuniętego kubka. Z wysiłkiem podniósł rękę, by złapać naczynie. Pływały w nim listki i gałązki, jadowicie zielona barwa odznaczała się na białym szkliwie. Przeniósł wzrok na dłonie trzymające czarękę, potem podążył wzdłuż białego mankietu i prostego rękawa aż ku jaśniejącej w półmroku uśmiechniętej, przyjemnej twarzy młodej kobiety. Ta gestem zachęciła do picia.

Z jej pomocą przechylił kubek i ostrożnie siorbnął. Cierpki ziołowy smak przełamany słodyczą miodu wypełnił usta, rozkosznie grzejąc. Upił kolejne kilka łyków, czując, jak wraca mu przytomność.

Skonstatował, że leży kompletnie nagi, jedynie okryty drapiącym kocem, na środku obszernej wiejskiej izby. Elementy jego munduru wisiały nad piecem, na fajerkach suszyły się buty i onuce.

– Co się panu stało? – pytanie przerwało ciszę.

– Bitwa była. Niedaleko Fajstawic. Chociaż powinienem powiedzieć raczej: rzeź. Carscy osaczyli nas w lesie i zmasakrowali ostrzałem. Na tych, co przeżyli, spadli dragoni i Kozacy... – Zalała go fala wspomnień i głos uwiązł w gardle.

Jak żywy stanął mu przed oczami obraz chaosu, który wybuchł w obozie, gdy pierwsze kule armatnie rozerwały namioty. Towarzysze broni w panice szukający kierunku, z którego przyjdzie śmierć, ginący nagle, rozrywani ogniem artylerii. Znów usłyszał krzyki bólu i rżenie przestraszonych koni, poczuł zapach prochu i krwi.

Oddech mu przyspieszył. Lęk zmanifestował się falą gorąca w dole pleców i powędrował ku górze, powodując drętwienie skóry aż do czubka głowy.

Wtedy właśnie kojące dłonie łagodnie pogłaskały jego włosy. Spokój i równowaga spłynęły na niego. Był z powrotem w wiejskiej chacie. Bezpieczny.

Oczyszczona twarz z kilkudniowym ciemnym zarostem nosiła ślady licznych drobnych zadrapań, zapewne pamiątkę wędrówki przez lasy. Listki i gałązki zaplątały się w przydługie falowane włosy. Spod błota wyłaniał się wymizerowany młody mężczyzna.

Marianna wrzuciła szmatkę z powrotem do miednicy pełnej mętnej i lekko spienionej wody. Czekwała, aż Helena poradzi sobie z odzieniem wędrowca. Liczne sprzączki i guziki, zimne i mokre ślizgały się jej w dłoniach.

W końcu udało jej się zdjąć zawieszzone na skórzanych paskach ładownice. Rozsuwające się poły szarej kurty odsłoniły sztywną i brudną od krwi koszulę.

Marianna skrzywiła się na ten widok. Znowu będzie sprzątanina co nie miara.

Materiał ubrania na szczęście nie przykleił się do ran. Helena chwilę jeszcze siłowała się z butami z wysokimi cholewami, ale po kilku minutach gość leżał na podłodze ich domu, jak go pan Bóg stworzył, dalej nieprzytomny.

Siostry stanęły nad mężczyzną.

– I co teraz, mądralo? – zrzędliwie zagadnęła Marianna, z rezygnacją patrząc na stertę brudnych szmat. – On nawet nie miał przy sobie bronie czy czegokolwiek.

Faktycznie, wędrowiec nie posiadał typowego dla powstańców tornistra ani worka z zapasami.

Helena tylko wzruszyła ramionami, zapatrzona w nagiego żołnierza. Wzrok prześlizgiwał się od głowy, przez szczupłą, pokrytą gęstym włosiem pierś, zapadnięty brzuch, aż zatrzymał się na podbrzuszu i nieprzytomnym jak właściciel przyrodzeniu.

– O nie, nie... Teraz moja kolej, siostrzyczko – syknęła Marianna, podążając za wzrokiem Heleny.

Ta, jakby otrząsnąwszy się z zadumy, odchrząknęła. Zabrała się z entuzjazmem za rany nieprzytomnego pacjenta. Marianna w tym czasie z westchnieniem schyliła się po mundur z zamiarem doprowadzenia go do stanu używalności.

– Komu winny jestem dozgonną wdzięczność? – spytał, gdy uspokoił nerwy i oprzytomniał.

– Helena Dragan, a to moja siostra, Marianna – odpowiedziała bardziej uśmiechnięta z kobiet.

Leon ponownie spróbował się podnieść. Helena pospieszyła mu z pomocą i podsunęła skrzynkę, by mógł oprzeć o coś plecy. Usiadł ostrożnie, zakrywając pierś kocem. W końcu mógł przyjrzeć się swoim wybawicielkom.

Bliżej znajdowała się rumiana Helena, której ręce zdawały się Leonowi nieco zbyt skore do pomocy i kontaktu.

Trzymająca się bardziej na dystans Marianna zdradzała siostrzane podobieństwo, wyglądała jednak na starszą i zniszczoną toczącą ją chorobą. Krzątała się przy stole, brzękając talerzami i butelkami. Obie ubrane były raczej

ziemiańsko niż chłopsko, mimo nocnej pory w czarne suknie, zgodnie z wchodzącą wobec klęsk powstańczych modą na żałobę narodową.

– Jakbyś się zastanawiał, znajdujemy się we Zwódnym. – Marianna zbliżyła się z pajdą chleba ze smalcem i szklanką. – Zapewne jesteś głodny... – Głos, który wydawał mu się wcześniej oschły, teraz brzmiał miło i łagodnie.

Z gracją opadła na ziemię po jego lewej stronie i podała talerz. Zatopił zęby w chrupiącym chlebie, poczuł językiem aromatyczne skwarki. Powąchał zawartość szklanki, wyczuwszy nuty samogonu, wychylił zawartość. Rozkoszne ciepło rozlało się po wnętrznościach. Z żarłocznością typową dla głodujących pochłonał resztę pajdy.

Marianna zabrała pusty talerz, ale nie wstawiała. Po jego prawicy przycupnęła Helena.

– Ma pan wiele szczęścia, w żadną z ran nie wdało się zakażenie. Rana brzucha również nie wygląda na groźną – wyjaśniła.

– Dobrze oczyściłaś rany? – upewniła się Marianna.

Helena w odpowiedzi skinęła głową.

W mniemaniu Leona siostry siedziały odrobinę zbyt blisko. Nie chciał okazać się niewdzięczny. Gdy przez dłuższy moment żadna się nie poruszyła, odchrząknął i chciał podciągnąć wyżej koc, uświadamiając sobie z całą siłą swoją nagość.

Jego ręka jednak go nie posłuchała. Leżała bezwładnie. Zaskoczony wybałuszzył oczy i spróbował się poruszyć, ale żadna kończyzna nie drgnęła.

– Och, na litość boską, najwyższy czas! – zawołała Marianna. – Już myślałam, że dałam za mało tojadu.

Leon chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko świst. Dreszcz przeszedł mu po plecach.

– Zdziwiłbyś się, ale to wcale nie jest takie proste, dobrać odpowiednią dawkę! Na szczęście mam duże doświadczenie.

Helena położyła rękę na piersi Leona, nachyliła się nad nim.

Strach, jak bryła lodu, zaciążył mu w brzuchu. Charczał i z całych sił usiłował się poruszyć. Marianna również oparła na nim dłoń.

– No już, spokojnie, bo się zadusisz. Oddychaj. – Nagle jej ton się zmienił niemalże w syk. – A ty, Helena, odsuń się. On jest mój!

Helena zbliżyła twarz do włosów Leona i głęboko wciągnęła w nozdrza powietrze, rozkoszując się zapachem, ale potem posłusznie cofnęła się i bez słowa opuściła izbę.

– No dobrze, to zostaliśmy sami... – Marianna również się podniosła.

Zabrała skrzynkę, o którą był oparty, osunął się więc na ziemię.

– Dostałeś cukier, zioła, alkohol i trochę jedzenia. Rany sprawdziłyśmy, tojad zadziałał... – Zamyślona wyliczała na palcach.

Bezbronny śledził wzrokiem jej ruchy. Nie rozumiał, co tu się działo. Co za chore kobiety. Wojna faktycznie rodzi potwory...

– Bym zapomniała! Przez tę burzę jestem kompletnie rozproszona!

Podeszła do Leona i przerzuciwszy obszerną szeleszczącą spódnicę z wieloma halkami, siadła na nim okrakiem. Poprawiła derkę na jego piersi gestem, jakim wygładza się zmarszczkę na obrusie. Jej twarz zawisła centymetry nad nim.

– Zamrugaj raz na tak i dwa na nie, dobrze? Jeśli zrozumiałeś, mrugnij... – podpowiedziała cierpliwie.

Próbując wyrazić oczami niezgodę na traktowanie, a przede wszystkim ogrom przerażenia, patrzył bez ruchu. Wreszcie, gdy już zaczęła wątpić w swoje dawkowanie tojadu, powoli mrugnął.

– No dobrze... To tak szybciotko, chorujesz na coś? Franca? Suchoty? Coś innego? – podwójne mrugnięcie. – Wyśmienicie! Rozumiesz, nie chciałabym się czymś zarazić... – dodała wyjaśniająco.

Zbliżyła twarz jeszcze bardziej i musnęła wargami jego usta. Z początku delikatnie, po chwili jednak ośmieliła się i wpiła w niego zachłannie.

Leon tylko wybałuszał oczy, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji.

Marianna oderwała się wreszcie od jego warg. Zawisła ponownie kilka centymetrów nad nim, tak by dobrze widział jej twarz i szeroko otwarte oczy, w których źrenice stopniowo się rozszerzały poza granice możliwości, aż czerń objęła całe białka. Powoli na jej twarzy zawitał uśmiech, który rósł i rósł – odsłaniając garnitur ostrych jak brzytwy trójkątnych zębów.

Leon gwałtownie wciągnął powietrze, zacharczał i zabulgotał, a oczy prawie wyszły mu z orbit. Była to cała forma sprzeciwu, do jakiej był zdolny. Serce waliło mu jak oszalałe.

Zbliżyła twarz do jego szyi, wciągając rozkoszny zapach strachu. Delektowała się tą chwilą. Rozwarła szczęki i wgrzyła się w ciało, czując, jak do ust tryska jej doprawiona adrenalina, alkoholem, ziołami i cukrem krew.

Deszcz ustawał, burza w końcu odpłynęła gdzieś dalej. Na wschodzie niebo powoli szarzało, zapowiadając nadchodzący świt.

Siostry ciągnęły ciało przez rozmoknięte podwórko. Szły prosto ku otwartym wrotom stodoły, z której roznosił się koszmarny fetor.

– Trochę ci zeszło – powiedziała Helena z wyrzutem.

Wniosły pokiereszowanego trupa Leona Szwykowskiego do wnętrza budynku gospodarskiego. W środku smród był nie do wytrzymania i aż gęsto było od latających wszędzie much.

W zagrodzie, zamiast zwierząt, znajdowała się sterta ciał. Dziesiątki nagich szczątków w różnym wieku i stopniu rozkładu piętrzyło się w formie bezkształtnej góry.

Zbliżyły się doń i bezceremonialnie rzuciły to, co jeszcze niedawno było pełnym determinacji do życia powstańcem, po czym opuściły pomieszczenie. Marianna starannie zaryglowała wrota i nałożyła kłódkę. Przekreśliła duży klucz i schowała go do kieszeni. Podeszła do siostry i wzięła ją pod rękę. Razem skierowały się ku domowi.

W wolno jaśniejącej nocy wyglądały identycznie, rumiane, młode i piękne.

– Szybciutko sprzątniemy izbę, może nawet zdążysz ukończyć dzisiaj haftować serwetkę w niezapominajki, widziałam, że niewiele już ci zostało.

Helena uśmiechnęła się.

– Wyjątkowo mi się udały ściegi na niej, nieprawdaż?

AGNIESZKA FULIŃSKA

NIKT NIE ZAŚNIE

Tej nocy nikt nie zaśnie.

Nawet ja, choć mogłabym spać spokojnie, ponieważ znam odpowiedź.

Znamy ją tylko my dwie. Księżniczka i ja.

Przybyłyśmy do Miasta kilka dni temu. Ona – dumna jak zawsze. Nawet teraz, gdy siedzi na stopniach Niebiańskiego Pałacu, ze wzrokiem utkwionym w bieli lotosów, gwiazd na tle ciemnej, nieruchomej wody cesarskiej sadzawki, nie opuszcza jej pewność siebie. I ja, od zawsze w nią zapatrzona.

Od zawsze i do wczoraj, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam księcia. Stał w pałacowym oknie, skąpany w księżycowej poświacie. W tamtej chwili straciłam pewność, komu powinnam pomagać, komu służyć.

W pałacu, na którego stopniach siedzi teraz moja pani, wpatrzona w srebrzyste gwiazdy lotosów, dawno temu wydarzyła się tragedia, która dziś waży na losach

nas wszystkich. Jak przed wiekami zaważyła na dziejach naszych przodków.

– W tym pałacu – powiedział książę do mojej pani głosem cichym, a zarazem twardym jak stal – setki lat temu ciszę rozdarł krzyk, którego echo długo błąkało się po zimnych, pustych komnatach, by znaleźć schronienie w mojej duszy.

Kiedy wypowiadał te słowa, jego ciemne oczy zmieniały barwę; z czarnych stały się błękitne niczym lód, zimne jak światło księżycy. Yue-Liang, księżycowy książę.

– Wiem, co się wtedy wydarzyło – odparła moja pani ze spokojem.

– Doprawdy? – Zaśmiał się gorzko. – Wiesz, jak boli zdrada? Myślisz, że Kun-Rao krzyczał z bólu, nieznana dziewczyno?

Podszedł do niej wśród szelestu jedwabi: do mojej księżniczki odzianej w prosty strój stepowego jeźdźca, ten sam, w którym przebyła całą drogę.

Podszedł blisko, mógłby ją zabić szybkim ruchem ukrytego wśród szat sztyletu. Nie cofnęła się, nawet nie drgnęła; bez lęku patrzyła mu prosto w oczy. W jej oczach wciąż widziałam to samo, co w nich dostrzegłam po raz pierwszy w chwili, gdy książę pojawił się na kilka uderzeń serca w oknie. Upór, na który nie ma lekarstwa. Upór grozący śmiercią: księżniczka zdołała się jej wymknąć po to tylko, by teraz z własnej woli na nią czekać nad sadzawką z białymi lotosami. Zakochanie na śmierć. Zakochanie w śmierci.

Wciąż zastanawiam się, co można było wtedy wyczytać z moich oczu.

Księżniczka milczała.

– Setki lat temu – odezwał się znów Yue-Liang głosem pełnym bólu – kobieta, którą z wielkiej miłości poślubił mój przodek, dopuściła się zdrady. Zabiła go, co pogrążyło królestwo na długie lata w chaosie. Udała uczucie, by go omotać, by wydać miasto i kraj na pastwę ludu, z którego pochodziła. Lecz to nie jej sztylet go zabił, nieznamiona dziewczyno, tylko zdrada. W chwili śmierci Kun-Rao przeklął ród kobiecy, a ja, daleki potomek zdrajcy i zdradzonego, urodziłem się dla zemsty. Kun-Rao żyje we mnie.

W tej chwili świergot ptaka dobiegający z odległego ogrodu przerwał księciu, a ja w tym mgnieniu oka dojrzałam w jego spojrzeniu coś, czego nie spodziewałam się tam zobaczyć.

Yue-Liang nie pragnął śmierci mojej pani.

Czy była pierwszą, która poruszyła jego serce, czy też żałował w głębi duszy każdej, którą odesłał w ręce katów?

– Odejdź, nieznamiona dziewczyno. Odejdź i nie wracaj tu więcej. Niech na mnie zakończy się przeklęty ród.

Czy i ona to zauważyła? Czy dlatego siedzi teraz spokojnie na stopniach pałacu, wpatrzona w ciemną wodę sadzawki, i wypatruje śmierci, na którą skazała samą siebie, jeśli ktokolwiek pozna tajemnicę? Czy też jest tak ufna w dochowanie sekretu?

Tak ufna w moją lojalność.

Zapatrzona w księcia, w zadanie, które sobie wyzna-
czyła, nie widziała moich oczu, w których od tamtej
chwili, kiedy Yue-Liang pojawił się w oknie, błady w księ-
życowej poświacie, płonie ogień tęsknoty. Zabierając mnie

ze sobą, jedyną towarzyszkę, nie pomyślała, że udajemy się do domu moich przodków, pomiędzy duchy tych, których pozabijał jej pradziad.

– Nie odejdę. – Głos mojej pani zabrzmiał jak trzaśnięcie biczem.

Tłum zgromadzony na dziedzińcu zafalował, z wszystkich stron rozległy się jęki zawodu i rozpaczy. Czy tak było zawsze, ilekroć pojawiła się kobieta dość odważna, by próbować pokonać księcia?

– Zagadki są trzy, a śmierć jedna – odparł książę, nie spuszczać wzroku z mojej pani. – Tak stanowi prawo. Moje serce może zdobyć jedynie kobieta, która je wszystkie odgadnie. Każda inna zginie z ręki kata.

– Zagadki są trzy, a życie jest jedno, książę.

Odwrócił wzrok. Zerknęłam na cesarza, jego ojca, siedzącego nieruchomo na złotym tronie, w złotej masce i złotych szatach. *Jak słońce* – pomyślałam i przeszedł mnie dreszcz na myśl o zimnych oczach księcia. Cesarz drgnął i wydało mi się, że słyszę cichy szloch starca. Czy płakał nad każdą dziewczyną stojącą na miejscu mojej pani? Czy też ona mocniej niż inne poruszyła jego serce?

Nikt nie potrafi przejść obok niej obojętnie. Ona też jest jak słońce; zdaje się urodzona dla tego pałacu, złotego tronu i złotych szat, a nie do ciemnej wody i zimnego światła odbitego w białych jak śnieg płatkach kwiatów. Przemknęło mi przez myśl, że i odziany w srebro książę jest do tego stworzony. A ja? Ja jestem tylko cieniem. Cieniem księżniczki i cieniem mojej rodziny, wziętej do niewoli, kiedy jej przodkowie pokonali to królestwo.

Jeśli kobieta, która zdradziła Kun-Rao, była jak ona, nikt nie zdołałby się jej oprzeć. Księżniczka jednak nie jest zdradziecka. Oszukała mnie raz: nie powiedziawszy o prawdziwym celu podróży. „Jedziemy zwiedzać świat, Liu” – oznajmiła, każąc siodłać dla nas najlepsze konie z królewskiego stada swego ojca. A jednak od początku zmierzała tu, do Niebiańskiego Pałacu, by odwrócić to, co wieleset lat temu wydarzyło się z winy jej krewnej.

Aby to odwrócić albo umrzeć.

– Słuchaj więc, nieznajoma dziewczyno. – W głosie księcia pobrzmiwał teraz bezbrzeżny smutek. A potem nastąpiła długa cisza, aż słowa, które w końcu zabrzmiały, wydały się dochodzić z odległej przeszłości. – Pośrodku najczarniejszej nocy pojawia się iskierka, rozpościerająca skrzydła nad całą pogrążoną w mroku ludzkością. Wszyscy ją wzywają, wszyscy o nią błagają. Światło znika o świcie: każdej nocy się rodzi, każdego dnia umiera.

Tłum zgromadzony przed pałacem wstrzymał oddech, ciszy nie zakłócały nawet ogrodowe ptaki, słychać było jedynie cichy szmer wody w dalekich fontannach. Także wstrzymałam oddech, obserwując krótką chwilę wahania i nieodgadnioną minę mojej pani. Przeczynałam odpowiedź – lecz nie wiedziałam już, komu życzyć zwycięstwa. Jeśli księżniczka zginie, ja – podobnie jak każda kobieta na świecie – będę mogła stanąć na jej miejscu. Pragnęłam tego, od kiedy zobaczyłam Yue-Lianga. Domagała się tego krew przodków, wyrywająca się do zjednoczenia z własnym rodem. Domagały się tego moje własne uczucia.

– Mój księżę – powiedziała cicho pani, a przez tłum przeszedł jęk – nietrudno odgadnąć, o co pytasz, kiedy

jest się przepełnionym tym uczuciem tak jak ja, od kiedy przekroczyłam próg tego pałacu.

Znów zapadła cisza jak makiem zasiał. Nikt nawet nie drgnął, choć wyczułam, że cesarz nasłuchuje pilnie zza złotej maski, jakby i jemu udzieliło się uczucie, o które pytał ksiączę. „Święte prawo cesarskiego syna” – szeptano na ulicach Miasta. „Nie nam się sprzeciwiać jego woli” – mówiono i pochyłano głowy z szacunkiem. A jednak czuło się tu jedno przemożne pragnienie: by znalazła się ta, która odgadnie zagadki. By uwolniła kraj od klątwy, zapewniła przetrwanie cesarskiego rodu.

Moja pani uniosła ręce do góry i zawołała donośnie:

– Nadzieja! Tak brzmi odpowiedź na to pytanie, ksiączę!

Odwrócił się szybko, nie zdążyłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Na złotym tronie zaszeleścił złocisty jedwab, moich uszu dobiegło ledwie słyszalne westchnienie ulgi. Wśród ludu rozległy się okrzyki radości i zachęty.

A co czułam ja? Ulgę czy zawód? Nie chciałam i nadal nie chcę tego wiedzieć.

– Tak, nadzieja, królowa ułudy! – rzucił Yue-Liang ostro, odwrócony wciąż plecami do księżniczki. – Lepiej nie daj się ponieść jej skrzydłom, nieznana dziewczyno! Jedna zagadka to za mało, by zmienić moje postanowienie. Posłuchaj drugiej.

Znów zapadła martwa cisza, nawet ptaki w dalekim ogrodzie zamilkły. Zastanawiałam się, ile księżniczek i zwykłych chłopiek, których wyschnięte, skurczone głowy ozdabiały mury miejskie, aż odwracałam wzrok, kiedy mijaliśmy bramę, odgadło choć jedną odpowiedź. Ile zabiła nadzieja.

Zastanawiałam się, czy książę zawsze zadaje te same zagadki.

Ponownie rozległ się gong, a Yue-Liang jednym kocim ruchem przyskoczył do mojej pani i stanął z nią oko w oko. Patrzyła na niego chłodnym wzrokiem, jakby to ona rzucała wyzwanie. Upór, na który nie ma lekarstwa.

Książę potrząsnął wachlarzem, światło lampionów odbiło się w maleńkich jak krople rubinach, układających się w skomplikowane wzory na jedwabiu.

– Czym jest to, co migocze niczym płomień, a nie jest płomieniem? – wykrzyknął. – Goreje, gdy pragniesz zwycięstwa, i zamienia się w lód, gdy zostaniesz pokonana? Głos ma cichy, ale każdy go słyszy i każdy nasłuchuje, czy aby nie zamiera?

Poczułam, jak przyspiesza mi serce. Dostrzegłam cień wahania na twarzy pani i wyraz triumfu na obliczu księcia, choć w jego oczach czaił się smutek. Rubiny na wachlarzu zamigotały.

– Nie wiesz, dziewczyno? – zapytał drwiąco Yue-Liang, zerkając w bok.

Dopiero teraz kątem oka dostrzegłam, że na granicy wielkiego placu stoi wsparty na ozdobnym toporze kat.

Przez złotą maskę cesarza przemknął cień.

Moja pani wydeła pogardliwie usta.

– Nie pozbawisz mnie łatwo tego głosu, o książę. Przybyłam tu, by zwyciężyć. Pragnienie zwycięstwa rozgrzewa ją we mnie, choć twój wzrok ją mrozi... Pytasz o krew!

Dlaczego poczułam ukłucie żalu, kiedy wypowiedziała to słowo? Od dzieciństwa byłam jej ulubioną towarzyszką, zaufaną służącą, powiernicą wszystkich

sekretów. Wszystkich za wyjątkiem jednego. Czy tym, że ukryła przede mną cel wyprawy, zasłużyła na zdradę?

Czy też sprawiły to błękitne jak lód oczy księcia?

W pałacowym ogrodzie rozległa się miłosna pieśń ptaka, w powietrzu rozszedł się zapach jaśminów, jakby przyroda nabrała nadziei. A potem świat znów wstrzymał oddech.

– Odgadłaś dwie zagadki, nieznana dziewczyno – szepnął Yue-Liang. – Nikt przed tobą tego nie dokonał. Jeśli teraz się wycofasz, daruję ci życie w uznaniu odwagi i bystrości.

– Miałabym zrezygnować z ostatecznego triumfu? – Księżniczka wyprostowała się z dumą, jakby miała na sobie haftowane jedwabie, a nie prostą skórzaną tunikę. – Zadaj trzecią zagadkę, książę.

W jej oczach dostrzegłam lód. Zrozumiałam, że to, co rozbłysło w nich poprzedniego dnia, nie było zakochaniem. Nie w księciu, którego głos podobny do wiosennego wiatru płynął teraz ponad placem i cichł z każdym słowem, aż stał się szmerem słyszalnym tylko dla stojącej tuż przy nim mojej pani.

– Lód, który rozpala ogień...

Tyle usłyszałam, zanim słowa rozwiąły się w jaśminowych podmuchach i w świergocie ptaków. Zmartwiałym wzrokiem patrzyłam na pobladłą twarz mojej pani. Srebrne szaty księcia zagarniały jej drobną postać. Zdawała się kulić pod ostrzałem jego słów.

– Czym jest ten lód, księżniczko z dalekich krajów? Gdzie jest ogień? – Głos znów wzniósł się ponad wiatr, ogród i ptasi śpiew.

Ogień płonął w mojej piersi, nie w zimnych oczach pani.

– Ty jesteś lodem – wyszeptała.

Rubinowy wachlarz upadł na ziemię, klejnoty rozprysły się niczym krople krwi. Złoty cesarz podniósł się ze słonecznego tronu. Moja pani stała bez ruchu, jakby nie dowierzała temu, co się stało, jakby nie cieszył jej triumf.

– Ty jesteś lodem – syknął książę. – Jak ona.

Odwrócił się ku tronowi ojca. Uniósł rękę, jakby już dawał znak кату.

– Przysięga jest święta, synu. – Drżący głos wiekowego cesarza zabrzmiał donośniej niż uderzenia gongu. – Pozwól mi odejść w pokoju.

Tłum stał w milczeniu, zmrożony zachowaniem księcia. „To jego prawo, prawo cesarskie jest święte!” – niemalże słyszałam ich przerażone myśli. Widziałam to, co oni: głowy zatknięte na włóczniach wokół miasta, puste oczodoły wpatrzone w wędrowców, ostrzegające śmiazków.

Yue-Liang zerwał z siebie srebrne szaty.

– Nie! – krzyknął. – Nie, ojcze! Nie widzę w niej ognia, który może stopić lód! Lód, który pochodzi od Kun-Rao! Prędzej założę mnisie szaty niż poślubię kobietę, w której oczach i sercu nie ma płomienia miłości!

Patrę teraz na panią, jak źdźbłem trawy wywołuje fale na gładkiej wodzie sadzawki. Białe światło księżycy odbija się w śnieżnobiałych kwiatach jaśminu. Pod murem przemykają cienie – ci, którzy chcą żyć, idą po mnie, bo tylko ja znam odpowiedź na ostatnią zagadkę.

Powinna była odejść. Dokonała tego, po co przybyła do Miasta. Pokonała księcia.

Trzecia zagadka była próbą. Próbą, której moja pani nie przeszła.

– Nie znasz mojego imienia – szepnęła, wpatrzona w leżące na terakotowym dziedzińcu srebrne szaty i czerwone rubiny. – Jeśli zdołasz je poznać przed świtem, umrę jak moje poprzedniczki. Jeśli zagadka cię pokona, wypełnisz wolę ojca.

Upór, na który nie ma lekarstwa. Duma, która nie znosi odrzucenia ani porażki.

W ogrodzie pohukiwanie sowy miesza się z pieśnią słowika. Płonące wysoko na wieży zimne światło pokrywa szronem pałac i miasto. W oknie majaczy ciemna sylwetka. Zaciskam dłoń na maleńkim oszlifowanym kamyku, którego ostre krawędzie ranią palce. To jeden z roztrzaskanych rubinów z wachlarza księcia. Czuję, jak żar krwi przeciwstawia się lodowym podmuchom, rozprasza mrok.

Patrzę na dziewczynę skuloną nad sadzawką, na zbliżające się cienie cesarskich urzędników. Wszystkim grozi śmierć, jeśli przed świtem nie podadzą księciu imienia mojej pani.

Ściskam mocniej w dłoni klejnot i wymykam się z ogrodu.

Komnata jest mała i skromnie urządzona. Kiedy stoję w progu, widzę smukłą postać na tle księżycy wypełniającego prawie całe okno. Czuję ucisk w sercu, bo to okno wychodzi na ogród, w którym zapatrzona w lotosy przykucnęła moja pani.

– Kim jesteś, duchu? – pyta Yue-Liang, lecz nie odwraca się do mnie.

– Mam na imię Liu i służę tej, która dziś odgadła twe zagadki, księżę.

Spodziewam się, że doskoczy do mnie, by wydrzeć tajemnicę. On jednak stoi nadal przy oknie, czarny cień na srebrnej tarczy księżyca.

– Przyszłaś, by wyjawić mi jej imię, Liu? Dlaczego?

Zza okna dobiega głośny chichot lelka. Wzdrygam się.

– A może pragniesz mnie błagać, bym nie chciał się dowiedzieć? Jak ci wszyscy, którzy myślą jedynie o przetrwaniu dynastii? Obawiają się śmierci, lecz w głębi duszy nie chcą poznać odpowiedzi, bo pragną, bym poślubił twoją panią.

W zimnym głosie księcia pobrzmiwa desperacja.

– A może... Może chcesz mnie zabić?

Lelek milknie, nad ogrodem znów rozbrzmiewa słodki śpiew.

– Podejdź tu, Liu.

Nie śmiem się sprzeciwić. Yue-Liang ujmuje dłońią mój podbródek, spogląda mi prosto w oczy. Rubin wysuwa się spomiędzy palców i z cichym brzękiem pada na posadzkę z biało-niebieskiej ceramiki. Odpowiada mu szloch.

– Powinnaś umrzeć, Liu – mówi cicho księżę. – Nikomu nie wolno widzieć, jak płaczę.

– Płaczysz, księżę?

Odwraca głowę, a zimne światło zamienia łyzy w kryształki lodu na twarzy.

Mówi długo, urywanie, a moje serce kamienieje, kiedy wraz z pierwszymi promieniami świtu umiera nadzieja, choć płomień nie zgasł w piersi. Płomień, którego on nie

dostrzega, bo widzi tylko lód w oczach i sercu mojej pani. Lód, który pozbawił go nadziei.

Żadne z nich nie chce wygrać. On, ponieważ ją pokochał, i ona, ponieważ zrozumiała, że nigdy nie odwzajemni tego uczucia. A ja? Czy łudziłam się nadzieją, że on dostrzeże mój ogień?

– Ona cię nie zdradzi, księżę – mówię, choć każde słowo jest niczym sztylet wbity we własne serce. – I ją prześladują duchy z przeszłości.

Wszyscy jesteśmy zakładnikami naszych przodków, to oni uczynili z nas lalki na sznurkach w teatrze cieni.

Yue-Liang podnosi na mnie pytający wzrok. Teraz ja opowiadam. O sobie, o mojej rodzinie, o tym, jak setki lat temu mój pradziad, krewny Kun-Rao, został niewolnikiem zwycięskiego władcy stopowego ludu. Księżę słucha, wpatrzony w księżyc.

– Odejdź, Liu. Wróc do swojej pani – mówi w końcu. – Nie chcę znać jej imienia. Jutro ogłoszę moją wolę. I nie lękaj się, nikt dziś nie umrze.

– Dziesięć tysięcy lat dla naszej cesarzowej!

Okrzyk, dobywający się z setek gardeł zgromadzonych przed pałacem ludzi, ogłusza. Złote szaty i wysadzany diamentami wachlarz ciężą niczym kamienie. Złota maska ukrywa twarz, po której płyną łzy, zamarzając na policzkach.

Kiedy różowe palce świtu musnęły ciemną wodę sadzawki i ożywiły białe płatki lotosów i jaśminu,

w bramie pałacu pojawił się cesarski herold, by paść na kolana przed nami dwiema, skulonymi w cieniu kolumn.

Urzednicy porwali mnie i oto jestem. Cesarska krewna, wyniesiona na Niebiański Tron z kaprysu księcia. Yue-Liang zniknął z pałacu, pozostawił jedynie list, w którym obwieścił swą wolę.

Moja pani odjechała, nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Nigdy nie wypowiedam jej imienia.

Mijają lata, a ja w bezsenne noce, wypełnione zapachem jaśminu i pieśniami ptaków, czekam na heroldów poszukujących po całym świecie tego, co może przywrócić mi sen. Mury miasta ozdabiają wysychające głowy książąt i chłopów, którzy bez powodzenia próbowali zmierzyć się z zagadkami ułożonymi przez cesarskiego syna, a może cesarskiego przodka.

Mijają lata, a ja czekam za złotą maską, aż przed tronem pojawi się mężczyzna zdolny stopić lód, który tamtej nocy wkradł się w moje serce. Na świecie jest jeden taki człowiek, ma na imię Yue-Liang. Czy ujrzę go kiedyś w oczach nieznajomego stojącego dumnie u stóp Niebiańskiego Tronu?

ADRIAN IWANIAK

ŚWIATŁA MROKU

Błysk.

Krótki, nikły, ale na tyle wyraźny, że zakłócił sen siedmioletniego Wojtka. Jego błędzące w krainie nieświadomości myśli powoli wróciły do rzeczywistości, a dłonie zacisnęły się kurczowo na przepoconej pidżamie. Chwilę później rozchyliły się powieki, ukazując zaspanym oczom ciemność dziecięcego pokoju.

Cisza.

Żadnych rozmów, ryku silników czy szumu drzew poruszanych wiatrem. Jedyne przyśpieszony oddech chłopca nieznacznie mącił nocną ciszę. Wdech, wydech, wdech, wydech. Wojtek przycisnął dłoń do klatki piersiowej i zaczerpnął powietrza przez nos, jakby miało to uspokoić wyrywające się z piersi serce.

Obecność.

Chłopiec rozejrzał się po pokoju. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku wypełniającego wnętrze, dzięki czemu dostrzegł, że w środku nie było absolutnie nikogo. *Spokojnie, nie bój się* – pomyślał, przełykając ślinę. Choć

czuł lęk, wiedział, że to tylko wyobraźnia płata mu figle, strasząc wizją krwiożerczych potworów.

Powoli zamknął oczy.

Próbował zasnąć, lecz narastający niepokój nie pozwalał mu odpłynąć do krainy snów. Pościel zwilgotniała od potu, a łóżko zrobiło się niewygodne. Do tego zaschło mu w gardle. Gdyby rodzice na to pozwalali, poszedłby do ich sypialni, aby wtulić się w delikatne matczyne ramiona. Ale był już za duży... Tak przynajmniej powtarzał mu ojciec.

Kiedy senność wreszcie wzięła górę nad strachem, oddech Wojtka się uspokoił, oczy zamknęły, a ciało leżało bezwładnie na mokrym łóżku. W umyśle zaczęły się tworzyć kolorowe obrazy, będące załączkiem snu. Jednak błogi spokój niespodziewanie przerwał przeszywająco zimny dotyk, jakby ktoś przystawił chłopcu do przedramienia kostki lodu.

Wojtek raptownie uniół powieki i to, co ujrzał, ścięło mu krew w żyłach. Zobaczył twarz. Szarą, mroczną, wyprutą z emocji, a na niej parę wielkich, pozbawionych głębi oczu. Twarz zimną i bezwzględną. Chciał się poruszyć, krzyknąć, aby wezwać rodziców, ale całkowicie utracił kontrolę nad ciałem. Mógł wyłącznie poruszać gałkami ocznymi na boki, choć i tak nie był w stanie oderwać wzroku od szarej istoty.

Nagle zrobił się niesamowicie senny, lecz zanim ogarnęła go bezgraniczna ciemność, ostatnie, co zapamiętał, to widok wątej, czteropalczastej dłoni zbliżającej się do jego brzucha.

Jaskrawe promienie poranka przebijały się przez matowe zasłony, delikatnie oświetlając wnętrze mieszkania. Zza okna dobiegał śpiew ptaków, a ulokowany na biurku elektryczny zegar wskazywał ósmą piętnaście.

Wojtek zerwał się z łóżka, łapczywie chwytając oddech, niczym nurek wynurzający się z wody, i rozejrzał się nerwowo po pokoju. W środku nie było nikogo, a zdarzenie minionej nocy zdawało się wyłącznie mglistym wspomnieniem, snem bądź halucynacją.

Chłopiec spojrzał na brzuch, by znaleźć na nim jakikolwiek dowód na potwierdzenie nocnej wizyty, lecz nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Odetchnął głęboko i zrzucił z siebie wełniany kocyk, nie wiedząc do końca, co myśleć o tej sytuacji. Mimo wszystko zamierzał porozmawiać o tym z rodzicami, tak aby mieć pewność, że i oni niczego nie doświadczyli.

Kiedy wreszcie wygramolił się z łóżka, zmienił pidżamę na wygodną sportową koszulkę oraz krótkie spodenki. Po chwili poczuł, że żołądek domaga się pożywnego śniadania, więc niewiele myśląc, uchylił okno, aby przewietrzyć pomieszczenie, i ruszył do drzwi. W chwili, gdy dotknął klamki, kątem oka dostrzegł kilkucentymetrowe pęknięcie w ścianie. Zaskoczony podszedł bliżej i dokładnie przyjrzał się uszkodzeniu.

– Dziwne... – wymamrotał, wkładając palec w niewielką dziurę.

Wpatrywał się w szczelinę dobre kilka minut, próbując dostrzec, czy w głębi ściany znajduje się coś interesującego. Niespodziewanie dobiegło go wołanie ojca:

– Wojtek! Wstałeś już? Ile razy mam cię wołać?!

Chłopiec odwrócił się wystraszony, z zaskoczenia aż podskoczył w miejscu.

– Och, tak. Przepraszam, tato, nie słyszałem. Już schodzę do kuchni.

– A co to jest, do cholery? – warknął ojciec na widok uszkodzenia. Nie czekając na odpowiedź, ruszył do ściany, aby przyrzeć się dziurze. – Ty to zrobiłeś?

– Nie... oczywiście, że nie. To już było, gdy wstałem.

– Wojtek, coś ty zmajstrował? Mów prawdę!

– Naprawdę, przysięgam!

– Cóż... Leć na dół, matka czeka ze śniadaniem. A o tym... wybryku porozmawiamy później.

Julia Kozłowska, matka Wojtka, w pośpiechu zakładała eleganckie, poślacane kolczyki, i co rusz przeglądała się w lustrze. W tym samym czasie jej mąż Bogdan dobierał odpowiedni krawat, który pasowałby do granatowej marynarki i wzorzystej, jasnej koszuli, będącej prezentem z okazji dnia ojca. Obok na łóżku siedział Wojtek, bezskutecznie próbując zawiązać sznurowadła, co tylko wzmagało w nim niechęć do wizyty u sąsiadów. Pawłowscy, jak co roku, organizowali bowiem urodziny głowy domu, Radosława, na które zaprosili najbliższych znajomych oraz sąsiadów z okolicznych domów, w tym rodzinę Kozłowskich.

– No, synku, jesteś gotowy?

– Jeszcze chwilka.

– No dalej, pośpiesz się – ponaglił ojciec. – Zaraz będziemy spóźnieni.

– Już, już. Idę!

Gdy wreszcie wszyscy byli gotowi, ojciec spakował na prezent butelkę drogiej whisky, zamknął drzwi i całą rodziną udali się do świętujących sąsiadów. Wojtek, widocznie poirytowany, dreptał ospale przed siebie, mając nadzieję, że tym razem wrócą do domu szybciej niż w zeszłym roku, kiedy to impreza skończyła się o drugiej w nocy. W niewielkim stopniu pocieszała go myśl, że przynajmniej spotka się ze znajomymi.

Kiedy byli już na miejscu, ojciec kulturalnie zapukał do drzwi. Powitała ich elegancko ubrana pani Pawłowska.

– Dzień dobry. Zapraszam do środka – powiedziała cichym, pozbawionym emocji głosem.

– A dzień dobry, dziękujemy za zaproszenie. Cóż za piękna sukienka!

– Dziękuję. Wejdźcie.

Nie czekając długo, rodzina Kozłowskich przekroczyła próg domu z zamiarem przywitania się z resztą gości. Następnie minawszy korytarz, znalazła się w dużym, bogato zdobionym salonie, w którym stało już blisko dwanaście osób. Wszyscy, włącznie z gospodarzem, widząc nowoprzybyłych, natychmiast przerwali rozmowy i niczym zaprogramowani zwrócili się w ich kierunku. Nagle zrobiło się dziwnie cicho.

– Witajcie, sąsiedzi – zagaił solenizant. Jego głos brzmiał jak automatyczna sekretarka. – Miło was widzieć. Proszę, rozgośćcie się.

– Ehm, dzięki – odparł Bogdan.

– O! Widzę, że przyniosłeś mi prezent. To miło z twojej strony.

– Tak, wiem, że lubisz dobry alkohol, więc...

– Dziękuję. Proszę, podasz mi go? – przerwał mu mężczyzna i wyciągnął dłoń, nie przestając wpatrywać się w rozmówcę.

Wojtek zorientował się nagle, że pan Pawłowski w ogóle nie mruga.

– Tak... oczywiście – wydukał Bogdan i podszedł w kierunku gospodarza.

Stawiając krok za krokiem, czuł na plecach ciężar wzroku gości, wpatrzonych w niego jak w obrazek. Spoglądało na niego tuzin ludzi, dzieci i dorosłych, którzy uśmiechali się nieprzerwanie jak woskowe figury.

Gospodarz odebrał prezent, a wtedy zgromadzeni powrócili do rozmów; pokój wypełnił się śmiechem i gwarem rozbawionych gości. Nikt już nie zwracał uwagi na rodzinę Kozłowskich.

– Mamo, czy naprawdę musimy tu być? – wyszeptał Wojtek, ciągnąc mamę za sukienkę.

– Tak, ciszej, bo jeszcze ktoś usłyszy. Bądź grzeczny i nie sprawiaj problemów.

Przez następne kilka godzin nie działo się nic szczególnego. O dwudziestej pokrojono tort, odśpiewano „Sto lat”, a pan Pawłowski oficjalnie odpakował wszystkie prezenty. Typowe urodziny. Mama Wojtka pozwoliła sobie nawet na krótką wędrowkę po alkoholowej krainie, przez co mąż, chcąc nie chcąc, zmuszony był pilnować jej przez resztę wieczoru. Wojtek natomiast spędzał czas z rówieśnikami, równie znudzonymi imprezą co on.

– Czy twoi rodzice też są tacy dziwni? – zapytała Maja, koleżanka ze szkoły.

– Dziwni? Nie. Są całkiem normalni. A czemu pytasz?

– Bo wiesz, moi to ostatnio zachowują się inaczej niż zwykle. Ciągłe tylko się uśmiechają, mało mówią i w ogóle są tacy... nijacy.

– E tam, pewnie tylko ci się wydaje.

– No, oby, bo zaczynam się już martwić – odparła dziewczynka, spuszczać ze smutkiem głowę.

Wojtek nie odpowiedział. Spojrzał jedynie na swoich rodziców, wesółych i pełnych życia, a potem na rodzinę Pawłowskich, których twarze odznaczały się (jak sądził) nieszczerym uśmiechem. Następnie obrzucił wzrokiem państwa Mazurek, Dąbrowskich i Malczyńskich. Wszyscy zdawali się poruszać i mówić w ten sam jednolity sposób, jak marionetki sterowane za pomocą nitki. Chłopiec poczuł się nagle jakoś tak... obco.

Zadrzał, a gdy po chwili doszedł do siebie, podbiegł do rodziców, aby nakłonić ich do powrotu.

– Mamo, tato! Musimy już wracać!

– Co się stało, kochanie? Nie podoba ci się tu?

– Nie, chodzi o to, że... boli mnie brzuch. Tak strasznie. Już nie mogę wytrzymać. To chyba po tym torcie.

– Też go jadłem i nic mi nie jest – odparł zdziwiony ojciec.

– Mamo, chyba zaraz zwymiotuję...

– Bogdan, już i tak się zasiedzieliśmy. Pora wracać do domu.

Ojciec wymowie przewrócił oczami i westchnął głęboko.

– Ech... no dobrze. Pożegnamy się z tylko z sąsiadami i już nas nie ma.

W tej samej chwili podszedł do nich pan Pawłowski, jakby przywołany rozmową.

– Czy ja dobrze słyszałem? Naprawdę chcecie już nas opuścić?

– Tak, bardzo przepraszamy. Siła wyższa. Nasz syn źle się czuje, a nie chcemy robić problemu, więc...

– Ależ skąd! Wszystko rozumiem. I tak dziękuję, że wpadliście. Jest mi niezmiernie miło. Widzimy się zatem... niebawem.

Po tych słowach rodzina Kozłowskich skierowała się do wyjścia i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy przeszli kilka metrów w stronę domu, Wojtuś odwrócił się na moment i mógłby przysiąc, że w oknach sąsiadów dostrzegł wszystkich gości, wpatrzonych w niego niczym myśliwi w zwierzynę.

Przez kolejne dni rodzina Kozłowskich żyła rutyną dnia codziennego. Wojtek zdążył już zapomnieć o dziwnej wizycie nocnego gościa. Rozważywszy wszystkie za i przeciw, stwierdził, że był to wyłącznie zły sen i nie ma sensu zawracać tym głowy rodzicom. Niestety jedna rzecz wciąż nie dawała mu spokoju... Dziura. Głęboka, powiększająca się szczelina w ścianie, którą zakrył plakatem Roberta Lewandowskiego, aby nie denerwować ojca. Mimo

iż przestał na nią zwracać uwagę, z tyłu głowy kłębiła mu się myśl, że z każdym dniem rozszerza się ona o kilka centymetrów i w tym tempie do końca tygodnia zabraknie mu plakatów, aby ją zamaskować. Chciał nawet porozmawiać o tym z rodzicami, lecz bał się ich reakcji. Zwłaszcza surowości ojca. Na razie kawałek papieru musiał wystarczyć, a co się stanie potem, to będzie problem Wojtka w przyszłości. Przynajmniej tak się pocieszał.

Nikły blask księżyca wdzierał się do sypialni, zakłócając sen Bogdana. Mężczyzna przewracał się z boku na bok, próbując znaleźć wygodną pozycję, lecz czuł, jakby leżał na skale. Chcąc przytulić się do żony, obrócił się na lewy bok i wyciągnął rękę, jednak ta napotkała tylko wymiętą pościel.

– Mrrrrmm... – wymamrotał, powoli się rozbudzając.

Potrzebował chwili, aby zorientować się, że Julii nie było w sypialni. Pokręcił głową i odruchowo zapalił lampkę nocną. Żółte światło nieznacznie przebiło się przez ciemność, ukazując pustą połowę łóżka i otwarte drzwi na korytarz.

Pokój wypełniał przeszywający chłód, któremu towarzyszyła głucha, posępna cisza.

Bogdan pochylił się ku komodzie i sięgnął po telefon. Ekran pokazywał czwartą piętnaście. *Jeszcze dwie godziny i muszę wstać do roboty* – pomyślał mężczyzna, po czym ziewnął, nie próbując nawet zatkać ust. Opadł znów na łóżko i już miał ponownie zasnąć, ale dostrzegł dziwne, pulsujące światło z głębi korytarza. Przetarł pięściami

zmęczone oczy, chcąc upewnić się, że to nie przywidzenie, lecz gdy ponownie spojrzął w tamto miejsce, zauważył te same różnokolorowe światła.

Momentalnie dotarło do niego, że ktoś obcy jest w domu, a to, co widzi, jest prawdopodobnie blaskiem latarek włamywaczy. Choć początkowo zalała go fala przerażenia, zdołał zachować zimną krew. Zgasił lampkę i rozejrzał się po sypialni w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby użyć jako ewentualnej broni. Na jego nieszczęście jedynym w miarę sensownym przedmiotem okazał się kij do golfa. Nie tracąc ani chwili, chwycił go i ostrożnie ruszył przed siebie.

Serce biło mu tysiącem uderzeń na minutę, a na karku zaczął perlić się pot. W tym momencie liczyło się wyłącznie bezpieczeństwo żony i syna, nawet kosztem własnego zdrowia.

Kiedy znalazł się w połowie korytarza, zerknął przez uchylone drzwi pokoju Wojtka, aby sprawdzić, czy z synem wszystko w porządku. Na szczęście chłopiec spał, nieświadomy, że dzieje się coś niedobrego. Bogdan odetchnął w duchu i ścisnął mocniej kij. Nie dopuszczał do siebie myśli, że włamywacze mogli wyrządzić krzywdę Julii.

Światła przeniosły się do kuchni.

Podążając za nimi, mężczyzna zszedł po schodach, przywarł do ściany i kątem oka dostrzegł trzy niewyraźne sylwetki kierujące się do drzwi wyjściowych. Ciemność wypełniająca dom nie pomagała mu w ich rozpoznaniu. Widział tylko, że poruszają się bardzo powoli, a przy tym niezwykle lekko, jakby płynęły w powietrzu. Lecz, co najdziwniejsze, włamywacze nie mieli przy sobie broni,

worków na łup ani nawet latarek, a tajemnicze światło prowadziło ich na teren ogródka.

Aby nie wzbudzać podejrzeń, zaczekał, aż nieznanymi w spokoju opuszczą dom. Czuł drętwienie nóg oraz lęk, który mroził mu krew w żyłach. Do tego wciąż nie wiedział, co się stało z Julią. Być może siedziała teraz schowana w szafie, drżąc ze strachu, i czekała, aż włamywacze odejdą i nie zrobią nikomu krzywdy.

Sekundy dłużyły się niczym godziny, podczas których Bogdan oddychał głęboko i powoli, próbując opanować emocje. Co jakiś czas zerkał na niewyraźne postacie. Te jednak zachowywały się nazbyt spokojnie... Jak gdyby zupełnie nie obchodziło ich, że mogą zostać zauważone. Ta jedna głupia myśl wyrwała go z koncentracji.

Stopy drętwiały coraz bardziej i powoli tracił w nich czucie. Na domiar złego głowa zaczęła pękać mu z bólu. Migrena zaatakowała bez ostrzeżenia. Zachwiał się na nogach, wykonał nieostrożny krok. Trzask! Podłoga zaskrzypiała. Dźwięk ten, choć cichy i krótki, sprawił, że niewyraźne sylwetki zwróciły się natychmiast w jego kierunku. Chciał krzyknąć, lecz z zaciśniętego gardła nie wydobył się nawet syk.

Trzy niewysokie postacie przeszły go zimnym spojrzeniem, niejako oceniając zagrożenie. Ich wątle, pozbawione mięśni sylwetki okalał mrok, przez co mężczyzna mógł dostrzec wyraźnie jedynie szare, podłużne głowy. Ze strachu upadł na podłogę i przywarł plecami do ściany, lecz ku jego zdziwieniu włamywacze w ogóle się nie poruszyli. Zdawali się całkowicie go ignorować, zupełnie jakby jego obecność nie miała dla nich żadnego znaczenia.

I wtedy po domu rozniósł się krzyk; głośny, długi, przesywający. Krzyk... dziecka. Bogdan, niczym rażony piorunem, zerwał się na równe nogi i pobiegł do pokoju syna, nie zważając na wpatrzone w niego pary wielkich mrocznych oczu. Kiedy pokonał schody i znalazł się w dziecięcej sypialni, dostrzegł Wojtkę, skulonego na łóżku i okrytego kocem. Dziecko drżało ze strachu, a po policzkach ciekły mu łzy.

– Mama! Mama! – krzyczał chłopiec.

– Co się stało?! Co z mamą?!

– Była tu! Widziałem ją!

– Wojtek! Co się z nią stało, do cholery?!

Chłopiec przełknął z trudem ślinę i przetarł wilgotne policzki.

– Mama... ona... zniknęła.

– Co?! Jak to „zniknęła”?

– Weszła... weszła w ścianę... a później już jej nie było! – Mówiąc to, wskazał palcem na plakat.

Bogdan obrócił głowę i wlepił wzrok w miejsce wskazane przez syna. Nie wypowiedział ani słowa. Podszedł do ściany i zerwał podobiznę piłkarza, po czym momentalnie pobladł. Poczul biegący po karku dreszcz, gdy jego oczom ukazał się widok wielkiej, kilkunastocentymetrowej dziury, w której zmieściłaby się pięść.

Tego było za wiele jak na jedną noc. Zmęczony umysł Bogdana nie był w stanie zrozumieć, co się właściwie dzieje. To sen czy jawa? Czy naprawdę Julia zniknęła w ścianie, czy może mężczyzna doświadcza teraz najgorszego koszmaru? Skąd się tu wzięła ta wielka dziura? I dlaczego wlamywacze za nim nie pobiegli?

Zrozpaczony skrył bladą twarz w dłoniach. Ból przybrał na sile, naciskając na czaszkę tak, jakby ktoś wsadził mu głowę w imadło. Po chwili ogarnęła go ciemność, a ciało bezwładnie opadło na podłogę. Nie czuł już nic. Ani strachu, ani zmęczenia. Nie wiedział nawet, że w tym samym momencie Wojtek, aby mu pomóc, zerwał się z łóżka i kątem oka zauważył przez okno trzy niewyraźne sylwetki, znikające w gęstwinie rosochatych drzew, a później krótki jaskrawy błysk, niczym pocisk wystrzelony w niebo.

Tytoniowe obłoki snuły się pod sufitem, szpecąc salon mglistą szarością. Przy oknie, na drewnianym parapecie, siedział Bogdan i palił marlboro. Wzrok kierował na ogród, którym Julia zajmowała się w wolnych chwilach, aby odpocząć od codziennej rutyny. To była jej mała, prywatna odskocznia od rzeczywistości.

– Więc twierdzi pan, że było ich trzech i mieli na głowach maski... Jak pan to określił? Ufoludków? – zapytał młody, krótko ostrzyżony policjant, nie kryjąc przy tym uśmiechu.

– Dokładnie tak.

– Włamali się, ale niczego nie ukradli?

– Porwali mi żonę, do cholery! Wiem, jak to wygląda, ale oni nie przyszli po pieniądze czy kosztowności. Przyszli po moją Julię!

– Mhm... Rozumiem. Więc podsumujmy: obudził się pan w nocy i zauważył migoczące światła, zapewne

latarek. Dziwne. Zazwyczaj włamywacze starają się nie rzucać w oczy, ale cóż... Może ci byli inni. Więc po cichu ruszył pan w stronę światła, a następnie zauważył pan napastników, tak?

– Tak – wycedził Bogdan przez zęby.

– Później usłyszał pan krzyk syna, więc pobiegł pan na górę. I tu pojawia się niezrozumiała dla mnie kwestia. Z tego, co zrelacjonował pański syn, wnioskuję, że pani Julia Kozłowska została... wchłonięta przez ścianę?

Zarówno ojciec, jak i Wojtek nie byli w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, mając świadomość, jak absurdalnie to brzmi. Wiedzieli, że siedzący na kanapie policjant nie bierze na poważnie ich wersji wydarzeń. Zapewne sami by w nią nie uwierzyli, gdyby ktoś inny opowiedział im podobną historię.

– Mógłbym obejrzeć to miejsce? – zapytał policjant.

– Ehm, tak, oczywiście. Proszę za mną.

W milczeniu udali się na górę. Bogdan czuł, jak z każdym kolejnym schodkiem poziom jego irytacji i zażenowania niebezpiecznie wzrasta. Przełknął ślinę, odetchnął głęboko i otworzył drzwi.

Pokój chłopca wydawał się zupełnie normalny, trudno było doszukiwać się w nim czegoś nadzwyczajnego. Nie licząc oczywiście wielkiej dziury w ścianie.

– To tutaj – stwierdził Bogdan, wskazując dłonią pęknięcie.

Policjant skinął głową i podszedł do ściany. Przez chwilę stał nieruchomo, oglądając miejsce z każdej strony, po

czym wyciągnął z kieszeni długopis i powolnym ruchem wetknął go w głąb otworu.

– I? – niecierpliwił się Bogdan. – Znalazł pan coś?

– Cóż, panie Kozłowski, jak pan sądzi? Naprawdę mam uwierzyć, że pańska żona w jakiś magiczny sposób skurczyła się do rozmiarów piłeczki pingpongowej i wskoczyła do dziury w ścianie? Bądźmy poważni... Oczywiście zapiszę wszystko, o czym pan mówił, ale nie gwarantuję, że zdołamy pomóc.

Wojtek w milczeniu siedział na łóżku, cierpliwie obserwując sytuację. Widział, jak ojciec zaciska nerwowo pięści, a jego twarz czerwienieje ze złości. Miał obawy, że lada chwila dojdzie do rękoczynów. Właśnie miał coś powiedzieć, aby załagodzić narastający konflikt, kiedy niespodziewanie po domu rozniósł się dźwięk otwieranych drzwi wejściowych, a po nim charakterystyczny odgłos damskich kroków.

– Tato... – wymamrotał. – Słyszałeś to?

– Tak, ale...

Do pokoju weszła pani Kozłowska. Twarz miała bladą, zmęczoną, jakby nie spała od kilku dni, a oczy zamglone i pozbawione wyrazu.

– Dzień dobry, coś się stało? – spytała, widząc zaskoczonych mężczyzn.

– Julia? Gdzie byłaś?! Co się z tobą działo, do cholery?! – wrzasnął Bogdan na widok żony.

Kobieta cofnęła się o krok, robiąc przy tym skwaszoną minę.

– Jak to gdzie? Przecież zostawiłam ci karteczkę, że muszę pilnie stawić się w szpitalu. Nagły wypadek.

Lekarz dyżurny nie był w stanie sam wykonać operacji i potrzebowali chirurga naczyniowego. Nie chciałam cię budzić, więc ubrałam się po cichu i pojechałam taksówką.

Gdyby było to możliwe, szczęka Bogdana znalazłaby się teraz na podłodze, całkowicie rozbita na tysiące małych kawałeczków. Czy to możliwe, że nie zauważył zostawionej wiadomości? Czy to oznacza, że zrobił z siebie totalnego idiotę, wzywając policję? Ale co w takim razie z włamywaczami? I z dziurą w ścianie? Tak wiele pytań, tak mało odpowiedzi...

– Cóż, panie Kozłowski, widzę, że sprawa została wyjaśniona. Sądzę, że musi pan teraz omówić kilka kwestii z... zaginioną – stwierdził policjant, a następnie wymownie poprawił kołnierz koszuli. – Nie będę zatem zabierał państwu więcej czasu. W razie problemów wiedzą państwo, gdzie nas znaleźć. Miłego dnia życzę i do widzenia.

Po tych słowach nastąpiła długa, krępująca cisza. Męska część rodziny stała w osłupieniu, nie wiedząc, co myśleć o zaistniałej sytuacji. Jedyne Julia zdawała się nad wyraz spokojna, a na jej twarzy zawisł ledwie widoczny, szyderczy uśmiech.

Od traumatycznej nocy minęło kilka dni. Przez ten czas nikt z rodziny Kozłowskich nie próbował nawet poruszyć tematu rzekomego porwania Julii, włamywaczy i tajemniczej dziury, zupełnie jakby panowała między nimi niepisana zasada, że całkowicie zapominają o tych wydarzeniach. Oczywiście rodzice omówili między sobą kwestię

rzekomego włamania, nie dzieląc się niestety efektem tej rozmowy z synem.

Jedynie ojciec, wróciwszy pewnego dnia wcześniej z pracy, przywiózł ze sobą masę narzędzi oraz środków budowlanych i zamurował wciąż powiększające się uszkodzenie w ścianie. Do tego czasu Wojtek spał z rodzicami, gdyż bał się przebywać w swoim pokoju. Stale zapewniał rodziców, że nocami słyszy wydobywające się z dziury odgłosy.

Życie wracało powoli do względnej normalności. Wojtek chodził do szkoły, ojciec po pracy wypoczywał na kanapie przed telewizorem, a mama w wolnych chwilach zajmowała się ogrodem. Jednak z jakiegoś powodu coraz częściej odwiedzała sąsiadów. A to, aby pożyczyć szklanek cukru, a to zanieść dopiero co upieczone ciasto czy po prostu poplotkować. Bogdan nie zwracał na to zbytnej uwagi, natomiast Wojtek od razu zauważył, że jego mama jest jakaś... inna – ciągle uśmiechnięta, spokojna i mało rozmowna. Lecz co najdziwniejsze, w ogóle nie mrugała...

Tego dnia kalendarz wskazywał dwunasty kwietnia. Słońce schowało się za horyzontem, ustępując miejsca gwieździstej nocy, a ruchliwe wcześniej ulice zrobiły się puste i ciche.

Wojtek leżał już w łóżku i czytał komiksy, otulony starannie kocem. W pokoju panowała ciemność, której opór stawiała tylko mała lampka na szafce nocnej.

Wprawdzie jej światło było lekko przyćmione, jednak wystarczało, aby bez problemu zagłębić się w lekturze.

Dochodziła dwudziesta druga. Ojciec swoim zwyczajem piątkowy wieczór spędzał u znajomych na pokerze, natomiast mama po dwunastogodzinnej zmianie spała jak zabita od niemal godziny. To oznaczało, że Wojtek mógł robić to, na co tylko miał ochotę. Pod warunkiem oczywiście, że będzie cicho i jej nie zbudzi.

Wieczór mijał powolnym, przyjemnym tempem. Chłopiec zdążył już zjeść całą porcję lodów oraz przeczytać dwa egzemplarze komiksów o Batmanie. Pomimo iż uwielbiał zaczytywać się po nocach w rysunkowych przygodach superbohaterów, zmęczenie i senność dawały o sobie znać. Z każdą kolejną stroną powieki robiły się coraz cięższe, a myśli odrywały się od rzeczywistości. Nim zdążył doczytać do końca, zapadł w głęboki sen.

Chwilę później pokój pogrążył się w całkowitym mroku, tak jakby ktoś odciął dopływ prądu. Najpierw zgasła lampka nocna, a po niej miejskie latarnie w okolicy domu. Następnie pomieszczenie rozświetlił błysk, który wystrzelił z zamurowanej dziury, tworząc nowe pęknięcie, czemu towarzyszył krótki, przytłumiony trzask.

To wystarczyło, aby obudzić Wojtkę.

Chłopiec niemrawo uchylił powieki, lecz zanim to zrobił, pokój ponownie ogarnęła ciemność. Serce zaczęło mu bić szybciej, ale oczy widziały jedynie mrok, co nie wzbudziło w nim żadnych podejrzeń. Nie spostrzegł, że miejskie latarnie przestały świecić, a ściana na nowo uległa uszkodzeniu.

Z początku nie zauważył również, że z końca korytarza przez otwarte drzwi przygląda mu się niska, wąła sylwetka kogoś, kto dostrzega w chłopcu wyłącznie żalostną ludzką istotę.

W powietrzu dało się wyczuć zapach rosnących przy domu bratków i tulipanów oraz alkoholowy odór Bogdana, wracającego z piątkowego pokera u znajomych.

Kiedy znalazł się już pod drzwiami, ostrożnie przekręcił kluczyk, wymamrotał coś po nosem i wszedł do mieszkania najciszej, jak tylko potrafił. Nie był pijany, może tylko lekko podchmielony. Tak przynajmniej powtarzał sobie w myślach.

Chwiejnym krokiem zmierzał w kierunku sypialni. Wprawdzie obraz przed oczami lekko wirował, ale udało mu się zachować chociaż szczątkową świadomość. Tym bardziej docenił piękno śpiącej żony, kiedy wlepił błędne spojrzenie w jej twarz. Nie chciał jej budzić, tak słodko spała. Udał się więc do łazienki, aby otrzeźwieć pod zimnym prysznicem oraz zmyć z siebie wstrętną mieszankę potu i smrodu wódki. Przy okazji wyszorował porządnie zęby, gdyż nienawidził budzić się rano z niesmakiem w ustach.

Kończył już właśnie wycierać się ręcznikiem, marząc o tym, aby w końcu położyć się w łóżku, gdy z korytarza dobiegł go dźwięk: coś jakby szum przelatującego nieopodal samolotu. Krótki, acz głośny i wyrazisty. Bogdan zastygł przez chwilę w miejscu, nasłuchując dziwnego odgłosu, lecz zanim zorientował się, co to takiego,

w domu ponownie zrobiło się cicho. Wzruszył więc ramionami, tłumacząc sobie, że to zapewne szum w jego głowie, spowodowany nadmiarem alkoholu.

Może gdyby wyszedł z łazienki kilka sekund wcześniej, zauważyłby migoczące za oknem światła oraz dwie niewyraźne sylwetki schowane w gęstwinie drzew. Sylwetki wątle, blade, wpatrzone w dom państwa Kozłowskich złowrogim, przenikliwym spojrzeniem.

Dochodziła dwudziesta trzecia.

Bogdan otworzył drzwi i znalazł się na korytarzu, błądząc rękoma w poszukiwaniu włącznika światła. Wtem coś ponownie przykuło jego uwagę. Również dźwięk, ale inny od poprzedniego. Był to cichy, przytłumiony krzyk, a po nim ledwie słyszalny płacz dobiegający z pokoju Wojtka.

Tego nie mógł już zignorować. Zapalił światło i powoli ruszył do syna. Czuł, że z jakiegoś powodu serce bije mu mocniej, przygotowując organizm na konfrontację z... No właśnie, z czym?

Ciemność pokoju sprawiła, że z początku nie zauważył niczego dziwnego, ale gdy oczy przyzwyczyły się już do mroku, spostrzegł leżącego na łóżku syna.

– Wojtek, dlaczego nie śpisz? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia.

– Tato...

– Tak?

– Ktoś jest w szafie.

Niespodziewane wyznanie sprawiło, że Bogdanowi zastygła krew w żyłach. Zadrżał, choć nie zamierzał okazywać strachu przed Wojtkiem. Wiedział, że musi

to sprawdzić, mimo że wydawało się to irracjonalne. W głowie wciąż szumiało mu od alkoholu.

W milczeniu podszedł do stojącej w rogu szafy i pociągnął gałkę. Szybkim ruchem otworzył drzwiczki i... zamarł. Wewnątrz znajdował się Wojtek, skulony i zalany łzami.

– Tato, ktoś jest w moim pokoju...

To jedno zdanie sprawiło, że mężczyzna stracił grunt pod nogami. Jego wzrok powędrował na łóżko, na którym leżała idealna kopia Wojtka. Te same zmierzwione włosy, ta sama twarz, ten sam głos. Z tą różnicą, że chłopiec na łóżku uśmiechał się błogo, rad widać z rozpaczy ojca.

Niespodziewanie pokój rozświetlił błysk.

Struga jasnego światła wystrzeliła ze ściany, która zaczęła pękać i rozłamywać się, ukazując ukrytą za nią przestrzeń, a wewnątrz niej coś, co wyglądało na... portal.

Zanim mężczyzna zorientował się, co to takiego, poczuł silny, pulsujący ból w czaszce, jakby ktoś wwierał mu się do mózgu. Pod ogromem cierpienia przycisnął dłonie do głowy i ryknął jak dzikie zwierzę. Krzyk rozniósł się echem po okolicy, dudniąc w uszach niczym uderzenie w kościelny dzwon.

Ostatkiem sił spojrział jeszcze na siedzącego w szafie syna, bladego i zapłakanego, po czym zalała go ciemność.

Kiedy w końcu się obudził, nie wiedział, gdzie się znajdował ani jak długo był nieprzytomny. Czuł wyłącznie przytłaczający ból i pustkę w głowie. Nie pamiętał

również ostatnich chwil przytomności. W myślach krążył mu obraz jasnego światła, a po nim nieprzenikniony mrok.

Rozejrzył się przestraszony, ale zobaczył tylko bezgraniczną biel. Znajdował się w jakimś pomieszczeniu, bez okien i drzwi. Sam jak palec.

Zadrżał.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, co z nim zrobiono, ani nawet jaki dziś dzień. Mimo że targwały nim emocje, starał się zachować spokój. Tylko to mogło mu pomóc.

Wtem usłyszał za sobą dźwięk uruchamianego mechanizmu. Odwrócił się i dostrzegł coś na wzór otwartych półokrągłych drzwi. Bez wahania ruszył w ich kierunku, nie bacząc na to, co może tam spotkać.

Czuł, że jakaś niewidzialna siła ciągnie go do środka. Nie fizycznie, lecz mentalnie. Coś kazało mu iść przed siebie. Nie próbował się opierać, nawet nie chciał. Podświadomie wiedział, że musi to zrobić. Po kilku sekundach znalazł się po drugiej stronie i zorientował się, że stoi w wielkim, owalnym pomieszczeniu, w czymś na kształt ogromnego hangaru. Aczkolwiek najdziwniejsze było to, że w środku znajdowało się kilkaset ludzi, którzy patrzyli na niego smutnym, przezywającym wzrokiem. Wśród nich rozpoznał rodzinę Malczyńskich i Pawłowskich.

– Co jest, do cholery? – zapytał sam siebie.

W chwili, gdy zaczął iść w ich kierunku, dobiegł go znajomy głos:

– Bogdan! Tutaj!

Obejrzał się i zauważył biegnących ku niemu Julię oraz Wojtkę. Ucieszył się na ich widok, lecz w głębi duszy stale

czuł lęk. Bez namysłu ruszył im na spotkanie, aby wtulić się w ich ciepłe ciała. Nie mógł teraz okazać strachu. Był przecież głową rodziny, która potrzebowała go jak nigdy przedtem.

Kiedy w końcu połuźnił uścisk, poczuł bijącą od nich rozpacz.

– Boże, jak się cieszę, że was widzę! Julia, gdzie my w ogóle jesteśmy? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Nie wiem. Obudziłam się tu jakieś dwa dni temu. Nic nie pamiętam...

– A co z tymi wszystkimi ludźmi? Kim oni są?

– Nie mam pojęcia. Ze znajomych spotkałam tylko naszych sąsiadów. Oni także nic nie pamiętają! Boże, co tu się dzieje?!

– Mamo, tato... – wtrącił Wojtek. – Musicie to zobaczyć.

Rodzice niczym zaprogramowani odwrócili się w kierunku syna i podeszli do wielkich okien, imitujących lustra weneckie. Spoglądając w dół, zdali sobie sprawę, że znajdują się jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią, tuż nad ich domem. Ich ciała zatrzęśły się pod wpływem emocji. Przytulili się do siebie. Mimo wszystko cieszyli się, że są razem.

Trwali tak w uścisku, aż Bogdan pocałował żonę i obiecał, że wszystko będzie dobrze. A potem spojrzeli ponownie w dół i ostatnie, co wyrzyło się w ich pamięci, zanim statek osiągnął prędkość nadświetlną, to stojące przed domem sobowtóry, wpatrzone w nich błędnym, przesywającym wzrokiem.

MARIUSZ KASZYŃSKI

PAJĘCZYNA OKRUCHÓW SNÓW

Gmach jest ponury i sprawia odpychające wrażenie. Już z zewnątrz wydał mi się ciężki. Tak, ciężki, wiem, że to niezbyt klarowne słowo, lecz żadne inne nie pasuje w takiej mierze. I nie chodzi wyłącznie o gabaryty, bo każda sterta cegieł, składająca się z tysięcy ich sztuk – poukładanych czy leżących w bezładzie – będzie ciężka. On napęczył ciężarem historii. I to nie tej dobrej, o której rozpisują się w książkach. Ta bijąca od niego jest skryta, wstydliva i przytłacza. Nie, bym potrafił ją odczytać, jednak sama jej aura wywołuje ciarki na moich plecach.

Biorąc pod uwagę naturę miejsca – szpitala dla obłąkanych – nic niezwykłego, mogłem się tego spodziewać. Mogłem? Zapewne tak. Nie odpowiem wam tak z marszu. Myślę dość wolno, dlatego wielu uważa mnie za idiotę. Ale myślę! W przeciwieństwie do wielu tych, którzy rechoczą na mój widok.

Mężczyzna, który mnie oprowadza, jest jednym z nich. Życie i ciągle ucieczki przed docinkami nauczyły mnie rozpoznawać ten typ bezbłędnie. Teraz jednak nie wolno mi uciec, nie zawsze da się wykonywać uniki. Naprawdę nie mogę obyć się bez tej pracy. Nie dla samych pieniędzy. Nie potrzebuję ich wiele. Szukam jednak kotwicy. Czuję, że bez niej zdryfuję niczym porzucona łódź. Codzienny obowiązek wykonywania tych samych beznadziejnych i nie wnoszących niczego w życie czynności jest najdoskonalszą z kotwic. Pewnie dla większości przykry, nie pozwalającą urwać się i popłynąć ku gwiazdom, mnie jednak utrzymuje z dala od oceanu szaleństwa.

Tak więc słucham i potakuję, starając się zapamiętać choć część informacji, które wypadają z ust mego rozmówcy z szybkością strzałów z karabinu maszynowego. Przedstawił się, ale nie zapamiętałem imienia. W myślach określam go jako Gadułę.

Nie lubię szybko mówiących ludzi. Może to wyłącznie kwestia mojej ułomności, wolnego przyswajania i myślenia, lecz odnoszę wrażenie, że w większości wypadków wypluwają z siebie słowa, zanim te zdążą choćby zahaczyć o myśli.

Uznaliście teraz pewnie, że powolny idiota jest złośliwy. Może. Cóż innego mi pozostało?

– Odpowiadasz za czystość tego korytarza – głos wyrывa mnie z zamyślenia. Słyszę to już chyba piąty raz. Nawet dla kogoś takiego jak ja to nadto, by przyswoić sobie tę informację.

– Jasne, korytarz – odpowiadam głośno tylko dlatego, by za chwilę nie wyrzucił tego z siebie po raz szósty.

– Nie tylko korytarz! – zaperza się. – Słuchasz mnie w ogóle?! Również sale. Całe skrzydło. Tyle że do większości pokoi nie wejdiesz, są zamknięte na klucz. Ale to już zmartwienie pielęgniarzy, by cię do nich wpuścić. Dzienna zmiana ma najgorzej, bo wtedy niemal zawsze wszystko jest do wysprzątania. Zajęcia, sesje, spacer, większość pomyleńców nie siedzi cały dzień zamknięta. W nocy wprowadzą cię jedynie tam, gdzie naprawdę ktoś narozrabiał. Łapiesz? Jak który zarzyga podłogę lub rozwali łeb, tłukąc nim o ścianę. Pielęgniarki nie lubią ścierać wymiocin i juchy, zostawiają to nam. Przyswoiłeś?

Niespiesznie kiwam głową. Właściwe pojęcia powoli układają się na właściwych półeczkach mej pamięci.

– Dzienna zmiana gorsza – powtarzam.

Mój przewodnik patrzy na mnie jakoś dziwnie. Nie, bym czuł zaskoczenie, ludzie często tak na mnie patrzą.

– Może i gorsza, ale większość to właśnie nocnej unika jak ognia. I nie chodzi o naturalną potrzebę snu, ale klimat. To miejsce promieniuje klimatem jak cholera! Czuć go! A ty lubisz pracować w nocy?

Chwilę się zastanawiam. Jaka jest różnica? Kwestia oświetlenia. Chyba tyle. Nie przepadam za zbyt jasnym światłem, razi mnie.

– Lubię – potwierdzam więc.

– To może czeka cię tu jakaś przyszłość – słyszę kpiące mruknięcie.

Jakaś przyszłość czeka nas wszędzie, to nieuniknione – myślę, lecz nie mówię tego na głos. Głównie dlatego, że nim jestem gotów, by się wypowiedzieć, on już papla o czymś zupełnie innym. Chwilę nie słucham,

lecz ostatecznie zmuszam się, by ponownie spróbować wdrzeć się w ten rwący potok. Tak właśnie to odbieram – jako rzekę, której prąd próbuje mnie zwalić z nóg, zatopić i porwać ze sobą.

– Widziałeś już wszystko, co potrzeba. Zresztą to żadna wielka filozofia, kazali mi cię oprowadzić, więc to robię, ale sam byś z pewnością załapał, o co chodzi. Naszym skarbcem jest brudny i ciasny składzik na wiadra, mopy, ściery i miotły, a królestwem korytarze, które masz z wykorzystaniem tych wszystkich cudnych narzędzi wypucować. To chyba nie jest zbyt odkrywcze, co? Teraz pora, byś zabrał się do tego, po co się tu w ogóle zjawiłeś, do roboty. Trzymaj!

Wpycha mi w ręce mopa. Czuję ulgę. Słowa są znacznie bardziej męczące niż praca. Praca prowadzi do porządku, pozwala też uwolnić się od słuchania. Moczę końcówkę mopa w wiadrze z wodą i płynem, który przytargaliśmy na wózku.

– Nie jesteś zbyt szybki – zauważa mój przewodnik. – Uprzedzali mnie.

– Pracuję całkiem szybko – zaprzeczam.

Wybucha śmiechem, jakbym powiedział coś wyjątkowo zabawnego. Liczę, że teraz odejdzie, ale widzę, że wcale się do tego nie zbiera.

– Robiąc w tym gmachu, napatrzyłem się na różnych – ciągnie. – I powiem ci, nie przejmuj się, bywają znacznie gorsi. Tak jest zresztą na każdym poletku naszego zasranego życia, choćbyś nie wiem jak był w czymś kiepski, to znajdują się jeszcze gorsi. To, rzecz jasna, działa również

w drugą stronę, ale najpierw jednak trzeba być w czymś dobrym. W czymkolwiek. Ty jesteś?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, choć głowa pęka mi od tych wszystkich wyrazów, które należy ułożyć w rozsądną całość, by rozszyfrować przekaz, ale ostatecznie milczę, bo mimo zadania pytania Gaduła wcale nie cichnie.

– No więc zmierzam do tego, że nigdy nie sięgasz takiego dna, by nie dało się zejść głębiej. Weźmy choćby ciebie. Wolno myślisz. Pewnie nawet sądzisz, że ciężko znaleźć kogoś, kto okaże się jeszcze bardziej powolny, ale się mylisz. Ciekawostka. Taki ktoś znajduje się już za tymi drzwiami.

Pstryka palcami i wskazuje mi ostatnie drzwi po prawej na korytarzu. Oprowadzał mnie po skrzydle szpitala, jakby faktycznie było tu co oglądać, więc stoimy właśnie przed nimi.

– Zainteresowany? Widzę, że tak. Nazywamy ją Śpiącą Królewną. Nie dlatego, że śpi, skąd, nigdy nie widziałem jej śpiącej, niezależnie czy w dzień, czy w nocy, choć kiedyś to ja głównie ogarniałem to skrzydło. Siedzi przytomna w kącie. Pewno zastanawiasz się, skąd wiem, co robi. Jeśli popracujesz tu trochę, też będziesz wiedział. Siedzi na łóżku, w samiuśkim kąciku. O tak. – Przybrał pozę, z której tak naprawdę nic nie wynikało. – Robi to, bo chyba nigdy nie wpadła na to, że można robić coś innego. Jeśli w ogóle lubi urozmaicenia, to pozwala sobie najwyżej wlepić gały w inną ścianę. Przy niej, chłopie, jesteś mistrzem intelektu, szybkim i elokwentnym jak jakiś nadęty profesorek. Elokwentny, rozumiesz w ogóle znaczenie tego słowa?

Nabija się ze mnie. Nie czuję potrzeby przekonania go, że jak najbardziej rozumiem. Myślę wolno, owszem, lecz robię to, jak uważam, całkiem skutecznie. Czytam też książki, całkiem dużo książek. Podejrzewam, że przeczytałem ich więcej, niż on w ogóle widział. A jednak nie wygrałbym z nim żadnej batalii słownej. Dlatego nawet nie próbuję odpowiadać.

Zresztą staram się złapać inną myśl. Że obśmiewał nieznaną zza ściany, kimkolwiek była, choć ja przez moment zazdrościłem jej wolności. Nie krępowały jej ramy skostniałych schematów prowadzących cię za rączkę, by jasno i bezwzględnie wskazać, jak należy żyć. Potem jednak robi mi się smutno. Jest wolna, lecz pozostaje zamknięta, bo dla takich jak Gaduła stanowi odstępstwo od ich pokręconej normy.

– Mało mówi? – pytam.

– He, he. Mało? Mało powiedziane! Nie odzywa się niemal w ogóle. Z tego co słyszałem, wymówiła tu zaledwie kilka słów. Za każdym razem to samo. Zgadniesz co?

Jasne że nie. W takich zabawach nigdy nie byłem dobry. Inni ludzie stanowią dla mnie zagadkę. A przynajmniej ich myśli i deklaracje. Bo zachowanie już nie do końca. Na tym polu nauczyłem się kilku schematów. Zwłaszcza dotyczących postępowania wobec mnie.

– I tak byś nie zgadł – słyszę, gdy milczenie z mojej strony się wydłuża. – No więc wyobraź sobie, twierdziła, że tka. Tka okruchy snów.

Niemo powtórzyłem ostatnie słowa, poruszając jedynie wargami.

– Podoba ci się? Wystarczająco szurnięte jak na twój ograniczony mózdzek? Bo dla mnie aż nadto. Lekarz przez jakiś czas próbował nazywać ją Tkaczką, lecz nie przyjęło się. Każdy ją tu zna jako Śpiącą Królowę. I radzę uważać.

– Na nią? – Chyba po raz pierwszy mu przerywam. Ba, mógłbym policzyć na palcach jednej ręki sytuacje, gdy zrobiłem coś takiego w całym moim życiu.

– Skąd na nią! – Gaduła macha ręką. – Przecież mówiłem, ona się nie rusza, nie skoczy znienacka na ciebie, znów nie słuchasz. Na innych uważaj. Ma tu wrogów. Nie uwierzyłbyś, jak wielu.

– Dlaczego?

– Ha! Dobre pytanie. Kiedyś musiało się roznieść, co plecie, i najwyraźniej podchwycił to jakiś jeszcze zdrowiej szurnięty. Bo musisz wiedzieć, że oni też się stopniują. Są tacy, co cicho siedzą, i tacy, którym się japa nie zamyka. Dasz wiarę? Tak, takich też jest sporo, jeśli nie większość.

Kręcę głową. Nic z tego nie rozumiem.

– Co takie ośle miny robisz? Daj dokończyć. No więc ktoś usłyszał jej słowa i zaczął twierdzić, że ona, znaczy się nasza Śpiąca Królowa, wkrada się mu we sny. Że w nich grzebie i je zmienia. Stają się koszmarami. Inne czuby to podchwyciły i podniosły raban. Doszło do takich niepokojów, że doktorki się ugięły i przeniosły ją z dala od najgorętszych łbów, znaczy się tu. No i od tamtej pory podwójnie pilnują. Już znalazł się jeden taki, który próbował wykończyć ją samoróbką noża. Prawie mu się udało.

Dużo zdań, które trzeba poukładać. Zadaję pytanie. Na przeczekanie, tak naprawdę odpowiedź guzik mnie obchodzi.

– A ty co sądzisz?

Wzrusza szybko ramionami. Wielki, chudy ptak, któremu ucięto skrzydła.

– Co mam sądzić? To urojenia. Tu nie ma nic do sądenia. Tu trzeba uważać, by się nie zarazić – śmieje się. Stoi tak blisko, że bez problemu trąca mnie łokciem. – Wyobrażasz sobie czasem, jakby to było znaleźć się w skórze takiego świrusa? Od rana do wieczora krzyceć „nie” albo ślinić się do ściany?

– Chyba smutno – rzucam, po niewczasie zdając sobie sprawę, że raczej nie oczekiwał odpowiedzi, a już na pewno nie takiej.

– Smutno?! – Przez moment odnoszę wrażenie, że Gaduła zadławi się chichotem. Na szczęście, a może raczej niestety, bo mam już dość jego paplaniny, nie dochodzi do tego. – Ty naprawdę też jesteś niezły.

Nie rozumiem, co ma na myśli. Zapewne nabija się ze mnie. Nieważne, nie on pierwszy, nie ostatni.

Najważniejsze, że przekazał mi wszystko, co miał do przekazania. Mogę się wyłączyć. On zapewne tak nie uważa, ale mniejsza z nim. Muszę odpocząć, wyciszyć umysł, bo zwariuję. Tyle bodźców, tyle słów. Jeśli się nie odetnę, kolejne spalą mi mózg.

Zaciskam dłonie na kiju mopa i dokładnie szoruję podłogę, raz za razem, pociągnięcie obok pociągnięcia. To uspokaja. Zupełnie jakby ramionami otoczył mnie anioł stróż. Za mną chyba nieustannie padają słowa, ale nie

docierają już do moich uszu. Odbijają się niczym piłka od ściany. Pracuj. Praca wycisza umysł. Praca niesie wolność.

Myję podłogę. Jest noc i cały szpital zasnuwa ciemność. Zapalam tylko tyle światła, by cokolwiek widzieć, resztę gaszę. Tak jest przyjemniej, bardziej naturalnie.

Gdzieś za ścianą śpi – wbrew słowom Gaduły zapewne śpi – Śpiąca Królowna. Nie podoba mi się to miano, ale nie znam prawdziwego imienia. Nie widziałem też jej na oczy. Nigdy nie zawołano mnie, bym posprzątał właśnie jej pokój. Jak wygląda? Ile ma lat? Czy tkając swoje sny, uśmiecha się, czy też pozostaje poważna, nieobecna, zatopiona w wizjach? Lubię sobie zadawać takie pytania, choć trochę obawiam się, że kiedy już poznam odpowiedzi, prawda mnie rozczaruje. Choć chyba nie powinna. Nie mam wielkich oczekiwań. Nie spodziewam się zatopionej w myślach księżniczki z bajki, której sam widok rzuci mnie na kolana.

Właściwie skończyłem. Przed czasem. Nocne zmiany takie są. Zazwyczaj nikt nie przeszkadza, nawet robiąc wszystko powoli i starannie, można znaleźć chwilę dla siebie. Wiem, że wielu wykorzystuje ją, by złapać drzemkę. Nie rozumiem tego. W każdym razie, gdybym miał spać dla siebie samego. Ja jednak spróbuję zrobić to dla niej.

Staję przed drzwiami jej pokoju, a może raczej ze względu na to, że wydają się wiecznie zamknięte, powinienem powiedzieć: celi. Ciągnie mnie, by zapukać, lecz jedynie opieram się czołem o ich chłodną, metalową powierzchnię. Zamykam oczy, tym razem starając się

wyobrazić sobie wnętrze. Chciałbym, by było obszerne i słoneczne – rzecz jasna w dzień, nie teraz, nocą – lecz zapewne jest podobne do innych, które tu widziałem. Stary budynek i stare rozwiązania architektoniczne. Większość sal jest wąska, a ich okienka tak małe, jakby ciemność stanowiła część terapii. Są za to wysokie, ale to raczej ucieszyłyby jedynie zamknięte w nich nietoperze.

Odwracam się, opieram i ślizgając plecami po powierzchni drzwi, osuwam się na kolana. Zamykam oczy.

Zwykle nie mam problemów z zaśnięciem, od dziecka potrafiłem zapadać w sen niemalże na zawołanie, ale najtrudniej jest wtedy, gdy się tego bardzo chce. Teraz też zbyt intensywnie myślę o śpiącej za drzwiami. Zupełnie jakbym próbował ją złapać. Chwycić, objąć, ścisnąć w ramionach wbrew jej intencjom. Dociera do mnie, że jeśli pragnę zapaść w sen, muszę o niej zapomnieć, skupić się na czymś innym. Czymkolwiek innym.

Jestem w pracy, więc to na nią pada, wybór wydaje się oczywisty. W myślach łapię za szczotkę. Płynę z nią przez korytarz, bardziej tańcząc, niż idąc. Z omiatanej podłogi podnosi się złoty kurz. Krąży wokół mnie, wirując. Jest niczym rój owadów, tak małych, że nie jestem w stanie ich dojrzeć inaczej niż pod postacią błyszczących punkcików. Docieram do końca korytarza, tam gdzie są schody, i zawracam. Ruchy stają się coraz wolniejsze, moje ruchy, bo kurz kręci się coraz szybciej i szybciej, jakby to on odbierał mi energię.

Boję się, że nie zdołam dotrzeć do miejsca, gdzie pozostawiłem me fizyczne ciało. Na szczęście korytarz kurczy się tajemniczo i już po chwili ponownie stoję przed drzwiami śniącej tkaczki. Kładę dłoń na klamce.

Naciskam ją, pchając. W szparze uchylonych drzwi pojawia się ciemność. Popycham je mocniej, zdecydowany się z nią mierzyć, lecz nagle dochodzi do mnie, że moja gotowość jest jedynie pozorna, że nie jestem przygotowany na nic, co mnie tu czeka.

Ciemność chwyta mnie, jakby była czymś rzeczywistym, w dodatku lepkiem. Łapie i przytrzymuje. Wchłania, a raczej wciąga w siebie. Czuję, jak przy tym drży, a potem wypluwa mnie na zewnątrz, tyle że to zewnątrz nie jest miejscem, które bym znał. To nie szpitalny korytarz ani żadna z jego sal. Przypomina raczej tunel opuszczonego lochu. Skądś wpada tu akurat tyle poświaty, by odkryć jego ogólny kształt, wszystko inne pozostaje w ukryciu. Wiem jednak, że coś tam jest, kryje się w cieniach i zakamarkach, do których słaby blask nie jest w stanie dotrzeć. Co to takiego? Tego nie potrafię wyczuć, czymkolwiek by jednak nie było, nie jest przyjazne. Przeciwnie, podskórnie wychwytyuję grożące mi niebezpieczeństwo.

Pragnę uciekać, ale nie mam pojęcia, gdzie mógłbym się schronić. Czy mam biec przed siebie, czy raczej zawrócić, choć dobrze wiem, że nie wrócę w ten sposób na szpitalny korytarz, na którym tak lekkomyślnie zasnąłem?

Zasnąłem? Zapewne tak. Dopiero teraz dochodzi do mnie ten fakt. Gonitwa w jakimkolwiek kierunku nie ma najmniejszego sensu. Jestem we śnie i muszę poddać się jego rytmowi, rytmowi umysłu, który go tka.

– Słyszysz mnie? – pytam głośno, choć być może wystarczyłoby wypowiedzieć te słowa w myśli.

Nie pada odpowiedź. Może nie przebiłem się z pytaniem. A może jestem jej obojętny, więc nie zamierza mi jej udzielić.

– Słyszysz? Śpiąca Królewno?

Gdzieś za mną rozlega się chłupot. Nie sprawdzam go, nawet nie zerkam, zrywam się do biegu. Czymkolwiek jest, nie niesie niczego dobrego. Zasłyszane informacje nie kłamały – tkaczka naprawdę zmienia sny w koszmary. Czuję ogarniające mnie przerażenie, choć nie rozumiem jego natury. Nie boję się wody. Nieprawda! Nie bałem się, teraz jestem przerażony na samą myśl o niej. Jakby na mój umysł nałożył się jakiś inny, wraz z własnymi bolączkami i ułomnościami.

Tonę. Nie pamiętam chwili, gdy woda mnie dosięgła, po prostu nagle znajduję się w kipieli. Wszystko zdaje się wirować. Macham rękami, starając się znaleźć coś, cokolwiek, co pozwoliłoby mi się zorientować, gdzie jest góra, gdzie dół. A przede wszystkim próbuję wstrzymać oddech, jeszcze trochę i jeszcze. Płuca bolą, tak bardzo chcą zaczerpnąć tchu, lecz wiem, że jeśli choć uchylę usta, wedrze się w nie zimna woda.

Jakaś lodowata macka obcego umysłu naciska, bym się poddał, ale nie ustępuję. Ścierają się dwie przeciwstawne wole, z których to moja okazuje się silniejsza. Na pewno moja? Sam już nie wiem. Nie wiem, kim jestem i co z tego, co widzę, pochodzi z wnętrza mnie, a co zostało podrzucone niczym kukułcze jajo.

Woda znika. Nie została nawet kropelka, nawet ubrania wyschły. Leżę na piachu. Nade mną wściekle jarzy się gorąca kula światła, zapewne słońce. Próbuję zerkać w jej kierunku, ale jest zbyt jasna. Pali. Czuję jej żar na mojej przesuszanej skórze. Chciałbym wpełznąć w jakiś cień, zakamarek, szparę, choćby tak lichą jak te pod kamieniami, w których zbiera się robactwo, lecz w moim zasięgu

nie ma niczego takiego. Spoczywam na rozgrzanej płaskiej równinie, właściwie bardziej pustyni. Prawie słyszę, jak skwierczy me przypalane ciało.

– Śpiąca Królewno...

Chciałbym błagać ją o zmiłowanie, ale właściwe słowa nie przeszłyby przez moje spierzchnięte usta, ledwo udało mi się wymówić jej przydomek.

Światło gaśnie. Pstryk i obecnie panuje bezwzględna ciemność, czarniejsza jeszcze niż mrok zamkniętej, pozbawionej okien piwnicy. Rozgarniam ją dłońmi, starając się znaleźć w niej cokolwiek, co utwierdzi mnie w przekonaniu, że nie znalazłem się w pustce. Że obok mnie, choć tego nie widzę, coś nadal istnieje. Ręce jednak na nic nie trafiają. Po chwili uzmysławiam sobie, że stopy również nie znajdują oparcia. Że moje pojęcie góra-dół było jedynie abstrakcyjnie przyjętą fikcją. Może stoję, może leżę, ale równie dobrze mogę obracać się niczym podkręcona piłka. W pustce to nie ma znaczenia. Sens mógłby nadać jedynie punkt odniesienia, a tu takiego nie znajduję. I nie dlatego, że go nie dostrzegam, lecz z prostego powodu, że go tu nie ma. Nie istnieje.

A potem ląduję na łóżku. Z cichym plaśnięciem, jakbym na nie upadł, a raczej jakby mnie na nie rzucono. Mebel jest stary, z metalową ramą, z której płatami odchodzi poźółkła – niegdyś biała – farba, materac śmierdzi starością i moczem, lecz to wszystko nie przeraża tak bardzo, jak postać, którą zauważam jedynie kątem oka.

Nie dostrzegam twarzy. Nie dlatego, że ją kryje – ten ktoś nie ma twarzy. W jej miejscu ziele najdoskonalsza z masek, próżnia barwy smoły. Skrada się. Widzę to jako migawkę zdarzeń. Jest w jednym miejscu, potem coś na

kształt mrugnięcia i już się przesunął. Centymetry lub kilka kroków, różnie. Ta sekwencja powtarza się kilkakrotnie, nim ostatecznie dociera do mnie. Nie uciekam. Chciałabym, ale jestem niczym sparaliżowana.

I wiem, że to nic nie da.

Chciałabym? Słowo, które przemknęło mi przez głowę, powraca jak echo albo raczej czkawka. Chciałabym? Przecież *chciałabym*...

Kolejna migawka. Postać jest już obok. Kładzie się na łóżku koło mnie. Podparta na łokciu, drugą rękę wyciąga w moim kierunku. Żyłaste paluchy przypominają szpony. Zdobia je pomarańczowe, nikotynowe plamy. Czarna obwódka dawno nieprzycinanych paznokci wzbudza obrzydzenie. Krzyczę, a może jedynie pragnę krzyczeć.

Dotyk pali. Dłoń na ramieniu sprawia ból, jakby przytknięto mi do skóry rozgrzane do czerwoności żelazo. Wiem, że nie zostawi śladów, nie będzie żadnych śladów, choć powinny być. Dłoń schodzi niżej. Ból promieniuje na całe ciało.

Wygrałem cię w karty... – słyszę ściszony głos. W połowie kpinę, w połowie lubieżny szept. – *Kluczyk do twojego pokoju...*

Rzucam się, ale chyba jedynie wewnętrznie. W środku latam jak targany wichurą opadły liść, na zewnątrz jednak tkwię nieruchomo. Mucha, którą pająk zdążył już ciasno owinąć lepka nicią swej pajęczyny.

Wygrałem...

W tym momencie chciałabym wrócić, pod wodę, na rozpalony pustynny piach, w próżnię, w której nie ma

niczego, czego dałoby się chwycić. Znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tu. Jednak nie ma ucieczki.

Nie zrobię ci krzywdy...

Obietnica bez pokrycia z ust kogoś, kto i tak nie zamierza dotrzymywać żadnych obietnic.

Szarpie mnie, brutalnie przewraca na plecy. Chcę na niego spojrzeć, przyjrzeć się mu dokładnie, lecz wciąż widzę w miejscu twarzy czarną plamę. Czy potwór nie ma twarzy? A może po prostu została wyparta? Snująca nici swej tkaniny snu tkaczka wypruła ją z jego materii, by nie uczynić go jeszcze straszniejszym.

– Śpiąca Królewno, proszę... – Próbuję przebić się do umysłu, który zagłębił mnie w tym wszystkim. Którego pacynką się stałem.

Daremnie. Nic się nie zmienia. Poza tym, że on – człowiek bez twarzy – kładzie się na mnie.

Nie widzę oblicza, nie dostrzegam niczego, co powinno się tam znajdować, ale odbieram przepełniony samozadowoleniem uśmiech. I oczy, które płoną. Jedno i drugie pali mnie.

Ale nie krzyczę. Ta cisza jest najgorsza.

Ból zdaje się mnie rozrywać. Promieniuje w rytm ciężkich stęknień.

Padam na twarz, bo nagle ponownie znajduję się na szpitalnym korytarzu. Nie jestem w stanie dalej siedzieć oparty plecami o zimne drzwi. Chciałbym skulić się na podłodze i łkać, i tak pozostać w nieruchomej pozycji, lecz muszę podeprzeć się na rękach, by nie zadusiły mnie mdłości. Targają mną torsje.

Zapaskudziłem korytarz. Nieważne, to się sprzątnie. Gorzej z moim ubraniem. Jest równie upaprane i cuchnie. Odnoszę wrażenie, że smród promieniuje na cały budynek. Że wypływa na zewnątrz z jego okien i drzwi, a także przesiąka pomiędzy ceglami.

Z trudem się uspokajam.

Pragnąłem spotkać się z tkaczką okruchów snów i dostałem, czego chciałem. Szaloną przejażdżkę bez trzymania. Nie dziwię się teraz, że ktoś próbował ją zabić. Zwłaszcza jeśli do wizji dołożył własne koszmary, splótł je w jeden dławiący seans.

Myślę wolno, lecz myślę. Teraz też. Niemal czuję, jak pulsują mi skronie. Żyły tłoczą krew do mózgu, ta niesie ze sobą ożywczy tlen. Tak – mniej więcej tak – opisują to w książkach. To, co przeżyłem, powoli zajmuje miejsce we właściwych przegródkach mojego umysłu. Chciałbym to wyrzucić, spuścić w rynsztoku, lecz tak się nie da. Pewne rzeczy, gdy już się z nimi zetkniemy, zostaną z nami niezależnie od naszej woli. To jedna z nich.

Zbliżyłem się do Śpiącej Królowy i mnie zaatakowała. Tylko czy na pewno? A jeśli to wcale nie był atak? Jeśli wyłącznie obrona? Nie przede mną. I może nawet niezamierzona. Zwykła obrona udręczonej świadomości. Lub wręcz szukanie sojusznika, kogoś, kto mógłby jej pomóc.

Podnoszę się chwiejnie. Stoję, choć nogi pozostają tak słabe, że w każdej chwili mogę upaść. Muszę jednak zebrać siły. Zabrać się do pracy. Posprzątam, a potem oddam się temu, co idzie mi tak słabo.

Będę się zastanawiał.

Może jestem powolny, lecz cierpliwości mi nie brakuje. Czekam już długo, a nawet bardzo długo, lecz wreszcie jest. Widzę Gadułę opuszczającego budynek szpitala. Stoję w cieniu rozłożystego kasztana, więc on mnie nie dostrzega, w każdym razie aż do chwili, gdy w bocznej uliczce prawie zrównuję z nim krok.

– A, to ty. – Przystaje, mierząc mnie wzrokiem, z tym swoim głupim uśmiezkiem przyklejonym do ust. – Czego chcesz?

– Chcę wiedzieć – odpowiadam po namyśle. Pytanie mnie zaskoczyło, choć przyszedłem tu po informacje. Ale to normalne, ludzie zawsze mnie zaskakują.

Gaduła śmieje się.

– Patrzcie no, on chce wiedzieć. A co?

Dzisiaj nie mówi tak wiele jak zawsze, jeszcze się nie rozkręcił, to pozwala mi łatwiej zebrać myśli.

– O Śpiącej Królownie. Wszystko.

Czy on mógłby skryć tę swoją wesołość? Te wyszczerzone zębiska utrudniają mi skupienie. Pewnie nie mógłby, taka już jego natura.

– Wszystkiego to nie wie nawet Bóg – słyszę.

– Tyle, ile ty wiesz – precyzuję.

– No, więcej to raczej ciężko byłoby mi powiedzieć – kpi, po czym nagle poważnieje. – Co z tego będę miał?

Krzywię się. Targowanie to gra społeczna, nie jestem w niej dobry, jak w żadnej z tego typu gier. Ba, jestem beznadziejny.

– Chcesz pieniędzy? – pytam.

– A ile ty mi możesz dać? – Znów się śmieje, a ja nie mam pojęcia, czy to był przytyk, czy pytanie. Na szczęście mówi dalej: – Dobra, powiem, ale będziesz mi winny przysługę, a nawet kilka przysług. Stoi? Gdyby mi kiedyś nie pasowała zmiana, gdybym potrzebował pomocy, czy cholera wie, co jeszcze.

Szczerzy zęby.

Zgadzam się ruchem głowy.

– Nie oczekuj jednak, że dostaniesz pełną historię jej życia, sam nie wiem wiele. Przywieźli ją pięć czy sześć lat temu. To ponoć sierota. Miała zastępczych opiekunów, ale ci się nad nią znęcali, bo była... – Przerzywa na moment, po czym wypala z szyderczym uśmiechem: – Była taka jak ty, tylko znacznie bardziej podkręcona w swej ułomności. Prawie nie było z nią kontaktu. Nie wiem, jak wcześniej, w tak zwanym domu, ale tu siedzi w bezruchu i gapi się przed siebie. To jej największa rozrywka, przez lata nic się tu nie zmieniło.

Słów jest tyle, że potrzebuję chwili, by je przyswoić i poukładać.

– Jak się znęcali? – dociekam.

– Słyszałem jedynie plotki.

– Jak? – naciskam.

– Trzymali pod ziemią, w jakiejś piwnicy czy gdzieś. Ale i na własną rękę próbowali leczyć, stosując wymyślną kurację: podtapiali, wystawiali unieruchomioną na pełne słońce albo zamykali związaną w pustym, zaciemnionym pokoju. Tak słyszałem, nie mam pojęcia, ile w tym prawdy.

To miało rozbudzić jej zmysły. Sprawić, by zaczęły działać, jak należy.

Mimowolnie drzę; wracają wspomnienia snu czy wręcz serii snów, w które mnie wtrącała. Na ile to była jej skarga, na ile chęć odwetu, a na ile wołanie o pomoc?

– Po czymś takim sam bym pewnie zwariował. – Gaduła trajkocze dalej. Zamyśliłem się, więc teraz mam problemy, by go dogonić. – Gdy tu przyjechała, była już świruską czystej wody.

– Młoda i ładna. – Nie wiem, czemu to mówię. Wrywa się samo, nim ogarniam słowa myślami. Prawie jakby ktoś mi je podsunął.

– Słuchaj! – Gaduła łapie mnie za przedramię. Patrzę na jego dłoń i mimowolnie dopada mnie obrzydzenie. Nie rozumiem tego odczucia.

– Co? – Wrywam się.

Chyba po raz pierwszy widzę go zmieszanego.

– Czemu o nią wypytujesz? – W głosie już nie ma rozbawienia, znikło. Teraz czuję wrogość.

Czemu? Pytanie niby oczywiste, ale na które ciężko mi udzielić jasnej odpowiedzi. Bo mimo tego wszystkiego, w co mnie wciągnęła, chciałbym jej pomóc, a może właśnie jeszcze bardziej przez to. Zwłaszcza po tym, co przed momentem usłyszałem. Ci, którzy nie wierzą w jej moc – czyli zapewne niemal wszyscy – widzą w niej wariatkę, kilka osób, które zrozumiało, że ma dar, a które same uchodzą za szalonych, dostrzegły zagrożenie. Ja widzę cierpienie. Ranni ludzie, tak samo jak ranne zwierzęta, stają się znacznie bardziej niebezpieczni, lecz czy to oznacza, że nie należy spróbować im pomóc?

Raz jeszcze patrzę na dłonie Gaduły. Ta czarna warstwa brudu pod paznokciami... Ich kształt... Kręci mi się w głowie.

– Wygrałeś ją w karty, tak? – pytam cicho.

Przygląda mi się zaskoczony.

– Kto ci powiedział?

To swoiste potwierdzenie, ale wolałbym usłyszeć prawdziwe przyznanie się do winy.

– Dostałeś klucz.

Cios jest tak szybki, że niemal go nie zauważam. Ból, jakim promieniuje moja twarz, już tak. Dostałem pięścią w policzek, pod okiem. Opadam na kolana. Nie jestem w stanie zatamować emocji, są silniejsze ode mnie, więc zacznę płakać, z nosa ciekną mi gile.

– Posłuchaj, półmózgu! – Gaduła staje nade mną. Wyobrażam sobie, że mówiąc, gestykułuje. Nie mam jednak pewności, nie odważę się spojrzeć w górę, widzę jedynie jego buty. Przebiera nogami, obawiam się, że za chwilę mnie kopnie. – Nie wścibiaj nosa w nieswoje sprawy! Inaczej pożałujesz! Nie ja jeden z niej korzystałem! A zresztą, wielka sprawa, jej jest to obojętne, nic nie czuje, niczego nie mówi. To świruska. Co złego w tym, że ktoś od czasu do czasu sobie na niej ulży?!

Odchodzi. Ja zostaję, przegrany. Czy mogę na to pozwolić? Moje palce zaciskają się na leżącym w trawie kamieniu. Ściskam go z całych sił, jakbym próbował go skruszyć. Wreszcie podrywam się i biegnę za Gadułą. Cicho. W bezpośrednim starciu nie mam szans.

Prowadzę wózek przez szpitalny korytarz. Wózek jest duży, inny niż ten, którym zwykle taszczę wiadro z wodą, mopa i szczotki. Ci nieliczni, którzy jednak widzą mnie w pogrążonym w nocnej ciszy szpitalu, nie reagują. Co ich obchodzi sprzątacze? Zwłaszcza taki, który sam niewiele odbiega od większości zamkniętych tu pacjentów.

Wózek jest ciężki. Wszystko przez ciało Gaduły. Zakrywa go sukno, ale gdyby komuś przyszło na myśl zajrzeć pod nie, mój podstęp natychmiast by się wydał.

Gaduła żyje. Jest chyba nawet przytomny. Związany jedynie jak prosię i zakneblowany. Najtrudniej było go niezauważenie wnieść na teren szpitala, sądzę, że teraz pójdzie łatwiej. Korytarz, na którym znajduje się pokój Śpiącej Królowej, rzadko jest odwiedzany przez kogokolwiek. Szczególnie nocą.

Zatrzymuję się pod jej drzwiami. Podciągam sukno i patrzę na Gadułę. Jest przerażony, choć nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z tego, co planuję. Nawet gdybym mu wyjawiał prawdę, niemal na pewno by nie uwierzył.

– Teraz musimy zasnąć – szepczę.

Dla mnie to mniejszy problem. Gorzej z nim. Dlatego wyciągam z kieszeni niewielką buteleczkę. Już chyba wspominałem, że lubię książki, nawet jeśli ciężko i wolno przebijam się przez ich treść. W jednej z nich znalazłem rozwiązanie. Czy poskutkuje? O tym mam przekonać się już za moment.

Zdejmuję korek i podsuwam przygotowany roztwór pod nos Gaduły. Szarpie się i coś mruczy przez knebel, ale to daremne, porządnie go związałem, nie zostawiłem najmniejszego luzu.

Mężczyzna jeszcze chwilę próbuje się uwolnić, ale jego ruchy wyraźnie stają się ospałe i mniej skoordynowane. Specyfik chyba działa. Ja również odnoszę wrażenie, że kręci mi się w głowie, niechcący uspiłem sam siebie. Nie szkodzi. Może to nawet lepiej.

Podchodzę chwiejnie pod same drzwi dopiero wtedy, gdy Gaduła zaprzestaje walki. Tak jak kilka dni temu, opieram się o nie plecami. Lada moment ogarnie nas sen. Jestem pewien, że Śpiąca Królowna szybko nas odnajdzie. Tym razem obu. Zamykam oczy i czekam.

Już po chwili odnoszę wrażenie, że zapadam się w czarnej studni. Powieki stają się zbyt ciężkie i nawet gdybym chciał, nie dałbym rady ich unieść.

Tak, przybywam do ciebie. Królowno, słyszysz mnie?

Korytarze tego bardziej lochu niż piwnicy wydają się mi znajome. Rozglądam się dokoła, nie zapamiętałem ich szczegółowo, poza tym odnoszę wrażenie, że nieco się zmieniły. Trafiłem do snu, więc to nie może dziwić. Nic tu nie jest trwałe ani ustalone raz na zawsze.

Wszystko też może się zdarzyć. To piękne i przerażające jednocześnie.

– Gdzie jestem?!

Głos za plecami sprawia, że niemal podskakuję. Nie spodziewałem się go, choć przecież powinienem. Gaduła. Stoi za mną, już nie skrępowany, ale za to wyraźnie przestraszony. Stracił cały dotychczasowy animusz. Odnoszę wrażenie, że zamierza podejść, lecz ostatecznie zostaje na miejscu, w bezpiecznej odległości.

– Co ze mną zrobiłeś?

Co mam mu powiedzieć? Sprowadziłem go tu, tyle. Niczego więcej nie zrobię. Nawet gdybym bardzo pragnął wyrządzić mu krzywdę, nie zdołałbym, zapadliśmy w sen, jestem przekonany, że w tym stanie nie stanowią najmniejszego zagrożenia. Ale ona – tkaczka okruczeństw – być może już tak. Jesteśmy na jej terenie. Nie mam pojęcia, jak wielka jest jej moc i czego jest w stanie dokonać.

– Wyprowadź mnie stąd! Którędy na korytarz?

Chwilę przyglądam mu się zdumiony, po czym pojmuję, że nie rozumiał swojego położenia.

– Nie mogę – odpowiadam. – Trafiliśmy do jej snu.

– Gdzie?!

– Tkaczki. Królowny.

Potrząsa głową, nie chce przyjąć prawdy. Tego, że to, co niedawno uważał za niemożliwe, jest realne. Nie zamierzam go przekonywać, nie moja rola. Sam zrozumie. Niedługo.

– Zabierz mnie stąd albo pożałujesz – próbuje grozić, lecz w jego głosie brakuje przekonania. Objawia się za to nutka strachu.

Zamierzam odpowiedzieć, lecz nim otwieram usta, pojawia się ona. Nie materializuje się, jest raczej zbiorem krótkich jak mrugnięcie okiem wyładowań. Pojawia się i znika, lecz sekwencja jest tak szybka, że sprawia wrażenie ciągłej obecności.

Na jej widok Gaduła blednie i kuli się w sobie.

– To niemożliwe, nie! – wydaje na wpół tylko zrozumiały pisk.

Królewna nie odpowiada. Znika na dobre, a ja słyszę znany już mi chłopot. Nie odwracam się, bo po co? Znam sekwencję zdarzeń. Woda zalewa mnie, ale tym razem nie porywa ze sobą. Jest inaczej. Subtelna różnica sprawia, że nie odczuwam, bym tonął. Nadal jest nieprzyjemnie, lecz znośnie. Rozglądam się za Gadułą, ale nie widzę go nigdzie. Dla niego żywioł nie okazał się równie łaskawy.

Nie żywioł, tkaczka – poprawiam się w myślach. Nie byłem pewny, czy mi odpuści, czy może potraktuje tak samo jak swojego prześladowcę, lecz czuję, że rozróżnia nas.

Stoję w wodzie tak długo, że zaczynam szczękać zębami. Niespodziewanie jakaś fala, na wzór wielkiego mokrego łapska chwyta mnie i ciska w toń na twarz. Nie zanurzam się jednak. Ląduję na rozgrzanym piasku. Parzy. Na czworaka, na przemian i jak najszybciej odrywając kończyny od gorącej powierzchni, odpełzam do cienia. Cień. Wcześniej go tu nie było. Teraz rozciąga się niczym nieduża plama – choć nie widzę niczego, co mogłoby go rzucić – wielkości, która ledwie pozwala mi się w nim skryć.

Niewyobrażalnie szczęśliwy niczym ryba, która po wyrzuceniu na brzeg trafiła do kałuży – niewiele większej od niej, ale mokrej – rozglądam się na boki. Dostrzegam Gadułę, jest niedaleko. Leży rozciągnięty, cicho skowycząc. Ręce rozpaczliwie wodzą na boki. Również zauważył cień, więc stara się pełznąć w moją stronę, lecz tkwi w miejscu. Po chwili orientuję się dlaczego – wokół jego lewej kostki zaciska się żelazna obręcz. Został unieruchomiony.

Żar jest niemiłosierny i nie zamierza odpuścić nawet na chwilę. Odnoszę wrażenie, jakbym leżał w kręgu ognia, który płonie zaledwie centymetry od mojego ciała. Oddycham z trudem. Tym, co dodaje mi siłę, jest myśl, że Gaduła cierpi stokroć bardziej. To smutne i złe sycić się bólem innych, lecz po tym, co zrobił, nie żał mi go w najmniejszym stopniu. Inaczej chyba bym zwariował. Przecież to ja go tu sprowadziłem, w dużym stopniu odpowiadam za jego katusze, niemalże jakbym sam je zadawał.

Gdy już czuję się spalony na wiór, pochłania nas ciemność. Pustka. Wydawałoby się, że sprowadzi to ulgę, lecz po cierpieniu ciała przyszedł czas na ducha. Ta lepka czerń zdaje się nie zawierać w sobie absolutnie niczego, a chłonąć, cokolwiek w nią wpadnie. Zataczam ręką koło i ku memu zaskoczeniu trafiam na coś na kształt drążka. Przytrzymuje się go, przywieram do niego z całych sił. Dłońmi czytam fakturę. To pozwala zapełnić mi umysł, umknąć przed próżnią.

Rzecz jasna nie widzę Gaduły. Jednak słyszę go. Głos zdaje się w części pochłaniany, wciągany przez ciemność, lecz pozostaje go na tyle dużo, bym bez trudu odczytał męki, jakie odczuwa. Śpiąca Królowna nie jest odkrywczą. Kurczowo trzyma się schematu męczarni, które jej samej zadawano. Ale przecież to nie ma znaczenia. To nie wymyślność tortur sprawia, że cierpimy. Ból jest równie dotkliwy niezależnie od tego, czy środki, które służą do jego zadania, są chamsko proste, czy intelektualnie wyrafinowane. Ostatecznie prowadzą do tego samego. Owszem, zapewne istnieje różnica między wrywaniem

paznokci a tępym uderzeniem pałką, lecz po przekroczeniu pewnego progu wszystko zlewa się w jedno.

Mam czas, by o tym wszystkim myśleć, bo pobyt w pustce ciągnie się niemiłosiernie. W normalnych warunkach próżnia zapewne potrzebowałaby dni, by naprawdę zacząć oddziaływać, wpływać na umysły, my jednak znajdujemy się w spreparowanym śnie, tu nie obowiązują te same zasady. Tu prawem jest woła tkaczki.

Potężna siła wyrzuca nas z ciemności do pokoju o rozmazanych ścianach. Sprawiają wrażenie, jakby nie miały wcale okien, choć skądś pada wystarczająco dużo światła, by można było rozeznąć się we wnętrzu. To ostatnia część, ta z łóżkiem. Gaduła ląduje właśnie na nim, ja na podłodze. Upadek jest bolesny, tłukę się bardzo, lecz jestem wdzięczny, że znalazłem się właśnie tu, z dala od śmierdzącego materaca.

Właściwie znikąd wyłania się postać. Teraz mogę przyjrzeć się jej bliżej. Jak i wcześniej nie ma twarzy, lecz zdecydowanie przypomina Gadułę. Ma jego posturę i sposób chodzenia. Tyle że jest zniekształcony, zdaje się składać z kilku nałożonych na siebie sylwetek, zlepionych w jedną całość, wylewającą się z narzuconych przez twórcę ram. Jakby projekt się nie udał albo wręcz dokładność nie miała znaczenia.

Nieregularnymi krokami przybliży się do tego drugiego Gaduły, leżącego na materacu. Mężczyzna nie może się ruszyć. Widzę, że drży, lecz nie zmienia pozycji. Utkwił lekko na boku, z podkulonymi nogami i przekręconą głową. Nie na tyle, by złamać kark, ale wystarczająco, aby wyglądało to mało naturalnie. Jego rozmazany sobowtór nie potrzebuje wiele czasu, by dotrzeć do łóżka.

Gwałtownym ruchem ciągnie Gadułę i obraca go na brzuch. Słysząc trzask pękającego materiału spodni.

Wstrzymuję oddech, a stwór odwraca głowę w moim kierunku. Przez mgnienie oka odnoszę wrażenie, że w cieniu dostrzegam kalejdoskop zmieniających się płynnie twarzy. Jedne przechodzą w drugie, nie pozwalając żadnej dokładnie się przyjrzeć, mimo to poznaję ich, w każdym razie większość z nich. I pojmuję, że ten spektakl został przygotowany specjalnie dla mnie. Chyba rozumiem przesłanie. Mam ich tu sprowadzić, jednego po drugim.

Łamiąc opór jakby sparaliżowanego ciała, nieznacznie kiwam głową.

Czuję gorące uderzenie i...

...otwieram oczy. Ponownie siedzę w kuckach, oparty o drzwi pokoju Śpiącej Królowy. Spoglądam na wózek, ale Gaduły nie ma na wcześniejszym miejscu. Płótno opadło, ale wiedząc, czego szukać, dostrzegłbym jego zarys pod materiałem.

Wtedy nocną ciszę przerywa wrzask. Chyba nigdy w życiu nie słyszałem równie okropnych krzyków. Kryjące się w nich przerażenie zdaje się namacalne. Zrywam się na nogi i biegnę do schodów. Krzyki dochodzą z niższego piętra. Ryzykując złamanie karku, pędzę po stopniach, pokonując po dwa lub trzy za jednym zamachem.

Na dole zatrzymuję się zaskoczony. Widzę Gadułę. Już nieskrępowany tarza się po posadzce. Kto go uwolnił? Czyżby ja sam, we śnie, zupełnie tego nie świadom? Nie rozważam tego, bo Gaduła rękoma bije się po głowie, szarpie odzież, kaleczy skórę. Nie zjawilem się pierwszy.

Jest już przy nim dwóch pielęgniarzy, a chwilę później przybiega trzeci. Starają się go przytrzymać, jego mikra w porównaniu z barczystymi facetami sylwetka znika w ich uścisku, ale i tak nie dają rady.

Jeden z siłujących się z nim drze się w moim kierunku, bym przyniósł kaftan, ale ja nawet nie wiem, gdzie go szukać. Stoję więc prawie nieruchomo, jedynie z wolna zbliżając się krok po kroku, jakbym bał się, że szaleństwo Gaduły może udzielić się również mnie. Stąd widzę już jego oczy, oczy osoby, która na dobre straciła kontakt z rzeczywistością. Śpiąca Królowna nie okazała litości. Czy ja na jej miejscu postąpiłbym inaczej? Wątpię. Być może istnieje szansa, że Gaduła po tym wszystkim dojdzie do siebie, lecz nie stawiałbym na to większych pieniędzy. Tkaczka okruchów snów już o to zadbała. Uplotła swą pajęczynę tak, by ofiara nie miała prawa wyswobodzić się z sieci.

Wolno odchodzę, przypatrując się twarzom pielęgniarzy, szukając wśród nich tych, które dostrzegłem we śnie. Poznają jednego. Ale znajdę i innych. Kimkolwiek są, pielęgniarzami, lekarzami czy sprzątacami jak ja. Znajdę ich wszystkich i zaprowadzę do niej, tak jak zaprowadziłem Gadułę.

Ona już wie, co z nimi zrobić.

MAREK KOLENDA

PLEŃ W KOKONIE

– Chcę popatrzeć – oznajmiłem od progu, grzebiąc w reklamówce.

Kaczmarek uśmiechnął się pod nosem, ale nie odpowiedział. Jego syn, Wojtek, który mnie tu przyprowadził w tę jasną, księżycową noc, chwycił widły i przystanął z boku.

Gdy wyłożyłem na stół cztery sztangi radomskich i upchnąłem torbę do kieszeni, mogliśmy przejść do rzeczy.

Rozejrzałem się ostrożnie po pomieszczeniu oświetlonym słabym blaskiem lampy naftowej zawieszanej pod powałą. W zagraconej szopie pełno było słoików z przetworami, flaszek, przeróżnych rupieci i starych sprzętów. Pod ścianą stał zardzewiały rower i kilka zakurzonych landszaftów. Widać powodziło się Kaczmarkom, odkąd wieści rozeszły się po okolicy.

Jeden z kątów szopy zajmowała zbita z desek komórka i tam skierował się Kaczmarek. Wyciągnął z wiadra pochodnię, następnie podpalił koniec owinięty szmatami.

Zajechało smołą. W napięciu przyglądałem się, jak zdejmuje rygiel i otwiera drzwi z siatki ogrodzeniowej. Zawiasy zajęczały smutno.

– To se popatrz – zachęcił, wskazując wewnątrz.

Zmrużyłem oczy i wyteżyłem wzrok. W półmroku coś się ruszało. Właściwie to wirowało niczym wielki bąk. Tyle że nikt nie robi takich ponurych zabawek. Wyglądało, jakby ktoś bazgrał w powietrzu czarnym długopisem, tworząc zamotany, przestrzenny bohomas. Ulotny, ale rzucający cień. Jak dym.

I nagle to poczułem.

Aż mnie cofnęło i przytknęło w piersi. Przymknąłem powieki i ujrzałem ojca. Szedł właśnie szlachtować prosiaka. Pajacował z tasakiem w dłoni i drwił ze mnie. Poczulem kluchę w gardle i lży nabiegły mi do oczu, ale obraz rozwiął się nagle i przepadł.

Po ojcu pojawili się Köhlerowie. Stałem w progu chałupy i obserwowałem, jak uciekają z krzykiem. Całą piątką, z dzieciakami. A tato z dziadkiem gonili ich z widłami przez pole – teraz moją ojcowiznę.

Potem obraz znów zafalował i zobaczyłem babkę. Stała uśmiechnięta na brzegu rzeki z workiem kociaków w pomarszczonych dłoniach. Usłyszałem własny, dziecięcy płacz, i z mojej piersi wydobył się głęboki szloch.

Szarpięcie za ramię wyrwało mnie z otępienia.

– Za blisko! – zganił Kaczmarek i machnął pochodnią. – Tak się odgryza. Grzebie w pamięci i miesza w głowie.

Przetarłem oczy rękawem.

– Szlag! Skąd to się wzięło?

Kaczmarek podrapał zarośnięty podbródek i zerknął na syna.

– Cholera wie. Coś spłoszyło krowy, więc poszliśmy z Wojtkiem sprawdzić, czy jakiejś szkody nie ma. A na miejscu znaleźliśmy to szkaradztwo. Od razu mnie zgaga dziwna naszła i żałość. Ostry, jak to zobaczył, zaraz uciekł z podkulonym ogonem. Chciałem to zostawić w polu, ale zaczęło leźć za nami, jak bezpieczni kot. Więc poprowadziłem tutaj, a potem we dwóch zagoniliśmy widłami do środka. Wtedy jeszcze bało się wideł, teraz już tylko ogień na to działa.

– I nikt tego nie szukał? Miastowi nie pytali?

Zacisnął pięść.

– Jak ktoś wypapla miastowym, będzie miał ze mną do czynienia.

Kołtun w komórce rozrósł się ukradkiem lub przysunął bliżej, bo słuchając Kaczmarka, mimowolnie odlatywałem. Znów mnie przytknęło. Pod powiekami zaraz ukazał się mały Cygan, z którego czarnej łepetyny leciała krew. Pamiętam dobrze. To ja trafiłem, gdy rzucaliśmy kamieniami. My, jasnowłose chłopaki z wioski. Dorośli nagadali nam, że roznosi wszy.

Potem coś sięgnęło głębiej. Pojawił się Witek Andrasik, który postradał zmysły w brzuchu matki i na nasz widok sikał w gacie na przerwach.

I jeszcze głębiej, gdzie zakopałem wspomnienia, w których ojciec okładał matulę kablem od prodiża. Łzy raptem pociekły mi po policzkach, jakbym siekał cebulę. Spazm ścisnął mnie pod piersią i załkałem jak dziecko.

Tym razem Kaczmarek strzelił mnie otwartą dłonią w pysk.

– Mówiłem, żeby nie podchodzić za blisko – wyjaśnił i przystawił pochodnię do dziwactwa, które rozdzierało duszę boleścią i wstydem.

– Pan Bóg tego nie wymyślił. Jest inne. Obce. Nie nasze – wyliczał, dżgając ogniem. – Jak wiara sąsiadów, co Jezusa sprzedali i zabili. Albo jak język szwaba.

W blasku płomieni oczy Kaczmarka świeciły teraz własnym blaskiem. Nagle przestał wymachiwać pochodnię i wolną ręką chwycił mnie za przedramię.

– Gdy znów zaczniesz swoje sztuczki, pomyśl o czymś obrzydliwym.

– Obrzydliwym? – powtórzyłem, wycierając łyzy i smarki w rękaw.

Kaczmarek westchnął przeciągle.

– Przecież mówię wyraźnie. Ja, na ten przykład, przywołuję pleń. Spotkałem takie gównno w lesie i słowo daję, idzie się porzygać. – Splunął pod nogi. – Zresztą gównno też się nada. A i rzygi ujdą.

– A pajęczy kokon? – zapytałem ostrożnie.

– Dobry będzie. Powinien zadziałać – przyznał z uznaniem.

Zapadła cisza. Przeszępując z nogi na nogę, rozejrzałem się niepewnie po szopie.

– Co będzie, jak przestanie się bać ognia?

Kaczmarek prychnął głośno.

– Wtedy będę się martwił i na pewno coś wymyślę. Może wysadzę to razem z szopą? Rysiek, starszy ze

szwagrów, robi w kamieniołomach. Będzie mus, to załatwi, co trzeba. Albo zapędzę to czarne ścierwo do dołu, przysypię wapnem i zakopię – podsumował i przysmażył kłębowisko ogniem z pochodni.

– Nie broni się wcale – zauważyłem ze zdziwieniem.

– Nic a nic – przytaknął zadowolony. – Tyle, co w głowach pomiesza. Przerażone albo głupie.

Na koniec zarechotał głośno, a Wojtek mu zawtórował.

– A jak zacznie się bronić?

Znów opuścił pochodnię. Zdało mi się, że w jego oczach dostrzegłem zwątpienie.

– Niech tylko, kurwa, spróbuje – odrzekł hardo, ale niezbyt pewnym głosem, zerkając przy tym na syna i widły. Wolałem mu teraz nie przypominać, że widły już raczej nie pomogą.

Zajrzałem do komórki. Niemy krzyk rozdzierał ciemny kąt, odbijając się echem we mnie. Przywołał obraz matki. Płakała, a pijany ojciec gonił ją z pogrzebaczem. Bił często, póki miał siły, na moich oczach. Nawet po tym, jak wróciłem z woja.

– A nie przyszło wam do głowy...

Kaczmarek pochylił się nade mną i przybliżył twarz. Zawsze był z niego kawał chłopca, przewyższał mnie przynajmniej o głowę.

– Co nam nie przyszło? – wyszeptał. Zaleciało nieprzyjemną wonią przetrawionej wódki i kiełbasą z czosnkiem.

Zwątpilem. Cofnąłem się o krok. Przecież to tylko obrzydliwość. Jak ten kokon pająka. Jak pleń w pajęczym kokonie.

– A może tak prądem spróbować?

Lypnął na mnie krzywo i odsunął się nieco.

– Prądnicy tutaj nie przytacham, a kabla przez las nie przeciągnę – odparł i zamyślił się, wpatrzony w głąb komórki.

Tymczasem bohomaz wciąż wirował i kłębił się w półmroku, a gdy tylko sięgał w naszą stronę, zaraz obrywał ogniem.

Wróciło poczucie winy. Ktoś powinien to przerwać. Tyle że nie ja, ja nie dałbym rady. Spojrzałem na Wojtka. Młody ścisnął widły, aż palce zbieleły, ale minę miał nietęgą, jakby mu potracili szczeniaka na drodze.

– Chcesz kawałek? – zapytał niespodziewanie Kaczmarek.

– Kawałek tego? – Wybałuszyłem oczy. Durne myśli pierzchły natychmiast. Jak pokażę coś takiego teściowi, to mu oko zbieleje. Może przestanie się wreszcie czepiać o byle co?

Kaczmarek spojrzał na mnie z góry i uśmiechnął się szeroko.

– Wszyscy brali. Nawet proboszcz. Tylko siedzą cicho.

Raz jeszcze zerknąłem do wnętrza komórki. Coś tam nieustannie się kłębiło, drgało, pulsowało strzępem ciemności. Dziwne, niepokojące, przyczajone, by nagłym skokiem dopaść i chwycić duszę. Wywlec z pamięci wszystkie winy i całą rozpacz. Odgrzebać zakopane głęboko sumienie.

– Głupio sprowadzać obce do domu – wybąkałem niepewnie.

– Masz pietra? – zadrwił Kaczmarek.

– Nie mam czym zapłacić.

– Nie trzeba. Przyniosłeś fajki i na razie wystarczy. Bo widzisz, jak weźmiesz kawałek, to jakbyś przysiągł milczenie. Inaczej będzie współudział.

Nadal się wahałem.

– Wojtek, podaj słoik! – Zdecydował za mnie Kaczmarek i zdjął ze ściany trzonek z drutem kolczastym na końcu. Dźgnął nim w bohomasz i obrócił, jakby nawijał czarną watę cukrową. Potem szarpnął, wrywając kępę.

I znów ruszyła procesja wyrzutów sumienia. Cygan, Witek, matka... Czułem, że gdzieś głęboko w środku wzbiera we mnie rozdzierający krzyk.

– Boli je? – wyszeptalem stłumionym głosem.

Kaczmarek wzruszył ramionami.

– A kogo to obchodzi? Ksiądz radził spalić, bo to niby obraża boskie dzieło, ale głupi nie jestem. – Rozejrzał się po izbie, a ja razem z nim. Bycie niegłupim się opłacało.

– Z góry ostrzegam, że po tygodniu zdycha. Wtedy przyjdź po nowe. Byle nie z pustymi rękoma – poinstruował, uderzając trzonkiem o krawędź słoja. Strzęp ciemności wpadł do środka i zwinął się na dnie w kłębek. – Zakręcaj! – ponaglił syna.

Młody domknął wieczko i przekręcił. Oczy miał przy tym zaszkłone. Ciekawe, czym jemu sumienie wybebeuszało? Przecież to dzieciak był jeszcze.

Kaczmarek uniósł naczynie i poświecił pochodnią.

– No proszę, piękny kawałek ci się trafił.

Przysunąłem nos do słoika i stuknąłem paznokciem w szkło. Coś w środku zakłębiło się i przyłgnęło do gładkiej powierzchni. Teraz samo wyglądało jak jakiś pleń albo drgające kłębowisko długich pajęczych odnóży. Jak mogłem żałować takiego paskudztwa?

Gdy wracaliśmy z Wojtkiem przez las, słońce już prawie wschodziło. Zza naszych pleców dobiegało ujadanie Ostrego, a reklamówka ze słojem objęła mi łydkę.

Dzieciak milczał całą drogę, zamyślony i jakiś markotny. We mnie też coś kwiliło, drażniło z tyłu głowy, ale nie zapuszczałem się myślami w tamto miejsce.

Myślałem o grzybach.

Popadało ostatnio. Powinny obrodzić tej jesieni.

MICHAŁ P. LIPKA

GO TO HELL

Znajomy opowiedział mu kiedyś pewną historię.

To nie była historia, o której się myśli, więc nie myślał o niej przez lata. I nie myślał też wtedy, kiedy odczytywał SMS-a ani potem, gdy szarym, pochmurnym popołudniem wsiadł do samochodu i pojechał przed siebie. Ale czasem historie wracają – ta wróciła, i myśli o niej teraz. Myśli o tym wszystkim, co wtedy usłyszał. O GPS-ie, o którym opowiadał znajomy, kobiecym głosem nawet nie mówiącym po polsku i o półwyspie, który przecież półwyspem wcale nie był.

Po prostu myśli.

SMS przyszedł, kiedy przestał już mieć nadzieję, że paczka dotrze jeszcze dzisiaj. Niby ta sama wiadomość, która poinformowała go, że status przesyłki zmienił się na *w doręczeniu*, informowała także, że kurierzy rozwożą towar do późnych godzin wieczornych, ale miał już w tym dość doświadczenia, by wiedzieć, że po szesnastej nie ma co liczyć na dostawę. Więc nie liczył.

Wolny, słoneczny dzień, zbyt ciepły jak na jesień, zdążył w tym czasie przerodzić się w coś szarego i deszczowego – chmury na niebie, niewidoczne słońce coraz bliżej horyzontu i krople wilgoci na oknach – a on sam zdążył nawet zaparzyć herbatę, kiedy w końcu przyszła wiadomość, która powinna dotrzeć jeszcze przed południem. Jedna z życiowych prawd brzmi jednak tak, że zawsze najpóźniej dostaje się to, na co najbardziej się czeka. O ile w ogóle się dostaje.

Odstawił zatem kubek, który rozgrzewał dłonie i przyjemnie pachniał, sięgnął po telefon, już od niechcenia, nie licząc nawet, że wiadomość ma jakiś związek z paczką, i odczytał SMS-a.

Wybrany paczkomat jest pełen. Twoja paczka jest tymczasowo magazynowana w najbliższym wolnym paczkomacie, skąd możesz odebrać ją przez najbliższe 48 godzin. Po tym terminie zostanie dostarczona do pierwotnie wybranego punktu.

A pod spodem kod odbioru i adres, który właściwie nic mu nie mówił. Jakaś ulica, o której pierwsze słyszał, choć przecież mieszkał w tym mieście – mieścinie ledwie, gdzie wszyscy znali się choćby z widzenia – od urodzenia. Z drugiej jednak strony w ostatnich latach domów przybywało, może nie w takim tempie, jak paczkomatów, ale jednak, więc logicznym było, że musiało przybywać też ulic. Naturalna kolej rzeczy.

Westchnął, dopił herbatę, bo nie cierpiał pić zimnej, zarzucił na siebie bluzę na suwak i złapał kluczyki do samochodu. Do tylnej kieszeni spodni wcisnął jeszcze portfel, może jednak wracając zajrzy gdzieś po drodze, kupi coś na szybką kolację albo na weekend. I już go nie było.

Kiedys znajomy opowiedział mu historię. Drugą historię, tym razem o tym, jak pewien jego inny znajomy kupił coś w sieci, na jednym z portali aukcyjnych. Portal był nowy, zakup niewielki, więc i ryzyko właściwie żadne, skoro transakcje finansowe obsługiwał zewnętrzny, zaufany dostawca usług finansowych. Można było zaryzykować i sprawdzić, co jak i co z tego wyjdzie.

Więc zaryzykował. I tak wszystko się zaczęło.

Wsiadł do samochodu, dłońmi jeszcze gorącymi od trzymania kubka z herbatą odpalił silnik i włączył GPS. Wybrał trasę docelową, urządzenie znalazło bez problemu punkt końcowy, gdzieś już poza obrzeżem miasta, gdzie powinny czekać tylko łąki i lasy, i może kilka domów rozrzuconych po okolicy jakby przypadkiem, wrzucił bieg i wjechał w szarość.

Jesień tego roku była dziwna. Ranki zimne, pełne rosy, szybko przechodziły w ciepłe, niemal gorące przedpołudnia, które bardziej wyglądały jak letnie wieczory, z tym nisko stojącym słońcem i długimi cieniami. Teraz świat zmienił się w ponurą szarówkę, w chłodny popołudniowy półmrok, w którym wszystko wydawało się wyprane z kolorów.

W taką pogodę jeździło się niemal jak we mgle. W szarym świetle, wśród szarych domów, po szarej drodze między szarymi drzewami i krzewami, gdy wszystko wyglądało na płaskie i dwuwymiarowe, jedynie rozświetlone witryny sklepów wydawały się jakimiś sensownymi punktami orientacyjnymi. Ale te szybko zniknęły, kiedy tylko wjechał z centrum. Od centrum do obrzeży było może pięć, może dziesięć minut powolnej

jazdy i kluczenia uliczkami, a potem można było już mknąć prosto przed siebie, między halami magazynowymi i zbudowanymi jakimś cudem – nikt nie wnikał, jakim – na terenach zalewowych budynkami fabryk i hal produkcyjnych. Potem kończyło się i to, a asfalt ciągnął się dalej, ale coraz częściej rozgałęział się w piaskowe drogi, sunąc między łąkami w stronę lasów. Ale na tym obszarze nawet ta nawierzchnia często zasypana była piaskiem, słomą, ziarnami zbóż albo odchodami zwierząt.

Przemknęło mu przez głowę pytanie, kto w takim miejscu postawił paczkomat, jaki był w tym sens i jak tu niby miał on funkcjonować, ale przecież nie znał się na technologii tych urządzeń, więc jaki był sens w takim gdybaniu?

Zwolnił, wchodząc w zakręt. Tu, między lasami, pośród znaków każących uważać na przebiegające szosą dzikie zwierzęta i prowadzone tędy na pola bydło, półmrok stawał się bardziej dojmujący. Drzewa wyglądały martwo, łąki i pola jałowo, nabrzmiałe deszczem chmury czekały tylko, by zrzucić na świat kurtyny wody. A gdzieś między tym wszystkim znajdował się cel jego podróży, tak absurdalny, że nawet nie potrafił wyobrazić sobie, jak mógłby wyglądać.

Historia, którą opowiedział mu kiedyś znajomy, ta pierwsza historia, sięgała czasów, kiedy w kraju pojawiły się pierwsze urządzenia GPS. Cuda techniki sprowadzane z Zachodu, małe czarne skrzynki bez polskiego menu, nieobsługujące rodzimego języka, które trasę w metrach podawały jedynie wtedy, kiedy miało się szczęście. Najczęściej tego szczęścia nie było.

Znajomy znajomego, jak w każdej takiej historii, kupił jedno z nich. Urządzenie było jak każde inne, nic szczególnego. Plastikowa obudowa, niewielki ekran, wszystko po angielsku, łącznie z jednym i jedynym głosem do wyboru – spokojnym, kobiecym tonem, który miał w sobie jakąś nonszalancję, niemal wesołość, podkreślone zabawnymi przerywnikami swoistego nucenia melodii, kiedy GPS przez dłuższy czas nie musiał informować o zbliżającej się zmianie kierunku.

Urządzenie miało też funkcję pozwalającą na programowanie trasy za pomocą mowy. Wystarczyło podać adres docelowy, wymawiając go głośno i wyraźnie, najlepiej powoli. I tu zaczęła się cała zabawa, jak ujął to znajomy, bo urządzenie miało pewien problem z rozpoznawaniem słów wypowiedzianych w polskim języku albo nawet z polskim akcentem. Samo też zresztą specyficznym wymawiało polskie nazwy. Więc znajomy znajomego, wtedy mężczyzna tak młody, że jeszcze chłopak właściwie, czasem rzucał jakiś adres docelowy i dawał się zaskoczyć, gdzie mogło go to wszystko doprowadzić.

– Najczęściej kończyło się gdzieś w polach, raz zajechał pod czyjąś stodołę.

A raz to, co miało być sklepem spożywczym, okazało się obskurnym sex shopem zbudowanym w takim miejscu, że tylko ludzie załatwiający tu jakieś swoje ciemne interesy mogli w ogóle do niego zajrzeć. I tylko z tych ciemnych interesów było w stanie utrzymać się to miejsce.

– I właśnie ten znajomy pewnego dnia wpadł na świetny jego zdaniem pomysł.

Czarne ściany szumiących lasów biegly aż po horyzont, szarość nieba między nimi a szosą wyglądała niczym światelko w tunelu.

– Za sto metrów skręć w prawo – oznajmił monotony głos nawigacji.

W bok, prosto w las biegła niemal niewidoczna dróżka. Zjechał w nią, uważając, żeby krzewy i gałęzie nie zostawiły rys na karoserii. Czuł, jak koła podska-kują na nierównościach, słyszał, jak pod oponami pękają gałęzie i szyszki.

Zaparkował na początku lasu, zamknął samochód i dalej ruszył pieszo ścieżką, koleinami właściwie, prowadzącymi gdzieś w szarą zielen.

To wszystko musiało być jakimś kiepskim żartem. Skąd w taki miejscu byłby paczkomat? Może mieli jakiś błąd systemowy i wyrzuciło im przypadkowy adres?

Ale paczkomat tam stał, między drzewami, na spłachetku gruntu zbyt małym, by nazwać go łąką, jak znak wieńczący kraniec trasy. Stłumiona żółć odcinająca się wyraźnie na tle szarego lasu, który w każdą stronę wydawał się wyglądać tak samo.

Ciekawe, jak długo będzie tutaj stał – pomyślał.

Dopóki coś kogoś nie zaatakuje z krzaków albo ktoś się tu na kogoś nie zaczai, żeby ukraść jego paczkę, portfel, kluczyki...

Rozejrzał się wokoło, ale wychodziło na to, że jest sam. Chociaż w trzasku poruszanych wiatrem gałęzi ciężko byłoby usłyszeć odgłos suchych patyków pękających pod czymiś stopami.

Czym prędzej podszedł do paczkomatu, stuknął w ekran, celując palcem w przycisk *odbieram paczkę*, wstukał swój numer telefonu, a potem kod odbioru.

Jeśli ktoś postawił tu paczkomat, pewnie wiedział, co robi. Mogło wyglądać to absurdalnie, ale jeśli były plany wycinki lasu i budowy w tym miejscu jakiegoś osiedla albo nawet niewielkiej wsi, tudzież kolonii, albo chociaż jakichś budynków usługowo-handlowych, automat do odbioru paczek miał pewien sens. Może była to przesada, absurd, żeby akurat teraz, w lesie, ale jeśli ktoś celował w wyprzedzenie konkurencji...

Na ekranie paczkomatu pojawił się komunikat o błędzie.

Spróbował wstukać ciągi liczb ponownie i jeszcze raz, ale bez skutku. Wszystko było poprawne, ale komunikat się nie zmienił.

Spróbował więc odpalić aplikację w telefonie i zeskanować kod QR, ale na próżno. W lesie nie było zasięgu, internet nie działał – jak działał sam paczkomat, pozostawała tajemnicą. A może właśnie dlatego pokazywał błąd? Tylko jak w takim razie ktoś wrzucał tu paczki? I jak dotarła do niego ta wiadomość, skoro to chyba system automatu ją wysyłał?

Zadzwoiłby do firmy odpowiedzialnej za paczkomaty, ale nie miał zasięgu, więc zirytowany odwrócił się i ruszył drogą powrotną do samochodu... Ale drogi nie było. Zniknęła ścieżka, zniknęły koleiny, w wilgotnej ściółce nie było nawet fragmentów jego śladów, jakby nikt tędy nie szedł.

Zaklął pod nosem, rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie było choćby śladu po drodze. Trudno, szedł prosto

od szosy do paczkomatu – ile dzieliło go od ulicy? Może trzydzieści, może pięćdziesiąt metrów, niewiele – z łatwością dotrze do wyjścia.

Nie chował telefonu, czekał na powrót zasięgu i możliwość złożenia całkiem soczystej skargi w dziale obsługi klienta, ale zasięg nie wracał.

Szedł przed siebie najpierw powoli, potem coraz szybciej, czując, jak ściółka zapada się pod jego stopami i jak wilgoć zaczyna wsączać się przez materiał butów, ale las się nie kończył. Paczkomat znajdował się za nim w linii prostej, czyli tak, jak być powinno, wciąż doskonale widoczny, choć znajdujący się zdecydowanie dalej niż pięćdziesiąt metrów, a jednak nie natrafił na szosę. Swojego samochodu też nie mógł nigdzie dostrzec. Wyjął z kieszeni kluczyki, wcisnął przycisk zamka centralnego, w nadziei, że usłyszy dźwięk albo dostrzeże sygnał świetlny – zapalające się i gasnące światła – ale nic się nie stało. Całkowita cisza, jeśli nie liczyć szumu wiatru i trzeszczenia drzew i gałęzi.

– Szlag by to! – warknął w przestrzeń. Wypowiedziane na głos słowa sprawiły jedynie, że poczuł się jak wariat mówiący sam do siebie w pustym pomieszczeniu, nic więcej.

Droga nie wróciła, samochód się nie pojawił. Paczkomat stał, jak stał.

Poczuł niepewność, potem strach, a potem po prostu zaczął biec przed siebie.

W drugiej historii znajomy znajomego zamówił raz do paczkomatu jakiś przedmiot. Nie było ważne, co takiego, nie o to chodziło w tej historii. Znajomy znajomego kupił

coś przez internet, otrzymał SMS-a z informacją doręczenia paczki i poszedł ją odebrać.

Paczkomat nie znajdował się w żadnym dziwnym miejscu, nic z tych rzeczy. Stał przy parkingu na tyłach sklepu spożywczego, niewielkiego lokalnego marketu, tuż obok śmietników, z których zawsze niosła się mdląca woń, a z dwóch stron otaczały go bloki mieszkalne. Jeśli stanęło się twarzą do automatu, za plecami, może dziesięć metrów dalej, miało się szosę obwodnicy, którą wiecznie coś jeździło niezależnie od pory dnia czy nocy.

Zwyczajne, spokojne, bezpieczne miejsce. I bliskie.

Był wieczór, kiedy ten znajomy znajomego poszedł odebrać paczkę. Światła w oknach bloków, płonące latarnie, sporo spacerowiczów. W takich warunkach nie mogło wydarzyć się nic niezwykłego, więc wpisał kod, otworzył przegródkę – zbyt dużą, jak na to, co faktycznie zamówił – i wyjął pudełko. Pudełko było duże, ciężkie i coś w nim przesuwało się dziwnie, jak kula do kręgli.

Wrócił do domu i zaczął otwierać. Zbiorczy karton po litrowych pudełkach lodów był solidnie oklejony taśmą, a jego zawartość opakowana w folię. I ta folia cała czerwona była od krwi. Zerwał ją, nie myśląc, żeby założyć rękawiczki, a pod spodem dostrzegł włosy. Zlepione szkarłatem, poskręcane w strąki kobiece włosy. Pod włosami była twarz, cała kobieca głowa, blada, z wywróconymi oczami, które patrzyły na znajomego znajomego przekrwionymi białkami, poniżej nos pełen skrzepów krwi i sine usta, spękane jakby od długiego niepicia, za którymi wyraźnie coś tkwiło – spuchnięty język, może gruda krwi. Obrazu dopełniała poszarpana rana w miejscu, w którym głowę, najwyraźniej czymś

tępy albo z ząbkami, oddzielono od ciała. Można było obawiać się, że to ostatnie nastąpiło jeszcze za życia.

I od tego wszystko się zaczęło.

Długo chodził po lesie. Biegał. Szukał. Rozglądał się. Próbował znaleźć jakąś drogę, ścieżkę, chociażby niewielki ślad, który pokazałby mu, dokąd ma iść. Nasłuchiwał odgłosów przejeżdżających pojazdów, ale nie usłyszał żadnego ani niczego nie dostrzegł.

Gdziekolwiek nie poszedł, zasięg nie wracał. Gdziekolwiek się nie udał, nic się nie zmieniało, niczego nie był w stanie znaleźć, tylko ten jeden, jedyny paczkomat wciąż odnajdował się na jego drodze.

W końcu, zmęczony, przysiadł na mchu obok żółtej konstrukcji, oparł się o nią plecami i spróbował zebrać myśli.

Pozostanie w tym konkretnym miejscu było najlepszym wyjściem. Jeśli się zgubił – nie był w stanie myśleć o tym, co go spotkało, jako o autentycznym zagubieniu się – tak wyraźny punkt orientacyjny był ważny. Przede wszystkim jednak to był paczkomat, miejsce, do którego ludzie zaglądali, żeby odebrać paczki. Może i znajdował się na uboczu i pewnie niewielu tutaj pojawiało się po odbiór, ale jednak ktoś w końcu pojawić się musiał. Nawet jeśli nie klient, to przynajmniej jakiś kurier, bo skoro trafiła tu jego paczka...

Dopiero wtedy przypomniał sobie, że przecież nie trzeba mieć zasięgu, nawet nie trzeba mieć karty sim, by połączyć się z telefonu z numerami alarmowymi. Niemal klepnął się w spocone, lśniące czoło. Jak mógł być tak głupi? Zadzwonili, namierzą go, zjawią się, pomogą mu i...

Wybrał 112, ale nie usłyszał dźwięku połączenia. Spróbował ponownie, potem wstukał 997, 998, 999, w desperacji spróbował dodzwonić się na numer alarmowy pogotowia gazowego. Bez skutku.

Nadal jednak nie chciał dopuścić myśli, że dzieje się tu coś niezwykłego, coś, co w rzeczywistym świecie nie powinno mieć miejsca. Ale kiedy zobaczył, że jest już po dwudziestej drugiej, a w lesie wciąż panuje ta popołudniowa szarówka, zaczął poddawać się panice i przestał być pewny, że zdoła dalej opierać się myślom, które coraz gęściej kłębiły się w jego głowie.

Siedzieli przy ognisku na działce, tanie kiełbaski na ostruganych patykach ociekały kipiącą wodą i rozpadały się, ogień piekł w skórę, a dym drażnił drogi oddechowe, kiedy znajomy opowiadał mu historię swojego znajomego. Tego, który wpadł na świetny pomysł z nawigacją.

– Odpalił wtedy tego swojego GPS-a, włączył rozpoznawanie mowy i powiedział „go to hell”.

– A to zaprowadziło go na Hel?

– Mam taką nadzieję, bo od tamtej pory nikt go nie widział. Ja na pewno nie. I nikt nie chce o nim rozmawiać. No ale dobra, kiełbasa stygnie.

I wziął się do jedzenia, maczając kiełbasę bezpośrednio w słoiku musztardy sarepskiej.

Go to hell.

Taka była opowieść znajomego. Zbyt szybka pointa, zbyt szybkie rozwiązanie, zbyt mało napięcia. Zawód. Ale taka właśnie była. Jak to w życiu bywa.

Dochodziła pierwsza w nocy – pierwsza nad ranem, jak mówił jego znajomy – kiedy jego serce zaczęło się uspokajać, a poziom paniki opadać. Zrobiło się zimno, w zimnie pot na jego ciele potęgował odczucie chłodu. Zapiął bluzę, ale spocone czoło zaczęło uświadamiać mu, że kiedy stąd w końcu wyjdzie, pewnie skończy z niezłym przeziębieniem, gorączką, pewnie na L4. Przylegająca do pleców spocona koszulka wywoływała dreszcze, ale przynajmniej zaczął się uspokajać.

To wcale nie jest szarówka, powiedział sobie. Wszystko to dało się logicznie wyjaśnić, wytłumaczyć, wystarczyło pomyśleć.

Jakiś czas temu, kilkanaście kilometrów od tego miejsca, mijał pieczarkarnię. Przejeżdżał niedaleko niej, może kilometr, może dwa, a choć był środek nocy, a niebo nad głową wyglądało oleiście czarno, wokół było widno niemal jak w dzień. Rozświetlone całą dobę hale po zmroku emitowały tak silne światło, że okoliczni mieszkańcy zasłaniali po zmierzchu okna, inaczej nie daliby rady spać.

Jeśli więc gdzieś w okolicy była jakaś podobna hodowla, ale odpowiednio daleko od niego, wrażenie szarówki mogło się utrzymywać cały czas. Fakt, że niebo zasnutę było chmurami, sprawiał, że nie widział rozgwieżdżonej czerni, tylko szarą od odbitego światła płachtę.

To było takie proste, takie oczywiste. Może nawet jakiś sprzęt działający w hodowli zakłócał połączenia telefoniczne.

Nic niesamowitego. Nawet ten narastający chłód zdawał się to potwierdzać, bo w nocy temperatura zawsze spada.

Nic.

Około trzeciej nad ranem znów poczuł niepokój. A jeśli się myli? A jeśli działo się tu coś dziwnego?

Godzinę później wpadł na kolejny znakomity pomysł. Paczkomat miał przecież kamerę na wypadek aktów wandalizmu czy innych tego typu rzeczy. Miał też alarm. Wystarczyło więc zacząć go niszczyć, uruchomić ten alarm, dać się nawet nagrać, trudno, zapłaci karę, a wtedy ktoś się tym zainteresuje, zjawi, pomoże mu. To będzie okoliczność łagodząca.

Rozejrzał się za kamieniami. Znalazł jeden, całkiem obiecujący – ciężki, okrągły, lśniący – i zaczął uderzać w ekran dotykowy, aż tworzywo pękło i między podświetleniem a warstwą dotykową rozlało się coś czarnego, jak krew urządzeń elektrycznych. Nic to nie dało, więc zaczął okładać drzwi skrytek. Pomalowany na żółto metal wgął się w kilku miejscach, ale żaden zamek nie puścił. Alarm też nie zaskoczył.

Znalazł solidną gałąź i zaczął uderzać nią w paczkomat, jakby ten mógł coś poczuć, jakby mógł go zranić albo skrzywdzić, albo chociaż zemścić się na nim. W końcu zaczął kopać w urządzenie z całych sił, aż całe zachwiało się, zachybotało, zadrżało...

I nagle ziemia zapadła się, wciągając w siebie paczkomat.

To była chwila, moment, nic więcej. Paczkomat stał, a chwilę potem wciągany był gdzieś w głąb gruntu, jakby na jego oczach zstępował do piekła.

Odskoczył w ostatniej chwili, patrząc, jak ziemia wciąga żółtą, metalową skrzynkę, aż ta znika zupełnie pod zwałami piachu i poszycia leśnego.

A potem został zupełnie sam.

Drugi znajomy znajomego nie przestraszył się głowy z paczkomatu. Wręcz przeciwnie. Schował ją do lodówki, umył ręce, wziął laptop, otworzył stronę portalu i potwierdził, że zamówienie jest w porządku.

A potem przejrzał jeszcze pozostałe oferty sprzedającego i zamówił kilka kolejnych tanich przedmiotów przez niego wystawionych. Być może kupował towar od jakiegoś mordercy, który po kawałku chciał się pozbyć swoich ofiar – inne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy – ale zamawianie tych paczek było jak unboxing paczek z dark webu, filmików, których nie brakowało w sieci. Tylko, że było o niebo lepsze, o niebo bardziej emocjonujące. I jeszcze ta ekscytacja oczekiwania na przesyłkę. Nie czuł się tak od dzieciństwa, kiedy to jeszcze czekał na Gwiazdkę i prezenty, a może nie czuł się tak nigdy.

– I tak zebrał w końcu całe ciało?

– A skąd mam wiedzieć? Nie wiem, co było w tych paczkach. Ale to bez znaczenia. Chodzi o to, że z tej ciekawości źle skończył. Nie pytaj mnie, jak ani gdzie, wszystko sprowadza się do tego, że pewnego dnia ktoś kupił coś na tym samym portalu i dostał w paczce głowę mojego znajomego. Ktoś inny dostał jego rękę. Nogę. Tak to wyglądało. Oficjalnie mówiło się, że dopadł go ten sam morderca, który wysyłał mu te części ciała, ale... Kto wie.

Kto wie.

Znajomy opowiedział mu kiedyś pewną historię. A potem drugą.

Żadna z nich nie była historią, o której się myśli, więc nie myślał o nich przez lata. I nie myślał też wtedy, kiedy

odczytywał SMS-a, ani potem, gdy szarym, pochmurnym popołudniem wsiadł do samochodu i pojechał przed siebie. Ale czasem historie wracają – ta wróciła, i myśli o niej teraz. Myśli o tym wszystkim, co wtedy usłyszał. O GPS-ie, o którym opowiadał znajomy, kobiecym głosem nawet niemówiącym po polsku i o półwyspie, który przecież półwyspem wcale nie był, tylko prawdziwym piekłem.

Myśli o człowieku, który zamawiał paczki i dostawał nimi fragmenty ciała, aż sam skończył jako ofiara, jak w jakimś odcinku Opowieści z krypty.

I myśli o swoim znajomym.

Siedzi pod drzewem, w szarówce, która nie mija (który już dzień? Patrząc po odczuwanym głodzie, woli nie wiedzieć), patrzy na miejsce po paczkomacie, wmawiając sobie, że po prostu postawili go na niestabilnym gruncie, który prędzej czy później musiał się zapaść, więc zapadł pod wpływem jego ciosów, ale coraz mniej wierzy samemu sobie.

Więc siedzi i milczy. Zastanawia się, czemu znajomy opowiadał mu o GPS-ie prowadzącym do miejsca, które nie powinno istnieć, i paczkomacie, który stał się przyczyną tragedii. Zastanawia się, kim jest ten jego znajomy – ten, na którego urodziny prezent doprowadził go do tego miejsca i do tej sytuacji, tego stanu.

Ale przede wszystkim zastanawia się, czemu tak bardzo przypomina znajomego znajomego z tych opowieści. Czemu te dwie osoby wydają się być jak jedna, bardzo mu bliska zresztą.

Zastanawia się, ale nie chce wyciągać wniosków.

Po prostu siedzi i myśli, bo co więcej mu zostało?

MICHAŁ P. LIPKA

TRZYDZIEŚCI SEKUND

Wychodzę, kiedy po słońcu nie ma już śladu. Poświata na horyzoncie zgasła, a może zniknęła po prostu w blasku sklepowych witryn i reklam, została czerń nieba, uliczne latarnie i blask samochodowych świateł.

I nieliczni spacerowicze z twarzami skrytymi w mroku albo jaśniejącymi blaskiem smartfonowych ekranów. Każda z nich zajęta swoimi sprawami, niewidząca nikogo. Sylwetki wędrujące przed siebie, coraz mniej liczne, grube, chude, wszystkie tak samo nijakie i tak samo zmierzające, jakby bez celu.

Mijam ich wszystkich, wędruję obok, przeciskam się wąskim chodnikiem, przy którym już dawno zabrakło drzew, w końcu skręcam w jedną z uliczek, oddalając się od centrum miasta, i ludzie znikają. Zostaję sam. Miasto cichnie za moimi plecami, oddala się, domy stają się niższe, posesje większe, a drogi szersze i prostsze. Wracają drzewa, pojawiają się krzewy, chodniki od szosy

zaczynają oddzielać pasy zieleni i wydzielone strefy dla rowerzystów. Latarnie oddalają się od siebie coraz bardziej, aż w końcu kręgi światła rzucane przez nie na podłoże oddzielone są od siebie wąskimi pasmami ciemności.

Serce zaczyna bić mi coraz mocniej, ręce pocą się, aż na wilgotnej skórze wieczorne powietrze staje się niemal namacalne, jakby się na niej skraplało. Wdycham zapach wieczoru, aromat wyschniętej roślinności i stygnących materiałów budowlanych – asfaltu, betonu, pomalowanego farbami metalu ogrodzeń i dachów. Gdzieś z dali zaczyna być wyczuwalny smród niosący się od biogazowni, na razie łagodny, ale za godzinę, dwie, ciężko będzie go wytrzymać.

Wyjmuję telefon, spoglądam na ekran, przeglądam wiadomości. Kiedy podnoszę wzrok, przez chwilę widzę tylko czerń, zanim źrenice znów się rozszerzą, a oczy przywykną do nocy.

Docieram do terenów spacerowych i skręcam w prawo, w drózkę biegnącą wzdłuż niewielkiego zbiornika wodnego, w którym w dzień zawsze pełno było kaczek. Teraz kaczki zniknęły, zniknęli spacerowicze, został pomarańczowy blask lamp sodowych, domki letniskowe wyglądają jak coś zabrane z planu horroru – czerń w oknach, deski jak pociągnięte smołą, niskie drzewka, które nigdy nie dawały obiecanych owoców, zwieszają się nad nimi, jakby ich gałęzie próbowały sięgnąć do środka.

Wzdycham. Znów spoglądam na ekran, tym razem w blasku latarni, czytam wiadomości, rozglądam się, ale nikogo nie ma wokół. Pustka, cisza – poza tym

delikatnym pluskiem wody i szumem poruszanych wiatrem liści – nic. Jestem tu zupełnie sam. Ale zaciągam się nocnym powietrzem, wciągam je do płuc najmocniej, jak mogę, i przez chwilę czuję woń kobiecych perfum, ulotny aromat jej ciała, skóry i mydła, którym ją myje, zapach szamponu i czystości.

A potem zaczynam biec.

Nie znam się na perfumach, więc nie wiem dokładnie, czym pachnie. Wiem jednak, że to ona. Nie ma tu nikogo – nikogo innego poza mną – a ona to potwierdza, więc idę za tym zapachem, biegnę za nim, jakbym mógł go dogonić (jakbym mógł dogonić JA) i wciągam go do płuc, jak wciąga się swój ostatni albo pierwszy w życiu oddech. Oddycham nią, jakbym był wisielcem, któremu zdjęto pętlę z szyi. Oddycham jak topielec, któremu pozwolono wykaślać wodę.

I biegnę.

W krzakach coś szeleści. Coś małego, niewyraźnego i ruchliwego. Nie przykładam do tego większej wagi, nawet kiedy umyka z chrobotem gdzieś w głąb skłębionej czerni, która w świetle dnia zmieni się w poplątane soczyste krzewy; mijam to wszystko, szybkim krokiem, wzdłuż ścieżki, pod światłami latarni, które rozbijają mój cień na kilka mrocznych, śledzących mnie albo wyprzedzających sylwetek.

Potykam się, chwieję, łapię równowagę, trzymając telefon jak skarb, jak dziecko, staram się, by nie upadł, zwalniam do szybkiego kroku i wędruję dalej.

Słyszę plusk wody – zbiornik z jednej strony, z drugiej, za barierkami i trawiastym zboczem porośniętym drzewami

rzeka, płytka i coraz mniej żywa – czuję zapach wilgoci, gnijących wodnych roślin. Przez chwile tracę woń dziewczyny, młodej kobiety, ale wraca do mnie kilka metrów dalej, słodki, ale lekki. Delikatny. Zwiewny. A ja staram się, ze wszystkich sił, z całą mocą, nie stracić go. Nie chcę uronić ani odrobinki, choć nie ma to sensu.

Wącham kogoś, kogo tu nie ma, staram się w ciemności nocy usłyszeć śmiech, którego nigdy nie usłyszę na żywo – został tylko na nagraniach i dla mnie pozostanie tam już na zawsze. Gonię ducha, bo czymże innym jest duch, jak nie resztką obecności kogoś, kogo nie ma już w tym miejscu, w tym czasie? Duch to zapach perfum, po którym poznajesz daną osobę (bo nie istnieje dwójka ludzi, na których te same aromaty pachniałyby w identyczny sposób), a których woń wciąż unosi się w powietrzu, niczym ektoplazma. Duch to smak pocałunku, do którego nie doszło, choć się wydarzył, i poczucie dotyku kogoś, kogo nie ma obok i do kogo nawet nie jesteśmy w stanie dotrzeć.

Żyłem otoczony duchami. Żyłem wśród nich. A teraz biegłem za jednym, którego nawet nie mogłem dogonić, na którego nie mogłem spojrzeć, którego nie mogłem dostrzec i nigdy nie dostrzegę, ale którego kocham, jak nigdy nikogo.

Jeśli to nie była prawdziwa miłość, to nie wiem, co mogłoby nią być.

Więc biegnę, wdycham woń, spoglądam na telefon, na wyświetlacz jak gwiazda w czarnej przestrzeni, i nie zatrzymuję się.

Tak wygląda moja randka z kimś, kogo tu nie ma. Randka z duchem.

Przyspieszam kroku.

Jest środek nocy, ludzie dawno już śpią, o ile nie pracują albo nie dają upustu swojemu uzależnieniu od telewizji czy gier, kiedy docieram w kolejne oddalone od cywilizacji miejsce. Tu jest jeszcze ciemniej, jeszcze bardziej pusto, dziko, ale mimo wszystko to wciąż bezpieczne miejsce. W czasach wszędobylskiego monitoringu, w dobie kamer w sklepach, samochodach, domach i przy każdej niemal drodze, z dronami nad głowami i telefonami, które można było namierzyć w każdej chwili, choćby i z innego telefonu, jeśli tylko miało się odpowiedni dostęp, spacer nocą nie był już takim zagrożeniem.

Wdycham zapach, słodką woń jakby mchu i bergamotki, jaśminu i wanilii – tyle mniej więcej rozpoznaję. Niemal czuję ją na języku, w ustach i gardle. Chcę poczuć, posmakować. Chcę dotknąć tego ciepła, chciałbym przekonać się, jak moje dłonie odczułyby skórę tej dziewczyny, jej ciężar i delikatność, i fakt, że to niemożliwe, że nigdy się nie wydarzy, ścisła mi serce i gardło.

Wmawiam sobie, że to z wysiłku, że ten oddech wiążący gdzieś w środku to tylko zadyszka, a w oczy szczypią pyłki albo wieczorne powietrze.

Wiedziałem, w co wchodzi i na co się piszę. Może kiedyś mi się odmieni, życie jest długie, ciężkie i niesie tyle zmian, tyle zmiennych, że tylko głupiec twierdziłby, iż coś na zawsze pozostanie takie samo, ale w tej chwili, a chwila ta trwa już dostatecznie długo, by nazwać ją czymś całkowicie poważnym, nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej.

Więc jestem tu, najpierw na piaskowej ścieżce między drzewami i krzewami, to wznoszącej się, to opadającej, wijącej się niczym wąż; potem schodząc z niej w kierunku miejskiego zalewu, gdzie czerń znów ustępuje miejsca latarniom, a piasek zmienia się w kostkę brukową, i pragnę być tu jak najdłużej, mając miłość swego życia niemal na wyciągnięcie ręki. Zawsze na tę odległość chwili, a jednak poza zasięgiem.

I idę dalej.

Zaczęło się od przeludnienia. I od konkluzji, że podbój kosmosu i terraformacja innych planet są nie tylko zbyt kosztowne, ale i zbyt czasochłonne, by miały rację bytu.

Gospodarka wymagała stałego wyżu demograficznego, by mogła się rozrastać, napędzać i przeć przed siebie, a ciągły przyrost urodzeń doprowadził do zupełnego braku miejsca na planecie. Nie chodziło już o zasoby, przynajmniej nie od momentu rozwiązania tego problemu syntetykami, nie chodziło o zanieczyszczenie, które udało się przekuć w źródło zasobów odnawialnych; po prostu brakowało miejsca.

A potem pojawiło się jedno odkrycie, drugie, trzecie, zbiegły się ze sobą, zostały przekute w ideę, a ideę przemieniono w rozwiązanie. I w tym rozwiązaniu wszyscy teraz żyliśmy.

Jakkolwiek dziwnie i absurdalnie to brzmiało – a brzmiało tak, że od myślenia zbyt długo o tych sprawach z głową człowieka coś mogło się stać – przesunięto część ludzkości, ochotników (choć, jak zawsze w takich przypadkach, wielu wątpiło w dobrowolność ich decyzji) w czasie. Tak to było najłatwiej wytłumaczyć.

Wszystko sprowadzało się do tego, że ludzie zaczęli żyć na tej samej przestrzeni, ale dzielić ją w różnym czasie tak, że nigdy nie mieli się spotkać. Zawsze oddaleni od siebie o czasowy interwał, niektórzy ledwie o dziesiątki sekund, inni o całe lata, być może dekady, kto to wiedział, płynęli dalej tym samym strumieniem czasu, ale znajdując się w zupełnie innych jego punktach i nie mogąc popłynąć w tył.

Widzieli czasem rozbryzgi wody i fale, jakie pozostawiały po sobie osoby na przedzie, jakieś śmieci, które jeszcze nie zdążyły się zautoutylizować, a które miały za kilka chwil zniknąć niczym śnieg w promieniach ciepłego słońca, czasem porzuconą część garderoby, ale nie było tego wiele. Ludzi, którzy pozostawili którykolwiek z tych drobiazgów nikt, kto natknął się na ślady ich bytności w innym momencie czasu, nie był w stanie zobaczyć ani spotkać; nikt poza osobami z ich rzeczywistości. Tak to działało, takie były zasady.

Taki był ten świat.

I tacy byliśmy my. Para, która poznała się w sieci, bo w sieci każdy mógł skontaktować się z każdym (ponieważ ludzie oddzieleni byli od siebie o minuty, godziny, dni, lata, potrzebowali wspólnej przestrzeni, gdzie mogliby skoordynować ewentualne działania); która w sieci się pokochała. I która tylko w tej sieci mogła zobaczyć, jak wygląda.

Związek na odległość niemal na wyciągnięcie ręki, a niemożliwą do przebycia.

Myślę o tym i chce mi się płakać, ale niemal biegnę przed siebie brukowaną ścieżką, pod sodowym, pomarańczowym

blaskiem lamp, wdychając zapach tej dziewczyny, której nigdy nie dotknę. Jesteśmy dla siebie jak duchy, oddzieleni ledwie o trzydzieści sekund, marne pół minuty, krótki czas pozwalający poczuć nam wzajemnie swój zapach, poczuć ciepło dłoni na pozostawionym specjalnie przedmiocie, ale niedającym szans na spotkanie.

Biegnę do miejsca, w którym ona była za moje trzydzieści sekund i wdycham resztki unoszącego się tam aromatu. Wpatruję się w telefon, odczytując kolejne wiadomości od niej, by biec tam, gdzie jest – gdzie będzie albo być powinna – i próbuję wypatrzeć ją gdzieś przed sobą, tam gdzie powinna być przecież za pół minuty, ale to tak nie działa. Gdybym mógł dostrzec ją w dali, jak mogę poczuć jej zapach, równie dobrze ona mogłaby poczekać na mnie te pół minuty w danym miejscu i byśmy się spotkali. Ale nie spotykaliśmy się, nie mogliśmy.

Więc biegnę, biegniemy, a czas biegnie razem z nami, każdy swoim torem. Biegniemy i nie możemy się dogonić, bo zawsze jesteśmy oddaleni od siebie o trzydzieści sekund. Dzielimy tę samą przestrzeń, ale w innym czasie, więc nie możemy podzielić żadnego, nawet najdrobniejszego momentu, choćby przez jedną, krótką, głupią chwilę.

Gdybyśmy próbowali, nie udałoby się. Próbowaliśmy. Tak wszystko zostało skonstruowane.

Bo skoro nic takiego nie zaistniało w jej teraźniejszości, w tej mojej przyszłości, której nie mogłem dogonić w tej chwili, którą dogonię za trzydzieści sekund, kiedy już nie będzie tą przyszłością, jaką chcę dopaść, to przecież nie może zaistnieć w mojej teraźniejszości. To nawet logiczne. Przeszłości ani przyszłości zmienić się nie da, inaczej to

wszystko, całe to egzystowanie obok siebie, nie miałyby najmniejszego sensu.

Nie chcę o tym myśleć i nie umiem przestać zastanawiać się nad tym wszystkim. Nie próbuję zrozumieć mechanizmów, które zgodnie z logiką powinny pozwolić nam na to spotkanie w konkretnie zaplanowanej chwili. Bo skoro możemy zostawić sobie przedmiot, skoro ona mogła zostawiać dla mnie butelki, z których piła, smaku-
jąca jej śliną, biodegradowalne pojemniki ze śladami jej szminki, a potem ja mogłem je znaleźć i się z nich napić; skoro mogłem zostawić dla niej puszkę napoju, z której kilka chwil wcześniej pociągnąłem łyk – chłodną puszkę ze skroplonym na jej powierzchni kształtem mojej dłoni – byśmy mogli wymienić ten pośredni pocałunek, kiedy ona w swoich czasach znajdzie opakowanie, dlaczego nie mogliśmy zostawić tak sobie samych siebie?

Myślę o tym i kręci mi się w głowie.

Czy chodzi o to, że żyjemy? Że nie jesteśmy martwym przedmiotem? Czy te śmieci osadzały się gdzieś na brzegach rzeki czasu, gdzie mogliśmy się na nie natknąć?

A może chodzi o to, że skoro dzielimy jedną teraz-
niejszość za sprawą tych wiadomości, które ona wysyła i czyta w mojej przyszłości, które ja wysyłam i czytam w czasie dla niej przeszłym, i skoro jest to terazniejszość, w której do spotkania nie doszło, dojść do niego nie może? Jak jakaś przeklęta, samospełniająca się wróżba...

Biegnę, światło, cień, światło, cień, wdycham jej zapach. Przystaję, żeby zostawić dla niej drobny upominek. Notuję w pamięci, by następnym razem poczekać i zobaczyć, co będzie, przekonać się, czy zniknie na moich oczach, kiedy dotrze do jej chwili, a na razie biegnę, bo nie ma czasu

na takie rzeczy. To musimy zaplanować, ustalić szczegóły, teraz to niemożliwe.

Piszę, jak bardzo ją kocham. Odpisuje tym samym.

Zastanawiam się, czy kiedyś, w odległej przyszłości, gdy jedno z nas umrze, drugie będzie w stanie chociaż zobaczyć jego/jej ciało złożone w trumnie, przed tym, zanim i ze zwłok pozyskane zostaną wszystkie wartościowe elementy, które jeszcze da się odzyskać i przetworzyć.

Nie wiem. Nie mam pojęcia. Nigdy nie zetknąłem się z czymś takim. A może jednak? Może widziałem trupa, który był z przyszłości za trzydzieści sekund, za minutę, godzinę, i nawet nie miałem o tym najmniejszego pojęcia? Kto mógł to wiedzieć?

Biegnę, jakbym chciał uciec przed tym wszystkim. Przed myślami o tym, że mogę mieszkać w jednym mieszkaniu z ludźmi, którzy są przesunięci ode mnie o kilka, kilkanaście lat, i nawet o tym nie wiedzieć. Że mogę pracować obok osób, które w tym samym miejscu robią dokładnie to samo, ale dopiero za jakąś dekadę

Biegnę i chce mi się krzyżeć. Zwalniam, kiedy zdaję sobie sprawę, że przestałem wdychać jej zapach, że przestałem celebrować naszą najintymniejszą chwilę. I znów go odnajduję, ale coraz słabszy, jakby mój węch przywykł do niego albo sam jej zapach stał się mniej wyraźny.

Tak jest zawsze, ale to nasz rytuał, nasze randki organizowane w takich chwilach i miejscach, gdzie mogliśmy być sami.

Czytam wiadomość, że zostawiła dla mnie prezent, i kilka chwil później podnoszę niewielkie zawiniątko.

Otwórz, jak będziesz w domu ;)

Prosi, więc chowam zawiniątko do kieszeni, drobne, delikatne, pachnące nią, wciąż od niej ciepłe, jakby samo było żywe albo stanowiło cząstkę jej samej, i ruszam dalej przed siebie. Ale chciałbym już je otworzyć, zajrzeć do środka, jak dziecko w gwiazdkowy poranek.

Nie mogę pogodzić się z myślą, że jest tak blisko i tak daleko. Od idei, że moglibyśmy mieć dziecko – to byłoby takie proste, nasienie równie łatwo byłoby przekazać, jak butelkę z napojem – a jednak nigdy się nawet nie dotkniemy. Że nawet jak zamieszkamy razem w tym samym mieszkaniu, nie zobaczymy się, bo ona zawsze będzie trzydzieści sekund przede mną...

(Przez chwilę myślę o alimentach, o płaceniu na własne dziecko, którego nigdy się nie zobaczy ani które nigdy nie zobaczy ciebie, płaceniu tak prostym dzięki wspólnej płaszczyźnie komunikacyjnej, jaką stała się sieć – nikt w ważnych i ważkich sprawach, także finansowych, nie czekałby przecież na odpowiedź latami, choć jednocześnie nikt nie mógł przekazać informacji, jak ktoś z przeszłości mógłby zarobić; automatyczna cenzura w takim świecie była rzeczą nieodzowną, choć pewnie znaleźli się tacy, którzy zdołali ją obejść, w to nie wątpiłem i w tym pokładałem nadzieję dla siebie, dla niej, dla nas).

Biegnę od jednej plamy światła do drugiej, przez noc, przez celowo wybrane bezpieczne miejsca, w których mojej drugiej połowie nic nie mogło się stać, i oddycham jej aromatem. Chcę znów napić się czegoś, co piła ona. Chcę, jak te trzy dni temu, dojeść połówkę pączka, którą dla mnie zostawiła, wciąż ze śladem jej szminki na drożdżowym cieście.

Dostaję wiadomość, a w niej zdjęcie jej zza trzydziestu sekund, pięknej nawet w pomarańczowym blasku, z rozwianymi włosami, w miejscu ledwie trzydzieści, może czterdzieści metrów oddalonego od punktu, w którym jestem, więc wysyłam jej zdjęcie siebie. Beznadziejnie wychodzę, rozmazany, niewyraźny, z miną, której można się tylko wstydzić.

Mrok jest gęsty, krzewy szeleszczą, jakby coś się w nich kryło i czekało, ale to tylko pustka, natura, życie.

(Czy psy i kaczki, koty, krowy i świnie, czy część z nich też jest oddalona ode mnie o trzydzieści sekund, czy może jakoś inaczej to działa?)

Wymieniamy informacje, dwa duchy (kto wie, czy nie tym właśnie duchy były w rzeczywistości; jakimiś ludźmi wyrwanymi na chwilę, częściowo spoza własnego czasu), dwie zagubione dusze, biegniemy, szybko maszerujemy, wymieniając się, czym możemy. Czasem były to filmiki, słyszałem na nich jej głos, odtwarzany jakby to działa się na żywo, czasem zdjęcia; nigdy nie mogliśmy jednak wykonać połączenia głosowego, tak to niestety działało. Działa. Działać będzie.

Jest, tak po prostu jest.

Wysyłam jej buziaka, odpisuje mi tym samym. Wysyłam kolejnego, ale przychodzi zupełnie nieoczekiwana odpowiedź.

Uciekaj!

Nagle, ściskające serce, wybijające z rytmu: *Uciekaj!*

I kolejna:

Coś się dzieje... Coś jest nie tak... Coś... To jest wielkie, gigantyczne, to... Boże, uciekaj!

I nic więcej.

Piszę do niej, dwie sekundy na wstukanie odpowiedzi, zawsze odpisuje od razu, ale nie tym razem.

Nerw ściska mi gardło. Coś się musiało stać. Coś poważnego. Coś...

Kazała mi uciekać, ale... Od momentu, z którego do mnie napisała, dzieli mnie dwadzieścia sekund, może mniej, gdzie miałbym niby uciekać? Zresztą, jeśli coś się jej stało, jeśli...

Nie chcę o tym myśleć. Chcę w ogóle nie myśleć.

Piszę wiadomość za wiadomością, ale pozostają nieodczytane. Może nie istniały granice czasowe, w jakich miała je odczytywać i reagować na nie, ale...

Szesnaście sekund.

Cokolwiek się stało, stało się coś wielkiego, kto jak kto, ale ona nie miała skłonności do przesady. Ale jeśli stało się coś tak ważnego w przyszłości, chyba poinformowaliby ludzi, szukaliby sposobu zapobieżenia temu, ratunku. Tak to musiało działać, nawet jeśli się o tym nie mówiło.

Przecież jeśli wydarzyło się to za trzydzieści sekund, musiało wydarzyć się wcześniej (później?) za dzień, za tydzień, miesiąc, rok... Musiało...

Chyba, że jej rzeczywistość była najbardziej wysunięta na przód, najodleglejsza, najdalsza i jeszcze nikt tego nie odkrył. Jeszcze. A wtedy znajdą na to rozwiązanie i...

Nie, gdyby znaleźli, nic by się nie stało.

Dziewięć sekund.

A co jeśli wydarzyło się już dawno, w jeszcze dalszej przyszłości i może wszyscy o tym wiedzieli, ale ratunku

nie było, więc nikogo nie informowano, by nie wywołać paniki? Bo i co ta panika by dała?

A może to przez nas się zaczęło? Może przez nasze próby dogonienia się, przez moje chęci sprawdzenia, co stanie się z prezentem, co nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy?

Sześć sekund.

Albo to tylko żart? Gra? Test?

Pięć sekund.

Może nie stanie się nic. A może stanie się wszystko.

Cztery sekundy.

Tkwią w tej chwili, jak ten kot w pudełku należącym do Schrödingera, i wydarzyć może się dosłownie wszystko. Możemy za chwilę umrzeć i możemy spotkać się, bo czemu nie.

Trzy sekundy.

Możemy żyć i może skończyć się wszystko.

Dwie sekundy.

Możemy spotkać się znów jutro albo jutra po prostu nie będzie. Może zniknie czas, a może się zmieni.

Jedna sekunda.

Może...

Zero.

MICHAŁ P. LIPKA

WINDING ROAD

Kiedy umarła, przykryli jej ciało prześcieradłem, jakby mogło jej jeszcze zrobić się chłodno, i zamknęli pokój. Następnie, w blasku dogasającego dnia, usiedli przy stole, jakby to była naturalna kolej rzeczy, i na okrywającej blat kwiecistej ceracie postawili butelkę schłodzonej wódki. Nie wypili jej jednak – zmrożone szkło ociekało szronem niczym łzami i coś w ich gardłach ścisnęło się nieprzyjemnie, skręciło i zdławiło na chwilę oddechy.

Starszy przyłożył dłonie do oczu, ciężko wzdychając, i zaczął trzeć je, jakby chciał odgonić mroczki z pola widzenia. Przesunął dłońmi przez czoło, które wydało mu się niepokojąco rozgrzane i spocone, i dalej, przez włosy. Złapał się za siwiejące, choć nie tak jak jego broda, kosmyki, zacisnął pięści, aż poczuł kojący ból, westchnął i wyprostował się gwałtownie na skrzypiącym krześle, odchylając głowę do tyłu.

Nic z tego, co robił, nie miało sensu, bo nie mogło w niczym pomóc, ale robił to, co czuł i jak to czuł.

W życiu nie wszystko musi mieć sens. W życiu niewiele rzeczy sens ma naprawdę.

Młodszy tylko siedział, jakby skulony w sobie, nagle poszarzały i sprawiający wrażenie skrytego w cieniu. Głowa spuszczone, twarzy nie było widać, tylko te ręce, złożone, z palcami splecionymi niczym odnóża pająka, rzucały się w oczy nerwowymi ruchami.

Obaj milczeli. W tej szczególnej porze nicości, tuż po zejściu słońca, a jeszcze przed pojawieniem się blasku ulicznych latarni, niczym w chwili przed świtem, kiedy noc jest najczarniejsza, wyglądali, jakby czas się dla nich zatrzymał. Jakby sami też zmarli, tylko jeszcze o tym nie wiedzieli. Aż w końcu odezwał się Starszy.

– Musimy ją pochować.

Głos miał zachrypnięty, pusty.

Może spodziewał się, że Młodszy zaprotestuje, a może miał nadzieję, że chociaż cokolwiek powie, ale tamten tylko skinął głową. Nigdy zresztą za wiele nie mówił.

– I to jak najszybciej – dodał więc Starszy.

Młodszy znów kiwnął głową, niemal w ogóle jej nie podnosząc. Przyjęcie pozycji wyprostowanej zajęło mu dłuższą chwilę.

– Teraz? – zapytał w końcu.

– Jak ludzie pójdą spać.

Przynajmniej ci, którzy spać chodzą. Na resztę nie mogli i tak nic poradzić, więc Starszy postanowił się nimi nie przejmować. Jego życiowa filozofia przejmowania się tylko tym, na co mógł mieć wpływ, była może i o kant dupy potłuc – każdy, kto próbował przekonać emocje do swoich racji, wiedział o tym doskonale – ale starał się ją

realizować jak najbardziej sumiennie. Bo co więcej mu zostawało? Teraz, po śmierci, której żniwo stygło w pokoju obok, nie miał już właściwie nic.

Spojrzał na butelkę wódki i cisnął nią do zlewu. Nie rozbiła się, ale nie ryzykowałby już picia z niej. Zresztą nieważne.

Za oknami pociemniało. Rozbłyły uliczne latarnie.

A oni po prostu siedzieli przy stole i w ciszy patrzyli na życie, jakie im zostało, jak nigdy dotąd nie mieli okazji.

Kiedy była młodsza, długie lata przed tym, nim w jej włosach pojawiły się pierwsze pasemka siwizny, a blask jej oczu przygasł, była tą ładną, spokojną dziewczyną, którą ujrzał w szkolnej bibliotece.

Nigdy nie dowiedział się, co czytała, ale kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, siedziała pochylona nad książką, z włosami rozświetlonymi złotym blaskiem wpadającym przez okna.

Stał i patrzył na nią spomiędzy regałów, udając, że wcale go tam nie ma, chociaż biblioteka była mikroskopijna, jak to szkolne biblioteki, i musiał rzucać się w oczy. Więc udawał, że szuka czegoś na półkach. Usta miał suche, ręce zimne, mokre i drżące, a w piersi serce biło mu jak oszalałe. Bał się, że go słyszy – pewnie go słyszała, ale o to też nigdy jej nie spytał, a teraz zapytać już nie będzie w stanie, nigdy, choćby o najdrobniejszą rzecz, uświadomił to sobie i była to

jedna z najbardziej bolesnych myśli w jego życiu – ale jeszcze bardziej bał się odejść.

Nie odezwał się wtedy do niej, choć miał obawy, że już jej nie zobaczy – dotąd jakoś nie dostrzegł jej w szkole, więc skąd miał mieć pewność, że znów się spotkają – ale zobaczył. A potem...

Teraz byli tu, przy jej łóżku, nad jej zwłokami, zapadniętymi i nieruchomymi, bez śladu osoby, którą była jeszcze kilka godzin temu. Umyli ją i przebrali, pocąc się przy tym w nieznośnym upale, a potem owinęli w prześcieradło jak w całun.

Ale chociaż wraz z ostatnim oddechem przestała być człowiekiem, którego znali i kochali, jej ciało, jego kształt i dotyk za bardzo przypominało o przeszłości, więc kiedy wynosili ją z domu i jak worek ze śmieciami albo ziemniakami kładli na starej taczce, obok łomu, ucisk w gardle powrócił ze zdwojoną siłą.

Ulice miasta po zmierzchu były niemal puste. To był pierwszy, zasadniczy plus. Drugi był taki, że mieszkali już właściwie na obrzeżach miejsciny i sąsiadów mieli niewielu. A to, że ich miasto było właśnie miejsciną, ot kilkunastotysięczną zaledwie, też nie było bez znaczenia. W takich miejscach jak to łatwiej było coś ukryć.

Furtka posesji wychodziła na mocno oświetloną latarniami ulicę, więc przepchnęli taczkę w przeciwnym kierunku, przez trawę i podlaną popołudniem ziemię, na której rosły cukinie, kilka krzaków pomidorów i płątanina zielonych, drapiących pędów ogórków. Starszy wdzięczny był teraz za przedłużającą się chwilę lenistwa, przez którą jak dotąd nie naprawił chwiejącego się po niedawnym podmyciu gruntu płotu. Wystarczyło

poruszać słupkiem ogrodzeniowym, wyciągnąć go z ziemi i już można było unieść siatkę i przepchnąć pod nią taczkę. Za taczką przeszli oni dwaj. Starszy wcisnął słupek na miejsce, uderzając pięścią od góry, żeby mocniej wbić go w ziemię. Niewiele to dało.

Od tej strony posesji biegła piaskowa droga, przy której stało kilka porośniętych albo owocowymi drzewkami, albo tujami posesji. Zza roślin, jak i przez nie, niewiele było widać. Latarnie stały rzadko, rzucając więcej cieni niż światła wszystkiemu, co się wokół nich znajdowało. Kiedy więc szli między nimi, jak między osobliwymi, nieruchomymi strażnikami, cienie na prześcieradle drgały i tańczyły, jakby Zmarła oddychała.

Starszy starał się na nią nie patrzeć. Młodszy wzrok utkwiony miał gdzieś w ziemi przed swoimi nogami, jakby piasek i kamienie były ciekawsze niż cokolwiek innego. Jeśli któryś z nich płakał, drugi tego nie widział. Szli w milczeniu, szybkim krokiem, pchając taczkę na zmianę, jakby każdy chciał mieć jak największy udział w tym, co się działo. Starali się szybko zniknąć z ewentualnego pola widzenia. I równie mocno starali się nie wydawać żadnego dźwięku, który mógłby zwrócić na nich uwagę.

Domy się skończyły, latarnie jeszcze bardziej odsunęły się od siebie, a dróżka stała się węższa. Porośnięte czarną o tej porze zielenią posesje zmieniły się w łąki i sady i nagle zapadła całkowita cisza. Zniknął dźwięk telewizyjnych ekranów, zniknęły rozmowy słyszane niewyraźnie przez uchylone okna, umilkły libacje, nawet odgłosy miasta zdawały się ginąć gdzieś w narastającej gęstwinie, której od pewnego czasu służby miejskie bały się kosić.

– Teraz cicho – szepnął Starszy. A może nawet nie szepnął, może tylko pomyślał, sam nie był pewien, bo Młodszy nawet nie skinął głową.

Ale to było oczywiste. Cicho i szybko. Tak musieli się poruszać. Do cmentarza od tej strony mieli jeszcze ponad kilometr, w zasadzie niewiele – ot, dziesięć minut spacerkiem – ale nie w tym miejscu i nie o tej porze.

Przecisnęli się przez wyrwę w napotkanej siatce, za którą dróżka biegła dalej, i ruszyli w ciemność.

Stary sad, który przecinała dróżka, rozrósł się przez lata. Na wschód rozciągał się skłębiony i gęsty, niczym wełna na dziko żyjącej owcy, na zachód było go mniej, dwa, może trzy metry, ale kończył się głębokim rowem, za którym zaczynał się jeszcze gęstszy zagajnik. Szli więc ścieżką jak najszybciej, choć w ciemności coś drżało, poruszało się, zaczynało wydawać odgłosy. Coś żywego, pełnego skręconych supłów mięśni i wezbranych krwią żył, a jednak nienaturalnego, jak maszyny, z których tkanek wyrastają włosy.

Starszy nie powiedziałby, że się boi. Odkąd zmarła, był zbyt odrętwiały, by się bać.

Coś w rozłożystych krzewach kilka metrów od miejsca, które przecinali, zakotłowało się, ale niemal w tej samej chwili zniknęło w płataninie liści i gałęzi. Zaraz jednak rozległ się dźwięk, który musiało wydać coś większego i zdecydowanie cięższego. Odgłos jakby ocierania się, pękającej kory i wgniatanego gruntu. Kształt, którego ludzkie oko nie rozumiało, zamajaczył w ciemnościach, w mroku błysnęło to, co z braku lepszego określenia można było nazwać oczami, a poniżej tych oczu coś zaczęło się rozwierać, ale oni już przepychali taczkę przez

kolejne rozdarcie w siatce i chwilę potem precyzyjnie się za nią na otwartą przestrzeń.

Tu nie byli bezpieczni, ale bezpieczniejsi. Mogli westchnąć z ulgą, ale nie mieli po co.

Młodszy poprawił prześcieradło, które zsunęło się odrobinę w trakcie przejścia. Zdjął samotny liść, który spadł na całun. Starszy pchnął taczkę i szli dalej.

Kiedy żyła, pachniała czymś słodkim i odurzającym. Szczególnie na karku i brzuchu.

Kiedy żyła, kochała zielen lasów i woń czystej, płynącej rzeki.

Kiedy miała wypadek, Starszy patrzył na but, jaki został mu wręczony na komendzie policji, i płakał. I nie mógł potem przez dłuższy czas patrzeć na te jej buty, nawet kiedy wróciła całkowicie do zdrowia i uśmiechała się jak przed wypadkiem. Dużo czasu minęło, zanim przestał widzieć w jej włosach kryształą stłuczonej szyby samochodowej i zanim przestał budzić się w nocy, by nasłuchiwać, czy na pewno jeszcze oddycha.

A teraz nie oddychała.

Kiedy ją zobaczył, był złościście słoneczny dzień. Kiedy miała wypadek, dzień był ciepły i soczyście wiosenny. Kiedy umierała, towarzyszył jej letni upał. Nie wiedział, czy to bardziej jej, czy jego życie przebiegało w cieniu zbyt pięknej jak na tragedie pogody, ale nawet w tym momencie, kiedy szli, pchając taczkę z jej doczesnymi szczątkami, noc wyglądała, jak wyglądać

mogą idealne noce. Rozgwieżdżone niebo bez żadnej chmurki, księżyc w trzeciej kwadrze i czystość czerni, która aż wyciskała łyzy.

Cmentarz znajdował się już niemal za miastem. Prowadziły do niego dwie główne drogi i tereny porośnięte łąkami i krzewami, wysoką trawą i dzikimi ziołami, które za parę lat, wraz z przybywaniem zmarłych, przeistoczą się w cmentarny plac. Tu, gdzie teraz mijali uschłe kikuty drzew, kiedyś będą stały krzyże i znicze.

– Rano będziemy musieli zgłosić, że zaginęła – powiedział szeptem Starszy.

I znów szli w milczeniu.

Czasem w mroku coś przemknęło, ale zbyt szybko i zbyt daleko, by było czymś więcej niż ruchliwym cieniem. Czasem coś wydało dźwięk, od którego cierpła skóra, to znów coś mglistego, jakby nie do końca realnego snuło się przez chwilę w oddali, by zniknąć niczym miraż.

Stawali wtedy i rozglądali się, czekali, gotowi się bronić, ale mieli szczęście i atak nie nadchodził. Starszy chciał wierzyć, że to była ochrona, jaką roztoczyła nad nimi Zmarła, choć bardziej prawdopodobne było wytłumaczenie, że zapach zwłok budził w stworzeniach więcej ciekawości, niż chęci skrzywdzenia ich.

Znajdowali się ledwie kilkadziesiąt metrów od cmentarza, z oddali widząc zarys bryły zbudowanej w jego centrum kaplicy, kiedy Starszy usłyszał ten metaliczny odgłos. Reszta była odruchem, szybkim wepchnięciem taczki w krzaki, tuż za niski murek. I równie szybkim wyprostowaniem się, udawaniem, że tylko idą i że nic

się nie dzieje. Może wracają skądś, może dokądś podążają, nieważne.

Przemknęli się w bezpiecznej odległości, starając się iść z pewnością siebie, bo to najlepsze, co mogli zrobić. Kiedy w końcu zagrożenie zniknęło, zawrócili, wyciągnęli taczkę z ukrycia i ruszyli przed siebie.

Dopiero wtedy Starszy poczuł, jak wali mu serce i jak bardzo jego ręce zlał pot. Niemal tak, jak wtedy, kiedy widział ją pierwszy raz, jakby życie zatoczyło osobliwy krąg.

Cmentarz został nazwany *Winding Road*, bo znajdował się na obrzeżu miasta, gdzie od pól i łąk zawsze wiał wiatr. Ale i dlatego, że w dzisiejszych czasach niczego nie nazywano już po polsku – język angielski niemal przeniknął wszystko, jak niegdyś zapomniana już niemal zupełnie łacina. Nad cmentarną bramą nie pysznił się zatem napis *Wietrzna droga*, niczym osobliwa karykatura drogi prowadzącej do miejsca wiecznego spoczynku, a *Winding Road* właśnie.

I dlatego też czasem miejscowe dzieciaki nazywały to miejsce *Widowing Road*, mając na myśli bardziej *drogę prowadzącą do wdowieństwa*, niż *rozszerzającą się*. Tak przynajmniej rozumiał to Starszy. Ale graffiti z takimi napisami szybko znikały z otaczającego cmentarz muru, zbudowanego z czerwonej cegły, jakby kogokolwiek mogły one oburzyć.

Teraz nie było żadnych napisów, tylko te wycięte w metalu ciężkie litery osadzone w łuku rozpiętym nad

wiecznie otwartą furtką. Bramy wjazdowe zamknięte były zawsze – polityka władz dopuszczająca tylko zaprzyjaźnione firmy pogrzebowe – ale furtki nigdy.

Wjechali taczką i klucząc wąskimi, czarnymi jak noc alejkami, znaleźli grób, który nadawał się do ich celów. Zwykły pomnik, jakich wiele, zaniedbany, nieodwiedzany przez nikogo od wielu lat, zapomniany i osamotniony. Takich nagrobków nie brakowało nigdzie. Ten na dodatek był dostatecznie stary, by łatwo było go otworzyć łomem, przywiezionym ze sobą w taczce. Odwinęli go z materiału, w który Starszy oblekł go, by w drodze nie robił hałasu, i podważyli kamienną płytę. Była ciężka i masywna, ale łatwo ustąpiła.

W czarnym otworze grobu ukazała się im stara trumna, przegniła, zakurzona i spękana. Młodszy załamał ją solidnym uderzeniem obutej stopy, bez chwili zawahania. Zmarłemu i tak już wszystko jedno, powiedział sobie, jakby potrzebował przekonania. Zresztą to była tylko trumna.

Następnie podnieśli ciało Zmarłej i ostrożnie zanieśli do grobu. Jeszcze spojrzeli na nią, odsłaniając twarz, po raz ostatni złożyli pocałunki na chłodnej skórze, która nie przypominała już skóry człowieka, skinęli głowami, zmawiając krótką modlitwę, i umieścili płytę na swoim miejscu. Zazgrzytała upiornie, niosąc się wibracją wzdłuż kości i do zębów, ale cisza, która zaległa chwilę potem, była niemal kojąca.

– Wracamy? – zapytał Młodszy.

Powinni. Nie powinni tutaj stać, bo ktoś mógł ich zobaczyć, a wtedy wszystko by się wydało, czego przecież nie chcieli. Ale Starszy tylko pokręcił głową.

– Jeszcze chwilę – wymamrotał, dusząc w sobie cisnące się do oczu łzy.

Nie chciał jeszcze wracać, ani nie chciał się rozstawać ze Zmarłą. Oczywiście, że to było niemądre, ale był tylko człowiekiem. Gdyby nie ulegał emocjom i zawsze kierował się czystą logiką, rozumem, nie byłoby ich tu. Ani nie czekałyby ich dalsze trudności. Ale był człowiekiem, czuł, kochał i potrzebował być jeszcze w tym miejscu, choćby tylko chwilę.

– Myślisz, że nas złapią?

Nie myślał nad tym, ale też – jeśli miał być szczery – nic go to nie obchodziło. Był człowiekiem starej daty, urodzonym jeszcze na przełomie XX i XXI wieku, pamiętał czasy, kiedy ludzie nie płacili kartami ani chipami, i sam nadal używał pieniędzy, jak używało się ich kiedyś. I kochał tak, jak kochało się lata temu.

Więc chociaż wiedział, że tak trzeba, że powinien oddać ciało, by służby mogły wyekstrahować z niego to, co wyekstrahować jeszcze się da, żeby zasilić grunt i maszyny, nie chciał i nie zamierzał tego robić. Nie. Ona zasługiwała na pogrzeb, na pochówek, naturalny rozkład w grobie, tak, żeby mógł się pomodlić nad jej ciałem, wiedząc, gdzie w ogóle ono jest. Owszem, nawet po ekstrakcji dostałaby własny grób na pamiątkę, ale ten byłby pusty. I jakie miałby znaczenie?

Mogli zostać złapani, schwytani przez mechanicznych policjantów, którzy snuli się ulicami w dzień i w nocy, reagując na to, co wydawało im się podejrzanе. Łatwo było ich obejść, tak jak i łatwo było obejść kiedyś prawdziwych policjantów, może nawet łatwiej, ale sama

ich obecność wywoływała w ludziach dość niepewności, by przestępczość spadła.

Mogli też zostać zabici, bo od czasu deepwebowego incydentu nocą w zbyt wielu miejscach było niebezpiecznie, dlatego tak niewielu wychodziło jeszcze po zmroku. Ale po jej śmierci nie czuli, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Czy życie miało jeszcze jakiś sens, kiedy sens umierał?

Stali więc w milczeniu i patrzyli na grób, choć powinni iść, zanim zjawi się jakiś mechaniczny gliniarz. Powinni już iść i tym razem nie przedzierać się przez las, gdzie kryły się te stworzenia, tylko normalną, dobrze oświetloną drogą wrócić tam, skąd przyszli. Ale czy pójdą? Starszy nie wiedział, jeszcze nie. Teraz, kiedy nie miał już ciała do pochowania, a zatem i jakiegokolwiek celu, nie bał się, że to, co kiedyś zrodziło się w odmętach deep webu, po tym jak internet stał się samoświadomy, niczym gigantyczna sieć neuronowa, może mu zagrozić. Ludzie mówili, że to bestie z piekła rodem. Istniała teoria, że kiedy sieć stała się niezależnym bytem, zrodziło się w niej dobro i zło, a wraz ze złem przebudziło się coś, co nie miało prawa istnieć. I zanim ktokolwiek się zorientował, opętało drukarki 3D, sprowadzając na ten świat stworzenia, które zrodziły się z miejsc i rzeczy, jakich ludzie nie byli w stanie nawet pojąć. Ale czy to miało go przerażać? Ludzkość zdołała opanować większość tego zagrożenia – zagrożenia, które unikało światła dnia i chętnie trzymało się na obszarach, na które ludzie nie musieli się zapuszczać – a ludzkość wciąż jeszcze miała wiele do stracenia. On nie miał nic, więc i bać się nie miał czego.

A kto wie, może i chciał śmierci? Może pragnął odejść z tego świata, na którym nie zostało już nic z miłości i ludzkości, w jakie wierzył? Może chciał iść przez sad, jak te dzieciaki, które przecinały siatki, by sprawdzać za nimi swoją odwagę albo przekonać się na własnej skórze o czymś paranormalnym? A może jeszcze nie wiedział?

Nie miało to znaczenia. Na razie po prostu chciał stać, w ciemności, która sprawiała, że czuł się naprawdę sobą, jakby noc i gwiazdy obnażyły go doszczętnie, więc stał, a wszystko inne mogło nie istnieć.

MICHAŁ P. LIPKA

WŁOCHATE FASOLKI

Stukot kół pociągu był równie miarowy, jak kołysanie się wagonów, niemal usypiający, hipnotyzujący. Ale tkwili w tym wszystkim już tak długo, że nie zwracali już na to najmniejszej uwagi. Z czernią nocy za oknami, w żółtawym blasku oświetlenia, z wnętrzem pociągu i swoimi twarzami odbitymi w szybach, jakby były zwierciadłem, jechali przed siebie, siedząc przy stolikach wagonu restauracyjnego.

Jechali i czekali.

– On kiedyś sobie coś utnie, przekonacie się – powiedział Józek, spoglądając w stronę blatu, przy który pracował Roman.

Problem z Józkiem był jednak taki, że zawsze przepowiadał podobne incydenty, więc nikt już w nie nie wierzył. On jednak się tym nie przejmował i dalej uprawiał swoje czarnowidztwo, którym zajmował się najpewniej od chwili, gdy sam doświadczył podobnego wypadku przy pracy.

– Chwila nieuwagi i cała poduszczyk palca wskazującego leżała na desce do krojenia – powtarzał co jakiś czas i zawsze pokazywał przy tym palec. Rana zarosła się, ale skutki widoczne były do dziś. Podobno nawet nie miał w tym miejscu czucia.

Roman siekał mięso i warzywa. Używał do tego tasaka, jakby był jakimś rzeźnikiem, do którego jeszcze bardziej upodabniał go zachłapany fartuch. W garnku obok gotował się ryż.

– Chop suey? – zapytał Grzesiek, krzywiąc się z niesmakiem, kiedy Roman wreszcie zaserwował danie, stawiając parujące talerze na żółtych blatach przed resztą kolegów po fachu.

Grzesiek miał wąsy, miał okulary i wyglądał jak typowy hipster, a gotował tak, jak wyglądał. Jeśli któreś danie zawierało nadmiar jarmużu, całą masę jagód goi czy komosy ryżowej, wiadomo było, kto je przyrządził.

– Dobrze, dobrze! – zaśmiał się Józek. – Masz poczucie humoru, serio, plus ode mnie, Romek! No to jakie mięsko tu mamy?

– Chyba to oczywiste, wołowinę. – Roman puścił oko. – Nie widać?

Józek pokazał mu uniesiony kciuk.

I wszyscy zabrali się do jedzenia.

Program nazywał się po prostu *Gotuj*. Nic więcej, jedno słowo, które miało wpadać w ucho, w oko, resztę robiła formuła.

Jeśli coś nie zostało do tej pory zrobione w telewizji, twórcy tego programu właśnie to robili. Grupka kucharzy,

która przeszła eliminacje, podpisywała zgodę na udział w całej masie rzeczy, które mogli, ale nie musieli zaserwować im twórcy. Ot, żeby ewentualne spojlerzy przyszłych odcinków nie wyciekły gdzieś do sieci. W pierwszym sezonie zawodnicy mieli wymyślić, jak przyrządzić danie, siedząc na tylnym fotelu fiata 126p, którym kierowca rajdowy szalał po nierównym terenie. Jeden kucharz wpadł na pomysł, że da radę gotować w tych warunkach na turystycznej butli gazowej. Na szczęście został zdyskwalifikowany, zanim skutecznił swoją ideę.

W drugim sezonie kucharze mieli za zadanie ugotować piękne dania, których nie da się jeść, a potem bez nadziejnie wyglądające posiłki, coś, od czego aż się miało robić niedobrze, ale za to smakowałyby wybitnie.

Potem było przygotowanie dania pod wodą, w specjalnie przygotowanym basenie. Jeszcze później kucharze w każdym odcinku trafiali do wybranego kraju, nieświadomi jakiego, gdzie mieli odnaleźć się wśród tutejszego rynku i stworzyć urzekające talerze. Przy kolejnej okazji musieli wykazać się znajomością natury, kiedy rzuceni na łąkę, w pobliże sadu, mieli za zadanie znaleźć odpowiednie składniki, a dopiero potem przygotować z nich serwis.

A teraz mieli odbyć lot samolotem, wejść w stan nieważkości i spróbować w kilka minut, jakie w nim spędzą, sporządzić danie, które zachwyci jury.

To była wielka atrakcja, program kulinarny zmienił się w widowisko, a kucharze zgłaszali się do niego, by przeżyć przygodę, jakiej nie przeżyliby być może nigdy.

Więc teraz byli tu, w pociągu, który mknął przed siebie w mroku nocy, ze stacją docelową niedaleko lotniska,

w którym zacząć miał się ostateczny etap. Gotowali i jedli, ot, żeby zadbać o formę i przekonać się, co potrafią przeciwnicy. Żeby przetrwać podróż.

I tak mijał im czas.

Czasem pociąg zatrzymywał się w ciemności, na krótkie chwile, czasem ktoś z niego wysiadał – nie wsiadał nikt – czasem coś wpadło pod koła, więc musieli przystanąć, ogarnąć problem, by ruszyć parę minut potem, jakby nic się nie stało.

Zazwyczaj jednak jechali dalej, przed siebie, tak po prostu, niewzruszenie i przede wszystkim spokojnie, siedząc, rozmawiając, śmiejąc się i jedząc, bo niby co więcej mieli robić?

– Warzywa są trochę przeciągnięte – powiedziała Agnieszka, powoli przeżuując chop suey. – Ale poza tym całkiem do rzeczy. Za proste jak na ten program, ale do rzeczy.

Zawsze mówiła to, co myślała, choć nie mówiła dużo. Skupiała się na sednie, na działaniu. Kiedy coś robiła, musiało być zrobione perfekcyjnie, inaczej nawet nie próbowała tego podawać, więc wszyscy mieli ją za faworytkę tego sezonu. Tym bardziej, że nie ograniczała się do jednej kuchni, wciąż szukała, eksperymentowała, bawiła się...

Reszta po prostu jadła w milczeniu.

Mięso było trochę twarde, dziwne w smaku, ale całkiem smaczne.

Jako kolejne danie Roman podał koftę. Po mięsie, grzybach i warzywach z ryżem, kofta w stylu bośniackim, ale bez serwowania na surowo, nie miała zbyt sensu – nie, biorąc pod uwagę restauracyjny *savoir vivre* i kolejność serwania dań – ale tak to tutaj wyglądało. Kuchnia w specjalnie przygotowanym dla nich pociągu nie była zbyt dobrze wyposażona, bo i nie było takiej potrzeby, więc tworzyli, co mogli, z tego, co mieli pod ręką. Agnieszka zaserwowałaby pewnie pyszny, lekki deser zrobiony z mięsa – już to zresztą raz zrobiła – ale Roman był w swoim gotowaniu dość toporny, choć każdy musiał przyznać, że skuteczny. Inaczej w ogóle nie zakwalifikowałby się do *Gotuj*.

Ktoś z obsługi pociągu minął ich, ciężko wzdychając. Idąc, przecierał powieki, szedł powoli. W końcu zniknął im z oczu. Usłyszeli szum otwieranych drzwi przedziału, potem dziwne odgłosy, jakiś metaliczny szcęk, wreszcie spokój.

Kto spojrzął za członkiem załogi, już odwrócił wzrok, znów skupiając się na talerzu. Większość oczu w ogóle zignorowała jego obecność.

Kilka minut później pociąg przejechał po czymś ciężkim – znali już ten wstrząs, rozpoznawali go bezbłędnie – zazgrzytały hamulce, pisk zatrzymywania się maszyny można było poczuć w zębach. Składem szarpnęło, szarpnęło wnętrzościami pasażerów, niektórym posiłki podeszły do gardeł, ale ostatecznie pozostały na swoim miejscu. Ktoś wysiadł, zaczęła się krzątanina, mająca na celu jak najszybsze rozwiązanie problemu, aż w końcu pociąg znów ruszył, ciągnąc wagony w noc.

– Oho – powiedział Józek. – Świeże mięsko.

I znów jechali dalej.

Tylko mijający ich kilka, może kilkanaście minut wcześniej pracownik nigdy już się nie pojawił.

Deser wyglądał jak fasolki – jak włochate fasolki – i kiedy rozgryzało się cukrową otoczkę, słonawa, ale mdła zawartość rozlewała się po języku. Tak smakowały tylko rzeczy organiczne, coś, co znajdowało się wewnątrz organizmu i z rzadka tylko było w stanie go opuszczać.

Może to były odwłoki pajaków, a może larwy jakichś stworzeń, jajka owadów albo guzy wycięte ze zmienionych chorobami jelit, ale w cukrowej otoczce, karmelizowane, mogły uchodzić za deser. W tym programie mierzyli się już z nie takimi kulinarnymi wyzwaniem.

– Zajmę się mięsem – powiedział Roman i zniknął w kuchni. Wcześniej pracownicy pociągu wtaszczyli tam coś owiniętego w czarną folię (coś dużego i ciężkiego) i zostawili w jego rękach.

– Tym trzeba się porządnie zająć – powiedział Roman jakiś czas temu. – Kiedy ktoś ginie pod kołami pociągu, mięso trzeba obrobić szybko. I trzeba wiedzieć, jak pozbyć się odchodów. Bo kiedy taki ciężar przejedzie po jelitach... No niesmaczny to widok, zaufajcie mi.

Nie rozmawiali z nim o tym. Chciał się zająć tym wszystkim, jego sprawa, przynajmniej miał co robić.

Wrócili do jedzenia. Skończyli, popili napojami, których w pociągu było pod dostatkiem – słodkimi, ciężkimi, niezdrowymi, ale przynajmniej wiadomego pochodzenia – i jak gdyby nigdy nic kontynuowali podróż.

Siedzieli na fotelach, miękkich i twardych jednocześnie, jak to wszystkie fotele we wszystkich środkach komunikacji publicznej, i wyglądali przez okna. Nowy pociąg z dużymi, panoramicznymi oknami, miał gwarantować podróżnym doskonały widok na mijane krajobrazy, ale w ciemności nocy za szybami była tylko czern. Czasem jakieś gałęzie pobliskich drzew odbijały od siebie światła pociągu, wyłaniając się w ciemności jak biała macka, ale poza tym nie byli w stanie dostrzec niczego więcej. Żadnych świateł domów w oddali, żadnych samochodów, sylwetek ludzi, nic. Tylko czern, gdziekolwiek sięgnąć okiem, i własne twarze odbite w szybie.

– No dobra, to kto gotuje rano? – zapytał Józek. – Jacyś chętni, czy robimy losowanie?

Większość zebranych wzruszyła ramionami. Gotowanie to była pasja ich życia, ich zawód, wszystko, co robić kochali i chcieli, ale to już robiło się nudne. Ta monotonia ich dobijała, choć starali się robić dobrą minę do złej gry.

Ktoś włączył znajdujący się w przedziale ekran odbiornika telewizyjnego, ale zaraz wyłączył go. I tak niczego nie wyświetlał.

Ktoś inny wyjął telefon. Ktoś dopijał puszkę napoju. Kilka osób zbiło się w grupkę i rozmawiało.

Byli tacy, którzy zastanawiali się, kiedy dotrą do celu. Inni obstawiali, kiedy kolejna osoba wyskoczy albo wysiądzie z pociągu i zniknie na dobre, jakby rzuciła się pod koła, zmieniając żywą, oddychającą i myślącą istotę w krwawą mielonkę. Większość jednak po prostu czekała.

– No dobra, nie ma chętnych? – upewnił się Józek, rozglądając po twarzach zebranych. – No to chyba mamy porę losowania!

I sięgnął po paczkę w większości pokruszonych solonych paluszków, które miały posłużyć do ciągnięcia niczym słomki, patyczki albo zapalki, i zaczął podchodzić do kolejnych pasażerów, jakby on rządził tym wszystkim.

Nie wiedzieli, ile trwa podróż, a tym bardziej nie wiedzieli już, ile trwa noc. Nic, włącznie z ich smartfonami, telefonami i zegarkami nie działało tak, jak powinno. Przede wszystkim jednak nie wiedzieli, co się właściwie stało.

Coś wydarzyło się, kiedy byli już w drodze, a pociąg mknął po torach z pełną prędkością. To wtedy zgasł świat – inaczej nie potrafili tego określić – a oni po prostu jechali dalej. Na początku zatrzymali się kilka razy w miejscach, gdzie powinny być stacje, ale ich nie było. Kilka osób poszło w ciemność, sprawdzić, co się dzieje, i nigdy już nie wróciło, więc nie wysiadali już więcej – przynajmniej ci, którzy nie musieli – i jechali dalej. Tak po prostu.

Czy to był koniec świata? Czy świat jeszcze istniał?

Jechali już tak długo, że równie dobrze mogli być w Piekło – bo może i byli, kto miał to wiedzieć – a nic się nie zmieniało. Pociąg pędził przed siebie, wciąż mając dość paliwa, dość zasilania, ale wiedzieli, że nie potrwa to długo. W końcu muszą albo gdzieś dotrzeć, albo utknąć w tej ciemności.

Czasem ktoś wysiadał, bo nie mógł już wytrzymać, czasem ktoś popełniał samobójstwo – tak przynajmniej im się wydawało – a kiedy coś wpadło pod koła,

Roman uznał, że lepiej zacząć to zbierać. Zapasy, jak to określił, w ich obecnej sytuacji mogą się przydać, a na pewno nie zaszkodzą.

I przydały się szybciej, niż ktokolwiek chciał o tym myśleć.

– To są ci samobójcy? – zapytał ktoś, kto musiał przyznać, że wizja kogoś skaczącego pod koła pociągu z wyjścia z wagonu jest dostatecznie przekonująca, by uznać ją za pewnik. – A może to jakieś zwierzęta?

Ale po tym, co zostawało z ofiar, ciężko było powiedzieć.

Roman uważał, że to ludzie.

Józek, który powiedział kiedyś, że obciął sobie kawałek ciała, a potem dodał: „Chwila nieuwagi i cała poduszeczka palca wskazującego leżała na desce do krojenia”, dodał także, że z ciekawości usmażył ten odcięty koniusek i zjadł. Bo czemu nie, warto wiedzieć, warto znać smak. Był kucharzem, może kiedyś odtworzy go w jakimś daniu, może nie, ale przynajmniej będzie świadomy.

I dlatego Józek twierdził, że doskonale wie, jak smakuje ludzkie mięso, a to, co oprawił w kuchni Roman, w ogóle go nie przypomina.

Ale z drugiej strony, skoro Roman widział w tym coś ludzkiego, skoro uważał, że jedzą ludzinę...

Niektórzy woleli nie myśleć, co to może znaczyć. Że może i faktycznie niektórzy się zabijali, a potem ich krew, którą wciąż pachniały koła i mechanizmy mknącego pociągu, przyciągała z ciemności jakieś stworzenia, które pędziły w ich kierunku, ginąc pod kołami i kończąc w ich żołądkach.

Większość jednak wołała czekać. Wołała śmiać się i żartować. Udawać. Sprawdzać telewizję i telefony. Wyglądać przez okno, choć nie było tam nic poza czernią.

– No dobra, chyba mamy zwycięzcę! – oznajmił wesoło Józek, wskazując na Grześka, trzymającego najkrótszy fragment słonego paluszka. – Myśl, co podasz nam na śniadanie!

A pociąg jechał dalej.

RAFAŁ ŁOBODA

JERZY I KOBIETY

Światło w domu Jerzego Jasińskiego zgasło dopiero o trzeciej w nocy. Oczekałem dla pewności jeszcze godzinę, obserwując księżyc przez szybę i wystukując palcami *Turn into Earth* The Yardbirds. Upojny wieczór sprawia, że ludzie śpią twardo. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Trzy długie oddechy dla uspokojenia. Serce powoli zwalnia rytm, drżenie rąk nieco ustępuje.

Lateks strzelił, gdy zakładałem rękawiczki. Po wyjściu z samochodu rozprostowałem nogi. Spędziłem pięć godzin na skórzanym fotelu, mając za towarzystwo jedynie kanapkę i dwa czekoladowe wafelki, których nie powinienem jeść ze względu na podwyższony cukier. Kiedy masz sześćdziesiąt lat na karku, a większość życia spędziłeś za biurkiem, ciało przemienia się w największego wroga.

Posiadłość Jasińskiego stała samotnie na obrzeżach Szczecina, tuż obok mało uczęszczanej drogi. Żadnych psów, najbliżsi sąsiedzi spory kawałek dalej. Jedyным

zabezpieczeniem wydawało się metalowe ogrodzenie z licznymi szpikulcami.

Jedynym widocznym dla ludzi pozbawionych Talentu.

Zajrzałem w *podświat*. Posesja rozbłysła pasmami kolorów. Każdy inaczej postrzega magię: kształty, dźwięki, zapachy, wrażenia czy jakieś inne cholerstwo. Dla mnie to wielobarwne wstęgi posplatane razem w skomplikowane węzły. Uczyłem się je wiązać i rozplatać przed czterdziestoma laty, kiedy szczecińska kamaryla skupiona wokół księcia Aureliusza wierzyła jeszcze w mój potencjał. Pomimo wielu miesięcy ćwiczeń stało się jasne, że mój Talent ma defekt: potrafiłem zatrzymać działanie zaklęć, prostych na kilka godzin, potężniejszych – zaledwie na parę minut.

– Niszczyć jest zawsze łatwiej niż tworzyć – powtarzali ze wzgardą inni adepci. – Ale ty nawet tego nie potrafisz. Co z ciebie za pożytek?

Mieli rację. Mój Talent wypadał blado przy ich mocach. Biznesmani, kobiety sukcesu, aktorzy, lekarze. Nie mogąc znieść upokorzeń i ostrych śmiechów, zamieniłem tajemne arkana na zimną logikę liczb. Zostałem młodym księgowym, później starszym księgowym z postępującą łysiną i wystającym brzuszkiem. Takich jak ja nie dostrzega się na ulicy. Jakimś cudem poznałem kobietę na wieczorku tanecznym w Kołobrzegu. Doczekaliśmy się córki – Alicji. Zmieniła wszystko.

Zaklęcia ochronne ciągnęły się od bramy, przez brukowaną ścieżkę, aż do rezydencji. Kilka pułapek, alarmy, zniechęcacze, klątwy... Naprawdę paskudnego rodzaju.

Chwyliłem wstążkę pierwszego zaklęcia i zacząłem przesuwać. Nie śpieszyłem się, pomyłka byłaby fatalna, a wyszedłem z wprawy. Wreszcie czar zamigotał, od razu wracając powoli do pierwotnego wzoru; w tym czasie zrobiłem krok. Kolejne zaklęcie, następny wysilek. Mijały długie minuty. Noc otulała mnie doskonałą ciszą. Liczyłem unieszkodliwione pułapki dla samej satysfakcji. Zawodowy nawyk.

Jedenaście czarów później, spocony i zmęczony dotarłem do frontowych drzwi rezydencji. Nacisnąłem klamkę. Otwarte. Jerzy całkowicie ufał swej magii. Poza tym, kto odważyłby się podnieść rękę na protegowanego księcia Aureliusza, władcę szczecińskiej kamaryli? Jasiński – specjalista od magii miłosnej. Człowiek, który codziennie mógł przyprowadzać do domu nową kobietę. Dwie lub trzy? Żaden problem. Potencjalni wrogowie księcia musieli się liczyć z tym, że ich bliscy pokochają kogoś wskazanego przez Jerzego.

Miłość nie wybiera. Robi to Jasiński.

Włączyłem latarkę. Wnętrze domu wyglądało jak muzeum kiczu: wielki hol z czerwonymi ścianami, podłoga w postaci krzykliwej mozaiki, zmysłowe akty wiszące obok wyuzdanych zdjęć.

Zgasilem światło, gdy usłyszałem ciche stuknięcie. Z łomoczącym sercem rozejrzałem się za kryjówką i ostrożnie, by nie wydać żadnego dźwięku, schowałem się za otwartym przejściem do pomieszczenia z basenem. Mała lampka na dnie wciąż świeciła, posyłając blade refleksy wody do tańca na ścianach. W kątach panowały głębokie cienie. Tam się ukryłem.

Prócz Jasińskiego nikt nie mieszkał na stałe w jego domu. Byłem tego pewien, spędziłem tygodnie na obserwacji. I żadne zwierzę nie mogło wydawać takich stuknięć, które słyszałem. Wbijałem wzrok w niewielki fragment holu widoczny za przejściem.

Wpierw pojawiły się sprężyny, wijące się niczym macki, później długie wahadło – to ono stukało – wreszcie korpus z płataniny drewna, szkła i metalu. Na tarczy służącej za twarz poruszały się czułki wskazówek, falując i zginając.

Walka z golemem byłaby głupotą. Zabije mnie lub podniesie alarm, a wtedy zabije mnie Jasiński. Starałem się ani drgnąć i miałem nadzieję, że umknę przed magicznymi zmysłami zegara.

Stworzenie przeszło dalej. Przez kilka minut nasłuchiwałem odgłosów stukania i gdy byłem pewien, że droga wolna, przemknąłem do holu. Wszedłem na szerokie schody prowadzące na piętro. Stawiałem ostrożnie kroki, nasłuchując, czy któryś ze stopni nie zatrzeszczy odwiecznym zwyczajem starego drewna.

Ile kobiet szło tutaj z własnej woli, a ile z sercem otumanionym magią jak tabletką gwałtu? To nie brudna nekromancja czy szalona demonologia budzą we mnie największą odrazę, lecz właśnie miłosne czary, których nieczuły przymus odbiera wolność wyboru, już na zawsze zostawiając szramy na duszy. Jasiński lubił życie playboya, delectował się władzą. Eliksirami i urokami zniewalał kobiety – najczęściej wybrane przypadkowo – a potem wykorzystywał i porzucał. Nawet adeptki nie były bezpieczne, choć oficjalnie podniesienie ręki na innego znawcę magii karano nadzwyczaj surowo. Wyobrażam sobie, jak tłumaczył Aureliuszowi:

– Zrozum, mój panie, muszę wiedzieć, czy nowe specyfiki poradzą sobie z ochronnymi glifami. Jak inaczej mogę zagrażać twym rywalom?

Dwa lata temu poznałem Helenę. Niegdyś chciała zostać uczennicą Jerzego, miała dryg do miłosnej magii, ale najwyraźniej Jasiński nie był zainteresowany. Może obawiał się konkurencji? Zamiast po prostu odmówić, uczynił ją kolejną ofiarą. Znudziła mu się po miesiącu. Długo nie wracała do zaklęć miłosnych.

Szedłem z wyłączoną latarką. Uznałem, że golem zegarowy robi obchód jedynie po parterze, ale nie zamierzałem ryzykować, że dostrzeże snop światła. Jerzy zmienił korytarz prowadzący do sypialni w małą świątynię własnej osoby. Medale i trofea z zawodów pływackich błyszcząły w podświetlanych gablotach. Obrazy pyszniły się na ścianach. Zatrzymałem wzrok na jednym: Jasiński pozujący z książącą parą. Ulubieniec, przyjaciel rodziny. Uśmiechnięty i szczęśliwy. Obok Aureliusz z władczo uniesioną głową. Nawet pozując, trzymał dłoń na ramieniu żony jak konkwistador na zdobyczym złocie. Wera, piękna Wera. Niejeden mag, zadufany we własną moc, znikał bez śladu z powodu niestosownego gestu lub spojrzenia w stronę księżnej. Nikt nie jest tak zazdrosny, jak Aureliusz, a Wera wiedziała, jak to wykorzystać: prowokowała lub ustawiała niezręczne dla pechowego mężczyzny sytuacje. Widziałem to. Widziałem groby zamordowanych przez zaślepienego miłością księcia.

Rok temu Wera miała nieszczęśliwy wypadek – w jej limuzynę wjechał dostawczak. Żadne czary nie pomogą na kilka rozpedzonych ton stali, ale nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Za kierownicą furgonetki siedziała

kobieta, która zemdłała po przedawkowaniu leków. Po krótkim procesie i przez koneksje Aureliusza skazano ją na trzy lata więzienia.

Moja żona. Jest farmaceutką, wiedziała, co zażyć. Tak ustaliliśmy.

Byłem na miejscu wypadku. Jako pierwszy podbiegłem, by pomóc Werze. Zamroczona, z rozbitą głową. Jej ochroniarze, mimo że sami krwawili, kazali mi się wynosić. Kim jestem, aby się sprzeczać? Odszedłem z kilkoma kroplami krwi Wery na rękawie. Dla tych plamek szkarłatu moja żona trafiła za kratki. Krew ma wielką moc. Magowie pilnują się, by nie wpadła w niepowołane ręce, więc musieliśmy coś wymyślić.

Przed drzwiami sypialni napotkałem wyjątkowo trudną płataninę klątw natychmiastowych. Nasycono nimi drewno, kamień i powietrze, a potem ostrożnie wypełniono mikrozakłęciami alarmowymi. Zatrzymałem się w samą porę, kilka centymetrów dalej i byłoby po wszystkim. Czas znów popracować. Przez wielkie okno na końcu korytarza wpadała poświata księżycy. Nie śpieszyłem się, do świtu miałem jeszcze sporo czasu, a nie mogłem sobie pozwolić na żaden błąd. Dłonie pod lateksem miałem śliskie, kilkakrotnie wycierałem czoło chusteczką.

Zanim rozplątałem ostatni czar, pierwszy był już bliski ponownej aktywacji. Czym prędzej wszedłem do sypialni Jerzego.

Aromat drzewa cedrowego z wypalonych kadzidełek mieszał się z kwaśną wonią potu. Łóżko było ogromne, zdobione płaskorzeźbami nimf i satyrów, oddających się zastygłej w czasie kopulacji. Podszedłem bliżej i ujrzałem troje ludzi w zmiętej pościeli. Dwie kobiety z odkrytymi

piersiami i Jasiński na skraju łóżka. Spał na plecach, z błogim, spełnionym, zmęczonym półuśmieszkiem.

Pokiwałem głową. Moje zadanie właśnie zrobiło się nieco łatwiejsze.

Spod toaletki wyciągnąłem taborecik z miękkim siedzi-
skiem, postawiłem go – bardzo cicho i ostrożnie – przy
łożku, po czym usiadłem.

Zdjąłem okulary, by rozmasować nasadę nosa.

Nie jestem mordercą. Brzydzę się przemocą, ale są
pewne czyny, które przekraczają granice wybaczenia.
Zdarzenia tak ohydne, że ranią duszę, dopóki nie docze-
kają się sprawiedliwości.

Wiedziałem, co przed laty wydarzyło się w tej sypialni.

Moja córka weszła tutaj wraz z Jasińskim, pośpiesznie,
niezdarnie, zrzuciła z siebie ubranie, bieliznę, potem prze-
ciągnęła się na białym prześcieradle i czekała, aż Jerzy
zrobi z nią, cokolwiek przyjdzie mu do głowy. Czy zdjęła
również złotą obrączkę?

Długo zastanawiałem się, czy Jerzy wybrał Alicję ze
względu na mnie, z powodu jakiejś zapomnianej urazy.

Nie.

Wybrał ją przypadkiem. Miała pecha. Niewłaściwe
miejsce i czas. Mistrzowsko rzuconego miłosnego czaru
nie sposób odczynić ani wykryć. Ofiara nie zdaje sobie
sprawy, że jest zaczarowana, a odtrącona przez ukocha-
nego cierpi, jakby wyrwano jej duszę.

Krótkotrwałe małżeństwo Alicji z chłopakiem,
którego naprawdę kochała, rozpadło się jak wieża
z klocków. Jerzy doprowadził moją córkę do dwóch prób

samobójczych i pobytu w zakładzie psychiatrycznym. Dopiero uczy się żyć na nowo.

Zajrzałem w *podświat*. Wstęgi magii owijały Jerzego jak bandaże królewską mumię. Odszukałem nitki czarów ochronnych i zacząłem pruć kolorową płataninę.

Z kieszeni wyciągnąłem fiolkę. W środku pływało kilka kropli karmazynowego płynu. Sprawiedliwość. Helena, wykorzystana przez Jerzego adeptka, teraz już pełnoprawna czarownica, dla tego płynu wróciła do porzuconej magii miłosnej. Wykorzystała krew Wery. Moja żona dla tego płynu poszła za kratki. Sprawiedliwość nie była szybka, ale w końcu nadchodzi.

Czerwony płyn zamigotał na wardze Jerzego i spłynął między zęby.

Odstawiłem taborecik. Wyszedłem. Oczekałem cały obchód zegarowego golema, aby wyjść z rezydencji, delikatnie zamykając za sobą drzwi. I znów zacząłem mozolne rozplątywanie czarów na podwórku, aby wrócić do samochodu.

Noc była cicha i chłodna. Jak zemsta.

Jutro Jasiński poczuje coś nowego. Przypomni sobie chwile, gdy rozmawiał z księżną, kiedy zbliżał usta do jej dłoni, gdy rozmawiał z nią przy kieliszku szampana. Te wspomnienia zacisną się na jego sercu jak rozgrzany łańcuch. Wtedy zrozumie, że niezliczony zastęp kochanek tak naprawdę się nie liczy, ważna jest tylko miłość do Wery.

Ta miłość wybuchnie jak wulkan i wypełni go całego.

A Aureliusz to zazdrosny mąż.

MARCIN BARTOSZ ŁUKASIEWICZ,
PAULINA KAJOCH

HITOKIRI

Morze jest bardzo spokojne. Kiedy dobijamy do brzegu Hashimy, łódka ledwo kołysze. Na niewielkiej wyspie budynki zostawiają złowrogi cień na wszechobecnej wodzie, jak gdyby rzucając jej wyzwanie. Łapię mocniej plastikowe pudełko, w drugą dłoń ktoś wciska mi pistolet. Zimny metal kolby niemal parzy skórę, odpycha, sprawia nienaturalne wrażenie. Mam ochotę odrzucić broń jak najdalej.

Nie oglądając się, ruszam wzdłuż wybrzeża. Widzę zwały skruszonego betonu, wystające z gruzów zbrojenia i mech. Brakuje tylko śmieci, do których przyzwyczyliły mnie inne opuszczone miejsca. Jak gdyby nie było tu życia. Albo ktoś czuwał nad wyspą, upewniał się, że nie zostanie skalana.

A przecież ludzie dostatecznie mocno skazili już to miejsce.

Kiedy wchodzę między opuszczone bloki, mżawka już pada. W przeciwieństwie do powietrza, przenikliwie

zimnego i kęsającego bez litości skórę dłoni i twarzy, deszcz jest właściwie ciepły. Upaja, sprawia wrażenie pierwszej letniej ulewy, nawadniającej spragnionych ochłody ludzi i wysuszoną ziemię. Wiodę wzrokiem po zniszczonym osiedlu. Coś jednak wyrывa mnie z zadumy, jakieś nieokreślone uczucie niepokoju, które sprawia, że mocniej ściskam kolbę.

Po mżawce przychodzi mgła, która gęstnieje i przykrywa miasto. Przypomina bardziej kir niż firankę, ma nieokreślony ciemny odcień. Może to przez brązowawe porosty, pokrywające miejscami bloki mieszkalne? A może to tylko złudzenie optyczne? Odnajduję wzrokiem latarnię morską, którą pokazano mi z oddali. To tam mam iść i zastrzelić kogoś, żeby odzyskać dawne życie. Niska cena, nie wahałem się ani chwili.

Podejmuję niespieszną wędrówkę ku białej latarni, górującej nad miastem niczym bat poganiacza niewolników. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Ostrzegano mnie, że duchy dawnych mieszkańców nie opuściły Hashimy. Dopóki nie zaczną szeptać swoich szalonych myśli, nie muszę się przejmować.

Poza tym i tak znalazłem sposób, by się przed nimi uchronić.

Stadko półmaterialnych dzieci obserwuje z zainteresowaniem, jak mijam przedszkole. Przypominam sobie, że kiedyś sam przebrałem się za ducha i straszylem młodszą siostrę. Zawsze z płaczem prosiła, żebym tego nie robił, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Wystarczyło prześcieradło z dwiema dziurami na oczy, a potem długie minuty wyczekiwania w jej szafie, aż wróci z łazienki czy od koleżanki.

A później był ryk, przerażenie i dziki triumf, kiedy goniłem ją po mieszkaniu, wyjąc. Nawet bura od mamy nie potrafiła mnie zniechęcić.

Od lejącej się z nieba ciepłej wody wszystko robi się śliskie. Poprawiam chwyt na plastikowym pudełku, które obserwują wszystkie duchy. Jest ich coraz więcej, niektóre otwierają usta, żeby coś powiedzieć, ale po spojrzeniu na mnie nawet nie próbują. Broń trzymam niedbale, pistolet przyda się później. Teraz najważniejsze, by dotrzeć na miejsce.

Droga dłuży się i dłuży, ale może to po prostu ten widok, te identyczne bloki, które wciąż mijam? Wymarłe miasto i dusze mieszkańców, wszystkie pozornie tak różne, ale podobne do siebie, jak te opuszczone budynki z betonu i stali. Może w jednym piętrowcu zawaliła się klatka schodowa, a drugi ma kilka nietkniętych okien; jeden z górników ma poparzoną twarz, a inny jakiś pręt przebijający czaszkę. Mimo wszystko wydają się być identyczni, zbudowani z jednej materii, jak gdyby ich esencję zrobiono z tego samego. Z szarości, zimna i morskiej wody, która wżera się w metal, zostawiając dziury.

Stoję z nożem w dłoniach, ledwo trzymając się na nogach. Mimo że jestem w mieście, czuję się jak na statku. Wnętrzaności unoszą się do gardła, kwas pali w usta. A przecież nie mogę pozwolić sobie na kruchość. Muszę kogoś zabić.

Moje ubranie jest przemoczone, mokre włosy kleją się do twarzy. Widzę jakby przez sieć utkaną ze smoły. Ale boję się opuścić nóż. Trzymam go przed sobą mocno,

obiema rękami. Tak mocno, aż na dłoniach wybrzuszają się żyły. Słyszę, jak wartko płynie w nich krew. Nadludzki słuch to moje przekleństwo.

Nagle dostrzegam błysk, który ledwo przebija się przez gęstą mgłę. Może i jestem słaba, ale na pewno nie głupia. Dobrze się przygotowałam. Zamykam oczy i odtwarzam z pamięci plan Hashimy. Tam, skąd dobiegają rozbłyski, powinna znajdować się latarnia.

Ktoś tam jest.

Otwieram oczy i akurat wtedy światło latarni boleśnie mnie oślepia. Nóż wypada mi z rąk. Krzyk więźnie w gardle. Nogi, które starałam się mocno trzymać na ziemi, uginają się pode mną.

Nie widzę. Nic nie widzę.

Czuję, jak krwawa łza spływa po policzku. Słyszę, jak ociera się o skórę.

Może jednak ten słuch to wcale nie takie przekleństwo.

Wciąż cała drzę, ale wstaję. Zdejmuję buty i cicho kładę je na betonie. Bosą stopą szukam noża. Czuję, jak ziemia drży z każdym moim krokiem. Ściany budynków kołyszą się w rytmie fal rozbijających się o mury. Szkoda tylko, że światła nie da się usłyszeć.

W końcu znajduję nóż i znów chwytam go w dłoń. Rękojeść jest lepka od krwi, która wciąż wypływa z moich oczu. Ta latarnia, jej światło, to miejsce... Z pewnością nie należą do świata żywych. Nie mam już oczu, lecz nie straciłam z nich celu. Wciąż dobrze pamiętam, że muszę kogoś zabić. Wzrok wcale nie będzie mi do tego potrzebny.

Wyostrzam słuch i idę. Ciężkie powietrze wypełnia mi płuca. Boże, tak bardzo się boję, że umrę. Ale jestem tu,

jestem tu dla niego i przez niego. Przez mojego cholernego brata, który wpadł w tarapaty, a ja poszłam go ratować. Zawsze chciałam mu dorównać, lecz nigdy nie mogłam go złapać. Wymykał mi się. Kiedy on wstąpił do gangu motocyklowego, ja mogłam tylko umawiać się z motocyklistami. Kiedy on robił sobie kolejny tatuaż, ja tylko je projektowałam. Kiedy on został skazany na śmierć... Mogłam tylko poświęcić się dla niego. *Jestem tu, braciszku* – mówię w myślach, bo przecież zjawy też mają uszy, a nie chcę podawać im na tacy własnych słabości. *Pierwszy raz z tobą wygram, braciszku. Pierwszy raz będę pierwsza...*

Odwracam się na pięcie, gdy za plecami słyszę szmer. Ktoś tutaj idzie, ale wciąż jest daleko. Biorę poprawki na wiatr i szacuję odległość; trzysta kroków, może dwieście. Jeśli ma pistolet, usłyszę kliknięcie i być może nie trafi lub zdąży się uchylić. Jeśli ma nóż i podejdzie... Czy uszy wygrają z oczami?

Przesycone wilgocią powietrze obciąża moje płuca, a umysł pracuje zbyt szybko.

– Megumi, Megumi... – mówi ktoś za moimi plecami.

Ledwo powstrzymuję krzyk. Nie widzę tego, ale wszystko słyszę. Jęki i lamenty zjaw otaczają mnie, tworząc szczelną barierę, która zagłusza dźwięk ludzkich kroków. Z wściekłości i ze strachu zagryzam wargi tak mocno, że aż czuję w ustach smak krwi.

Po czyjej stronie jesteście, mściwe duchy?

Duchy robią się niecierpliwe. Zachodzą mi drogę, próbują zwodzić, chcą, żebym za nimi poszedł. Zawartość plastikowego pudełka już ich nie zraża, widzę, jak wciąż otwierają usta, próbują prosić, grozić, argumentować, ale jestem głuchy na ich wołanie. Frustruje je to, chcą skłonić całe miasto, żeby zrobiło z tym porządek.

Na to również jestem przygotowany.

Kiedy jestem blisko latarni, wyrasta przede mną kupa gruzu. Omijam ją szerokim łukiem, bo nie wiem, co kryje. Kilka budynków przesuwają się z drzeniem powietrza, próbując zasłonić latarnię. Mogłem zapewnić sobie niewrażliwość na podszepty zjaw, ale wciąż grozi mi śmierć. Wystarczy zbłąkana cegła, dziura po studziencie, złamana noga, abym konał przez długie godziny i dni, by w końcu zasilić grono zmarłych na Hashimie.

Żeby jednak miasto mogło przyciągnąć mnie do siebie i zabić, musi mnie widzieć.

Z drwiącym uśmiechem na ustach zarzucam na siebie białe prześcieradło z dwiema dziurami na oczy. Staję się duchem, najprostszym, najbardziej podstawowym rodzajem ducha, bez kończyn i włosów, po prostu bladą plamą, nawiedzającą koszmary dzieci. Mam ochotę nieco powycić i pojęczeć, przydałyby się też łańcuchy, by nimi potrząsać, ale obie ręce mam zajęte.

Wystarczy mi, że czuję strach miasta. Zaczyna domyślać się, z kim ma do czynienia. Zjawy rozglądają się w panice, bo nie rozumieją, gdzie nagle zniknąłem. Budynki przestają falować i drżeć, są spokojne i mogą je omijać bez problemów.

Białe prześcieradło nasiąka mżawką. Staje się ciężkie, nieporęczne, ogranicza moje ruchy. Wygląda na to, że wejście na samą górę nie będzie wygodne. Uświadamiam sobie, że nie dam rady wspiąć się po śliskiej drabince. Miasto wyczuwa mój niepokój i stara się go podsycić. Budynki otaczają latarnię szczelnie, nie zostawiając żadnych luk.

To jednak pomaga. Przechodzę przez rozerwaną futrynę i kieruję się ku schodom, ostrożnie unikając drutu, tłuczonego szkła i prętów zbrojeniowych. Popychane przez miasto duchy stają mi na drodze, ale po prostu przez nie przechodzę, a one nie są pewne, w którym dokładnie miejscu jestem. Klatka schodowa jest podniszczona, ale stopnie wyglądają na stabilne. Mimo wielu lat beton wciąż się trzyma, a ja powoli wchodzę coraz wyżej i wyżej, mijając kolejne piętra. W końcu docieram na samą górę. Dach i część ściany runęły lata temu, pozostawiając po sobie wyrwę, przez którą mogę kontrolować sytuację na wyspie.

Rozglądam się. Miejsce wygląda nieźle. Dobre na zasadzkę. Wyraźnie widzę i latarnię, i drabinkę, jedyną drogę na samą górę. Wygląda na to, że mogę się tu bezpiecznie zacząć.

Kroki ustały, a duchy nagle się rozpierzchnęły i słyszę już tylko szum fal i gwizdzący wiatr. Wypluwam krwawą ślinę, wierzchem dłoni wycieram usta. Sądzę, że miasto mnie omamia. Jakby jeden wróg to za mało. Teraz rozumiem, dlaczego organizatorzy gry wybrali to miejsce.

Walczę nie tylko z człowiekiem. Staram się usłyszeć ludzki oddech, by upewnić się, że kroki były prawdziwe, lecz fale rozbijające się o mury utrudniają mi to. Wzdrygam się na myśl, że duchy Hashimy igrają ze mną. Powinny być po mojej stronie! Jestem tu, by uwolnić brata. Jeśli wygram, wypuszczą go. Tak, nie obchodzi mnie powód przeciwnika. Muszę wierzyć, że zasługuje na śmierć. Wierzyć zupełnie na ślepo. Może to nie przypadek, że pozbawiono mnie wzroku?

Muszę iść dalej. Polegam na zmysłach i własnej pamięci, w myślach wytyczam szlak, którym pójdę. Na północny zachód od latarni znajdują się dwa budynki, między którymi mogę się schronić. Cieszę się, że zapamiętałam plan Hashimy. Znam to miasto jak rodzinny dom. Jakbym od zawsze do niego przynależała. Nie wiem, czy światło latarni wciąż cyklicznie zatacza okrąg nad miastem. Gdybym tylko mogła usłyszeć, jak wiązki światła smagają powietrze. Jestem niemal pewna, że wróg się tam na mnie zaczął. Ja dostałam tylko nóż, zwykły kuchenny nóż do filetowania ryb. Wiem, że jest bardzo ostry, ale jeśli przeciwnik ma broń palną i sprawne oczy, zginę. Wciąż czuję krew w ustach i jeszcze mocniej zaciskam palce na rękojści noża.

Nie, nie mogę tu zginąć.

Biorę głęboki wdech i ruszam do celu. W stronę światła, którego nie widzę, ale je czuję.

Kurczowo trzymam się cieni. Przedzieram się przez opuszczone ruiny. Bosymi stopami chodzę po stłuczonym szkłe z okien. W końcu kryję się w wąskiej ulicy między blokami. Beton powstrzymuje odgłosy rozbijających się o mury fal. Ale nie powstrzymuje duchów.

Nagle czuję, że coś szarpie mnie za rękaw koszuli i niemal krzyczę. Tak mało brakowało, żebym zdradziła swoją pozycję. Ale to znów tylko duch.

– Czego chcesz?! – syczę, a serce wali mi jak imadło.

Nie uzyskuję odpowiedzi. Nie widzę, ale czuję, że duch rozplywa się w powietrzu. Coś zimnego jak eter oblewa moje ciało. Przechodzi mnie zimny dreszcz, niemal wypuszczam nóż z rąk, niemal zapominam, po co tu jestem. I wtedy słyszę strzał.

Tak, przeciwnik z pewnością ma pistolet. Zimny pot spływa po mnie. Siedzę na szkłe, które rani moje stopy i nogi. Wiem, że zostawiłam za sobą krwawe ślady.

Braciszku – wołam go w myślach. *Obiecuję, że dam z siebie wszystko!*

Zaskoczyła mnie. To wszystko przez te cholerne duchy. Nie mogły do mnie dotrzeć, zmylić mnie szeptami i jękami, więc tłumnie wybyły na ulice, w takich ilościach, że aż zwątpiłem. Czy naprawdę Hashima mogła mieć aż tylu mieszkańców, nawet przez te wszystkie lata? Widzę setki... nie, tysiące, zdecydowanie tysiące zjaw. Byłem na festiwalach, żyłem w dużym mieście, potrafię ocenić tłum i jego liczebność. Wiem, że umarło tu wielu robotników, ale nie spodziewałem się tego, co miałem przed oczami.

No, ale tym gorzej dla nich. Dziś jeszcze jedna dusza zasili szeregi armii umarłych, a wtedy będę wolny.

A poza tym może dałem się zaskoczyć, ale wciąż mam przewagę.

Dziewczyna powoli idzie przed siebie, zostawiając krwawy ślad. Nogi ma poranione aż po łydki, stopy przypominają strzęp. Ona również zapłaciła za pobyt na wyspie, chociaż najwyraźniej zrobiła to mniej chętnie, a może nie miała pojęcia o regułach? Jej chód jest niepewny; trzyma się cieni, ale to duchy wskazują jej drogę. Przyglądam się dziewczynie, kiedy się zbliża. Jest brudna i skulona z zimna, a ściekająca z kaptura i włosów woda ma karminowy odcień. Najwyraźniej jest ranna, a pocięta skóra nóg to nie jedyna ofiara, jaką chciwie zabrała okrutna Hashima.

To za proste. Ta nędzna pokraka miałaby mi zagrozić?

Nawet duchy nie mogą zmienić tego, że wygrałem. Parskam, po chwili śmieję się tak, że pudełko wypada mi z dłoni. Zjawy pierzchają przed zawartością, która objawia się wyspie w pełnej krasie, tym razem nie za szybko, która pęka niczym skorupka jajka. Celuję do dziewczyny, ale duchy otaczają ją szczelnie, a jest ich tyle, że nie mogę strzelić czysto. Zmarli gromadzą się w zrujnowanym budynku w coraz większych liczbach. Rzut oka przez zniszczoną ścianę i już wszystko wiem: cała wyspa przyszła oglądać rozgrywkę, cieszyć się świeżą krwią. Ta osłona to chyba jakaś odmiana fair-play: skoro mam pistolet, to zmuszają mnie do skrócenia dystansu, by ściskająca nóż, skulona żywa miała choć cień szansy, by mnie zranić.

Z drugiej strony, ja mam pistolet. Niech więc będzie.

Duchy wypełniają szczelnie cały poziom. Obawiam się, że dziewczyna usłyszy moje kroki, więc próbuję wycelować między zjawami. Widm jest jednak zbyt wiele. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, co da

mi przewagę. Wtedy zauważam, że nie muszę niczego więcej szukać.

Zgromadzone zjawy mają w dłoniach pręty zbrojeniowe, młotki i kilofy. Tłuką tym wszystkim o podłogę, dziurawe ściany i smętne resztki rur. Dosłownie widzę drgania, które wypełniają powietrze. Uśmiecham się szyderczo, odrzucam ciężki od deszczu strój ducha i podchodzę do idiotki, której wydawało się, że może mi zagrozić.

Przykładam zimny metal do jej skroni i czuję, jak drętwieje. Duchy nieruchomieją, więc mój palec ślizga się po spuście, odkładając nieuniknione.

A wtedy światło latarni oświetla twarz dziewczyny, którą wreszcie poznaję. Krew, brud i skołtunione włosy nie są w stanie już zakryć jej tożsamości.

Otwieram usta i stoimy tak przez chwilę, niemi. Mam wrażenie, że ona również patrzy na mnie, choć jej wzrok jest pusty. Trwamy tak, a ja jestem sparaliżowany, nie umiem się poruszyć, spiąć mięśni do ruchu ani warg do wypowiedzenia choćby słowa. Wydaje mi się, że ten moment jest wspólny.

Nagle czuję porażający ból w prawym nadgarstku, więc odruchowo cofam rękę, by przypadkowo nie wystrzelić, ale jest już za późno.

Zamykam oczy z przestachem, ale przez moją rękę nie przebiega spazm odrzutu, tylko cierpienie i kolejne fale obezwładniającego bólu, tak mocne, że prawie tracę przytomność. Kulę się i dostrzegam zaciśniętą na pistolecie dłoń, która leży u stóp dziewczyny, ale nie mogę już zareagować, bo nóż chciwie pije krew z mojego brzucha. Ostrze wychodzi wraz z kaskadą czerwieni, która wraz

z kroplami deszczu wsiąka w leżące nieopodal prześcieradło. Próbuje coś jeszcze powiedzieć, patrząc w puste oczy dziewczyny, kiedy uświadamiam sobie, że leżę na plecach, a nóż kłuje mnie zaciekle niczym dzięcioł w poszukiwaniu jedzenia.

Wygrałam, braciszku! Wygrałam!

Mam ochotę wykrzyknąć te słowa, by wiatr poniosł je na ląd, by wszyscy słyszeli, że wygrałam wolność dla brata, ale gardło wyschło mi na wiór i nie mogę wycedzić słowa. *Co za głupiec – myślę. Gdyby się nie zawahał, już bym nie żyła.*

Siedzę okrakiem na mojej ofierze, pot spływa ze mnie, sapię ciężko, nóż wypada mi z rąk. Na chwilę głosy Hashimy milkną i słyszę tylko szum fal i wiatr. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. On miał pistolet, ja tylko nóż. A mimo to wygrałam.

– Zabiłaś brata.

Wzdrygam się na te słowa, po plecach przebiega dreszcz.

– Zabiłaś własnego brata.

Nieporadnie podnoszę nóż, który upadł niedaleko, kręcę się dookoła, by móc zlokalizować tego, kto wypowiedział to bolesne kłamstwo. Ale te słowa leją się zewsząd i wtedy uświadamiam sobie, że to nie koniec gry. Duchy mnie mamią i gnębią, aż chce mi się krzyknąć. Z wściekłości przecinam powietrze na oślep, choć wiem, że nożem nie zranię zmarłych.

– Zabiłaś brata! Zabiłaś brata! Zabiłaś brata!!!

Słowa huczą w mojej głowie, aż czuję przenikliwy ból, który z powrotem powala mnie na ziemię.

Leżę obok trupa. Głosy są coraz cichsze, a moje serce bije coraz głośniej. Wciąż nic nie widzę, ale wiem, co mogę zrobić.

Kiedy byliśmy dziećmi i zanim mój brat wpadł w złe towarzystwo, uwielbiał chodzić z tatą na ryby. Złapał się pewnego razu na haczyk. Została mu blizna za uchem.

Stygające ciało jest na wyciągnięcie mojej dłoni. Macam jego klatkę piersiową, drżącą dłoń przesuwam w stronę szyi, potem głowy, znajduję ucho, a za nim wyczuwam bliznę.

Kiedy mój brat wpadł w złe towarzystwo, ktoś przypalał go papierosem za niesubordynację. Po omacku szukam przedramienia zmarłego. Wyczuwam trzy okrągłe ślady.

Wreszcie pamiętam, że mój brat miał wypukły pieprzyk na piersi. Z jednej strony cieszę się, że nie celowałam w serce, lecz gdybym to zrobiła, zniszczyłabym ten znak, który, kiedy tylko go wyczuwam, upewnia mnie, że zabiłam brata.

Moje stopy krwawią, ale nie bardziej niż serce. Czuję duchy Hashimy, śmieją się ze mnie. Wyobrażam sobie śmiech organizatorów, ale nie dają porwać się nienawiści. Resztkami sił podnoszę sztywniejące ciało i ciągnę je po rozbitym szkle, po pokruszonym betonie, po zgniłej trawie aż na sam brzeg.

Mur otaczający wyspę jest wysoki, ale muszę dać radę. Z trudem podzucam brata i kładę go na murze. Potem sama z wielkim wysiłkiem wspinam się po stromej ścianie. Myślę, że już w połowie wrosłam w tę wyspę, ale na pewno nie zasiłę grona zmarłych Hashimy. Gra wciąż się nie skończyła. Nie dam organizatorom tej satysfakcji.

Siadam na murku, krew kapie z moich stóp, przez chwilę upajam się morskim powietrzem. Ostatni pełny wdech, a potem jedną ręką chwytam nóż, drugą dłoń splatam z ocalałą dłonią brata. Potem wbijam nóż w brzuch i szybko skaczę w otchłań, zanim stracę świadomość wszystkiego.

Nie zostawię cię na tej wyspie samego, braciszku. Z pewnością cię tu nie zostawię.

JAROSŁAW ADAM PANKOWSKI

MROKOŁAZY

Stałem nieruchomo przy oknie, wpatrując się w zalegającą po drugiej stronie szyby bezkresną ciemność. Przywołana przez późne godziny czarna zasłona pokryła delikatnie całe niebo. Jesienne dni robiły się coraz krótsze, chętniej oddając swoje terytorium na rzecz królestwa nocy. Wprawdzie miałem jeszcze trochę czasu i mogłem wyjść na miasto, spotkać się ze znajomymi, jednak wolałem zostać i wpatrywać się w mrok. To był jeden z tych momentów, gdy chciałem zagłębić się we własnych myślach. Zdarzają się chwile, gdy samotnie spędzam wieczór i obserwuję, jak słońce zachodzi powoli za horyzontem. Gdy ognista kula zgaśnie zupełnie, zawsze przypominają mi się opowieści mojej babci. Z uśmiechem przywołuję w pamięci jej twarz pełną ciepła i dobroci. Była dla mnie opiekunką w dziecięcych latach, czasem nawet bardziej niż mama i tata. Chyba od zawsze mieliśmy w rodzinie tradycję mówić na nią Malina, w nawiązaniu do jej prawdziwego imienia – Alina. Jednak dopiero jako dorosły człowiek dowiedziałem się, że w ten sam sposób zwracali się do niej również i jej rodzice, czasem nawet zdrabniając

przydomek do Malinka. To przezwisko bardzo do niej pasowało, kojarząc się z prostą słodyczą. Pamiętam, jak każdego dnia zanim poszedłem spać, siadała na łóżku obok mnie i snuła niezwykle historie, malując spokojnym głosem fantastyczne obrazy w mojej wyobraźni. Były tam wizerunki dzielnych rycerzy, pięknych księżniczek i przerażających smoków. Były wesołe skrzaty, dobre wróżki i złe czarownice. Jednak to, co pojawiało się najczęściej, to mrokołazy. Im byłem starszy, tym częściej o nich wspominała. Zdarzały się sytuacje, gdy co drugi wieczór wracała do tego tematu. Do dziś jestem w stanie przypomnieć sobie większość tych relacji. Słuchałem ich wtedy z wypiekami na twarzy, leżąc podekscytowany pod kołdrą i chwytając każde wypowiedziane słowo.

Pierwszy raz babcia zobaczyła mrokołaza, będąc jeszcze małą dziewczynką. To było krótko przed drugą wojną światową. Mieszkała wtedy z rodziną w małej wsi gdzieś daleko od Lublina. Jej matka zmarła krótko po porodzie, a dwa lata później ojciec ożenił się powtórnie. Byli jeszcze Marysia i Józio – starsze rodzeństwo z pierwszego małżeństwa. Większość wspomnień z tamtego okresu skupiało się na pracy w polu i pilnowaniu zwierząt w gospodarstwie. Były tam jednak też refleksje na temat uroczystości kościelnych – procesji w Boże Ciało czy mszy wielkanocnej – oraz kołędowania i śmigusy dyngusa. Przez jakiś czas Malinka chodziła do szkoły, ale ukończyła tylko kilka początkowych klas. Potem ojciec kazał jej pracować w obejściu. Gdy miała coś około ośmiu lat, we wsi pojawił się dziwny mężczyzna. Okoliczni mówili na niego Badura. Podobno był z większej osady, położonej nieco bliżej miasta. Ponoć rodzina przegoniła go z gospodarstwa, czy

to z powodu sporów o majątek, czy za karę za jakieś jego występki – nikt do końca tego nie wiedział. Był chyba odlegle spokrewniony z rodziną sąsiada, który miał swoje pole obok tego, na którym siał ojciec babci. Z tego powodu nie był całkiem obcy i jakoś go tolerowano. Początkowo chwycił się różnych zajęć u kogo popadło. Zwykle za swój znój dostawał u ludzi coś do jedzenia oraz miejsce w izbie lub stodole, żeby spać. Jednak z czasem coraz rzadziej był skłonny do pracy. Zaczął żebrać pod kościołem, a parę razy nawet oskarżono go o kradzież. W końcu ludzie przestali mu ufać i woleli go przepędzać z dala od swoich domostw. On sam coraz częściej leżał spity przy drodze lub pod lasem. Nie wiadomo było, skąd ma pieniądze na alkohol, ale podejrzewano, że chodzi do sąsiednich osad i tam kradnie. Wreszcie któregoś dnia zaczął się kręcić niedaleko gospodarstwa babci. Ojciec ostrzegał ją od początku, żeby trzymała się z dala od tego pijaka, a nawet parę razy sam rzucił się z różgą w pogoń za intruzem.

Jednego wieczoru Malinkę wybudził ze snu jakiś hałas. Wszyscy w izbie spali, a dziwne odgłosy wciąż dochodziły z zewnątrz. Na dworze panował już zupełny mrok. Dziewczynka nie chciała budzić ojca, który spał twardym snem po ciężkim dniu pracy. Macochy się obawiała, dla niej była to praktycznie obca osoba. Natomiast Marysia i Józio ciągle wyśmiewali się z babci, mówiąc, że jest boidudkiem. Dlatego nigdy nie zgodziłyby się dawać im kolejnego powodu do przezywania. W młodości wiele razy miałem okazję się przekonać, jak uparta potrafi być moja opiekunka. Pomimo całej swojej dobroci miała w sobie również bardzo wiele uporu i zadziorności. Sam widziałem sytuacje, gdy ktoś ją zirytował, a ona potrafiła

pamiętać o tym przez następne lata. Potem tylko czekała na odpowiedni moment, aby odgryźć się za dawną nieprzyjemność. Z tego powodu ani na chwilę nie wątpiłem, że nawet jako mała dziewczynka była gotowa raczej stawić czoło nieznanemu zagrożeniu, niż tolerować złośliwe uwagi na swój temat. Poszła, ostrożnie uchyliła drzwi i rozejrzała się na zewnątrz, rozświetlając sobie ciemność blaskiem kaganka. W tym momencie opowieści babcia zawsze czuła potrzebę zapauzowania i wyjaśnienia, jak to dawnymi czasy wyglądała noc na wsi. Nigdzie nie było lamp, a w domach nie palono świeć.

– Ćma taka była, że nigdy byście się w obecnych czasach nie domyślili – mówiła wtedy podniosłym głosem. – Za to niebo... Niebo było takie piękne, takie pełne gwiazd. Można się było bez końca wpatrywać.

W takich momentach na jej twarzy pojawiał się uśmiech pełen najszczerzej radości, do której zdolne jest tylko niewinne dziecko. Ostatecznie ten błogi wyraz znikał z jej oblicza, a historia biegła dalej. Na dworze nie było widać niczego podejrzanego, nawet dziwne odgłosy zdołały już ucichnąć. Malinka chciała zamknąć drzwi i wrócić do środka, gdy jakiś gwałtowny ruch w oddali sprawił, że o mało nie podskoczyła ze strachu. W jej relacji to było coś, czego nie dawało się tak po prostu zobaczyć. Jedyne swego rodzaju szósty zmysł pozwalał wyczuć takie rzeczy. Zawsze gdy słuchałem o tym wydarzeniu, nachodziła mnie myśl, że sam w takiej sytuacji już dawno schowałbym się w kącie chałupy. Jednak babcia tak nie postąpiła. Wbrew rosnącemu przerażeniu ruszyła prosto w czarną otchłań podwórza, stąpając boso po ziemi. Nigdy się do tego nie przyznawała, lecz jestem pewien,

że serce waliło jej mocniej niż młot kowalski uderzający o rozgrzany metal. Nawet przy całej swojej odwadze nie mogła być niewzruszona. Po kilku chwilach ostrożnego skradania się, gdzieś na skraju poświaty bijącej od nikłego płomyka, dostrzegła ludzkie stopy. Zaraz potem wypatrzyła resztę ciała – ktoś leżał bez ruchu. Postępując dalej naprzód, wiedziona ciekawością i ewidentnie wbrew rozsądkowi, Malinka chciała zobaczyć twarz tego człowieka. Wtem jednak zdała sobie sprawę, że obok jest coś jeszcze. Jakaś potężna i niebezpieczna siła, coś bardziej drapieżnego niż stado wilków i o wiele bardziej wygłodniałego. Olbrzymi kształt górował nad nią. Był tuż obok, ale nie dawało się go wyraźnie dostrzec, jakby zlewał się z otaczającą ciemnością. Tylko wielka paszcza wyposażona w szereg zębów lśniła wyraźnie w migoczącej łunie kaganka. Z jej wnętrza buchał oddech gorący jak kuchenny piec. Po chwili ujawniła się para kolosalnych ślepi, jak oczy gigantycznego kota. Niczym reflektory mieniły się oślepiającym blaskiem. Babcia zeszywniała momentalnie, sparaliżowana tym widokiem. Wpatrywała się wtedy, jako mała dziewczynka, w tę przerażającą istotę, a wiele dekad później wciąż jej głos drżał, gdy wracała myślami do tamtych wydarzeń. Na szczęście potwór nie rzucił się na nią, tylko nachylił nad nieruchomym zewłokiem, jakby broniąc swojego łupu, i zawarczał groźnie. Pomruk był gardłowy, dość cichy, jednak na moment stał się przeraźliwie głośny. W tej jednej sekundzie wrzasku przypominał krztuszący się śmiech oszalałej osoby. To wyrwało Malinkę z otępienia i zmusiło do panicznej ucieczki. Pobiegła z powrotem do izby i zaryglowała drzwi za sobą. Kaganek wyleciał jej z rąk gdzieś po drodze, więc siedziała w ciemności, nasłuchując, czy przerażający

stwór nie idzie po nią. Serce waliło jej jak oszalałe, już nie jak upadający młot, ale jak pędzące po równinie stado koni. Z trudem powstrzymywała się od ciężkiego oddychania, bojąc się, że odgłosy pozwolą ją wytropić. Jednak z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Babcia powoli nabierała spokoju, aż wreszcie zasnęła, czatując przy wejściu. Obudziły ją dopiero hałasy budzących się domowników. Gdy jej ojciec wychodził na dwór, chciała go powstrzymać, jednak nie wiedziała, jak opisać to, co przytrafiło się jej ostatniej nocy. Na szczęście tajemnicza zjawia odeszła już stamtąd. Znalaziono natomiast ślady włamania do zagrody, choć winowajcy nigdzie nie było. Podejrzewano oczywiście Badurę i nawet zaczęto go szukać po okolicy, jednak ten przypadek jak kamień w wodę. Potem okazało się, że całkiem zniknął z wioski i nikt już go nigdy nie widział. Kaganek wciąż leżał w trawie. Babcia podniosła go, wspominając to, co niedawno widziała. Była pewna, że tamten potwór dopadł Badurę, gdy pijak rozkradał obejście. Nigdy jednak nie wspomniała o tym swojej rodzinie, historia była zbyt nieprawdopodobna. Myślała wtedy, że to ostatni raz, gdy zobaczyła jednego z tych stworów, a przynajmniej taką miała nadzieję.

Na tym kończyły się opowieści z tamtego okresu. Nigdy nie usłyszałem od babci niczego na temat jej doświadczeń z czasów wojny. Podejrzewam, że były o wiele gorsze niż zetknięcie z jakąkolwiek nocną marą. Nie wiem też, co stało się z pradziadkiem i jego nową żoną ani z resztą jego dzieci. Nawet dalsza historia małej osady i jej mieszkańców pozostała niewypowiedziana. Sąsiedzi, znajomi, dalecy krewni – nie wiedziałem nic o ich losie. Wszystko

to odkryte było całunem milczenia. Jednak czasem babcia opowiadała o późniejszych wydarzeniach. Już po wejściu wojsk sowieckich, po zakończeniu działań zbrojnych i po okrzepnięciu nowego porządku, wielu ludzi przenosiło się ze wsi do miast. Często ci migranci ostatecznie podejmowali się pracy w przemyśle. To samo stało się z babcią – już nie Malinką, tylko Maliną lub panią Alą – która po przeszkoleniu została spawaczem w dużym zakładzie produkcyjnym. Wiele razy mówiła o tym, jak z rana wstawiała jeszcze przed świtem i jechała tramwajem na miejsce. Wszystko pamiętała idealnie. Bezbłędnie wymieniała swój dawny adres zamieszkania – łącznie z zajmowanym piętrem i numerem mieszkania – opisywała przebywaną codziennie trasę, zapach wiosennej roślinności z mijanego parku oraz nazwy ulic, przy których znajdował się jej punkt docelowy. Potrafiła to wszystko perfekcyjnie odtworzyć po tylu latach, a ja zapomniałem detale parę minut po usłyszeniu opowieści. Nie wyleciała mi jednak z pamięci historia o panie Mietku.

– Taki trochę szczerowaty był. – Zawsze wspominała o nim na początek. – Chudy i z odstającymi uszami. Nieprzyjemnie się na niego patrzyło.

W tym momencie wyglądała, jakby zaraz miała z obrzydzeniem splunąć na podłogę. Otóż pan Mietek pracował w tym samym zakładzie. Nikt go tam nie lubił. Na dodatek, oprócz swojego odpychającego wyglądu był jeszcze chamski, złośliwy i często próbował oszukiwać ludzi na różne sposoby. Co najgorsze, donosił na kolegów do dyrektora, a być może nawet i wyżej postawionym osobom. Wspominano o tym półgębkiem w rozmowach, nigdy nie sugerując niczego otwarcie. Jeden z pracowników, zresztą

straszny nerwus, raz w złości wykrzyczał, że Mietek to kapuś i menda. Po kilku tygodniach został zabrany na przesłuchanie przez bezpiekę. Nie było go potem przez dłuższy czas, a ludzie zastanawiali się, czy w ogóle żyje. Wreszcie pojawił się z powrotem, ewidentnie nosząc ślady pobicia. Nie próbował nawet wyjaśniać, co się z nim stało. Natomiast przy Mietku robił się już całkiem cichy i jakby skulony w sobie. Człowiek, którego jeszcze niedawno zwyzywał, był dla niego teraz nietykalny. Sam Mietek tylko uśmiechał się złośliwie. Często też rzucał słabo zakamuflowane aluzje do aresztowania, gdy jego niedawny oponent był w pobliżu. Wszyscy stawali wtedy zmrozeni strachem. Perspektywa niespodziewanej wizyty ze strony komunistycznych służb skutecznie odstraszała każdego. Dlatego ludzie bali się Mietka i woleli ustępować mu z drogi. Sprawy zmieniły się jednak pewnego wieczoru, gdy przydarzyła się praca do późna. Robotnicy wychodzili właśnie z zakładu po zakończeniu zmiany. Było ciemno, ale jak to mawiała babcia, przez te miejskie światła całe niebo pomazane na czarno, bez śladu gwiazd. Wychodzący zebrali się przy bramie, plotkując wesoło i życząc sobie dobrej nocy. Nagle ktoś spostrzegł postać skrytą niedaleko, pod latarnią. Mężczyzna palił papierosa, stojąc na skraju stożka jaskrawego blasku, jaki spływał na niego z góry. Po chwili wszyscy uświadomili sobie, że to Mietek, i rozmowy zamarły jak od cięcia wprawnym ostrzem. Tłum zaczął się rozdrabniać. Ludzie rozchodzili się szybko do domów, obawiając się, czy aby donosiciel nie zechce wymyślić na nich jakiegoś oskarżenia z czystej złośliwości. Jednak Alina nie uciekła. Z typową dla siebie hardością patrzyła wprost na niego, by nie dać mu satysfakcji z posiadania władzy nad innymi. Z dystansu

wydawało się, że mężczyzna uśmiecha się pod nosem, ale gdy zobaczył jej postawę, mina nieco mu zrzędnęła. Spoglądali na siebie przez chwilę w ciszy. Nagle uwagę babci zwróciło coś zupełnie innego. Oprócz blasku latarni dostrzegła jeszcze dwa jaśniejące punkty, jak wielkie reflektory. Oba mniej więcej na tej samej wysokości co elektryczne oświetlenie. Od razu przypomniała sobie ten moment, gdy była małą dziewczynką, oraz paraliżujący strach, jaki wtedy odczuwała. To były te same ślepie. Zaraz potem dołączyła do nich znajoma paszcza z rzędami wielkich kłów. Mietek nawet nie zdołał zauważyć zagrożenia, gdy pojedynczym, szybkim ruchem gęba schyliła się do poziomu gruntu i wchłonęła go. Nie rozległ się krzyk rozpaczony ani błaganie o pomoc. Tylko odległy dźwięk gryzienia po szybkim chapsnięciu. Zaraz potem potwór uniósł się z powrotem i rozpląnął w ciemności, jakby wycofując za teatralną zasłonę z czarnego aksamitu. Tym razem babcia nie uciekła i mogła dokładniej przyjrzeć się przerażającej istocie. Stwór był z pewnością wielki, o ciągnącym się ciele i długich nogach. Oprócz ślepi i pyska nie dawało się dostrzec żadnych wyróżniających się szczegółów. Nie można było nawet poznać, czy jego ciało było nagie, pokryte sierścią czy łuską. Na pewno jednak zlewało się tak idealnie z mrokiem nocy, że mogłoby być zrobione choćby z ciemnego hebanu lub onyksu. To ostatnie porównanie z nietypowymi materiałami tworzącymi maskarę było moją osobistą inwencją. W taki dokładnie sposób wyobrażałem sobie mrokołaza, gdy byłem młodzieńcem. Potwór musiał poruszać się całkiem bezgłośnie, gdyż nie dało się potem usłyszeć żadnych odgłosów stąpania. Babcia stała wciąż wpatrzona w ten opustoszały punkt, gdzie jeszcze niedawno stał Mietek. Niepewnie

przypatrywała się okolicy, zastanawiając się, czy będzie w stanie bezpiecznie wrócić do domu. Dreszcz przeszedł jej po karku, gdy wyobrażała sobie, jak bestia czai się gdzieś z dala od świateł, by zapolować również i na nią. Dźwięk dmuchającego okazjonalnie wiatru brzmiał jak zawroźnienie, dodatkowo potęgując uczucie przerażenia. Na szczęście jeszcze jeden z pracowników zakładu – pechowiec który został dłużej na stanowisku – wyszedł właśnie na zewnątrz. Uśmiechnął się przyjaźnie i zaproponował, że odprowadzi swoją koleżankę kawałek. Razem ruszyli do trasy tramwajowej, idąc blisko siebie przez otaczającą ich ciemność. Mimo wcześniejszych obaw Alina czuła się bezpieczniej w towarzystwie tego mężczyzny i udało im się dotrzeć szczęśliwie do przystanku. Przez następne tygodnie i miesiące coraz częściej rozmawiali ze sobą. Ostatecznie ten człowiek został jej mężem, a dużo później moim dziadkiem. Babcia wspominała, że potem zawsze nalegała, aby spotykali się po pracy i wspólnie przeszli ten kawałek drogi od zakładu do komunikacji miejskiej, zwłaszcza gdy było już późno. Jednak nigdy nie wyjawiała mu tego, co stało się z Mietkiem, jak i swoich wcześniejszych doświadczeń z mrokołazami. Mówiła, że wtedy nie wierzyła, by mogła powiedzieć o tym komukolwiek.

Ostatnie spotkanie babci z tajemniczymi istotami zdarzyło się wiele lat później. W międzyczasie wzięła ślub, urodziła moją mamę oraz wujka Andrzeja. Po drugiej ciąży bardzo podupadła na zdrowiu i przez pewien czas nawet bała się, że odejdzie z tego świata, tak jak i jej matka. Na szczęście z czasem stan babci poprawił się, a jej rodzina odetchnęła z ulgą. Było jednak pewne, że nie powinna dłużej pracować w zakładzie przemysłowym. Dzięki paru

znajomościom i przysługom bliskich ludzi udało jej się ostatecznie zdobyć pozycję w lokalnej bibliotece. Była to swego rodzaju ironia losu, gdyż aż do późnych nastoletnich lat Alina była częściowo niepiśmienna. Mimo tego bardzo szybko przyzwyczaiła się do panujących w nowym miejscu pracy reguł. Musiała zająć się inwentaryzacją, okładaniem woluminów w szary papier i obsługą przychodzących. Obawiała się tylko doradzania czytelnikom, po co warto sięgnąć, żeby nie wyszła jej niezajomość piśmiennictwa. Ostatecznie jednak codzienne obowiązki nie były nadmiernie męczące, a nawet zostawiały trochę czasu w trakcie dnia, by przeczytać wiele z dostępnych pozycji. Wtedy właśnie miała okazję nadrobić swoją wiedzę na temat literatury. Niestety nie tak wiele książek było dostępnych, ponieważ pewne tytuły były zakazane, a ponadto stale mierzono się z niewystarczającym zaopatrzeniem. Jednak babcia podeszła do sprawy z właściwym sobie zapałem i szybko zaczęła pochłaniać kolejne dzieła. Szczególnie przypadły jej do gustu zbiory zawierające baśnie Braci Grimm oraz Hansa Christiana Andersena. Sięgała też po spisane legendy i klechdy oraz mniej znane bajki. Dzięki temu wkrótce zdołała zapamiętać wszystkie te niezwykle historie, które potem opowiadała mi na dobranoc. Chyba spokojnie można powiedzieć, że na wiele sposobów kochała swoją pracę. Starła się być zaangażowana w działanie biblioteki nawet wtedy, gdy formalnie przeszła już na emeryturę. Często siedziała na zapleczu i plotkowała z pracownikami, pytając, co ludzie teraz czytają, i dając różne porady. Krótco przedtem doszło do zmian ustrojowych w Polsce, więc jednym z tematów rozmów była też aktualna sytuacja i przyszłość ojczyzny. Okres lat dziewięćdziesiątych okazał się

pełen niespodzianek. Wprawdzie rosnące bezrobocie czy zmiana poziomu zarobków nie robiły na babci większego wrażenia – w jej życiu nie było już szans na znaczące reformy – cieszyła się jednak z wyjścia wojsk sowieckich z kraju. Z drugiej strony coraz bardziej martwił ją wzrost przestępczości, gdyż to mogła odczuć na własnej skórze. Wiezorami bała się chodzić po ulicach, gdy na trasie do swojego domu widywała młodych ludzi skłonnych do agresywnych zachowań. Potrafili z zaskoczenia wrywać torebki lub niesione zakupy, a czasem nawet bezceremonialnie poturbować człowieka i okraść z całego dobytku. Krążyły nawet historie, że kogoś zasztyletowano parę osiedli dalej. Dlatego Alina bardzo ostrożnie chodziła po zmroku, oglądając się z obawą na wszystkie strony. Jednak nie potrafiło jej to powstrzymać przed wizytami w swoim dawnym miejscu pracy. Któregoś dnia wracała późną porą po jednej z takich schadzek, gdy zasiedziała się dłużej niż planowała. Dookoła był niemal całkiem pusto, z rzadka zdarzało się trafić na drugiego przechodnia. Powoli robiło się już ciemno, niebo mieniło się głęboką purpurą, a cienie stawały coraz dłuższe. Babcia zwykle wspominała, jak czuła się wtedy zmęczona chodzeniem.

– Mówię ci, wnusiu – narzekała przejmującym głosem, chyba po to, by podkreślić wagę tych słów. – Na starość to człowiekowi jest naprawdę ciężko. Już wtedy nogi zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, a teraz to z każdym rokiem jest tylko gorzej.

Jednak tamtego dnia nie myślała nawet o tym, by zwalniać. Chciała tylko jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Była już niedaleko swojego bloku, musiała tylko minąć szereg starych garaży. Niskie

ceglane zabudowania ciągnęły się dwoma rzędami, a pomiędzy nimi jak kamienna fosa rozkładało się pasmo kostki brukowej. Za odrapanymi drewnianymi drzwiami ludzie trzymali swoje samochody lub urządzali osobiste warsztaty czy składziki. Niektóre były zamknięte kłódką lub rygłem. Nieliczne pozostawały otwarte na oścież, zwykle całkiem puste wewnątrz. Babcia stuknęła obcasem w nawierzchnię, idąc spieszenie przed siebie. Horyzont coraz bardziej nasiąkał barwą czerni, a w przestrzenie między blokami wchodził już mrok nocy. Wtedy niespodziewanie dostrzegła postać stojącą niedaleko najbliższego budynku. Mężczyzna rozglądał się obojętnie po okolicy. Wydawał się młody, ubrany byle jak i z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Z ust wystawał mu niedopałek papierosa, którego po chwili wypluł wprost na chodnik. Wreszcie zauważył idącą kobietę, zaledwie parę sekund po tym, gdy ona spojrzała na niego. Przez moment wpatrywali się w siebie w milczeniu, aż w jego oczach obudził się instynkt łowcy. Chyba pierwszy raz w życiu Alinie zabrakło siły ducha, aby z odwagą stawić czoło niebezpieczeństwu. Dotrwała do tego wieku, w którym człowiek nie jest już gotów ryzykować wszystkiego tylko po to, by udowodnić, na co go stać. Próbowała zawrócić, poszukać jakiejś innej ścieżki, żeby tylko ominąć zagrożenie. Jednak było za późno. Mężczyzna ruszył swobodnym krokiem w kierunku swojej ofiary. Po jego chodzie i posturze od razu widać było, jakie ma zamiary. W kilku susach dogonił kobietę i chwycił ją za ramię. Chciał krzyknąć do niej, ale nagle coś odwróciło jego uwagę. Oczy wyrostka skierowały się ku górze, a głos zamarł w gardle. W miejscu, gdzie spoglądał, wyrosła olbrzymia postać. Babcia też ją dostrzegła. Przy nikłym świetle zachodzącego słońca

łatwiej było zobaczyć detale sylwetki czarnego giganta. Podłużny tułów przypominał wielki cylinder, który zwęzał się na jednym krańcu, tworząc coś na kształt ogona. Głowy w zasadzie nie było. Nienaturalnie duże oczy oraz potworna paszcza wyrastały bezpośrednio z kadłuba. Trzy pary długich, zginających się do tyłu kończyn stabilizowały istotę na ziemi. Każde odnoże kończyło się zestawem czterech grubych, rozczapierzonych palców. Z wnętrza mrocznego korpusu doszedł znajomy warkot. Ślepią wpatrywały się z uwagą we dwoje ludzi, gdy przód torsu powoli zaczął zniżać się do ich poziomu. Młokos stał nieruchomo, kompletnie sparaliżowany strachem. Za to babcia była już poniekąd przyzwyczajona do widoku tych koszarów. Doświadczenie pozwoliło jej zachować zimną krew. Zamiast skamienieć w miejscu, ruszyła powolnym krokiem, wycofując się z dala od zagrożenia. Co sekundę przesuwiała się nieznacznie, zyskując coraz więcej dystansu. Cały czas patrząc na zbliżającą się gębę, modliła się cicho. Aby tylko nie potknąć się po drodze, aby tylko nie narobić hałasu i nie zwrócić na siebie uwagi. Na jej szczęście potwór skupił się na młodzieńcu, który w tym czasie nie odważył się nawet drgnąć. Paszcza zbliżyła się do niego na wyciągnięcie ręki. Jeszcze przez chwilę trwała statycznie, by nagle pochwycić bezradnego człowieka. Tamten w jednej chwili zniknął w czeluści, nie wydając nawet dźwięku. Wszystko zadziało się tak szybko jak bezwolne mrugnięcie. Potwór uniósł się z powrotem i skierował spojrzenie na babcię, która zdołała odsunąć się już dużo dalej. Istota sama postąpił krok naprzód, niezgrabnie stawiając swoje kończyny. Wydawało się, że może spróbować rzucić się za kolejnym celem, jednak ostatecznie skręciła w bok. Jej ruchy były bardzo precyzyjne,

ale jednocześnie mozolne. Wreszcie podeszła do jednego z otwartych garaży i ściskając się, wpełzła do środka. Był to niezwykle widok, gdy tak olbrzymie cielsko zmieściło się w dużo mniejszej przestrzeni. Nogi weszły pod tułów, który sam częściowo się skompresował. Zupełnie jakby kolosalne ciało było półpłynne. Cały proces odbył się po cichu, bez hałasów. Wnętrze pomieszczenia wypełniał już tylko czysty mrok. Jedynie na sekundę zaślniło w nim jedno z wielkich oczu. Alina jeszcze przez chwilę stała niepewnie, po czym ruszyła w kierunku swojego bloku, omijając szerokim łukiem kryjówkę potwora. Gdy zamknęła już za sobą drzwi mieszkania i poczuła, że jest bezpieczna, zaczęła zastanawiać się nad tym, czego właśnie doświadczyła. Nie była pewna, co ją uratowało. Czy bestia była już najedzona po pochłonięciu jednego człowieka? Czy może nie potrafiła poruszać się na tyle sprawnie, żeby iść w pogoń? Babci nigdy nie udało się dojść do satysfakcjonujących odpowiedzi. Mimo tych niepewności to właśnie wtedy ukuła nazwę „mrokołazy”, inspirując się neologizmami, które widziała w niektórych z czytanych książek. Zaraz potem klęknęła przy swoim domowym ołtarzyku i zaczęła się modlić, by już nigdy w życiu nie natrafić na jednego z tych stworów. Przyszłość pokazała, że jej błagania zostały wysłuchane.

Babcia nie żyje już od dwóch lat. Jeszcze niedawno, gdy wracałem wspomnieniami do jej opowieści, zastanawiałem się, jakie było ich przesłanie. Myślałem wtedy, że chodzi o nauczenie mnie zasad moralności albo ostrzeżenie o złych ludziach, których trzeba unikać. Zawsze jednak uważałem je za zmyślane historie. Ot, zwykłe bajkowe motywy, które moja droga opiekunka wplotła w historie ze swojego życia.

Wszystko zmieniło się wczoraj, gdy zobaczyłem mrokołaza na własne oczy. Wtedy też stałem przy oknie, patrząc na wąskie podwórze wewnątrz osiedla. Nawarstwiające się problemy w pracy nie dawały mi spokoju i wciąż byłem szargany nerwami. Chciałem tylko spędzić trochę czasu, spoglądając na pokrytą całunem nocy pustkę placu i nie myśleć o niczym. Nieliczne światła padały na samotną ławkę i przystrzyżony trawnik. Ten widok przyniósł mi odrobinę spokoju. W którymś momencie dostrzegłem sylwetkę samotnego człowieka, idącego powolnym krokiem. Zgarbiona postura i niepewne ruchy sugerowały, że miałby on niejedną historię do opowiedzenia. Jednak nim zdołałem się zorientować, nieznajomy zniknął. Jakby ciemność zanurkowała w stożek blasku latarni i pochwyciła niczego niespodziewającego się przechodnia. Zaraz potem wielkie cielsko, owalne i całkowicie czarne, pojawiło się w obrębie iluminacji. Był dokładnie taki, jak w historiach babci. Sześcioro odnóży, brak głowy i wielka paszcza. Z rzadka stawiał krok lub dwa, a następnie zastygał na dłuższą chwilę. Nagle odwrócił się, kierując spojrzenie tych wielkich oczu wprost na mnie. Były przerażające, idealnie okrągłe i promieniujące srebrzystymi refleksami. Potwór wpatrywał się, jakby wiedział doskonale, że jest obserwowany. Chciałem odejść od okna, uciec i schować się jak najdalej od tego widoku. Jednak coś trzymało mnie w miejscu i kazało przypatrywać się tej niezwyklej istocie. Trwaliśmy tak obaj, zakleszczeni w uścisku spojrzeń, aż wreszcie mrokołaz ustąpił. Zniknął, rozplywając się w oceanie czerni zalegającym dookoła. Ja stałem nieruchomo jeszcze przez jakiś czas. Nie wiem, czy oczekiwałem jego powrotu, czy po prostu bałem się ruszyć z miejsca, wbity w podłogę absurdalnością tej konfrontacji. Teraz ciągle nachodzi mnie obawa,

gdy tylko myślę o wyjściu na zewnątrz po zmroku. Podejrzewam, że te stwory nie potrafią chodzić zbyt szybko, ale za to podkradają się bardzo cicho i chwytają swoją zdobycz z zaskoczenia. Nieprzerwanie wyobrażam sobie, jak idę wieczorową porą i oczekuję nagłego ataku, który zakończy moje życie. Ta zapadająca dookoła ciemność mnie przeraża. Nie mogę usłyszeć ani dostrzec zagrożenia, ale jeden niewłaściwy krok wystarczy, żebym wpadł w paszczę bestii. Ona musi gdzieś tam być. Wciąż zastanawiam się, czy odstraszyłem ją, wygrywając konkurs gapienia się, czy tylko rozjuszylem? Babcia wychodziła z każdego takiego spotkania cała, a na pewno nie brakowało jej hartu ducha i determinacji. Z drugiej strony może miała po prostu szczęście? W końcu potwory, na które trafiła, upatrzyły sobie już inne ofiary i mogły być nasycone. Potem naszło mnie, że może mrokołazy wolą polować na złych ludzi, na takich, którzy kradną, donoszą i krzywdzą innych. Jednak tego też nie dało się wiedzieć na pewno. Wszystko mogło być po prostu przypadkiem. Zresztą nie jestem pewien, czy zdołałbym w pełni szczerze powiedzieć o sobie, że jestem naprawdę dobrą osobą. Nie zabijam i nie zabieram innym ludziom ich dobytku, nigdy nikogo nie pobiłem i nie kłamałem tak, by kogoś niesłusznie oskarżyć. Jednak na pewno zdarzały mi się chwile, gdy mówiłem bliskim sobie ludziom przykre rzeczy, jak i momenty złośliwości wobec znajomych z pracy. Były sytuacje, gdy pogardzałem drugim człowiekiem lub życzyłem mu nieprzyjemności. Czy to już robi ze mnie kogoś złego? Czy to w ogóle ma znaczenie? Co mam zrobić, żeby przeżyć? Babcia nie powiedziała mi wystarczająco dużo w swoich opowieściach.

JAROSŁAW ADAM PANKOWSKI

NOCNY LEGION

Jesienne słońce zachodziło powoli za horyzontem. Wielka świetlista kula odchodziła w dal, malując na pożegnanie niebo wieczornymi barwami. Sennie płynące chmury pokrywał od spodu ciepły pomarańczowy kolor. Przyjemnie lekki wiatr rozdmuchiwał liście, mieniające się ognistymi barwami. Na wpół ogołoczone drzewa układały swoje gałęzie w miriady niezwykłych wzorów. W oddali chmara szpaków wykonywała podniebne akrobacje – co chwilę wzbijając się wzwyż i opadając, wirując i zbijając się razem, wszystko w idealnej koordynacji, jako jeden kształt. Obraz za oknem powinien napełniać radością, jednak ja czułem tylko obawę. Wciąż myślałem o nadejściu zmierzchu, gdy zgaśnie ostatnia iskierka solarnej iluminacji, a ciemność ostatecznie przejmie pieczę nad ziemią. Wizje tego momentu nie opuszczały mojej głowy, przywołując co chwilę ciarki na plecach. Wiedziałem, że oni wtedy nadejdą. Niechybnie się pojawią i znowu zaczną mnie dręczyć. Niezliczone zjawy i potwory. Bardziej tłumne niż te opadłe liście czy ptaki latające na zewnątrz. Nieprzebrane mrowie. Legion.

Z trudem jestem w stanie przypomnieć sobie, kiedy to się zaczęło. Nieprzyjemne wspomnienia czasem pokrywa mgła zapomnienia, której lepiej nie rozwiewać. Czasem jednak przebijam się przez białe plamy i odnajduję te istotne detale przeszłości. Musiałem mieć nieco ponad dwadzieścia lat, gdy naszły mnie po raz pierwszy. To był najgorszy koszmar, jaki mogłem sobie wtedy wyobrazić. Wraz z nastaniem zmroku rozpętało się prawdziwe pandemicum. Byłem wówczas przekonany, że oszalałem lub że ktoś podał mi jakiś potężny, halucynogeny narkotyki. Chociaż nie, te przypuszczenia i teorie to wszystko tylko racjonalizacja, która przyszła dużo później. W momencie tamtego ataku nie mogłem nawet próbować pojąć, co się tak naprawdę dzieje. Mój umysł był do tego stopnia przeciążony potwornymi doznaniem, że nieomal wpadłem w katatonię. Dlatego samo wspomnienie tamtego zdarzenia wydaje się być jedynie krótkim momentem rozpacz. By zachować czytelność, mój mózg skompresował kilka godzin ciągłej agonii do zaledwie paru chwil. W końcu nie było tam choćby sekundy wytchnienia czy momentu ulgi. Takie przerywniki może nadałyby echa dawnych czasów odrobiny różnorodności i wydłużyły odcisnięte w głowie nagranie. Pamiętam jednak, że po tej przerażającej nocy nadszedł długi okres błogosławionego spokoju. Właśnie wtedy musiałem zacząć szukać zdroworozsądkowego wyjaśnienia dla wszystkich nienaturalnych obrazów, które zobaczyłem. Jednak nic nie dawało choćby pozorów sensu. Dlatego ostatecznie próbowałem upatrywać odpowiedzi w problemach psychicznych lub nielegalnych używkach. Wszystko to były dociekania głupca – nie chciałem tak naprawdę dotrzeć do przyczyny problemów, tylko pozbyć się lęku przed tym, co niezajome. Dlatego

skupiłem się na przyjemnym kłamstwie, ot, pojedynczy epizod rozchwiania chemii mózgu. Nie było powodów do dalszych zmartwień, może jedynie bardziej uważać na siebie w przyszłości. Wizyta u lekarza lub dwie, żeby być ekstra bezpiecznym, i na pewno będzie w porządku. Jednak rok, może dwa później wszystko się powtórzyło. Kolejny incydent wyrzył się już na stałe w moim umyśle. Do dziś potrafię przywołać każdy detal tamtej nocy, każdą sekundę. Były dookoła mnie, wychodziły z każdego kąta, zakamarka i skrytki. Nie mogłem się ukryć. Wtedy wiedziałem już, że to nie był jednorazowy przypadek, i ponaglany paniką szukałem pomocy. Coraz częstsze epizody tylko dodawały dalszej motywacji – kolejny nadszedł po nieco ponad kwartale, następny po półtora miesiąca, potem po paru tygodniach. Za każdym razem przerwy stawały się krótsze i krótsze. Wreszcie tylko za dnia mogłem znaleźć czas na wytchnienie. Zacząłem rozpaczliwie rozglądać się za jakimś ratunkiem, chodząc od jednego specjalisty do drugiego. Brałem najróżniejsze leki, poddawałem się testom na wszelkie przypadłości, nawet przesiedziałem trochę czasu w zakładzie dla nerwowo chorych. Jednak nic nie pomagało. Ludzie dookoła mnie wciąż szukali rozwiązania, ale ja w pewnym momencie dojrzałem do zaakceptowania prawdy – to nie były halucynacje.

Smużka pary unosiła się znad kubka gorącej herbaty. Napój został wzbogacony odrobiną świeżo wyciśniętego soku z cytryny, dwiema łyżeczkami miodu spadziowego oraz odrobiną syropu malinowego. Dokładnie tak lubiłem go pić. W smaku zdawał się wprost idealny. Ciągłe wpatrywałem się w nastrojowy pejzaż, obserwując rozległy nieboskłon, który zaczął nabierać barwy głębokiego

fioletu. Otworzyłem okno, wdychając uroczy zapach charakterystyczny wyłącznie dla tej pory. Co chwilę popijałem mój napar, rozkoszując się doznaniem, jakie mi oferował. W takich chwilach próbowałem wmówić sobie, że wszystko jest w porządku. Dokładnie tak jak dawniej, chciałem po prostu uciszyć obawy. Ich krzyki odzywały się co i raz wewnątrz mojej głowy, nie pozwalając mi na moment wytchnienia. Wiedziałem, że nie zdołam oszukać rzeczywistości, ale naiwnie liczyłem, że wzbierający we mnie strach choć trochę odpuści w tych ostatnich godzinach przed zachodem. Może to naiwne, ale byłem przekonany, że moje własne pozytywne nastawienie wystarczy, by minimalnie ulżyć w problemach. Co ciekawe, czasem takie myślenie naprawdę pomagało, jednak dziś nie miałem szczęścia. Moje gardło było tak ściśnięte z lęku, że ledwo mogłem przełknąć rozgrzewający trunek. Dłonie sięgające po kubek co chwilę drżały w niekontrolowany sposób. Tak bardzo chciałem, żeby było już po wszystkim.

Gdy leczenie nie pomagało, a mój problem zaczął coraz bardziej wymykać się spod kontroli, ludzie dookoła dość szybko dostrzegli, że jest ze mną coś nie tak. Początkowo starałem się szukać pomocy u rodziny i znajomych. Wyjaśniałem im detale mojej przypadłości i starałem się przekonać, że to się dzieje naprawdę. Próbowałem nawet spędzać późne godziny w ich towarzystwie, żeby mogli zobaczyć to samo przerażające widowisko, co ja. Byłem pewien, że wtedy uwierzą w moje opowieści, jednak oni w ogóle nie widzieli, co się dzieje. Nie dostrzegali otwierających się drzwi, kredensów i szaf. Nie zwracali uwagi na samodzielnie poruszające się, a czasem rzucające w powietrze przedmioty. Nie słyszeli walenia, krzyków

i śmiechów. Potrafili tylko zobaczyć moją reakcję na te wydarzenia. Ze zniszczeń zdawali sobie sprawę dopiero następnego dnia rano i zrzucali całą winę na moje zachowanie, którego nie zdołali pohamować. Patrzyli na mnie wtedy z tym przejmującym wyrazem twarzy, w którym mieszało się współczucie i strach.

„Mój Boże, co się z tobą dzieje?” pytał każdy urywek ich oblicza.

Jak ja tego nie znośłem. Okazywane współczucie może i było szczere, ale całkowicie omijało prawdziwą przyczynę problemu. Dalsze wyjaśnienia na nic się nie zdawały, zupełnie jakby ich percepcja ignorowała wszystko, co nie przystaje do poznanej rzeczywistości. Niepasujące elementy wypełniali własną wyobraźnią, szukając najprostszego logicznego wyjaśnienia. Wszyscy reagowali w identyczny sposób i nawet ja sam początkowo zacząłem im wierzyć. W końcu wcześniej sam próbowałem sobie wmówić, że to omamy. Przecież nie mogło być tak, abym jako jedyny widział coś, czego inni nie potrafią dostrzec. Mimo iż wcześniej zdołałem uzmysłwić sobie prawdziwą naturę tych nawiedzeń, to konfrontacja z opinią innych ludzi była dużo trudniejsza. Nawet gdy kilkukrotnie zostałem lekko zraniony, wołałem uwierzyć narracji, że sam się skaleczyłem. Dopiero z czasem zacząłem ponownie nabierać pewności, że to jednak nie są urojenia. Wtedy przestałem prosić innych o pomoc, a zamiast tego zacząłem samodzielnie szukać sposobu na ucieczkę z tej sytuacji. Początkowo myślałem, że to konkretne miejsce lub okolica są nawiedzone, więc próbowałem się przenieść. Podróżowałem po całym kraju, potem nawet uciekłem za granicę na jakiś czas. W pewnym momencie codziennie

przeprowadzałem się z jednej lokalizacji do drugiej, dalej rozglądając się za bezpieczną przystanią. Jednak wszędzie działało się to samo – w każdym domu, motelu czy pensjonacie. Wraz z zapadnięciem zmroku one pojawiały się tuż przy mnie. Postanowiłem nawet spędzać czas pod gołym niebem, ale tam też zjawy mnie dopadły. W lasach kryły się za drzewami, przy jeziorach wynurzały się z wody. Wychodziły nawet spod kamieni, spomiędzy wysokich traw czy z dziur w ziemi. Niektóre po prostu pojawiały się w ciemności. Ostatecznie poddałem się i nie próbowałem już szukać spokojnego miejsca.

Cienka nitka światła malowała się tuż nad widnokrzem. Pasma wieczornych kolorów zdobiły resztę otaczającego mnie firmamentu. Na najwyższym punkcie nieboskłonu widać było już blask gwiazd, które zaczęły zajmować swoje pozycje przed nastaniem nocy. Zostało mi niewiele czasu. Zamknąłem okno, gdy chłodniejszy powiew wdarł się do wnętrza. Pusty kubek zostawiłem tuż obok na parapecie. Westchnąłem, patrząc na okolicę. Przed oczami malował mi się obraz opustoszałego skraju małej wioski, leżącej niedaleko miasta powiatowego; dookoła panowały cisza i spokój. Nie było tu nawet dziesięciu gospodarstw, a do najbliższego sklepu trzeba było jechać pół godziny. To właśnie tutaj wysłała mnie rodzina, gdy uznali ostatecznie, że nie da się mi pomóc. Wtedy nie próbowałem już nawet prosić ich o wsparcie. Wiedziałem, że nie dadzą się przekonać, że nie zmyślam sobie bycia nachodzonym przez potwory. Oni jednak nie mieli zamiaru zostawić mnie tak po prostu samego sobie – za bardzo zwracałem na siebie uwagę, zbyt wielkie zamieszanie robiłem dookoła. Pewnie dlatego uznali, że lepiej jest wysłać niegroźnego,

choć irytującego wariata gdzieś daleko, aby nie przeszkadzał pozostałym. Przynajmniej było to bardziej miłosierne niż zamknięcie w psychiatryku. Dostałem domek i środki na utrzymanie, ale tylko pod warunkiem, że zostanę tu na stałe. Rodzice początkowo przyjeżdżali kilka razy do roku, zobaczyć, czy wszystko ze mną w porządku. Jednak ostatnio pojawiał się tylko ojciec i to bardzo rzadko. Nie pamiętam już, kiedy widziałem go po raz ostatni.

Wspomnienie tych odwiedzin pociągnęło mnie w głąb korytarza rozmyślań. Każda wizyta taty naznaczona była nieprzyjemnością. W ich trakcie nigdy na mnie nie krzyknął, nie zwyzywał mnie ani nie podniósł na mnie ręki. Był uprzejmy, stonowany i ostrożny. Jednak w każdym jego słowie, w każdym geście czy spojrzeniu dało się wyczuć rozczarowanie. On mnie wręcz tym rozczerwaniem atakował. Bił bez ustanku, jak napędzany czystą nienawiścią ogar piekieł. Wiedziałem, że miał do mnie urazę. W końcu byłem jego pierworodnym synem. Tym, który miał przejąć jego biznes i sprawić, że będzie dumny. Zamiast tego okazałem się szurniętym dziwakiem, którego trzeba spisać na straty. Z tym związane są kolejne rzeczy, które pokrywa mgła zapomnienia. Czasem niechętnie ją odgarniam, żeby ujrzeć przed oczami obrazy z dawnych czasów, gdy ojciec patrzył na mnie z wyrazem dumy na twarzy. To były miłe chwile. Próbuje się czasem do nich uśmiechnąć, jednak wtedy tylko bardziej odczuwam przygnębienie codziennością. Tej szczęśliwej przeszłości z tatą już nie odzyskam. Prawdopodobnie powinienem być zły na niego lub chociaż czuć się zraniony, za to że mój rodzic traktował mnie jak narzędzie do spełniania własnych ambicji. Ostatecznie jednak potrafiłem tylko wykrzesać

z siebie poczucie winy za to, że go rozczarowałem. Mimo wszystko chciałem, żeby był ze mnie zadowolony. Jako dzieciak jakoś podskórnie wierzyłem, że sprawię mu radość, osiągając to wszystko, o czym marzył. Podczas jego odwiedzin zdarzają się momenty, gdy tylko siedzimy naprzeciwko siebie bez słowa, wpatrzeni we własne oblicza. Wtedy wyliczam w myślach wszystkie niespełnione aspiracje. Każda kłuje dotkliwie prosto w serce, ale ja nie mogę przestać ich przywoływać. Tak, wizyty ojca potrafią być nawet gorsze niż codzienne nawiedzanie.

Spojrzałem na zewnątrz. Ostatnie promyki słońca odeszły w zapomnienie. Aksamitny płaszcz nocy pokrywał ziemię. Czułem, że są blisko. Powietrze zdawało się jakoś cięższe, niemal duszne. Zewsząd nadchodziło delikatne, miarowe pulsowanie. W pierwszej chwili było niemal niewyczuwalne, trzeba było stać w absolutnym wyciszeniu, aby usłyszeć te powtarzające się na granicy ciszy uderzenia. Jednak powoli stawały się głośniejsze, coraz bardziej i bardziej. Wiedziałem, że nadchodzą. Walenie było już ogłuszające. Ciągłe dudnienie niemal trzęsło mieszkaniem, wgniatało w ziemię swoją intensywnością. Wtedy wszystko gwałtownie ucichło. To był początek. Rozejrzałem się uważnie po izbie, wypatrując pierwszego intruza. Wszystko zdawało się być w porządku, gdy nagle jedna z szuflad w komodzie otworzyła się z trzaskiem, wypchnięta z wielką siłą. Trwała nieruchomo przez dłuższą chwilę, aż wreszcie jednym szybkim ruchem wystrzeliło z niej ramię. Przypominało zwykłą ludzką kończynę, jednak było całkiem czarne, jak wykonany z hebanu kawałek manekina. Ręka była wychudzona, jakby zwiędła. Po dokładniejszym przyjrzeniu się

wydawała się być pokryta jakąś zrogowaciałą tkanką. Jej krawędzie były ostre, przypominające nadpaloną gałąź. Sądząc po rozmiarze, powinna należeć do dorosłego człowieka, jednak nie było możliwości, by ktoś taki zmieścił się w tej skrytce. Zaraz po pojawieniu się, zaczęła chaotycznie machać na wszystkie strony, tak jak gdyby szukała czegoś. Wreszcie pochwyciła ceramiczną ozdobę zostawioną na tym samym meblu, z którego się wydostała, i zaczęła tłuc trzymanym przedmiotem w drewnianą powierzchnię. W międzyczasie druga identyczna łapa wychyliła się z tej samej szuflady. Chwyciła wciąż trzymane przez swoją siostrę precjozum, starając się wyszarpać je dla siebie. Obie kończyny trwały zakleszczone w walce, póki obiekt zmagania nie wyleciał na podłogę, ciśnięty w zamieszaniu. Wyraźnie rozgoryczone tym faktem zaczęły uderzać szaleńczo we wszystko dookoła. Patrzyłem bezsilnie na to upiorne widowisko. Zjawy przybierały najróżniejsze postaci, choć można było dostrzec u nich preferencje do pewnych form. Ewidentnie na początku najbardziej lubiły manifestować się jako dłonie lub innego rodzaju chwytne kończyny. Te narządy, gdy tylko się pojawią, zaczynają niszczyć każdą rzecz, jaką są w stanie złapać. Powinienem był schować wszystko, co może stać się dla nich zabawką. Niestety zapomniałem o ornamencie, który teraz leżał na dywanie niedaleko siłujących się ze sobą istot. Wtedy spod fałdów materiału wypełzło kolejne ramię. Zdecydowanie bardziej przypominało ludzkie, wszystkie elementy – skóra, paznokcie, włosy – wyglądały normalnie. Jednocześnie pokryte było serią szwów. Grube czarne nici znaczyły jego powierzchnię przy świeżych bliznach. Najbardziej wyróżniały się jednak palce. Każdy miał nieco inny odcień, jakby przeszczepiono je od

różnych dawców. Było to zresztą bardzo prawdopodobne, gdyż szramy znały miejsca, gdzie paliczki przyszyto do reszty dłoni. Najbardziej jednak rzucał się w oczy dodatkowy kciuk, który zastępował mały palec. Tak jak wcześniej ramiona, to również zdawało się szukać czegoś do wykorzystania w harcach, gdyż chaotycznie macało najbliższe otoczenie. Rzucona ozdoba był tuż obok. Byłem pewien, że jeżeli monstrum ją znajdzie, to wkrótce kolejne upiorne kończyny pojawią się, by o nią walczyć. Wołałem powstrzymać tego rodzaju rywalizację, by skala destrukcji nie stała się zbyt wielka. Ostrożnie podszedłem do zguby, starając się nie zwrócić na siebie uwagi.

– Oby tylko schowki były jeszcze wolne – powiedziałem do siebie, pochylając się nad leżącym przedmiotem. – Może jeszcze zdołam ukryć go, zanim będzie za późno.

To wydawało się głupie, by skupiać się na podrzędnej ozdóbce, w momencie gdy mieszkanie opanowały jakieś mroczne siły. Jednak chciałem wprowadzić choć odrobinę porządku w tym chaosie, mieć choć trochę władzy nad swoim otoczeniem. Pewnie nigdy nie będę mógł wieść normalnego życia, ale mogę jeszcze ograniczyć zniszczenia dzisiejszej nocy. Szybkim ruchem chwyciłem dekorację, unikając bycia wykrytym przez ciekawską kończynę. Gdy podnosiłem się znad dywanu, zobaczyłem ruch pod jedną z szaf. Szereg zębów dekorujących spłaszczoną gębę potwora wychylał się z ciasnej przestrzeni. Zakrzywione do tyłu kły wystawały na zewnątrz pyska, jak u zwierząt, które chwytają żywą zdobycz i nie chcą pozwolić jej uciec. Skóra istoty była szara jak gruba warstwa kurzu i zdawała się mieć podobną konsystencję. Kolejny intruz już tu był. W miarę upływu czasu będzie

ich coraz większa różnorodność. Zaczęło się od irytujących wandalii, ale kolejni mogą być już groźnymi bestiami. Trudno było ocenić, czy ta konkretna maskara jest niebezpieczna. Zdawała się nie mieć żadnych oczu ani innych narządów odpowiedzialnych za odbieranie sygnałów. Jednak w momencie gdy zrobiłem krok, kreatura poruszyła się gwałtownie, gotowa, by wyskoczyć z ukrycia. Strach sparaliżował mnie na chwilę. Patrzyłem na paszczę, zastanawiając się, czy zaraz wyleci na zewnątrz, tak jak tamte dziwaczne ręce. Czy może sięgnąć na tyle daleko, by mnie złapać. Napastnik jednak nie poruszył się już więcej, tylko trwał w bezruchu, jak drapieżnik oczekujący na właściwy moment, by uderzyć. Powoli odsunąłem się dalej od niego, delikatnie stawiając każdy krok. Wreszcie szczęka wsunęła się głębiej pod mebel, ewidentnie tracąc zainteresowanie polowaniem. Odetchnąłem cicho. Zapowiadała się naprawdę paskudna noc.

Coraz intensywniejszy zapach wypełniał pomieszczenie. Przypominał odór pleśni rosnącej na zawilgoczonej ścianie, jednak przebijała w nim też słodka nuta o unikatowej woni. Była trochę jak aromat gotowanego cukru w procesie kandyzowania. Każdy kolejny oddech jednocześnie podrażniał i fascynował nozdrza tym miazmatycznym wyziewem. Doświadczenie mówiło mi, że to zwiastun nadejścia kolejnych intruzów. Chciałem zdążyć jeszcze schować odzyskany ornament do schowka. Zjawy zwykle nie dotykały rzeczy trzymanyh w zamknięciu. Odwróciłem się w kierunku starej szafki po przeciwnej stronie pokoju. Nagle jej drzwiczki otworzyły się same z siebie na oścież, a w środku zobaczyłem następną zmorę. Jej olbrzymie, nagie cielsko

całkowicie wypełniało wnętrze mebla. Zwały tłuszczu skrywały się pod skórą białą jak świeży tynk. Na jej gładkiej powierzchni nie było nawet pojedynczego włoska. Połówka twarzy wpatrywała się wprost we mnie pojedynczym ślepiem pozbawionym źrenicy. Reszta oblicza gubiła się gdzieś w nieprzebranej masie sadła, skrytej za drewnianą ścianką. Nos był spłaszczony, niemal zrośnięty z resztą lica, a pozbawione warg usta zdawały się całkowicie apatyczne. Mimo iż ta istota miała najbardziej ludzką postać ze wszystkich, które miałem jak dotąd okazję widzieć, to jednocześnie była jakby otępiała, a do tego charakteryzował ją kompletny wręcz brak zainteresowania otoczeniem. Ona również wydawała się być większa niż mieszczące ją wnętrze. Po pozostawionych w środku naczyniach i sztucach nie było nawet śladu. Wpatrywałem się niepewnie w stwora, który wyciągnął spod fałdów kadłuba olbrzymią łapę i schwycił klapę szafki. Zaczął machać nią w przód i w tył, jakby bawiąc się w dziwny sposób. Jednak jego twarz pozostawała bez wyrazu, wciąż nie ujawniając jakichkolwiek emocji. Przez cały ten czas stwór patrzył na mnie swoim pustym wzrokiem truposza, bujając jednocześnie kawałkiem drewna. Przycisnąłem ozdobę mocniej do ciała i wycofałem się z powrotem pod okno. Na chwilę myśl o tym, czy nie lepiej byłoby uciec na zewnątrz, pojawiła się w moim umyśle. Wiedziałem jednak, że potwory będą za mną nieustannie podążać, ujawniając się w coraz to nowych miejscach. W ten sposób niczego bym nie osiągnął, co najwyżej zwrócił na siebie uwagę przypadkowych ludzi. Tymczasem w mieszkaniu inwazja stała się jeszcze bardziej zaciekle. Z każdej szczeliny i zakamarka wychodziły coraz dziwniejsze maskary. Wokół

mebli piętrzyło się tajemnicze kłębowisko, wyglądające jak jakiegoś rodzaju narośl składająca się z dziwacznie splecionych lian. Nieustannie zmieniała swoją postać, gdy jej pnącza zbijały się razem i rozdzielały. Każde z nich zdawało się być zrobione z półpłynnej, bulgoczącej masy o barwie szkarłatu, która nieustannie przelewa się we własnym wnętrzu. Obrazy na ścianach odchylały się, by ustąpić miejsca wyzierającym spod nich kształtom. Jeden z nich przypominał długą nogę zakończoną kopytem, inny był jak nieskończenie rozwidlająca się macka uzbrojona w ssawki. Spod klosza na żyrandolu wykwitła głowa, która zaczęła wyc nie ludzko z całej siły. To był obłąd, wszystko dookoła przeczyło logice. Wciąż powracała do mnie ta myśl, że to niemożliwe, by którykolwiek z tych stworów potrafił zmieścić się w swojej kryjówce. W całym tym szaleństwie desperacko chciałem odnaleźć jakiś sens, dogrzebać się do racjonalnego wyjaśnienia i chwycić się go z całych sił. Nie wymyślać już wygodnych kłamstw i nie ulegać sugestii innych ludzi, tylko zrozumieć, co się naprawdę dzieje. Przede wszystkim jednak chciałem wiedzieć, co jeszcze ma nadejść. Ta niepewność jutra była chyba najgorsza. Niestety nie mogłem nic zrobić, by zmienić moją sytuację. Nigdy jeszcze nie odważyłem się zbadać tych kreatur z bliska. Podejście do którejkolwiek z nachodzących mnie zjaw było naznaczone zbyt wielkim ryzykiem. Niektóre potrafiły rzucać się niespodziewanie, traktując mnie jak łowną zdobycz. Tylko raz w życiu spróbowałem z nimi walczyć, uderzając stwory podchodzące zbyt blisko mnie. Wtedy sytuacja stała się stokroć gorsza, jakbym przeniósł się na dno piekła. Ściany, podłoga i sufit drżały jak podczas trzęsienia

ziemi. Hałas stał się ogłuszający, niemal rozsadzając mi uszy. Byłem przekonany, że nie przeżyję tego. Od tamtego czasu starałem się już tylko przetrwać noc.

Wkrótce część pobliskich ścian pokryła roślinność przypominająca organizmy z obcej planety. Dywan zgniłozielonych mchów i olbrzymie porosty o barwie popiołu tworzyły własny ekosystem. Obok górowały skrzypy mieniące się metalicznym blaskiem z liśćmi przypominających kłujące igły. Do tego grzybnie rosnące tak szybko, że wydłużały się w oczach. Między nimi rozlewała się pulsująca czarna ciecz, tworząca pajęczynę wzorów na pionowych powierzchniach. Powiększająca się dżungla powoli wchłaniała wszystko, co pojawiło się wcześniej, uciszając dotychczasowe obłąkańcze krzyki. Pokój zmieniał się przy tym nie do poznania. Odczuwalny od niedawna odór stał się jeszcze bardziej intensywny i był już nie do wytrzymania. Wwiercał się przez nos prosto do mózgu, wywołując mdłości i zawroty głowy. Odczuwałem bezpośrednio na skórze, jak powietrze stawało się coraz bardziej lepkie i ciężkie, jakby nasycono je czymś klejącym. Chwilę później robak, przypominający dżdżownicę wielką jak wąż ogrodowy, wypełził zza kaloryfera. Poruszał się w sposób typowy dla tego typu pierścienic, wydłużając i kurcząc kolejne segmenty ciała. Dopiero po chwili dostrzegłem, że na całej długości jego powłoka pokryta jest miniaturowymi ludzkimi twarzami. Nosiły wyrazy cierpienia, przechodząc z jednego grymasu udręki w następny. Wypatrzyłem tam oblicza moich rodziców i dawnych znajomych. Wypisana w ich oczach męczarnia była tak wielka, że natychmiast zmusiła mnie do odwrócenia

wzroku. Odruchowo przekręciłem się w kierunku okna i spojrzałem na pozostawiony obok parapetu kubek. Wcześniej opróżniony, teraz wydawał się pełen jakiegoś ciemnego oparu, jakby mgły utworzonej z zawieszonych w powietrzu drobinek węgla. Nagle w czarnej chmurze otworzyło się pojedyncze oko, wystając nieco ponad powierzchnię i wpatrując się wprost we mnie. Wydawało się żywe, poruszając co chwilę źrenicą. Po chwili dołączyła do niego zgraja mniejszych ślepi, otaczających swojego większego pobratymca. Odsunąłem się od naczynia z obrzydzeniem. Jednak nie upłynęła nawet minuta, gdy wszystkie ściany pokryte były gapiącymi się wprost we mnie gałkami. Wyrastały z dziwacznej roślinności lub unosiły się na szczycie niezliczonych nibynózek i ruchomych łodyg. Czułem, że wewnątrz pomieszczenia żyło i oddychało. Nie był to pojedynczy oddech, lecz milion drobnych oddechów, które wspólnie tworzyły donośny szum, jak odgłos nieokiełznanego sztormu. Łoskot był potężniejszy nawet od niedawnych wrzasków upiornej głowy. Wszystkie te doznania zaczęły przeładowywać moje zmysły. Ścisnąłem w rękę ornament tak mocno, że moje palce całkowicie zbiały. Było coraz gorzej, niemal tak jak tego dnia, gdy wywołałem furję legionu, broniąc się przed napaścią jednego z potworów. Nie potrafiłem już pojąć, co się dzieje dookoła. Zdołałem jedynie dostrzec, że kolejne pseudopodia wyposażone w narządy wzroku zaczęły wypełzać z zakamarków mojego ubrania. Cienkie wypustki wlepiały we mnie swoje ślepie, niemal podchodząc pod twarz.

– Odejdźcie, odejdźcie. – Chciałem krzyknąć, ale strach przed pogorszeniem sytuacji pohamował mnie.

Aberracyjna wegetacja otaczała mnie już ze wszystkich stron. Stałem na ostatnim skrawku podłogi, który nie został przez nią zajęty, będąc obserwowanym przez milion niehumanicznych spojrzeń. Co gorsza, zaczęło mi się wydawać, że coś pełźnie pod moją skórą. Jakby stado robaków szukających wyjścia na zewnątrz. Zacząłem się bać, że kolejna zgraja potworów będzie chciała wydostać się na powierzchnię, tym razem z wnętrza mojego ciała. Powietrze zgęstniało jeszcze bardziej, stając się niemal jak galaretka. Coraz trudniej było mi się poruszać w tej zawieszynie. Wszystko stawało się rozmazane. Czas spowalniał, aż bliski był całkowitego zatrzymania się. Zdawało mi się, że zostałem uwięziony na wieczność w tym koszarze. Mój umysł krzyczał z całych sił, choć ciało było kompletnie sparaliżowane. Wrzask, wrzask i błaganie, a potem... Otworzyłem oczy. Byłem sam w opustoszałym pokoju. Nigdzie nie było śladu po dziwacznych roślinach, zębatych paszczach czy szeregu rąk. Wszystko wyglądało normalnie, tylko szuflady i drzwiczki szaf wciąż były pootwierane na oścież. Niepewnie zamrugałem oczami, a odwracając się w kierunku okna, dostrzegłem pierwsze promienie poranka. Ciepła barwa wschodzącego słońca rysowała się na horyzoncie. Było już po wszystkim. Odetchnąłem z ulgą i dopiero wtedy dotarło do mnie, jak bardzo czuję się wyczerpany. Ostrożnie podszedłem do schowka obok. Nie obawiałem się już wyskakującego z ukrycia zagrożenia, ale wolałem stawiać kroki ostrożnie – obolałe mięśnie odzywały się nieznośnym bólem przy każdym ruchu. Wewnątrz kredensu widniała zastawa stołowa i ozdobne kieliszki. Nigdzie nie było śladu tłustego stwora, który niedawno gapił się na mnie pustym wzrokiem. Nie wydawało się nawet, aby

którekolwiek z rzeczy zostały przemieszczone. Schowałem trzymane przez cały ten czas precjozum do środka i zamknąłem mebel. Zebrałem w sobie resztkę sił i poszedłem do sypialni. Musiałem się położyć i odsapnąć trochę, jednak najwyżej kilka godzin. Nie mogłem sobie pozwolić na spanie cały dzień z racji domowych obowiązków, które powinienem wypełnić przed kolejnym wieczorem. Przez zmęczenie przebijały się jeszcze wspomnienia ostatnich chwil tego nocnego koszmaru. Wracały obrazy wpatrujących się we mnie oczu oraz uczucie pełzających pod skórą kształtów. Ostatnie najazdy legionu robiły się coraz gorsze. Zacząłem obawiać się, że w pewnym momencie kolejne potwory naprawdę zaczną wyskakiwać ze wszystkich otworów mojego ciała, tak jak dotąd wychodziły z zakamarków pokoi. Powłócząc nogami, dotarłem do łóżka i padłem bezwładnie na narzutę. W takich chwilach nie zależało mi już nawet na zrozumieniu, co się tak naprawdę dzieje dookoła mnie. Chciałem tylko przetrwać.

– Nie zwariowałem. Wiem, że nie zwariowałem – zdołałem wymamrotać, zanim odpłynąłem w sen.

MAREK PIECZARA

BOGUŚ

Jasiek mi na imię. Tak mnie wołali od zawsze, ale kto mi to imię nadał? Nie wiem, bo i nie wiem właściwie, co przede mną było. Świat jakby zaczął się z moim nadejściem i szybko zrozumiałem, że i z moim odejściem dobiegnie końca. Dlaczego zatem nie dochodziłem swoich korzeni? Bo sam nie wiedziałem, czy jakiegokolwiek posiadam. Gdy tylko sięgam pamięcią wstecz, to szybko trafiam na ciemną ścianę nie do przebiccia, gładką i zimną niczym płyta grobowa, więc ostatecznie porzuciłem dalsze próby jej sforsowania i nauczyłem się żyć w zgodzie ze sobą. Wielu pyta mnie: „Jasiek, jak ta wieś wyglądała, kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było?”, a ja odpowiadam wzruszeniem ramion, bo i sam odpowiedzi na to pytanie nie znam. Jest jak jest, tak było od zawsze, a jak będzie? Staram się, by tak samo.

Mieszkam w chacie, która najlepsze lata ma już dawno za sobą, ale co to właściwie znaczy „za sobą”? Znaczący, było coś przede mną? Może chata powstała razem ze mną, może sam żem ją pobudował, jak już nastalem, ale tego

nie pamiętam? Może tak być, nie jestem wszechwiedzący, choć według wielu za takiego uchodzę, tak chcą mnie postrzegać, ale to nieprawda. Chata straszy obcych i mało kto ma odwagę się tu zapuścić, bo belki spróchniałe, zaprawę wiatr wespół z deszczem już niemal całkiem wywiał spomiędzy cegieł, i w sumie wszystko trzyma się jakby na słowo honoru, ale mi tu dobrze. Na łeb nie kapie, w nocy chłód nie hula po izbach, choć miejsca i sposobności miałby ku temu po prawdzie aż nadto, ale coś trzyma żywiły z dala ode mnie. I tak też mówią moi goście, co właściwie z rzadka u mnie przesiadują, ale jak już są, to zawsze napomkną: „Jasiek, jak to jest, że z zewnątrz stodoła wali ci się na łeb, a w środku ledwie parę świeczek i stara koza, a przyjemnie jak u babci na zapiecku?”. Odpowiadam jak zwykle, wzruszeniem ramion, bo co mam powiedzieć? Zawsze tu tak było, zdziwiłbym się, gdyby nagle zaczęło być inaczej.

Gości, jak wspomniałem, czasem przyjmuję, ale raczej niechętnie. Niesforna to bowiem klientela, miejscowe rzezimieszki i łachudry; z nimi życie obeszło się bardzo brutalnie i po macoszemu, ale co poradzić, jak takich ci u nas najwięcej? Sąsiad jak rodzina, nie wybierasz i żyjesz z takim, jakiego masz, lepiej lub gorzej, to już kwestia nastawienia. Ja zawsze staram się żyć raczej dobrze, zwady nie szukam, chyba że łajdak wyjątkowy i po wódce tylko do bitki skory, to z takimi zawsze sobie szybko wszystko wyjaśniałem i miejsce w szeregu pokazywałem. Teraz jednak zestarzałem się i ani chęci, ani zdrowia na takie akrobacje nie mam. Młodzi coraz bardziej krnąbrni, coraz więcej praw roszczą sobie do tej ziemi, co nastąpiła razem ze mną i razem ze mną zniknie.

Im jednak ciężko cokolwiek przetłumaczyć, nie rozumieją prawideł rządzących światem, nie rozumieją tego miejsca, choć tu się urodzili i tu umrą.

Wieś nasza osobliwa jest i o tym nawet ja wiem, choć nigdy poza nią nie bywałem i nie zapuszczałem się dalej niż w okoliczne lasy, ale prawdę znam. Granica jej wyraźna i jasna, jakby na ziemi kto rozsypał proszek fosforyzujący, za dnia może i do przeoczenia, ale nocą na pewno nie. Nie dla mnie. Jeśli ktoś do nas zbłądzi, to wystarczy, że stopę za tę niewidzialną linię przestawi i choćby zaraz krok w tył wykonał, to za naszą ziemię już taki pijany wyjdzie, jakby dwa dni na weselu bawił. Tak to u nas jest, że wódka chyba zamiast powietrza unosi się i do płuc wlatuje, a tam jak płynna stal w formie każdy kąt zajmuje i na nic innego miejsca nie zostawia. Nie ma u nas abstynentów, takich anomalii nawet ja nie uświadczylem, a wierz mi, że tylko ja uświadczyć bym mógł. Nie ma i tyle. Jesteś u nas, to żyjesz wódką.

W nocy biegam po wsi i krzyczę. Ale nie krzyczę dlatego, że jestem pijany, choć owszem, zwykle pijany jestem niemal do nieprzytomności; to nie ma nic do rzeczy. Krzyczę, by odgonić biesy. Widzę je, jak wkradają się do okolicznych domostw, jak wciskają się przez piwniczne okna niczym tłuste karaluchy, a na to przyzwolenia nie dają. Po to tu jestem, by wieś trzymać w garści i złemu nie dać dostępu, a krzyk odstrasza te piekielne stwory. Pajączaki paskudne, dziki o paszczach wilczymi kłami usianych, węzowe jakieś stwory, co jak na nie nastąpisz, to na pięć następnych rozmnożą się, a każdy z nich tak samo zawzięty, każdy na krew łasy i świeżego ciała spragniony. Wszystko to pełźnie na moje włości, wszystko przekonane,

że wpuszczę i moim pijackim wzrokiem ominę, że rano dopiero spostrzegę ledwie ostyglę trupy oparte o druciane ogrodzenia. Ale to nie ze mną, ja jestem gotowy, nie dam się zaskoczyć. Nie wiem, skąd to wiem, dlaczego je widzę, kiedy nikt inny nie widzi, ale to nieważne. Póki tu jestem, a jestem od zawsze, wieś będę trzymał w opiece.

Pełźnie to plugastwo zawsze z jednej strony, z Sikornika mojego ukochanego i znieawidzonego, bo tam gniazdo wszeteczeństwa się mieści, stamtąd wszelkie zło przybywa, dusi i pożera dzielnych mieszkańców wsi mojej, a ja mówię: nie! Nie będzie pożerania moich drogich sąsiadów i choćby za cenę nocnego spokoju dusz ich sprzedać nie pozwolę. Laski dębowej się boją, laską moją już niejednemu parszywca w pysk zdzieliłem, a dzielać będę tak długo, jak siła utrzyma się w moich starczych członkach, jak długo oddech jestem w stanie zaczerpnąć. Męczą mnie jednak te nocne cyrki, z których co prawda z bożą chyba tylko pomocą wychodzę bez szwanku, ale ile ta moja passa jeszcze potrwa? Rok, dwa, dziesięć?

Powiedzieć nie sposób, a sił coraz mniej, każda noc niby wampir siada mi na piersi i wpija się w szyję, ssie i chłepce jak opętana, z każdą nocą ja słabszy i miększy, z każdą nocą bliżej końca. Ile jeszcze zdołam takich nocy przeżyć, kiedy w końcu soki moje witalne wyczerpią się zupełnie i zostanie jedynie skorupa po Jaśku, sucha i pomarszczona, jak rzucona na obornik skórka pomarańczy? Często nad tym myślałem, bo nie chcę moich sąsiadów samopas tak zostawiać, na pastwę diabelstw, na pastwę zła. Ale powiedz mi, co ja sam jeden mogę poradzić, kiedy noc w noc cienie jak horda maszerują spod lasu, łapa w łapę, odwłok w odwłok, aż granitowa

kostka podskakuje na ulicy, aż przydrożny żwir kotłuje się w powietrzu niby pustynny samum. Tak, znam ja takie słowa, choć jak mówiłem, za naszą wieś nigdy nawet kroku nie postawiłem, więc skąd właściwie je znam? Może z innego życia? Nieważne, ważne, że co noc modły słałem pod same niebiosa, by te zesłały kogoś, kto zdejmie mi ten ciężar z barków i pozwoli swych dni dożyć w spokoju i odpoczynku, przy kiejcie i kochanej mej berbelusze. I w końcu żem się doczekał, w końcu ktoś pomocną dłoń wyciągnął w moją stronę. A pomoc ta przyszła z daleka.

Przyszedł do nas z północy i choć chłopakom w parku mówił, że z Warszawy, to ja wiedziałem, że z dużo dalsza. Twarz miał ogorzałą od wiatru, buty znoszone i dziurawe, a śmierdziało od niego jak od zdechłej świni, lecz ja w tym zapachu doszukałem się czegoś więcej. Czułem od niego sól i żywicę, oczy miał koloru bursztynu, a pierwszego dnia dałbym sobie głowę uciąć, że na szyi wisiał mu naszyjnik z muszelek. A może wcale nie wisiał, może to tylko pijackie majaki, bo nigdy więcej już tego naszyjnika nie widziałem. Prawdą jest, że setki kilometrów pokonał na piechotę, niezmordowany i zawzięty, jakby gnała go ku nam jakaś pogańska siła. Pogańską siłę miał w sobie z pewnością, bo ledwie naszą granicę przekroczył, a nie zachwiał się nawet lekko, jedynie zmarszczył brwi i kichnął, jakby mu ktoś kieliszek wódki prosto w tchawicę wlał. Otrzepał się jednak i ruszył dalej, nie bacząc na pijacką aurę, wszedł jak do siebie. Po tym poznałem, że będzie to chłop nielichy. Po tym wiedziałem, że dla wsi nowy czas nastał.

Okolicznym przedstawił się jako Boguś. Dość kulturalnie, nie zaczepiał obcych i nie prosił o drobne, a jedynie

kroczył pewnie drogą wiodącą ku lasowi, aż dotarł pod moją chatę. Traf chciał, że i ja siedziałem akurat pod domem, zapatrzony w czerń Sikornika i podpalający znalezione rano pety, ale mojemu wzrokowi nie umknął; zupełnie jakbym się go spodziewał. Na chwilę tak zamarliśmy w bezruchu, on wpatrzony we mnie tymi bursztynowymi oczami, ja zgięty na rozpadającym się krześle, z papierosem w ustach. Nie odezwaliśmy się wówczas do siebie ani słowem, jednak dziś tego żałuję. Żałuję, że nie byłem tym, który go u nas powitał.

Chętnych do powitania jednak nie brakowało, bo wieść o przybyszu rozeszła się szybko, jak szybko rozchodzą się pchły na gnijącym w rowie psim truchle. Dlatego wiedziałem, że szykują się kłopoty. Założyłem przeżarty molami sweter i wełniane portki, w dłoń chwyciłem dębową laskę i ruszyłem do parku, gdzie wieczorami zamiast biesów zwykli urządować ludzie. I szedłem krokiem chwiejnym, bo tego dnia wypilem ledwie flaszkę taniego wina, ale to nie delirium wprawiło mnie w taki niepokój. Idąc w dół wydeptaną drogą, myślałem tylko o tajemniczym nieznajomym i modliłem się, by nie wpakował się w kabałę, która go przerośnie.

Jak młodzieniaszek przeskoczyłem nad włazem kanalizacyjnym, który jakiś sukinsyn postawił pośrodku ścieżki chyba tylko po to, by dziadom takim jak ja uprzykrzyć życie, innego wytłumaczenia nie widzę. Latarnie były tu rozstawione rzadko i w zasadzie tylko znajdująca się tuż obok bogata willa rzucała na drogę blade blask, odgrodzona jednak była solidnym płotem, by takie wyrzutki jak ja nie miały do niej dostępu. Zbędny wysiłek moim zdaniem. Ani mi tam było po drodze.

Zdążyłem w ostatniej chwili. Okoliczne męty zaczęły się już zbierać wokół ławeczki, gdzie przybysz Boguś rozsiadł się jak u siebie i prowadził żywą rozmowę, czy ze sobą, czy z kimś tylko sobie widocznym, tego nie wiem. Dopiero przyszedłem i za wcześnie było mi to oceniać, ale jedno zdawało się być pewne – nie wyglądało to dobrze. Dopatrzyłem się już załogi okolicznego zakładu mechanicznego, braci Poniedziałków, był też naczelnny awanturnik Piotrek, a ten w sposób wyraźny aż palił się do bójki. Przyspieszyłem kroku, czasu było mało, wzroku nie spuszczałem z ulokowanej pod jedną z latarni ławeczek. Boguś siedział niewzruszony. Krąg wokół niego zacieśniał się, czasu ubywało, niesforne nogi nie chciały słuchać moich rozkazów. Pot wpełzł mi na zmarszczone czoło, ręka drżała na dębowej głowni, byle szybciej, szybciej!

Boguś jakby od niechcenia wstał z ławki, beknął głośno i charknął, po czym trzasnął w pysk Piotrka tak, że ten okręcił się wokół siebie i padł w liście jak długi. Zaraz to samo spotkało jednego, drugiego, trzeciego Poniedziałka, później jeden mechanik dostał tak, że zawiesił się na latarni i nagle napięcie zelżało. Krąg rozluźnił się, wszyscy jak jeden mąż wykonali krok w tył i obserwowali z niepokojem nastające raptem nowe porządki. Zaśmiałem się pod nosem, bo nie ukrywam, takiego zwrotu akcji żem się nie spodziewał. Krzyki rozbrzmiały, ktoś nawet nóż spod pazuchy wyciągnął, ale Bogusia już to nie obchodziło, bo on swą obecność w tych paru ciosach zaznaczył aż nazbyt wyraźnie. Podeszedł krokiem niespiesznym w zalegającą za ławeczką gęstwinę i tam zniknął na krótką chwilę. Kiedy wyszedł, w dłoniach ścisnął szyjki co najmniej ośmiu butelek wina, ile ich tam dokładnie było, to nie

wiem, bo z daleka obserwowałem tę hultajską biesiadę, ale starczyło, by ugościć wszystkich zebranych.

Tak oto Boguś postanowił się wkupić w nasze wiejskie progi i chyba mu się to udało, bo jeszcze jakiś czas z oddali obserwowałem, jak piją, i do żadnych bójek nie doszło. Jedyne śmiech i krzyki słyszałem z dala, nawet z piotrkowych ust, a głos ten znam od zawsze, od narodzin się nie zmienił, tak jak i głosy pozostałych moich parkowych dzieci. I wiem tak samo jak i inni mieszkańcy wsi, że gdy piotrkowy śmiech rozbrzmiewa w parku, znaczy nic już złego stać się nie może. Tak i ja, ukojony tą pieśnią, ruszyłem do domu, bo zmęczyły mnie już te nocne sensacje. Rosnący pośrodku drogi kanalizacyjny właz nie był mi już tak straszny, kiedy zza pleców słyszałem bełkot i weselny śmiech, bo to był dla mnie jasny znak, że tej nocy nikogo w chałupie nie ubędzie. Przeszedłem zatem po nim pewnym krokiem jak każdy, kto z parku wychodzi, a żegnały mnie jasne gwiazdy i szelest liści. Swym okiem doświadczonym zerkąłem również na boki, czy przypadkiem jakieś paskudztwo leśne nie pełźnie przez zasypane liśćmi przydrożne rowy, ale jakoś nie. Sikornik był tej nocy łaskawy, nie wyciągnął swych szponów ku moim nocnym markom, więc drugi raz odetchnąłem z ulgą. Dwa razy w ciągu jednej nocy to dużo, zwłaszcza w naszej wsi. Mogłem zatem ułożyć się do snu.

We wsi jakoś inaczej zaczęło się życie toczyć i choć nikt dokładnie tej zmiany nie umiałby nazwać, to wątpliwości nie było żadnych – od przybycia Bogusia jakby cieplejsze nastaly dni, więcej słońca docierało do ziemi i były to promienie silniejsze, nie zbląkane w cieniu i mgle

wspomnienia po dziennym blasku, a prawdziwa poświata. Ludzie więcej zaczęli się do siebie uśmiechać, jakby wystarczyło, że ktoś zdejmie im z barków te namiastki kłopotów, te pozał się Boże troski, które w obliczu prawdziwych problemów wydawały się pożałowania godnym żartem, a już twarze ich jaśniały i serca dla innych szerzej otwierały się. Od małych trosk Boguś był prawdziwym specjalistą, ze wszystkim potrafił pomóc i pomagał chętnie. Dach potrafił załatać, rurę cieknącą uszczelnić, zwierzęta słuchały się go, jakby jednym językiem mówili, trawnik kosił każdemu, kto go poprosił, i liście z podjazdu zamiótł. Za usługi te otrzymywał zapłatę co łaska, nie był chciwy i nie targował się, choć mnie samego czasem aż pięść świerzbiła na widok ochłapów, jakie rzucano mu za całodniową harówkę. Boguś jednak nigdy ani słowa skargi nie powiedział. Zarobione pieniądze wrzucał do kieszeni brudnych portek, po czym z uśmiechem na twarzy żegnał się słowami „polecam się na przyszłość”.

Do ciężkich zadań również brał się chętnie, bo choć niski i krępy, to siły miał chyba za pięciu, aż strach było patrzeć. Sąsiad miał skład z drewnem i naszego Bogusia często i chętnie najmował, bo poza nim nikt nawet nie miał ochoty przymierzać się do ogromnych pniaków i drewnianych bali. Jak Boguś ciężarówkę rozładowywał, to pół wsi się schodziło patrzeć, bo nikt plotkom nie chciał wierzyć, że taki pokurcz tyle siły może mieć. Boguś nie zwracał uwagi na publikę, czasem chyba nawet nie wiedział, że jest obserwowany, i tylko potężne kłody nad głowę samą podnosił i przed siebie rzucał, zawsze trafiając tam, gdzie chciał. Ziemia się trzęsła pod stopami, gdy te ciężary z hukiem na ziemi lądowały, a mięśnie na

plecach i ramionach Bogusia wydawały się lada moment pozrywać, bo nie do pomyślenia było, by ciało człowieka na taki wysiłek gotowe mogło być. Nic sobie z tych ograniczeń Boguś nie robił, za nic miał granice swej cielesności, bo chyba i by mu do głowy nie przyszło, że takowe mogą istnieć. Rzucił więc i dźwigał, zmęczenie łagodząc popijanym często winem i kopącym papierosem. I przychodził na skład często, nawet częściej niż robota była, bo między nim a sąsiadem, poza pracowniczym obowiązkiem, nawet chyba przyjaźń narodziła się, co ucieszyło mnie bardzo. Ucieszyło mnie, bo ktoś w końcu na mojego Bogusia spojrział przychylnie i dopuścił go do siebie bliżej, jak i ja to zrobiłem. I choć wtedy jeszcze z dala go obserwowałem, to czułem, że los nas ku sobie sprowadzi. A wiedziałem, że wówczas ugoszczę go jak sąsiad drwał, ciepłym domowym i gorzałką zimną.

Póki co starałem się nie spuszczać go z oczu, bo choć ważniejsze sprawy mnie zajmowały, to jako gospodarz dobry swych obowiązków nie mogłem zaniedbać. I jak od drwala wychodził krokiem bardzo chwiejnym, to zawsze łapałem go w pól i pod samą knieję prowadziłem, gdzie mglistą poświatę leśna czerń zastępowała i gdzie Boguś szopę miał swoją. Pilnowałem go jak dziecka, bo u nas wieczorową porą łatwo nożem po żebrach zebrać, a umrzeć od zbłąkanego ostrza, to umrzeć śmiercią głupią. O głupią śmierć, jak wiadomo, najłatwiej, dlatego strzegłem jak oka w głowie i z uścisku nie wypuszczałem, choć wiadomo, o tej porze samemu ciężko mi było iść. Ciężki był i on, tak samo jak silny, i nie powiem, natrudzić się musiałem srodze, by po granitowej drodze pod sam las wyprowadzić go i tam wypuścić wolno, jak młodego jelonka, co to

często pod mój płot podchodzą. Jelenie jednak nie wracają do siebie w ten sposób co Boguś, co to to nie. Dopuszczał mnie tylko na granicę polany, a na jej dół szedł już sam. Szedł? Za dużo powiedziane. Do dziś pamiętam jego słowa. „Jasiek, ja stąd kółkami do domu”. I rzucał się przed siebie jak szczupak, skarpa na dwa metry w dół, sarny łamały tam pęciny, a Boguś leciał. Ile tych fikołków po drodze robił, to nigdy nie naliczyłem, ale zawsze lądował bezpiecznie na czterech łapach, jak kot. Otrzeptywał się tylko z liści i machał mi ręką na pożegnanie, uśmiech na jego twarzy był widoczny nawet podczas najgęstszej nocy, jakby sam mrok rozstępował się na widok tak pogodny i radosny. Odpowiadałem również uśmiechem, choć wątpię, by ten mój był równie wyraźny. Wracając do domu, zawsze myślałem o nim, kim on właściwie jest i co u nas robi, oraz najważniejsze – kiedy krok pijacki doprowadzi go w końcu na moje włości.

Przyszedł do mnie oczywiście tego wieczoru, kiedy się go absolutnie nie spodziewałem. Sikornik od rana sprawiał wrażenie wyjątkowo wzburzonego, wiatr targał obłymi koronami drzew, jakby chciał wyrwać z ziemi te wątle brzozy i przysadziste buki, a mnie więcej wskazówek nie trzeba. Od rana siedziałem napięty jak struna, czekając wieczornego mroku, a ten jak na złość nie chciał nadejść. Ja jestem jednak cierpliwy, nie na takie próby wystawiał mnie już las, więc i wtedy wiedziałem, że tylko cierpliwość daje mi przewagę nad jego mocą. Do tej pory byłem jednak sam. Zza płotu nie wychylała mi się śniada, zarośnięta gęba z osadzonymi głęboko bursztynowymi oczami. A te właśnie oczy zaskoczyły mnie owej listopadowej nocy, kiedy już myślałem nad udaniem się na złudny

spoczynek, by siły zebrać na nocną walkę i nocne krzyki. Zza płotu dobiegł mnie bowiem brzęk ściśniętych reklamówką flaszek, Boguś nie przyszedł z pustymi rękami, bo i nigdy nie zwykł z takimi się u ludzi pojawiać. U mnie jednak jeszcze nie był. Niewiele myśląc, zaprosiłem go do środka, zaschło mi swoją drogą w gardle i chęć miałem ogromną zwilżyć je jakimś mocniejszym trunkiem. Rozsiedliśmy się przy stole, stare krzesła zaskrzypiały żałością, a wódka wypełniła brudne kubki w plastikowych koszyczkach.

Rozmawialiśmy w sumie o niczym, dziś nie potrafiłbym nawet przypomnieć sobie słów z Bogusiem wtedy zamienionych, bo żadnej wartości nie miały, jedynie narzekanie dwóch pijaków na niesprawiedliwość świata, na sprowadzenie przezeń na nas pijackiego upodlenia. Rozmowa jak każda inna, wiele takich w życiu przeprowadziłem, dlatego zastanawiałem się intensywnie, po cóż ten Boguś dziś do mnie zaszedł. Bo nie na plotki, to na pewno. Czekałem zatem cierpliwie, bo jak już wspomniałem, cechę tę rozwinąłem w sobie wyjątkowo dobrze.

„Jasiek, ja muszę tobie pomóc” powiedział w końcu, a ja zdębiałem i spojrzałem na niego podejrzliwym wzrokiem. „W czym ty mi chcesz pomóc, Boguś?” spytałem, bo ani naprawy w domu żadnej pilnie nie potrzebowałem, ani w obejściu żadna robota nie zalegała. Ciekawość mnie przejęła, ale nie dałem po sobie poznać. „Wiesz w czym, Jasiek” powiedział. „Tych diabelstw leśnych samym krzykiem nie powstrzymasz, nie będą się go bały w nieskończoność, niedługo zejdą ze wzgórze i najdą na wieś z całą siłą. Coś trzeba zrobić, by zdusić zło w zarodku, wyrwać chwast z korzeniami, a ja ci w tym pomogę”.

Roześmiałem się wtedy gromko, by ukryć zaskoczenie, bo po raz pierwszy coś takiego z ust drugiego człowieka usłyszałem. Jakże to, ktoś niby mógł to widzieć poza mną? Bzdury niepomierne. „Idź otrzyj smarki i mleko spod nosa gówniarzu, a nie gadaj o rzeczach, o których nie masz pojęcia” powiedziałem do niego, nieco może bezczelnie, ale w nadziei, że temat ten niewygodny utnę i nie będzie do czego wracać. Boguś nie dał się jednak tak łatwo zbyć. Patrzył na mnie tymi oczami bursztynowymi, a w spojrzeniu jego nie było zmieszania, nie było rezygnacji i nie uciekały te oczy na boki, na butelkę wódki, bo w ten sposób przeważnie kończyły się rozmowy na poważne tematy, kiedy jednemu i drugiemu w czubie dymi.

Wiedząc już, że tak łatwo nie uniknę nieprzyjemnego tematu, spytałem od niechcienia: „Jak ty mi, Boguś, chcesz pomóc?”. Zamyślił się chwilę, jakby sam zdał sobie sprawę z bezsensu tej rozmowy, po czym powiódł wzrokiem za pokryte szarym osadem okno, za pordzewiałe ogrodzenie i dalej, ku falującej czerni Sikornika, ku samemu sercu zła. Zrobił to tak, bym mógł obserwować każdy jego ruch, każdy skurcz na pomarszczonej, nabrzmiałej od wódki twarzy. I wiedziałem, że robi to celowo, a mimo woli dałem się prowadzić jak małe dziecko za rękę, bo po raz pierwszy od dawna poczułem, że ktoś mnie rozumie. Że w mojej tułaczce nie jestem osamotniony.

„Dziś jest ta noc, kiedy to wszystko dobiegnie końca. Bo jeśli nie teraz, to nigdy, bo Sikornik pożre nas wszystkich i nic nie zostanie z twojej ukochanej wsi, nic poza martwymi ciałami i jałową ziemią. Pozwól mi działać, Jasiu. Pozwól mi czynić moją powinność”. Mówił jak zbawiciel, jak mesjasz jakiś zesłany na ratunek ludziom niewartym

ratowania, mówił pewnie i spokojnie, a ja zacząłem w jego słowa wierzyć. Teraz sobie myślę, dlaczego nie miałbym mu wierzyć? Od tak dawna modły niosłem pod same niebiosa, by zesłały mi kogoś, kto w końcu rozprawi się z odwieczną zarazą. Dlaczego to nie miałby być on? W czym on gorszy od proroków z ksiąg chrześcijańskich, muzułmańskich, buddyjskich? Taki sam on jak tamci, tak samo niepozorny, tak samo pewny swej siły.

Więc mówię: „Sam toczę tę walkę od tylu lat, od tylu lat nocy ani jednej nie przespałem, po czym zjawiasz się ty i mówisz, że sprawę jak raz rozwiążesz? Za kogo ty mnie masz, Boguś? Albo lepiej, za kogo sam siebie uważasz? Moc stamtąd idzie nieludzka, człowiek sam jeden nic tu nie wskóra, nie pozwolę ci iść na śmierć bezmyślną. Co chcesz zrobić?”

Oko mu błysnęło jasno, jakby ktoś świecę zapalił, a na ustach uśmiech iście szelmowski wykwił. „Zaufaj mi Jasiu, wiem, co robić. Za próg swej chaty dziś jedynie nie wychodź, a jeśli już, to tylko po to, by innych wieśniaków do domostw zagonić. Nie będzie to bowiem dobra noc na samotne wędrówki, nawet w świetle latarni. Każdy musi w domu pozostać”.

Kiwnąłem głową posłusznie, bo już od dobrej chwili czułem, że to on tu rozdaje karty. Nie wiem, jak do tego doszło, nigdy nikt tak zuchwale się w mojej chałupie nie panoszył, a tu proszę, Boguś przychodzi niby duch z innego świata i ja się go jak parszywy kundel słucham. I posłuchałem też wtedy, drzwi zamknąłem za nim na głucho i okiennice, światło zgasilem i patrzyłem przez szparę w deskach, jak idzie ulicą w stronę lasu. Nikt nie stanął mu na drodze. Ludzie czuli grozę tej nocy.

Kiedy tylko zniknął mi z oczu, zaczęło się piekło. Zupełnie tak, jakby wzrok mój ochronę mu dawał tak daleko, jak sam sięgał, a gdy tylko zgarbiona sylwetka zniknęła za winklem kamiennego ogrodzenia, zatrzęsa się ziemia. I zatrzęsa się brutalnie, kurz pomiędzy granitowych kostek uniósł się do góry i nie samum nim targał, to prawdziwe tornado wprawiło go w ruch. Kamienie wybijały szyby, łamały dachówki, wiatr otworzył drzwi wszystkich domów i wyrwał mieszkańców spod ciepłych pierzyn, postawił ich na równe nogi i kazał patrzeć. A ci posłusznie wyszli za próg i patrzyli na las, który wił się jak piskorz, jak złapana na przynętę płotka, bo i, jak ta płotka, szans na przeżycie większych nie miał. Tak więc patrzyli wszyscy i patrzyłem ja, jak trzęsie się cała okolica i las razem z nią, i wszyscy czekaliśmy, aż apogeum to dobiegnie końca.

Nie wiem, ile to trwało, godzinę, dwie? Czas jakby stanął w miejscu, ziemia chyba nawet przestała się obracać i raptem las stał się centrum wszelkich zdarzeń. Obserwowałem to zajście z domowego zacisza, jednak i z tego zacisza niewiele pozostało, bo wszystkie butelki upchnięte skrętnie po kątach wytoczyły się, jakby wiedzione jakimś niepojętym wezwaniem, rozlały po chałupie i jeły zderzać ze sobą i rozbijać, aż całą podłogę pokryły lśniąca niebezpiecznie, ostrą wykładziną. Długo jeszcze brzęk tłuczonego szkła huczał mi w głowie, a może to z zewnątrz ten huk dochodził? Może i tak być, bo kiedy w końcu w głowie zapadła mi cisza, zrozumiałem, że również na zewnątrz cicho się zrobiło jak makiem zasiał. Wróciłem do okien i rozwarłem je nieśmiało, jakby w obawie, że jakiś

pocisk miotany przez las do izby mi wleci i całą chałupę zburzy. Ale żaden nie wleciał. Na zewnątrz świtało.

Wyszedłem przed chałupę i ostrożnie upewniłem się, czy aby stworów leśnych to trzęsienie ziemi do wsi nie przyгнаło, po czym wyszedłem za furtkę. Sąsiedzi pochowali się już do domów, widać uznali zagrożenie za odegnane, ja jednak nie byłem taki pewien. Szedłem ulicą ostrożnie jak po rzece ściśniętej listopadowym mrozem, czujny i nieufny, bo jeszcze nigdy las nie urządził mi takiego pokazu. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale z każdym krokiem nabierałem animuszu, polną ścieżką ku ścianie drzew szedłem już prędko, niemal biegłem, choć teraz ciężko mi przypomnieć sobie, skąd ten pośpiech. W głębi duszy wiedziałem przecież, co zastanę w sercu kniei, co miało się zdarzyć, już się zdarzyło, czasu nie cofnę. Nie słuchało jednak moje ciało, powykręcane nogi żyły niby własnym życiem i z łatwością wymykały się objęciom kolczastych pnączy i uschniętych gałęzi zalegających gęsto na skraju lasu. Byle szybciej, byle przekonać się na własne oczy.

Znalazłem go na zachodnim skraju Sikornika, gdzie czarną ziemię rozdzierają białe, wapienne skały, sterzące niby kości zakopanego olbrzyma. Myślałem, że po prostu śpi, taki spokój malował się na jego twarzy; ubranie miał brudne i potargane jak zwykle, więc ciężko było stwierdzić, czy odniósł jakieś rany. Dopiero gdy dotknąłem jego czoła, byłem pewien – zimne jak rosnąca obok skała i niemal równie blade, wątpliwości być nie mogło. Boguś oddał ducha zapewne w chwili, gdy cały chaos ustąpił, tak udało mu się uspokoić leśnego ducha i jego sługi, tak poskromił tę diabelską siłę. Rozejrzałem

się uważnie, choć jakoś podskórnie czułem, że nic mi nie grozi. Instykt był jednak silniejszy, kształcony przez lata odruch jeszcze długo nie miał zamiaru wygasnąć. Bardziej niż niebezpieczeństwa szukałem wówczas pomocy, bo od razu wiedziałem, że Bogusia nie zostawię tu na pastwę losu i dzikich zwierząt, nie na taki pogrzeb zasłużył. Nikogo jednak się nie dopatrzyłem. Wyprostowałem zgarbiony grzbiet z głośnym trzaskiem i wezwałem ostatki zalegających we mnie sił, by na ten ostatni w moim życiu wysiłek zdobyć się.

Niosłem go przez wieś na barkach i pewien jestem, że w każdym oknie ktoś stał i przyglądał się temu niecodziennemu widokowi, bo jeszcze nikt dotąd u nas nie spił się tak okrutnie, by nieść go trzeba było całego tak, jak ja Bogusia wtedy niosłem. Nie wyszedł jednak nikt z domowego zacisza, nie podał mi pomocnej dłoni, którą tak przecież często wyciągał ku każdemu z nich mój Boguś. Nie doczekał się wdzięczności podczas tej swojej ostatniej drogi, długi zaciągnięte u niego przez wieśniaków na zawsze pozostaną niespłacone i oby Boguś upomniał się o nie nawet zza grobu, bo kurwa mać, na godniejsze pożegnanie swym życiem zasłużył sobie. Wiedziałem już, że zapamiętam sobie do grobowej deski ową niewdzięczność. Na taką samą bowiem mogłem i ja liczyć, gdy dzień mój nadejdzie.

Nie rozmawiałem nigdy z Bogusiem o wierze i nie wiedziałem, czy życzyłby sobie miejsca na cmentarzu, dlatego postanowiłem proboszczowi nie zawracać głowy. Czułem ponadto, że Boguś bardziej z ziemią niż z niebem związany był, tak i pochowałem go na naszej ziemi, tuż obok mojej chałupy, byśmy oboje już nigdy

sami nie musieli być. Kiedy zasypywałem grób, pod furtką pojawił się jedynie sąsiad drwał, stanął z ramionami opartymi na stalowej poręczy i patrzył pełnym smutku wzrokiem, jak czynię grabarską powinność. Nie wszedł jednak na podwórze i nie odezwał się słowem. W ciszy pożegnał Bogusia, otarł łzę i przeżegnał się, po czym ruszył w swoją stronę.

Bogusia brakło, ale jego duch jakby we wsi pozostał. Ludzie nadal lepsi dla siebie byli, jakby zupełnie nie pamiętali już dawnych niesnasek, pomagali sobie chętniej i nie chowali długo urazy. Nigdy jednak nikt nie wypowiedział głośno imienia Bogusia, nikt nie przywołał go w pamięci choćby na chwilę, tak jakby ślad wszelki po nim zaginął lub nigdy nie istniał. Ja jednak pamiętałem i w ciszy wspomnienia te pielęgnowałem, bo odkąd samotnie do lasu udał się, to każdej nocy śpię jak dziecko, ani razu nocne mary nie wyrwały mnie ze snu. Spokój w końcu zstąpił na wieś, a ja pamiętałem, komu to zawdzięczam. Pamiętałem również, by co dzień kilka łyków wina wylać na Bogusiową mogiłę. Pewien bowiem byłem, że po tak ciężkiej pracy zaschło mu w gardle i życzyłyby sobie zwilżyć je czymś mocniejszym.

WERONIKA ROGALSKA

POŻERACZ

- Weź mnie za rękę i nie krzycz.
- Nigdy.

1.

Była piąta rano, mgła muskała śpiące bloki z wielkiej płyty, kiedy Magda wytoczyła się z klubu i zrzygała. Za nią wybiegła jej najlepsza koleżanka Anka, ledwie zresztą sama rozumiejąca, co się wokół dzieje.

– Ej, wracaj! Noc jeszcze młoda... – ględziła trzy po trzy.

Ale Magda nie chciała słuchać. Czarnowłosa dziewczyna ruszyła w kierunku postoju taksówek. Przytknęła dłoń do ust, próbując powstrzymać targający nią szloch. W uszach pobrzmiwał dziki śmiech faceta o złych, niebieskich oczach.

Podszedł do niej kilka chwil temu, uśmiechnął się zalotnie, odgarnął długie kręcone włosy – w świetle

neonów oraz szalonych rozblęsków nie widziała dokładnie, a odniosła wrażenie, jakby coś w tym gąszczu biegało na ciemnych krótkich odnóżach.

Magda Wrzos otrzeźwiała już wtedy.

Teraz siedziała w taksówce i przypatrywała się budzącemu się do życia miastu, zadowolona z ciepła, jakie dawała klimatyzacja. Próbowwała opanować drżenie dłoni, złączyła je ze sobą, ale nic to nie dało. Kierowca zmienił stację radiową, rozbrzmiały delikatne tony pianina i harf. Z zewnątrz pachniało jesienią, deszczem, zgniłymi śliwkami.

Mijali zawite uliczki, ozdobione czerwonymi i pomarańczowymi liśćmi dębów, winobluszczy dwuklapowych, wspinających się po betonowych słupach lamp. Magda popatrzyła na wyświetlacz telefonu; trzymaście wiadomości od Anki.

„Gdzie ty kurwa jesteś????”

A potem tylko gorzej.

Zgasiała ekran. Po cholerę ma się nią stresować?

Bo ona tam została – pomyślała nagle dziewczyna. A ten typ dalej mógł kręcić się w okolicy. Otworzyła wiadomości i wystukała SMS-a, aby Anka wracała do domu, że nie jest bezpiecznie i jakiś podejrzany człowiek ją zaczepiał, dlatego przestraszyła się i uciekała.

Niedługo czekała na odpowiedź.

„Aha ok“

Wrzos skrzywiła się, oparła głowę o okno. Niedługo wróci do mieszkania wynajmowanego na czas studiów. Bezpieczna cisza, szarość ścian, ozdobiona plamami

zielonych roślin, choć monstera była w stanie agonalnym; nie przeżyła za dobrze wakacji.

Anka. Ładna dziewczyna o ujmującym uśmiechu, krótkich blond włosach. Ćwicząca; nie musiała wcale napiąć mięśni, aby ludzie je dostrzegali. Nie, jej na pewno nic się nie stanie, ona zawsze potrafiła zadbać o siebie, zawsze niczym kot spadała na cztery łapy.

Tak. Na pewno.

Magdę niepokój prześladował i tak. Przylepił się do karku, objął skronie i spokojnie pełznął dalej.

– To jesteśmy – odezwał się taksówkarz.

– O, rzeczywiście – wymamrotała Wrzos, ocierając oczy; już nie dbała o zielono-niebieski makijaż, z którego była naprawdę zadowolona.

– Trzydzieści pięć złotych się należy.

Magda nie skomentowała, tylko prychnęła. Odcinek trasy był, bądź co bądź, dość krótki. Czy ona zamówiła taksówkę, czy weszła do tej z postoju? Wyjmując kartę, stwierdziła, że do tej z postoju. Czyli tyle dobrego, że nie była to przejażdżka nieoznakowaną za miłe sto pięćdziesiąt.

– A, kartą panienka, dobra.

Wręczając jej kartę z powrotem, taksówkarz uśmiechnął się delikatnie, a jego oczy stały się niebieskie, pełne zła. Magda krzyknęła i zerwała się z miejsca, otworzyła szybko drzwi i wypadła z samochodu. Puściła się pędem na klatkę schodową. Szarpnęła za klamkę. Zwykle wejście było otwarte.

Było.

Wrzos wpadła do środka jak szalona, przeskakiwała po kilka stopni naraz. Zapachniało glebą, siarką i krwią.

Czas zwolnił.

Magda rejestrowała płyty odchodzącej od ścian zielonkawej farby, podrapaną poręcz, szarość schodków.

Na piętrze czekała postać bez twarzy – zamiast niej na owrzodziałej szyi kłębiła się ciemność, a w tym gąszczu Magda widziała przemykające strzępy mięsa, osadzone na cienkich, długich odnóżach.

Krzyk uwiązał jej w gardle. Kreatura rozmyśla się w powietrzu, pozostawiając za sobą niebotyczny smród gleby i zgnilizny. Zamigła żarówka.

Wrzos stała na schodku z łomoczącym sercem. Otarła pot z czoła. Rozejrzała się wokół, spojrzała w dół i w górę. Nie było nikogo, niczego. *O kurwa – pomyślała. Co jest? Czuję się trzeźwa. Czy ja to widziałam? Nie no, bez jaj.* Magda potrząsnęła głową i ruszyła do mieszkania.

Mieszkanie wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy wychodziła. Dziewczyna na ten widok odetchnęła i rozluźniła się. Poszła do łazienki, umyła dwa razy twarz; raz kosmetykiem lipofilnym, drugi – hydrofilowym. Spryskała skórę tonikiem. Starła się uśmiechnąć do lustra, ale na darmo. Zlustrowała krytycznie swoje odbicie; bez zmian, blada skóra, zielone oczy o migdałowym kształcie, wąskie wargi, czarne kręcone włosy.

Bez zmian. Może nieco podkrążone oczy. Nic więcej.

Pod prysznicem czuła się spokojniejsza, ciepła woda rozluźniała obolałe ciało. Magda puściła sobie z JBL-a kilka wolniejszych kawałków, aby zagłuszyć ciszę. *Ciekawe, co z Anką* – myślała. Miała wyrzuty sumienia, że nie zabrała jej ze sobą – może wtedy czułaby się bardziej jak przyjaciółka? Albo przynajmniej jak osoba, która ogarnia, przy której każdy może spocząć, bo ona wie, co zrobić. Niby jest niepisana zasada, żeby pilnować siebie nawzajem.

Schyliła się po mydło o wiśniowym zapachu. Rozsmarowała je po udach, brzuchu, klatce piersiowej. Zaczęła lecieć zimna woda. Magda syknęła, ustawiła na cieplejszą, ale nic to nie dało. Po chwili drżała pod lodowatymi kroplami.

– Cholera, co jest? – Szybko zakręciła kurek, ściągnęła ręcznik.

Po wytarciu przyjrzała się odpływowi – zdawało jej się, że coś w nim błyszczy. Zbliżyła się. Niemal natychmiast odskoczyła ze stłumionym krzykiem na ustach.

Z odpływu wychodziły pająki o czerwonych odnóżach. Magda zamknęła kabinę. Z bijącym sercem i szumem w głowie spojrzała w górę, na jej krawędź. A co, jeżeli przejdą tamtędy i ruszą na podbój mieszkania?

Wrzos, niewiele myśląc, ruszyła po ciężkie zimowe buty i muchozol. Gdy wróciła, tysiące pajaków kłębiło się w brodziku, ale nie szły ku górze. Magdzie zjeżyły się włosy na karku, poczuła suchość w ustach.

– Kurwa, ja pierdołę, co tu zrobić? – Rozejrzała się po łazience.

Weszła na krawędź wanny i spojrzała z góry na pająki – nie poruszały się. Leżały zdechłe z podwiniętymi odnóżami. Magda zmarszczyła brwi.

Zeskoczyła z powrotem na płytki. Między jednym mrugnięciem a drugim dostrzegła kątem oka wykrzywioną w uśmiechu twarz z ropy i mięśni objętych martwicą.

Wrzasnęła.

Ale niczego i nikogo nie było pod prysznicem.

Weekend Magda Wrzos spędziła pod znakiem abstynencji, wyszukiwania objawów schizofrenii oraz pytania wujka Google, czy pająki mogą przechodzić przez rury kanalizacyjne i dostawać się w ten sposób pod prysznice Bogu ducha winnych ludzi. Dowiedziała się jedynie, że te większe pająki mogą pokonać opór wody i ciśnienie, a dzięki temu wrócić na powierzchnię.

Magda zamknęła laptopa i potarła powieki. Następnego dnia miała ćwiczenia oraz wykłady po południu. Może jeśli ponownie rzuci się w rytm roku akademickiego, niepokój zniknie? Wrzos sięgnęła po telefon, sprawdziła Facebooka, Instagrama. Na Instagramie zatrzymała się na zdjęciu Anki z wczoraj; ta, oparta o drewnianą kolumnę, trzymała się za ręce z tym dziwnym człowiekiem o złych, niebieskich oczach.

Magda bez chwili wahania napisała do Anki.

„Anka, z kim ty stoisz?”

„Aaa, to taki nowy znajomy ;) wiesz”

„Nie, kurwa, nie wiem. Ten typ mnie zaczepiał.”

„on? Daj spokój, spoko facet ^^”

„Ta, jasne. :)”

„raaaany, weź wyjmij ten kij z dupy ;) spoko typ i tyle”

Magda powstrzymała się przed eskalacją – nie miała czasu. Już nadto straciła go na wyszukiwanie bzdur. Głupi lęk. Musiała się przygotować na jutro. Wyciągnęła książki, wydrukowała notatki i zasiadła nad nimi. Podkreśliła kilka zagadnień, powtórzyła na głos.

W korytarzu usłyszała skrzypnięcie deski. Gdzieś odezwał się niedawno używany czajnik. Na zewnątrz zawył wiatr, pierwsze krople deszczu zabębniły o okno. Magda wstała, ponownie nałala sobie herbaty.

Przejrzała notatki; kilku kartek brakowało. Numerowała strony. Wrzos westchnęła, rozejrzała się po pokoju. Nie widziała ich. Przerobiła te, które zostały – przy ostatniej stronie czuła niepokój, czyjś wzrok na karku.

Nagle zaczęło jej przeszkadzać, że fotel stoi na wprost wejścia do pokoju. Wstała, zamknęła drzwi. Zapaliła lampkę, a potem świeczkę; roztaczała ładny różany zapach przemieszany z drzewem sandałowym.

Jednak ani delikatny żółtawy blask ani miękkie brzęczenie deszczu o szyby nie koiły, nie otulały w miłą, jesienną myśl, że na dworze mróz i chlapa, a w środku ciepło, dom.

Teraz Magda wołałaby być na dworze. Wołałaby uciekać.

Nie wiedziała, przed czym.

Na wykładzie przysnęła, ale siedziała w ostatnim rzędzie; udało jej się dopaść to miejsce zwykłym fartem. Tak to siedziałyby z koleżankami w drugim, trzecim, żeby szybciej stąd wyjść. Ale teraz wołała być wśród ludzi – Magdzie wydawało się, że im ich więcej, tym bardziej jest bezpieczna i tym mniejsze ryzyko pojawienia się czegoś dziwnego.

Obudziła się. Ktoś dotknął jej ramienia.

– Nie śpij – usłyszała melodyjny głos. – Bo ci ucieknie najlepsze.

Spojrzała w bok. Kolega z grupy szturchnął ją łokciem. Uśmiechnął się delikatnie, a Magda poczuła dreszcz.

– Wszystko ok? – spytał.

Kiwnęła głową.

Niepokój pełznął głębiej, przedostawał się przez krtań, tchawicę, ładował w oskrzela, oblepiał płuca jak smoła. Wykład skończył się; zaczęła przedzierać się przez tłum do wyjścia, gdy dostrzegła mężczyznę o niebieskich, złych oczach. Pomachał jej, a jego twarz stała się szara jak kartka, oczodoły spłynęły krwią, wargi odkleiły się i zaczęły przemieszczać w kierunku włosów, które przywodziły na myśl gąszcz żył oraz tętnic, trzymany przez zakrzepłą posokę.

Magda Wrzos z wrzaskiem wybiegła z sali, przepychając się między ludźmi. Z łomoczącym sercem zadzwoniła pod numer psychiatry.

Liczyła sygnały.

Leki nie pomagały. Minęły trzy miesiące. Magda Wrzos chodziła do psychiatry, psychoterapeuty i psychologa. Dalej miała napady paniki, czasami widziała dziwnego człowieka z imprezy – ale trzymał się daleko od niej.

Nocami było najgorzej; śniły się jej reminiscencje z imprezy, od której wszystko się zaczęło. Kolejne sny tłoczyły się pod powiekami, nakładały na siebie i potęgowały strach dziewczyny.

We śnie dalej czuła dotyk dziwnego mężczyzny na rękę. Jego wzrok, spokojny i głęboki, w którym czaiło się pytanie. A może wyzwanie? Dziewczyna strąciła dłoń z ramienia, zwróciła się do barmana. Barman rzucił spojrzenie spode łba delikwentowi, ale nie powiedział nic.

– Skąd jesteś? – zapytał nagle mężczyzna, przysuwając krzesło bliżej.

Magda Wrzos w głowie miała alkoholowy szum. Przy-mrużyła powieki.

– A stąd! – Machnęła ręką.

– Wiem, że nie stąd, w końcu nie wyłoniłaś się z pini-stego kufła piwa jak piwowa Afrodyta. – Uśmiechnął się, a uśmiech miał delikatny, łagodny. Cała jego postać wyda-wała się przyjemna; nie do końca chuda klatka piersiowa, na którą narzucił niebieskawą marynarkę, spodnie czarne, spięte skórzanym paskiem. Na szyi miał srebrny medalik.

Magda prychnęła.

Nachylił się do niej. Poczowała to, ale dalej siedziała półprofilem, wpatrzona w aperola w kieliszku.

– Jak się czujesz? – Cichy, melodyjny głos.

– Dobrze, w sumie dobrze. – Wzruszyła ramionami. –
Dziwny jesteś, koleś.

– Czemu tak kłamiesz, kochanie?

Spojrzała na niego.

Zamówił whiskey. Mrugnął do niej.

– Nie patrz tak na mnie, proszę, kochanie – mówił dalej. Zastukał długim czarnym paznokciem o otrzymaną szklanke. – Wiem, że nie czujesz się za dobrze.

– Kim jesteś?

– Czy to w tej chwili ważne? – Wzruszył ramionami.

– Tak.

Zerknął na nią. Nie odpowiedział, tylko dotknął jej ręki.

Zawyła z bólu.

Przez jej mózg przetoczyła się kawalkada najgorszych wspomnień: pobyt ojca w szpitalu, śmierć dziadka, wizyta na SOR-ze w celu nastawienia złamanego otwartego kości ramiennej, bojaźń o możliwe powikłania, strach, gdy ręka stała się ciemnofioletowa, a w niej odżył strach, że nie będzie mogła już nigdy malować.

Kłótnie, bezsensowne kłótnie. Bezasadne pomówienia. Rozmowy o zrozumieniu innych, rozmowy o kruchości słów – jak niewiele trzeba, aby zostać źle zrozumianym, a Magdę mało osób tak naprawdę rozumiało oprócz najbliższych.

Spojrzała na nieznajomego.

Zaczęła od roku bać się złożoności zdań, relacji z ludźmi, chociaż starała się zachować pozory. Szukała częściej niż zwykle spokoju, uciekała od spotkań. Przecież to kłopoty.

Wszystkie wrzaski, wyzwiska, płacze, tysiące złych myśli przewaliło się przez głowę dziewczyny jak fala sztormu. W oczach Magdy pojawiły się łzy, drżały jej usta, drżała cała. Płakała.

– Czego ty chcesz? – wyszeptała.

Nie odpowiedział od razu. Przeczekał dwie piosenki, zanim odrzekł:

– Ciebie.

Obudziła się koło trzeciej – czuła zimno. Miała sine usta, zdrętwiałe końcówki palców rąk oraz stóp. Naciągnęła mocniej kołdrę na ciało, pod szyję, schowała dłonie pod nią. Liczyła do dziesięciu, potem do dwudziestu, czując histeryczne bicie serca. Zaciśnęła mocno powieki.

Usłyszała szelest, szmer przesuwanego kubka na długopisy na biurku. *Proszę, niech przestanie* – myślała gorączkowo. *Proszę, niech przestanie, niech przestanie...*

Zapanowała cisza, przerywana wizjami wiatru i bębnieniem deszczu.

Błysk pioruna, potem ryk gromu. Magda usiadła na łóżku, zapaliła lampkę i skierowała słup światła na pokój; wszystko stało tak, jak wieczorem. Przynajmniej tak się jej wydawało.

Wrzos, nie mogąc spać, nie wzięła kolejnej tabletki positivum, jedyne, co tolerowała. Odpaliła Instagrama, ponownie przejrzała konto Anki – wróciła do zdjęcia, na którym widziała dziwnego człowieka z imprezy. Przetarła oczy. To nie był on. Chłopak

na zdjęciu miał wesołe piwne oczy i miły uśmiech. Wyglądał na Hiszpana. *To dlatego Anka się tak poirytowała* – pomyślała Magda i westchnęła.

Podniosła wzrok znad ekranu.

Wrzasnęła co sił w płucach, widząc puste oczodoły wystające znad krawędzi łóżka i martwiczą rękę wyciągającą się w kierunku jej stóp; podwinęła szybko nogi. Spojrzała na stolik – jedyna broń to figurka Geralta z Rivii. Rzuciła nią w monstrum. Trafiła, ale wiedźmin przeleciał przez łeb potwora, jakby był utkany z mgły – istota zniknęła.

Magda nie zasnęła aż do szóstej. Czekwała na świt jak na zbawienie.

Spojrzała w lustro. Ujrzała ziemistą cerę, zapadnięte, podkrążone oczy. Oblała twarz wodą. Odbicie uśmiechało się złośliwie. Poprawiło włosy, w których pojawiły się strzępy mięsa na drobnych, ciemnych odnóżach. Wrzos nie potrafiła krzyczeć; zacisnęła dłonie na krawędzi umywalki i rozplakała się.

Magda zasnęła w kawiarni, ludzie przechodzący obok nie zwracali uwagi – oczy ukryła pod okularami słonecznymi.

Kolejny sen był kontynuacją poprzedniego:

– Jak to mnie? – zapytała.

– Jesteś ciekawa. Wrażliwa. Bardzo wrażliwa.

– Nie jestem.

– Tak ci się wydaje. Prawda jest taka, że za dużo myślisz. Analizujesz najdrobniejsze słowo, najdrobniejszą pierdołę, aby *zrozumieć* kogoś, chociaż doskonale wiesz, że mają cię gdzieś. I to cię niszczy, ta myśl o samotności popycha ku szaleństwu.

– Nie znasz mnie. – Magda zmarszczyła brwi, czując, że trzeźwieje; strach zaczął uderzać jej do głowy.

– Weź mnie za rękę i nie krzycz.

– Nigdy.

– Na pewno? Pewnego dnia weźmiesz.

– Słuchaj, koleś – warknęła. – Weź wypierdalaj. Odpierdol się, nie rozumiesz?

Uśmiechnął się tylko i zasalutował jej pustym kieliszkiem po whiskey.

Rozpłynął się w powietrzu.

Magda przestała wychodzić z mieszkania, zaprzestała wizyt u psychologa, nie brała już tabletek. Ubrania wisały na niej. Nie wiedziała, jak wygląda – nie patrzyła już w lustro, tylko szybko myła zęby, szła spać. Ciągle tkwiła we śnie, nie miała siły, aby wstać; kończyny wydawały się za ciężkie, a uniesienie szklanki do ust stanowiło wyzwanie.

Wrzos nie płakała. Nie czuła nic prócz strachu – niepokój przerzutował po całym jej ciele, zaatakował mózg. Rodzice wydzwaniali do niej, ale nie odbierała. Zaczęli się niepokoić. W końcu zjawili się w korytarzu

przed drzwiami. Dzwonili, pukali, bez odzewu. Skontaktowali się z właścicielką mieszkania.

Wdepnęli w spleśniałe pudełka po pizzy, zasłonili twarze szalami. Ruszyli w kierunku zamkniętych drzwi, czując smród zgnilizny. Ojciec Magdy z wahaniem położył rękę na klamce, spojrzął na żonę. Ta, blada na twarzy, mając w oczach łzy, z wysiłkiem kiwnęła głową. Odetchnęła z ulgą, kiedy ujrzała córkę patrzącą na nich z łóżka. Dziewczyna miała pozlepiane, brudne włosy. Śmierdziała.

Ale żyła.

Magda miała lewą rękę zaciśniętą; nikt nie wiedział, że trzymała mężczyznę o niebieskich, złych oczach. Spojrzała na niego i spytała szeptem:

– Czy teraz mi powiesz, kim jesteś?

Wróciła wzrokiem na swoją dłoń, zespoloną z ręką nieznanego.

Mężczyzna zerknął na Magdę.

– Strachem – odpowiedział.

2.

Potwór pochłaniał jej rękę – powoli stawała się całkowicie bezużyteczna. Nie mogła nią podnieść szklanki, zgiąć palców, nic; lekarze szukali medycznego wyjaśnienia, zrobili kilka prześwietleń, ale wszystko było w normie. Ponownie zwrócili się do psychiatry.

Lecz i on nic nie działał. Ponowił te leki, które już wcześniej zostały Magdzie przepisane. Jej matka, Agata,

czuwała nad córką. Dbała o to, aby regularnie brała tabletki, wychodziła z pokoju i jadła.

Młodsza córka, Aniela, spoglądała na siostrę z niepokojem. Czasami przychodziła do niej i opowiadała o swoich szkolnych przygodach, ale nieodparcie towarzyszyło jej wrażenie, że rozmawia ze ścianą.

Pewnego jednak wieczoru Magda uniosła się na łokciu niespolonym ze Strachem i powiedziała siostrze:

– Nie okazuj przy mnie emocji, uczuć, swoich zmartwień, bo on się nimi karmi – rzekła wyraźnie i ostro. – Proszę, nie dzielaj mojego losu, siostrzo.

Aniela otworzyła szeroko oczy.

– Co ty chrzaniś? – odparła, wstając z krzesła stojącego przy biurku. – Nikogo tu nie ma. Czy ty... – dodała po chwili ciszy. – Czy ty widzisz rzeczy, których nikt inny nie widzi?

Wtedy Strach ukazał się i pomachał wspólną ręką – jego oraz Wrzos. Nie miał ust – w ich miejsce ktoś wykroił nożem dwie kreski. Ujawnił swą obecność przez chwilę, ale to wystarczyło, by Aniela wybiegła z krzykiem na korytarz.

Strach i Magda zostali sami. Ponownie pokazał jej niebieskie, złe oczy i miły wizerunek człowieka z imprezy.

– Słodka ta twoja siostra – stwierdził. – Nie taka jak ty. Mniej się boi, mniej myśli.

– Czemu ja? – spytała Magda.

– Już pytałaś. – Wzruszył ramionami.

– Nie jestem w stanie pojąć tego tłumaczenia. – Schoowała twarz w poduszkę.

– A powinnaś. Jest najprostsze.

Potwór wyjaśnił jej, że stanowi jego pożywienie – każda tkanka przepełniona strachem, każdy nerw, wszystko. A że padło na nią? Upolował ją niczym dzikie zwierzę. Na dodatek bardzo podatne: w końcu Magda była bardzo wrażliwą osobą, co stanowiło ułatwienie. Nie zmienia to faktu, że jeśli nie padłoby na Wrzos, to padłoby na inną.

To wszystko.

Magda na to wyjaśnienie próbowała odciąć sobie rękę w nagłym zrywie, ale akurat wróciła matka. Ponownie jechały na SOR, a tymczasem ciało potwora rozprzestrzeniało się po kolejnych tkankach Magdy.

Zupełnie jak nowotwór.

Oblicze dziewczyny stało się bledsze niż papier, oczy podkrążone, ciemne jak pomalowane kholem. Wrzos nie miała siły, aby się bronić; każda myśl o oporze przepadała, zgaszona koszmarem, kolejną wizją, kolejnym napadem lęku.

Strach tymczasem z coraz większym smakiem przypatrywał się Anieli. Magdzie przechodziły ciarki po karku – poczuła, że jeśli nic nie zrobi, to jej siostra będzie następna w kolejce. Zacisnęła zdrowe palce w pięść i przestała płakać.

Spojrzała na przedramię – Strach przejmował każdą komórkę jej ciała. Wydawał się być zadowolony z siebie. Wrzos zerknęła na niego i zjeżyła się. Jeżeli jest on jak zaraza, to może się rozprzestrzenić.

Musiała coś zrobić.

Magda Wrzos po raz pierwszy od dawna wstała z łóżka. Wokół niej bzycały muchy, wpychały się pod powieki, dotykały odnóżami tkanek poranionych paznokciami aż do krwi. Każdy oddech sprawiał dziewczynie ból. Każdy krok.

Prawo-lewo-prawo-schody.

Matka uniosła głowę znad gazety i wlepiła wzrok w cień swojej córki. Miała wrażenie, że wraz z nią idzie coś innego, coś obrzydliwego i nieokreślonego. Podniosła się, pomogła latorośli zejść kilka ostatnich stopni, choć miała odruch wymiotny.

Nie jestem dobrą matką – pomyślała po raz wtóry, patrząc na Magdę. Poczowała łyzy na policzkach. Nie rozumiała tego; kąpała swą małą córeczkę, myła jej zęby, a ona gniła. Cokolwiek by nie wtarła w jej ciało, ono rozpadało się, włosy wypadały garściami. Straciła kilka zębów, ubrania wisały na niej jak na wieszaku.

Wizyty u lekarzy nic nie dawały, a w księży nie wierzyła; wierzyła w naukę. Wierzyła, że to choroba toczy jej córkę, tylko że medycyna nie jest tak zaawansowana, aby to do końca zdiagnozować.

Dotknęła ręki Magdy i poczuła dreszcze.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła nagle dziewczyna złamanym, cichym głosem. – Mamo... Musisz mi pomóc.

Agata zamieniła się w słuch.

– Wszystko, córciu, bylebyś poczuła się lepiej. – Usiadły przy stoliku w kuchni. Agata złączyła dłonie jak do modlitwy, choć nie modliła się od dawna. – Mów, czego ci trzeba.

– Mamo, to nie jest zwykła choroba. – Słowa zamarły na wargach dziewczyny.

Raptem spadła z krzesła, zaczęła się dusić.

– Jezu Chryste! – wrzasnęła Agata i przypadła do niej. Patrzyła gorączkowym wzrokiem na bledszą, niebieskawą skórę ust córki. Sama czuła kołatanie serca, pot spływający po karku i pod pachami.

Nagle Magda wyprostowała się, odkaszlnęła kilka razy i podniosła się. Ale kolor skóry pozostawał siny.

Dziewczyna spojrzała na szczerzącego kły potwora.

– Spróbuj – zaśmiał się. – To cię zabiję.

– I tak mnie zabijesz – odpowiedziała ze spokojem.

Monstrum zachichotało; chichot ten był słyszalny w całym domu. Rozkoszowało się smrodem strachu i karmiło nim nowy głód.

– Wiesz, jaką traumę bym zafundował twojej mamie, zabijając cię na miejscu? – Uśmiechnął się. – Starczyłoby mi pożywienia na długie, długie miesiące.

– Skurwysyn! – wrzasnęła Magda. Sięgnęła bez zastanowienia po zwykły nóż kuchenny, który leżał na niedodjedzonym omlecie. Bez chwili wahania zaczęła ciąć w stawie łokciowym.

Trysnęła krew, zalała blat.

Agata dzwoniła po karetkę.

Drżała, widząc bezkształtną masę wlepioną w rękę córki.

– Mamo – powiedziała wyraźnie Magda. – Nie dzwoń. Pomóż mi. Błagam. Odetnij to.

Agata usłyszała kilka odgłosów, a następnie wyraźny głos kobiety, wypowiadający standardową formułę. Po

dłuższej ciszy dyspozytorka z lekką irytacją zaczęła o coś pytać. Matka Magdy nie słuchała. Rozłączyła się i odłożyła z wahaniem telefon.

Widziała wyraźnie szamoczącego się potwora – sięgnął on po zdrową rękę Magdy i wykręcił. Trzasnęło. Na światło dzienne wyszedł fragment kości łokciowej.

Strach urósł, wzniosł się pod sufit, stracił swą ludzką postać; przybrał obraz rozczłonkowanego człowieka, posiadającego zamiast głowy gniazdo skolopendr oraz pajaków.

Agata miała miękko w kolanach.

Doczłapała się do szuflady z tasakiem.

Zamknęła oczy. Uspokoiła drżącą rękę, zbierając resztki świadomości i...

Magda obudziła się w szpitalu. Matka siedziała obok, trzymała ją za kolano; miała zapuchnięte oczy. Zeznała, że córka sama się okaleczyła. Uwierzyli jej; akta dziewczyny pękały w szwach od takich informacji.

Agata nienawidziła się za to zeznanie, ale chciała być przy niej – a nie mogłaby tego zrobić zza więziennych krat czy z komisariatu.

– Mamo?

– Ćśś. Jestem przy tobie.

– Co z moją ręką?

– Zniknęła – powiedziała po chwili. – Zniknęła...

Nie była w stanie stwierdzić, co się naprawdę stało – a widziała, jak potwór, skowycząc, pakował ją sobie między zęby i pożerał. Agata zamachnęła się na niego tasakiem, czując rosnącą nienawiść. Zraniła go dwa, może trzy razy, zanim uciekł, niszcząc drzwi balkonowe.

Od kilku dni Agata nie mogła spać.

Budziła się w nocy koło drugiej i robiła obchód po pokojach córek. Zawsze z tasakiem w ręku. Czowała oddech na karku.

Strach towarzyszył jej krok w krok.

Nie zwykł odpuszczać.

HUBERT SMOLAREK

MEŹCZYŻNA W PŁASZCZU

Nadchodząca noc zapowiadała się na wyjątkowo chłodną jak na tę porę roku; lubię takie, zatem nie mogłem sobie odmówić przyjemności i udałem się na spacer. Letnia duchota nie służy mojemu zdrowiu, by zaczerpnąć świeżego powietrza i rozruszać zastałe ciało, czekam zazwyczaj do późna, gdy uliczny ruch już tak nie przytłacza, a słońce nie pali mej wrażliwej skóry. Otworzyłem jeszcze okno, by upewnić się w swoich przewidywaniach, i zadowolony, że z mych ust wydobył się obłoczek pary, zacząłem się ubierać. Na tę okazję wybrałem swój ulubiony szynel, czarny kapelusz i czerwony krawat, który znakomicie kontrastował z moją bladą cerą. A przynajmniej tak uważała moja świętej pamięci matka, która zaszczepiła we mnie nawyk eleganckiego, dostojnego ubioru niezależnie od okoliczności. Zrezygnowałem jednak z marynarki, by nie ryzykować przegrzania się. Biała wyprasowana koszula wystarczy.

Gdy byłem gotów, pozostało mi tylko obmyślić trasę dzisiejszej eskapady. Pora była zacna, nieporozumieniem byłby zatem zwyczajny, krótki spacer. Nie, zapragnąłem w pełni wykorzystać ten wieczór, by rozkoszować się przyjemnym chłodem i ukoić nerwy.

Pierwszy wybór padł na główny rynek miasta. To duży, przestronny plac, położony raptem kilka minut pieszo od mojego lokum. Lubiłem tam przebywać poza godzinami szczytu i delektować się zabytkową architekturą. Gotycka surowość kamienic, mimo swoistej posępności, zawsze potrafiła zaspokoić moją potrzebę piękna, a w dodatku całkiem niedawno pośrodku rynku wybudowano piękną fontannę, która dodała temu miejscu jeszcze więcej uroku. Na całe szczęście mieszkańcy nie wpadli jeszcze na pomysł, by się w niej kąpać, jak czynili to w innej, położonej w miejskim parku. Do tej czasem tylko wrzucali monety, wypowiadając przy tym jakieś życzenia.

Siedziałem tak samotnie, podziwiając wytworne dorożki przecinające plac i rozmyślając o tym, co tak bardzo angażuje tych wszystkich spieszących się mieszkańców. Jako dziedzic niemałego majątku nigdy nie musiałem troszczyć się o swój byt, za co byłem niejako wdzięczny swoim przodkom – nie frasowałem się trudami życia, które zna tylko szare pospólstwo. Może dlatego tak lubiłem ich obserwować?

Z głębokiej zadumy wytrąciła mnie pewna szczupła młoda dama, na oko trzydziestoletnia, o bujnych kasztanowych włosach, która przysiadła na ławce obok. Od razu przykuła moją uwagę. Zapadający zmierzch nie stanowił dla niej przeszkody w czytaniu książki, którą przyniosła ze sobą – gazowa latarnia nad jej głową świeciła

dostatecznie mocnym światłem. I choć sam nie przepadam, gdy zaczepia mnie ktoś obcy, to osobliwa aura, którą roztaczała wokół siebie, sprawiła, że nie mogłem się powstrzymać i po kilku minutach nieśmiałego zerkania w bok rozpocząłem rozmowę:

– Piękny dziś wieczór, prawda?

Kobieta chyba nie dosłyszała, dlatego odchrząknąłem i powtórzyłem pytanie głośniej.

– Piękny mamy dziś wieczór!

– Tak, to prawda – odpowiedziała wreszcie.

– Często przychodzi tu pani czytać?

– Zdarza mi się, ale nie powiedziałabym, że często. – Nawet nie raczyła spojrzeć w moją stronę.

– A co pani czyta, jeśli wolno zapytać?

– Poezję – ucięła.

Ciągnąłbym tę rozmowę dalej, ale w pewnym momencie sam siebie zestrofowałem w myślach za swoją nieuprzejmość. Dama, choć doprawdy czarująca, która byłaby inspiracją dla niejednego artysty, nie zasługiwała na to, bym jej przeszkadzał.

– Rozumiem, nie chcę już pani niepokoić, życzę miłej lektury – zakończyłem, a z ust kobiety nie padła żadna odpowiedź.

Najwyraźniej książka pochłonęła ją bez reszty. A przynajmniej tak sądziłem, gdyż raptem po kilku minutach w dość gwałtowny sposób zerwała się z miejsca i bez słowa pożegnania ruszyła przed siebie. Pewnym, dostojnym krokiem ominęła fontannę i zniknęła w jednej z bocznych uliczek. Co ją tak zafrasowało? Czyżby

o czymś zapomniała? A czy jeszcze kiedyś będzie mi dane znów ją spotkać?

Słońce schowało się za horyzontem, lecz do zapadnięcia ciemności pozostawało jeszcze trochę czasu. Siedziałem sobie w tym miejscu jeszcze trochę, lecz w końcu naszła mnie ochota, by wybrać się na bulwar. Szum rzeki zawsze działa na mnie kojąco, tam również będzie jeszcze chłodniej, a co za tym idzie – jeszcze przyjemniej niż tutaj.

Po kilkunastu minutach orzeźwiającego spaceru dotarłem do celu i spocząłem na upatrzonej już z daleka ławeczce tuż nad linią brzegową. Miasto pomału układało się do snu. Życie zwalniało, robiło się coraz ciszej i ciszej. Gdzieniegdzie dało się jeszcze słyszeć śmiech bawiących się nad rzeką dzieci, ktoś szedł do pracy na nocną zmianę, lecz ruch uliczny stopniowo zamierał. Świeciły już wszystkie miejskie latarnie. Największy tłok panował w kawiarni na drugim brzegu. Kilka par i jakaś grupka znajomych spijała kawy lub raczyła się wysokiej klasy alkoholem, dokoła mnie zaś kręciło się kilkunastu spacerowiczów. Nie zwracałem na nich uwagi, ot, robili za dobre tło do rozkoszowania się kojącym szumem wody.

W tym momencie żałowałem, że nie wziąłem ze sobą nic do czytania, bo choć nie zaleca się męczyć oczu przy sztucznym świetle latarni, to rozochocony spotkaniem z zatopioną w poezji damą, sam zapragnąłem sięgnąć po lekturę. Na nieszczęście, nawet pobliski kiosk z gazetami był już zamknięty, zostałem niejako zmuszony do gapienia się na krążących wokół ludzi, budynki i rzeczne ptactwo.

I z pewnością na nudnym wpatrywaniu się w okolice minęłaby mi reszta wieczoru, gdyby nie pewien mężczyzna w płaszczu, który przykuł moją uwagę. Stał

przy barierce zabezpieczającej przed wpadnięciem do wody, nabił fajkę i z lubością oddał się paleniu. *Cóż za niezdrowy nawyk* – pomyślałem. Zauważyłem jednak, że najwyraźniej sprawia mu to ogromną przyjemność, gdyż po wypaleniu niemal natychmiast sięgnął do kieszeni po inny pakunek z tytoniem, tym razem czerwonego koloru, ponownie nabił i odpalił. *Chyba nie będzie tego robić przez całą noc, w końcu zastabnie* – pomyślałem.

Po drugiej porcji zaprzestał. Wciąż jednak stał nieruchomo przy barierce. Nie rozglądał się, nie przestępował z nogi na nogę, nie zerkał na zegarek, po prostu stał i patrzył przed siebie. Niecodziennie spotykam się z takim zachowaniem, nic zatem dziwnego, że postanowiłem siedzieć i obserwować tego osobnika tak długo, aż stąd pójdzie bądź przybędzie, być może, wyczekiwany przez niego gość. Czas mijał, jednak mężczyzna wciąż tkwił w tej samej pozie. Teraz nawet nie raczył sięgać po fajkę, którą popalał jeszcze przed kilkunastoma minutami.

Czy on w ogóle ma zamiar coś zrobić? Cokolwiek? Może doznał jakiegoś dziwnego napadu stagnacji, apatii? Może to katatonik? Jaki ma w tym wszystkim cel? Poza mną nikt nie zwracał na niego uwagi. Wygram ja czy on? Który pierwszy ruszy, by na powrót zająć się swoimi sprawami? A może to tylko moja nadinterpretacja? Może w zachowaniu tego człowieka nie ma nic dziwnego? Może otepiły go wypalone w fajce specyfiki i zwyczajnie czeka na powrót zmysłów? Jeśli w ciągu kilku minut nie ruszy się z miejsca, podejść i spróbuję nawiązać kontakt.

Czekałem. Ciekawość nie dawała mi jednak spokoju. Wygrał.

– Dobry wieczór – rzuciłem na przywitanie.

– Dobry wieczór – odpowiedział spokojnym tonem mężczyzna.

A więc wszystko było z nim w porządku, a ja znów wyszedłem na wtrącającego się w nie swoje sprawy durnia? Może trapiły go jakieś zmartwienia, może chciał побыć sam, może w głowie układał jakieś słowa piosenki, przeżywał rozstanie bądź może nawet stratę, a ja zupełnie bezceremonialnie zakłóciłem jego spokój? Zmieszałem się do tego stopnia, że nie wiedziałem, o co dalej pytać.

– Piękna dziś noc – rzekłem po chwili.

– To prawda, sprzyja rozmyślaniom – przytaknął.

Tą odpowiedzią tajemniczy osobnik wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie jestem tu mile widziany. Zbity z tropu, bez słowa pożegnania odwróciłem się i poszukałem wolnej ławki, nieco dalej od mężczyzny, którego zaczepiałem. Było mi zwyczajnie wstyd za swoje wścibskie zachowanie.

Usiadłem tuż przy moście, z daleka zauważyłem zaś, że osobnik, w towarzystwie którego tak się skompromitowałem, również odszedł. Miałem tylko nadzieję, że nie z powodu mojej nadgorliwości i że nie pogniewał się na mnie.

Poirytowany niniejszą sytuacją, odpoczynek musiałem rozpocząć na nowo. Upatrzyłem sobie nowe budynki do podziwiania, nowe ptaszki do śledzenia, z wiadomych zaś przyczyn nie chciałem gapić się na spacerowiczów. Chyba, że tych na drugim brzegu, wówczas czułem się bezpieczniej. Mężczyzny w płaszczu już nie spotkałem, mogłem zatem odetchnąć z ulgą.

Jeszcze kilka razy powłóczyłem się w tę i we w tę, przysiadając co jakiś czas na ławkach ciągnących się wzdłuż bulwaru, aż wreszcie dzwony wybiły godzinę dwudziestą drugą. Moja wycieczka chyba nieco się przeciągnęła, uznałem zatem, że pora udać się już do mieszkania. I gdy już miałem zawrócić w stronę rynku, ku mojej radości znów ujrzałem dostojną damę spotkaną na placu głównym przed dwiema godzinami. Tym razem siedziała na ławce już bez książki, wpatrując się w ciemną toń rzeki. Niezrażony wcześniejszą klapą, widząc, że tym razem nie jest tak zaaferowana, podjąłem kolejną próbę nawiązania przyjaźni. Czasem mężczyzna, widząc tak piękną kobietę, nie działa racjonalnie, cóż poradzić. Tak też było w tym przypadku.

– My się chyba już poznaliśmy. – Uśmiechnąłem się.

– Tak, doprawdy? – odpowiedziała zmieszana.

– Tak, wcześniej, tam na placu, czytała pani poezję.

– Faktycznie, teraz sobie przypominałam.

Najwyraźniej kobieta w dalszym ciągu nie była w nastroju do rozmów, a ja znów poczułem to znajome ukłucie w klatce piersiowej, które było jasnym sygnałem, że nie pasuję do jej towarzystwa. Nie planowałem jednak kolejnej kompromitacji, chciałem przełamać lody i choć raz zachować się jak trzeba. *Z pewnością muszę być po prostu życzliwszy* – uznałem.

– Czy można? – Wskazałem dłonią na ławkę.

– Tak, proszę.

– Co pani robi tak późno sama? Nie boi się pani? A może też jest pani miłośniczką wieczornych spacerów, jak ja? – Próbowałem znaleźć wspólny temat.

- Po prostu lubię sobie posiedzieć i pomyśleć.
- Co panią tak frasuje?
- Nic, myślę sobie o wszystkim i o niczym.
- Nie można tak myśleć o niczym – wtrąciłem.
- Można. Nie ma tu żadnego sekretu. Po prostu odpoczywam w ten sposób.

Wciąż wyczuwałem u niej pewną nerwowość. Pozorny spokój nie był w stanie zamaskować jej napięcia, lecz mimo to nie chciałem ponownie zrażać jej do siebie swoim wścibstwem – zrezygnowałem z poruszania tego delikatnego tematu.

- Lubi pani poezję? – Walczyłem o jej uwagę.
- Lubię.

Zdawkowe, nierzadko jednowyrazowe odpowiedzi dobitnie świadczyły o jej zmartwieniach. Wreszcie nadszedł odpowiedni moment, przełamałem się.

- Czym się pani tak denerwuje?
- Niczym, skąd ten pomysł? – odburknęła zdziwiona.
- Przecież widzę, że ewidentnie jest pani czymś przejęta.

– Mylne wrażenie, proszę dać mi spokój. A teraz muszę już iść, dobrej nocy życzę – rzuciła na pożegnanie i ruszyła w stronę mostu. Zrobiła to tak gwałtownie, że nie zdążyłem nawet odpowiedzieć.

Jej niecodzienne zachowanie bardzo poruszyło moją osobę. Poczułem się w obowiązku, by niejako rozwiłkć zagadkę jej frasunków i zadbać o jej bezpieczeństwo. Zestresowana kobieta o tak późnej porze może wszakże wpakować się w nie lada kłopoty. *Pójdę za*

nią – pomyślałem – ale w bezpiecznej odległości, tak by nie miała wobec mnie żadnych podejrzeń. Zwyczajnie sprawdzę, czy cała i zdrowa wróci do swego lokum.

W ślad za damą ruszyłem dopiero, gdy dostrzegłem, że jest już po drugiej stronie rzeki. Nic się nie zmieniło. Szła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. O tyle dobrze, że łatwiej będzie mi ją śledzić.

Musiałem się nieźle napocić, by nie zgubić jej z oczu. Co pewien czas przystawałem gdzieś za rogiem, by nie zwracać na siebie uwagi, i zerkalem ukradkiem, w którą stronę skręciła. Szybko opuściła centrum i udała się w stronę dzielnicy robotniczej. Dystyngowane kamienice i szerokie, reprezentacyjne arterie ustąpiły miejsca obskurnym chatynkom, obdrapanym, rozsypującym się murom oraz wąskim, ciemnym uliczkom, które odstraszały nawet najodważniejszych. Taka dama w tym miejscu? Miałem nadzieję, że to tylko trasa do celu, nie zaś jej cel. *Bo niby jakież to powód może kogoś tak wytwornego sprowadzać w tak nieprzyjemne rejony – pomyślałem.*

W tych zatęchłych labiryntach łatwo można się zgubić, lecz ku mojemu zdziwieniu dama już kilkakrotnie, pewnym krokiem skracała sobie trasę, przechodząc przez mroczne zaułki. Doprawdy nie mogłem wyobrazić sobie choćby najbardziej kuriozalnego powodu, dlaczego ta miłośniczka poezji obrała taką drogę – podświadomie nagrodziłem siebie w myślach za decyzję o śledzeniu jej, pełniąc w tej chwili swoistą rolę anioła stróża.

Krążyła tak, zdaje się, że bez sensu, przez dłuższy czas, aż miasto ułożyło się do snu. Na ulicach zapanowała przejmująca cisza, przerywana tylko z rzadka ujadaniem psów czy płaczem malutkich dzieci. Dalej co rusz przystawałem

i z za węgła zerkałem na kobietę – akurat w tym momencie znajdowała się na drugim końcu ulicy i rozglądała się, po raz pierwszy sprawiając wrażenie, że nie wie, dokąd iść. I wówczas zauważyłem, że z jednego z bocznych zaułków wyskoczył nagle tajemniczy mężczyzna w płaszczu, dokładnie ten sam, którego spotkałem na bulwarze!

Sparaliżowany tym sensacyjnym, niespodziewanym zajściem nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Ów osobnik ruszył w ślad za damą, która nawet nie obejrzała się za siebie – zdaje się, że była nieświadoma tego, kto czai się za jej plecami. Uznałem, że muszę wkroczyć. Opuściłem bezpieczną kryjówkę i przyspieszyłem, by nie zgubić reszty towarzystwa. Kobieta zaś znów skręciła w wąską uliczkę, w ślad za nią udał się mężczyzna i na kilka chwil zniknęli mi z oczu.

W głowie kocioł myśli, serce łupie jak szalone – co tu się tak właściwie dzieje? Bez żadnego konkretnego planu zacząłem biec w kierunku miejsca, w którym widziałem ich po raz ostatni.

Gdy wreszcie dotarłem, ujrzałem przerażający widok. Rzeczona dama była właśnie na skraju wytrzymałości, podduszana przez enigmatycznego jegomościa! Ostatkiem sił starała się wyrwać z jego uścisku, lecz barczysty osobnik nie odpuszczał i trzymaj ją za gardło. Mimo szeroko otwartych ust kobieta nie wydała z siebie choćby dźwięku i po chwili padła bezwładnie na chodnik. Wystraszony schowałem się czym prędzej za kolumnami na śmieci. Upiorność całego tego zajścia pozbawiła mnie racjonalnego myślenia i odebrała siły do działania. Mężczyzna w płaszczu sprawiał wrażenie wyjątkowo silnego, któremu nie dałbym rady

w pojedynkę. Cóż miałem zrobić? Wskoczyć i wdać się w bójkę? Zapewne skończyłbym tak samo, jak owa biedaczka o kasztanowych włosach.

Wstrzymałem oddech, mając tylko nadzieję, że napastnik mnie nie zauważył. Gdy wreszcie odszedł, ostrożnie opuściłem kryjówkę i podbiegłem do ciała. Niestety, stało się najgorsze. Ta urocza kobieta, poznana dziś wieczór, która skradła me serce, leżała zabita, bez tchu.

Stojąc tak nad zwłokami, poczułem dojmujący smutek i wgryzające się w mój umysł wyrzuty sumienia. Wiedziałem już, że muszę natychmiast wysledzić mordercę – tylko tak mogłem zrehabilitować się za swoje tchórzostwo i zapobiec kolejnym ewentualnym nieszczęściom. Pozostawiłem więc najśliczniejszą istotę, jaką było mi dane dotąd spotkać w swym niedługim jeszcze życiu, i ruszyłem szukać zemsty.

A zatem instynkt mnie nie zawiódł, tajemniczy osobnik wszakże od razu wydał mi się podejrzany. Zapewne już wtedy, na bulwarze, polował na swoją ofiarę, wybierając tę najpiękniejszą. Czy była to jego pierwsza zbrodnia, czy może wpadłem na trop jakiegoś seryjnego maniaka, który terroryzował tę okolicę od dłuższego czasu? Kimkolwiek by on nie był, poczułem się w obowiązku, by ruszyć w ślad za nim. Gdy dotrzemy do bardziej ludnych okolic, może nawet gdzieś w pobliże posterunku policji bądź wojska, zainterweniuję. A jeśli nie, może przynajmniej uda mi się poznać jego miejsce zamieszkania i wrócić tam nad ranem z odpowiednią asystą.

Na całe szczęście mężczyzna nie oddalił się zanadto. Szedł spokojnym, niemal spacerowym tempem, zupełnie jakby nic się nie stało. Nie wykonywał żadnych

nerwowych ruchów, nie oglądał się za siebie, zwyczajnie kontynuował swoją wycieczkę. *Dobra nasza – pomyślałem. Skoro zrobił się tak nieostrożny, łatwiej będzie mi podążać jego tropem.*

Moje śledztwo przeciągało się. Mężczyzna w płaszczu, zdawać by się mogło, chodził bez sensu i bez celu, krążył po mieście, niekiedy pokonując dany odcinek drogi więcej niż raz. Czy miał w ogóle zamiar gdzieś dotrzeć? Czy będziemy się tak tłuc po mieście do bladego świtu? Zmęczenie ogarniało mój umysł, nie byłem przyzwyczajony do tak długich eskapad, już nawet adrenalina nie pomagała maskować wyczerpania organizmu. Nie chciałem jednak odpuszczać, jeszcze nie teraz, sumiennie śledziłem go dalej. Kilka razy miałem nadzieję, że dotarł tam, gdzie planował, lecz on tylko przystawał, zerkał na sklepowe witryny i ruszał dalej. Ani przez moment nie sprawiał wrażenia, że ma w tym wszystkim jakiś konkretny plan.

Wreszcie okazję do rozwiązania zagadki podsunął mi sam zbrodniarz. Po kolejnej godzinie włóczęgi opustoszałą dzielnicą robotniczą skręcił w stronę ruchliwszej ulicy, uczęszczanej także nocami, pełnej otwartych do późna lokali, i zszedł schodkami na dół do jednej ze spelun, bodaj najgorszej, jakie znało to miasto. To była moja szansa! Tam mogłem go dopaść lub zwrócić na niego uwagę gości, czy też zawiadomić odpowiednie służby.

Wewnątrz panowała typowa dla tego typu knajp atmosfera. Hałas, nieprzyjemny odór będący połączeniem tytoniowego dymu, potu i alkoholowych wyziewów, do tego jakiś mizerny grajek brzdękający coś na rozstrojonym pianinie i barman zerkający

na wszystkich spode łba. W całym tym rozgardiaszu gdzieś umknął mi ten, którego śledziłem. Bez nerwów, spokojnie, zamówię coś dla niepoznaki i wyłowię go spośród gawiedzi. Byłem już tak blisko!

– Szklanę czegoś dobrego poproszę – zagailem grzecznie człowieka za ladą.

– Czyli czego? – odburknął. – Konkretnie trzeba.

– Co może mi pan zaproponować?

– Panie, tutaj każdy wie, czego chce, natutkać się i tyle, mów pan konkretnie albo nie zwracaj głowy.

Ten impertynencki cham mógł zwrócić na nas uwagę i zdemaskować moje śledztwo. Nie mogłem dać się wciągnąć w jego odzywki i zniżyć do jego poziomu. Postanowiłem odpuścić.

– Wystarczy piwo, zwykłe piwo.

Aroganckim gestem podał mi kufel złocistego napoju, miałem zatem spokój i dobry pretekst, by stać przy barze i obserwować towarzystwo. Spróbowałem nawet napić się zaproponowanego specyfiku, nie od razu przypadł mi do gustu, ale z czasem przyzwyczailem się do jego smaku i nieprzymuszany wypilem pierwszą, a potem i drugą porcję.

Pozostało mi już tylko namierzyć mordercę. I jest! Udało się! Siedział samotnie przy jednym ze stolików, z tumblerem w jednej i fajką w drugiej ręce. Nawet nie zdjął swojego płaszcza, łachudra pewnie w każdej chwili był gotów do ucieczki. Tylko co teraz? Kogo poprosić o pomoc? Dookoła same podejrzane typy i panie lekkich obyczajów, bez mała połowa towarzystwa ledwo trzymała na nogach. A gdy wyjdę z knajpy po pomoc, to czy

wciąż będzie tu przebywać? Czy też zniknie i zagadka pozostanie nierozwiązana? Nie, to musiało się skończyć tu i teraz. Na pewno nadejdzie odpowiedni moment, on wstanie, gdzieś się ruszy, z kimś porozmawia, nie może przecież siedzieć tak w nieskończoność!

Wreszcie opróżnił fajkę z resztek tytoniu i schował ją do kieszeni, dopił to, co miał w szklance, wstał i udał się w kierunku wąskiego korytarza, prowadzącego najpewniej do toalety. Tam go dopadnę! Już mi się nie wywinie, nawet gdy będzie chciał mnie skrzywdzić, z pewnością ktoś przybiegnie na ratunek. Ruszyłem.

– Halo, proszę pana! – powiedziałem stanowczym głosem, gdy zostaliśmy sami. – Halo! – powtórzyłem.

Udawał, że nie słyszy. Już ja mu pokażę!

– Proszę się odwrócić! Proszę na mnie spojrzeć! Wiem, kim pan jest i co uczynił! Przyszła pora, by ponieść za to zasłużoną karę! – niemal wykrzyczałem ostatnie słowa, lecz ów osobnik wciąż nie reagował.

Złapałem go za ramię, był doprawdy świetnie zbudowany, ale w tej chwili nie czułem już strachu. Może to adrenalina, może to wypite piwo dodawały mi odwagi. Jakże byłem jednak nierozważny, sądząc, że nic mi w tej sytuacji nie zrobi. Bandyci bywają wszakże nieobliczalni i nie myślą kategoriami zdroworoządkowych ludzi, o czym, zdaje się, na chwilę zapomniałem. Mężczyzna bez słowa ostrzeżenia zamachnął się z całej siły, a ja z trudem uniknąłem jego potężnego ataku. Przyszła pora skontrolować. Zebrałem się w sobie i wyprowadziłem cios.

Moja ręka zderzyła się tylko z gładką powierzchnią lustra, a postać tajemniczego mężczyzny w płaszczu

momentalnie rozsypała się na kawałki, wyjąc z bólu głosem brzęącym zupełnie jak mój własny! Nagle zostałem w korytarzu sam, lecz po chwili otoczył mnie wianuszek rozgniewanych gapiów na czele z osobnikiem w niebieskim mundurze, który celując do mnie z broni, zażądał, bym odwrócił się twarzą do ściany. Nie rozumiałem jego roszczeń, wdałem się więc w szarpaninę, próbując równocześnie wytłumaczyć, że to nie mnie szukają.

Huk wystrzału spłoszył tłum. Widząc, że mundurowy bezwiednie osuwa się na podłogę, uciekłem i ja.

OLA SUKIENNIK

ALICE

„Alice, who the fuck is Alice?”

Kiedy otworzyły się przed nią drzwi wagonu, wyskoczyła z niego i, zręcznie wymijając innych pasażerów, pobiegła ku wyjściu ze stacji. Kropiło. Nic nowego. Nie znosiła deszczu, a najbardziej tego, jak moczył jej twarz i włosy. Nie zatrzymała się jednak, póki nie znalazła się całkiem na zewnątrz – pod brzydkiem, niebieskim zadarszeniem. Dopiero wtedy była w stanie odetchnąć i uspokoić zmysły. Ponad czterdzieści minut w metrze, które spędziła, jadąc zatłoczoną Linią Metropolitaną od Liverpool Street, stanowiło dla niej prawdziwe katusze. I wcale nie te przysłowiowe, ale jak najbardziej realne. Tabletką propranololu, zażyta przed podróżą, trochę pomogła, ale całkowicie nie wyeliminowała czającej się pod skórą paniki. Całe szczęście, że ponad połowa trasy przebiegała po normalnym torowisku, bo pełnej odległości pod ziemią raczej nie dałaby rady pokonać, nawet gdyby połknęła pół listka tych cholernych pigułek. Już bardziej odpowiadałoby jej przemieszczanie się taksówkami, lecz ta opcja

odpadała. Po prostu nie było jej stać. To znaczy, rodzice z łatwością mogliby za taką odrobinę komfortu zapłacić, jednak uparli się, aby próbowała przełamywać codzienne lęki i pokonywać fobie. Jej lekarz zresztą też. Wszyscy oni gówno wiedzieli.

Jak zwykle odstała stosowną chwilę przy skraju blaszanego daszku. Zdecydowała się ruszyć dalej, na drugą stronę jezdni, dopiero gdy większość podróżnych wysiadających z jej składu przedostała się przez dwie pary szeroko otwartych drzwi i rozpierzchnęła w wybranych przez siebie kierunkach. Nie potrafiłaby iść spokojnie, wiedząc, że ma za plecami tłum. Zanim zrobiła pierwszy krok, nasunęła na głowę obszerny kaptur, a ciemne, niesforne kosmyki, wymykające się spod plastikowej klamry, wepchnęła głęboko pod materiał. Było pochmurnie i ponuro, ale wciąż nie zapadł jeszcze zmrok. Szkoda. Wiosna nadchodziła stanowczo zbyt szybko.

Po drodze do domu zdecydowała się wstąpić do Northwood Food & Wine. Właściwie nie miała innego wyjścia. Ten sklepik to jedyne miejsce, w którym kiedykolwiek zdarzało się jej robić zakupy. Były to głównie słodczyce oraz słodkie napoje gazowane. Nic innego ją nie obchodziło, ponieważ o całą resztę i tak dbała matka. Sama Norma nie mogła poszczycić się wyrobionym gustem kulinarnym. Zbyt nie obchodziło jej, czym zaspokajała głód. Lubiła wszystko i nic – z wyjątkiem czekolady i dietetycznej coli. Te ostatnie uwielbiała i w nie właśnie zaopatrywała się dwa razy w tygodniu podczas powrotu z pracy. Tak, miała pracę. Od niedawna.

Niemniej dziś wcale nie planowała kupować batonów firmy Cadbury. Dziś przyszła po alkohol. *Alice ma*

dość słodkości. Powiedziała jej to nie dalej jak przedwczoraj. Stwierdziła, iż są wystarczająco dorosłe i że powinny popijać wspólnie raczej czerwone wino. Miała rację, tyle że wino stanowiło pewien problem. Norma nie posiadała własnych kieliszków, a przemycenie ich z salonu rodziców nie wchodziło w rachubę. Bała się, że mogliby coś zauważyć. Gdyby dowiedzieli się, że piła cokolwiek, co ma procenty, wybuchłaby awantura. Znowu przestaliby jej ufać, choćby w ograniczonym stopniu jak teraz, i pewnie znów wróciłyby codzienne rewizje albo nawet odesłaliby ją z powrotem na oddział. A tak przynajmniej, odkąd podjęła tę beznadziejną robotę i dwa razy w miesiącu widywała się z doktorem Singhiem w jego prywatnym gabinecie, miała względny spokój. Lecz wino w szklance to nie było to, dlatego zdecydowała się na whisky.

Niestety kompletnie nie znała się na alkoholach. Przy lekach, które od kilku lat przyjmowała, nie powinna pić. Oczywiście potajemnie próbowała tego i owego, ale były to w sumie pojedyncze zdarzenia i w żadnym razie nie uczyniły z niej trunkowej ekspertki. Tydzień temu odstawiła jednak większość specyfików, które nad wyraz chętnie przepisywał jej lekarz. Truły ją. Tak stwierdziła Alice. Norma okazała się zbyt głupia i zbyt ślepa, żeby wcześniej sama na to wpaść. Dopiero razem z Alice uzgodniły, że pozostawi jedynie propranolol, bo ratował jej trochę tyłek, kiedy musiała wychodzić ze swojego pokoju, oraz diazepam. Z nim i tak nie umiałyby się rozstać. O tak, jak tylko ponownie zamknie się we własnych czterech ścianach, od razu połknie tabletkę, a potem jeszcze jedną przed snem.

Rodzice na razie niczego nie zauważyli. Alice i w tej sprawie się nie pomyliła. Mówiła, że tak właśnie będzie. Doktora Singha na pewno też uda się im oszukać.

Weszła do sklepu. Zawahała się. Nie mogła sama wybrać butelki – jak ulubionej czekoladki. Wszystkie stały za plecami Kirby’ego. Musiała go poprosić. Wprost. Na szczęście zauważył, że była jeszcze bardziej zakłopotana niż zazwyczaj i sam ją zagadnął, zanim w ogóle zbliżyła się do lady.

– Hej, Norm, co słyhać? Wyglądasz dziś jakoś inaczej. – Puścił do niej oko. – Jakby co, mam promkę na wispy. Reflektujesz?

Kirby – chudy, wysoki, ze śmiesznymi długimi ramionami, wiecznie przykrótkimi rękawami oraz z fryzurą wyglądającą, jakby dopiero co wstał z łóżka, miał prawdopodobnie tyle samo lat co ona, może ciut więcej. Nie wiedziała dokładnie ile i jej to nie interesowało. Kirby’ego nie interesowała zaś Norma ani żadna inna dziewczyna gwoli ścisłości, ani nawet facet. Uznawał ją za swoją stałą i wierną klientkę i to by było na tyle. Chociaż, gdyby nie była taka spięta, mogłaby być z niej całkiem niezłą laska. Przypominała mu trochę komiksowe superbohaterki – na co dzień znerwicowane szare myszki, ale każdy przecież wiedział, co potrafią wyczyniać po godzinach. Kirby’ego prawie całkowicie pochłaniał świat gier, a pracę w sklepie traktował jako źródło bezstresowego zarobku oraz sposób, by móc prowadzić takie a nie inne życie. Był w miarę przyjacielski, niewścibski i nienachalny. Doceniała to. Znał jej imię, ale o tym, że strasznie go nienawidziła, nie miał już pojęcia.

Norma – niczego bardziej kretyńskiego i ironicznego nie potrafiła sobie wyobrazić. Matka musiała doznać prawdziwego zaćmienia umysłu pod wpływem poporodowego zalewu hormonów, gdy umyśliła sobie, że nazwie ją na cześć słynnej MM¹. Normę ratowało tylko to, że w domu, w pracy, a kiedyś w szkole i tak wołano na nią po prostu No. W szkole dodatkowo przezywano ją jeszcze „Nobody”². Wcześniej ją to bolało, lecz odkąd Alice zwróciła jej uwagę na ten niezwykle zbieg okoliczności, zupełnie inaczej zaczęła postrzegać swoje dawne przezwisko.

– Potrzebuję whisky – wydusiła z siebie po chwili.

– Żadnych słodyczy? – zdziwił się Kirby.

Pokręciła głową. Stanowczo.

– W porządku. Co ci podać? To dla ciebie? Na prezent?

– Na prezent – podchwyciła.

– To może szarpniesz się na jakiegoś single malta?

Dwunastoletnia?

Spojrzała na cenę niewielkiej butelki i najpierw chciała odmówić, ale po sekundzie zmieniła zdanie i przytaknęła. *Alice powinna być zadowolona.*

– Wezmę też dwie butelki dietetycznej coli.

– Chyba nie do tego? – Kirby pokazał palcem na flaszkę, którą dopiero co zdjął z półki. Nie był wprawdzie sprzedawcą z marzeń, ale na whisky akurat trochę się znał. Często popijał podczas całonocnych sesji przed

¹ Chodzi o Marilyn Monroe, prawdziwe imię i nazwisko: Norma Jeane Mortenson.

² Nikt (ang.).

komputerem. Zdążył przetestować większość asortymentu. Z natury odznaczał się dużą tolerancją i przeważnie wisiąo mu, co robili jego klienci, lecz wszystko miało swoje granice.

– Nie – odpowiedziała pospiesznie, żeby zdusić w zarodku jakąkolwiek potencjalną dyskusję na temat bursztynowego trunku. W głowie miała jednak zupełnie inny pomysł. *Alice lubi z colą, a ona wie lepiej. Zawsze.*

Z butelkami, owiniętymi w plastikową reklamówkę i bezpiecznie spoczywającymi w plecaku, poczuła się pewniej. Wypełniła misję. Miała niespodziankę na wieczór. Naciągnęła kaptur jeszcze głębiej na czoło i szybkim krokiem udała się w stronę Hillside Crescent. Gdy dochodziła do domu, rozpadało się na dobre. Znów zaczęła biec. Przystanąła dopiero w wąskim, wyklejonym białą boazerią holu. Zatrzasnęła drzwi, zdjęła plecak, otrzepała i odwiesiła mokrą kurtkę, a następnie przysiadła na stromych schodach prowadzących na piętro. *Udało się.* Przez moment słuchała, jak deszcz bębni rytmicznie o parapet małego witrażowego okienka, służącego jako ozdoba i doświetlenie klatki schodowej. Dźwięk ten działał kojąco. Lubiła, kiedy padało, a ona nie musiała nigdzie wychodzić i nic nie kapało jej na głowę. Wiedziała, że dzięki ulewie prawdopodobnie odpuszczą jej wieczorny spacer z psem do pobliskiego parku. W taką pogodę ojciec łaskawie brał to na siebie. Wyszczrzyła zęby w coś na kształt uśmiechu. Nie miała nic przeciwko zwierzętom, po prostu nie znosiła opuszczać swojego pokoju.

– Jestem! – zawołała prawie z radością. – Idę na górę.

– To dobrze. Za kwadrans przyniosę ci obiad – odezwała się z kuchni matka i wyjątkowo nie dodała niczego więcej.

Chyba była zajęta i w miarę zadowolona. Postawiła w końcu na swoim. W każdy wtorek i piątek jej córka, jak wszyscy normalni ludzie, jeździła do pracy. Metrem. Wyglądało na to, że zaczynała się jej polepszać. Przynajmniej w to właśnie chciała wierzyć.

Norma ponownie trzasnęła drzwiami. Tym razem jeszcze dobitniej – nie z wściekłością, ale ze stanowczością. Następnie natychmiast przekreśliła pojedynczy, dość lichy zamek. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa, namiastkę prywatności oraz wrażenie, że przebywa na własnym skrawku ziemi, mimo iż cały czas mieszkała z rodzicami i nie zanosilo się, by w najbliższej przyszłości miało się to zmienić.

W przyległej do pokoju łazience antybakteryjnym mydłem najpierw starannie umyła ręce i twarz, potem rozpakowała plecak. Plastikowe butelki z colą postawiła na parapecie za zasłoną – tam nadal było najchłodniej – a alkohol ukryła w skrytce za szafą. Matka przyjdzie dziś przynajmniej jeszcze dwa razy. Z Alice będzie mogła się zobaczyć dopiero po kolacji i wieczornej „rozmowie” z rodzicielką o lekach, o tym, co robiła w pracy oraz o planach na kolejne dni. Jakby z góry nie było wiadomo, jakie padną odpowiedzi.

Z obrzydzeniem zdjęła ciuchy, które musiała nosić na zewnątrz, i niedbale rzuciła je na stojące w kącie krzesło. Na pewno dotknęli ich inni ludzie. Po chwili jednak poprawiła wszystko i ułożyła zgodnie z ustalonym porządkiem: spodnie, na nich marynarka i wreszcie bluzka. Tak musiało być. Nałożyła szarą bluzę i takie same legginsy. Teraz czuła się znowu sobą. Odpaliła komputer. Na biurku porozkładała różne papiery, które także wyjęła z plecaka.

Niech sprawiają wrażenie, że jest zajęta i zavalona robotą. Matka nie będzie jej wtedy bezsensownie zagadywać dłużej, niż wymagałoby tego poczucie obowiązku. Zresztą faktycznie miała sporo do zrobienia, ponieważ w biurze nie potrafiła odpowiednio się skupić. Właściwie to myślała tam głównie o tym, kiedy wreszcie wolno jej będzie wyjść, oraz by ktoś przypadkiem nie podszedł do niej zbyt blisko. Mogłaby wtedy nie powstrzymać ataku. Całkiem nieźle nadrabiała za to zdalnie. Pewnie dlatego – a także ze względu na fakt, że brat matki miał znajomego w zarządzie firmy – w ogóle ją tam trzymali. Pracą zajmie się jednak jutro.

Ponownie weszła do łazienki. Z niewielkiej szafki wyjęła małą, brązową, plastikową butelkę. Odsypała na dłoń żółtą tabletkę z wybitą pośrodku cyfrą pięć. Po sekundzie dołożyła jeszcze jedną, a następnie połknęła obie bez popijania. Wróciła do biurka. Była gotowa.

Parę minut później rozległo się pukanie. Zgłodniała, dlatego podniosła się względnie szybko i bez słowa wpuściła matkę z tacą.

– Gdzie postawić, skarbie? – zapytała wchodząca, jak zwykle udając niewiedzę.

– Na szafce, przy drzwiach. – Norma odpowiedziała jak gdyby nigdy nic. Nie chciała się kłócić ani niczego jej przypominać. Nie teraz. Nie dziś.

Matka powoli odstawiła jedzenie i zachłannie rozejrzała się po pokoju. Pragnęła zarejestrować jak najwięcej szczegółów.

– Mogłabyś kiedyś zjeść z nami w jadalni albo chociaż w kuchni, skarbie. Tutaj na pewno nie jest ci wygodnie. – Ręką wskazała na zagracone biurko.

Znowu to samo. Nigdy nie odpuszcza. Przecież dobrze wie, jak trudno mi jeść, gdy na mnie patrzę.

– Pomyślę o tym, ok? – odparła wyjątkowo ugodowo. – Ale chwilowo jestem zawalona robotą. Muszę skończyć przed północą. Sama rozumiesz. Dedlajn.

– Czy oni przypadkiem nie wykorzystują cię tam za bardzo? Może powinnam porozmawiać z...?

– Może powinnaś była zrobić to wcześniej, zanim na siłę załatwiłaś mi tę pracę? Jeśli uważasz, że mnie wykorzystują, po prostu się zwolnię, choćby jutro – odezwała się hardo i spojrzała matce w oczy. Zgodzenie się z nią w tym wypadku tylko przedłużyłoby rozmowę, a ona chciała jak najprędzej pozbyć się intruza.

– Nie, nie. Żadnych pochopnych decyzji. Doktor Singh nie byłby zadowolony. Ojciec też nie. Tylko nie siedź dłużej niż to konieczne, dobrze?

Cała matka. Cokolwiek było dla niej niewygodne, potrafiła zwalić to na innych, choć tak naprawdę to ona pociągała za sznurki. Jednak nie za wszystkie. Przez wiele lat wspólnego obcowania z tą kobietą Norma całkiem niezłe nauczyła się, jak ją zwodzić i nią manipulować. Nie miała innego wyjścia, w przeciwnym razie po prostu by nie przetrwała.

– I dlaczego znów zaciągnęłaś zasłony przed zapadnięciem zmroku? Póki jest jasno, wpuśćże trochę światła i powietrza, dziecko. Ten pokój i tak jest zimny.

Patrzeć tylko, jak pojawi się wilgoć, a potem grzyb. Może już się pojawił?

Kobieta bez namysłu skierowała się w stronę okien, ale No w porę ją powstrzymała.

– Nie rób tego! – krzyknęła głośniej niż zamierzała. – Wiesz, że uliczny hałas mnie rozprasza – dodała nieco łagodniej. – Wietrzyłam pod moją nieobecność. Umówiliśmy się przecież co do tego. Chcesz to znów zniszczyć? – Norma dobrze wiedziała, że ostatnie wypowiedziane przez nią zdanie było chwytem poniżej pasa, niemniej prawie zawsze działało.

Matka zawahała się, po czym odpuściła. Nie, nie chciała burzyć tego małego postępu i kruchej równowagi, którą wypracowały. Wycofała się z powrotem do drzwi.

– W porządku, tylko nie zapominaj o tych cholernych oknach, skarbie. Jak skończysz, zostaw tacę na schodach. Zabiorę ją przed kolacją.

Norma kiwnęła głową, a matka, choć niechętnie, wyszła.

Trzy i pół godziny później, jak w zegarku, scena się powtórzyła. Nie dosłownie, ale prawie. Na tacy, zamiast obfitego posiłku, znajdowała się sałatka z krewetkami i pomidorkami koktajlowymi, dwa trójkątne tosty oraz kubek kakao. Rodzicielka pohamowała się przed namawianiem Normy do wspólnych posiłków. Nie poruszyła również kwestii pracy ani zasłon. Padło za to stwierdzenie, iż No zażywa za mało ruchu i że miga się od wieczornych spacerów z psem. Uratował ją padający od popołudnia deszcz. Matka zapytała także o tabletki. W kwestii lekarstw No miała wielką ochotę powiedzieć

jej, żeby spierdalała. Nie zrobiła tego. Pewnej granicy nie mogła przekroczyć. Agresję, także tę werbalną, określano bowiem jako jeden z pierwszych symptomów, że coś ponownie zaczyna iść w złym kierunku. Dlatego ugryzła się w język i w zamian odburknęła:

– Biorę, wszystko biorę. Możemy pogadać o tym jutro? Teraz naprawdę jestem zajęta.

Matka nie odezwała się więcej. Wlepiła wzrok w migający monitor laptopa. Na szczęście nie rozumiała z tego zupełnie nic. Westchnęła, a po chwili zamknęła za sobą drzwi.

Sałatkę Norma wciągnęła błyskawicznie, a wciąż gorący napój wypija duszkiem, parząc sobie przy tym podniebienie. Pustą tacę prawie wyrzuciła na korytarz. Na koniec, po raz kolejny tego dnia, przekreśliła zamek. *Alice!*

W sypialni znajdowały się trzy okna. Dwa wysokie, podwójne, z szerokimi parapetami, mieściły się od frontu i wychodziły na ulicę. Ostatnie, małe i pojedyncze, wykuto kiedyś dodatkowo w bocznej ścianie. W sąsiednim domu uczyniono dokładnie tak samo. W jakim celu? Dobre pytanie, zważywszy na fakt, że obu budynków nie dzieliło nawet trzydzieści centymetrów. Ot, angielskie, dziewiętnastowieczne budownictwo, pełne architektonicznych dziwolągów. Swojego czasu Norma prosiła rodziców, aby to trzecie okno zamurowali, ponieważ nie pełniło żadnej funkcji użytkowej, a stanowiło źródło nieproszonych dźwięków oraz wilgoci. Istniały takie plany, ostatecznie jednak do tego nie doszło. W końcu darowała sobie marudzenie. Całe szczęście, bo...

Kilka tygodni temu w budynku obok zamieszkała Alice.

Norma nalała whisky do dwóch jednakowych szklanek. Zapach się jej spodobał. Przypominał świąteczne czekoladowe trufle albo pierniczki. Upiła łyk i natychmiast się rozkaszała. Zapiękło, a potem drapało, dopóki nie pozbyła się z gardła resztek alkoholu. Gdy przestała się krztusić, dołała coli. Do pełna. Zamieszała i ponownie spróbowała. Tak, dopiero teraz nadawało się do picia. *Mogę ufać tylko Alice* – pomyślała. Zapaliła kremowe świece i rozstawiła je po całym wnętrzu, a następnie wyłączyła lampę. Butelkę z pozostałym alkoholem ustawiła w taki sposób, aby lokatorka z naprzeciwka mogła dostrzec etykietę. *Niech wie, że się postarałam.* Drżącą ręką odsunęła kotarę i zahaczyła ją o wbity w ścianę gwóźdź.

Alice już tam była. Czekala na nią cierpliwie. Norma z wrażenia lekko się zachwiała. Na szczęście krzesło stało tuż obok.

Złotopomarańczowe ogniki odbijały się w ciemnych, prawie czarnych, błyszczących oczach Alice, dodając im łagodności, zalotności i tajemniczości. Dziewczyna przymknęła nieznacznie powieki. Odruchowo odgarnęła też z czoła kosmyk kruczonych włosów i uśmiechnęła się. Sprawilo to, że serce Normy najpierw ponownie gwałtownie zabiło, a następnie prawie zamarło w niemym zachwycie. *Ależ ona jest piękna, moja Alice!* Po chwili ten nieskazitelny obraz zaczął się nieco zamazywać. Norma zaczęła się dusić. Panika. Otworzyła szeroko usta, by gwałtownie zaczerpnąć powietrza i wtedy poczuła słonawą łzę na samym końcu języka. *Och, ale jestem głupia.* Zakłopotana przetarła twarz chusteczką. Doskonałe oblicze Alice znów było na miejscu.

– Witaj, No! – odezwała się wreszcie tym swoim głębokim i pewnym siebie głosem, od dźwięku którego Normie drobniutkie włoski na karku za każdym razem stawały dęba. Teraz wyczuła w nim także rozbawienie całą sytuacją.

– Witaj! – odpowiedziała. – Przepraszam za moje zachowanie. Trochę się wygłupiłam, ale...

– Ćśś. – Alice położyła smukły, idealnie wyrzeźbiony palec na szkarłatnych ustach. Jej wzrok powędrował następnie w kierunku butelki. Ponownie się uśmiechnęła.

Norma podała jej szklanekę. Ich dłonie zetknęły się na moment, po czym sąsiadka uniosła swoją do góry, aby wznieść toast. No uczyniła to samo. Alice przytknęła szkło do ust i skinęła głową z aprobatą.

– Dobrze się spisałaś – pochwaliła, a Norma poczuła, że cała się w niej zatracza.

Miriam Leddill, matka Normy, z natury była sprytna, podejrzliwa i skryta. Zdecydowanie wolą być obserwatorką i powściągliwą komentatorką niż uczestniczką wydarzeń. Wyróżniała ją też spora doza próżności oraz przeświadczenie, że stoi przynajmniej o jeden stopień wyżej od innych osób ze swojego otoczenia. Cóż mogła na to poradzić? Przeważnie naprawdę wiedziała i widziała więcej, a do tego wyglądała lepiej od pozostałych. Jak na swoje niespełna pięćdziesiąt lat wciąż trzymała się świetnie, choć figura, niegdyś nienaganna, tu i ówdzie nieco się jej zaokrągliła. No posiadała całkiem sporo z jej cech, może nieco bardziej rozmytych, lecz zasadniczo

wcale nie różniły się od siebie aż tak spektakularnie, jak chciałoby się to ocenić na pierwszy rzut oka. Jednak właśnie to, co miały odmienne, zadecydowało o takim, a nie innym odbieraniu jej córki przez świat zewnętrzny.

Norma nie lubiła ludzi, a oni nie przepadali za nią, ponieważ właściwie od zawsze oraz całkiem jawnie dawała im to odczuć i od nich stroniła. W przeciwieństwie do matki, która stała się mistrzynią pozorów, córka niczego nie udawała. Nie postrzegała siebie jako osoby towarzyskiej ani nawet przyjaznej i nie widziała żadnego powodu, by to zmienić. Została przy tym całkowicie pozbawiona uroku osobistego. Tę rysę odziedziczyła po ojcu i to właśnie ona ostatecznie ją pogrzyżyła. Pani Leddill doszła do takiego wniosku dawno temu. Ponadto, nie bójmy się powiedzieć tego wprost, jej jedyna latorośl miała ostro popieprzone w głowie, co dodatkowo komplikowało sprawę. Ujawniło się to, gdy nastoletnia No zaczęła wchodzić w okres dojrzewania, i z czasem przybrało na sile. W tym również, na szczęście, nie było winy Miriam, ponieważ to w rodzinie jej męża żyła ciotka, którą przed laty zamknięto w Broadmoor³. Widocznie jakieś cholerne geny zdołały przeskoczyć od niej na ich córkę i nawet ona, jej własna matka, nie dała rady temu zapobiec. Inaczej nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Bóg jej świadkiem, że przez całe swoje życie próbowała wszystkiego, by po pierwsze pomóc jedynaczce, po drugie zaś ukrywać jej inność przed znajomymi i rodziną, na ile tylko się dało. Większość, co prawda, i tak widziała, że coś było nie tak, niemniej nikt oprócz niej samej, ojca Normy, jej lekarza

³ Szpital Psychiatryczny o zaostrozonym rygorze w Crowthorne w hrabstwie Berkshire w Wielkiej Brytanii.

oraz kilku najbliższych osób, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo. Poczytywała to sobie za zasługę.

Miriam odłożyła na kamienną podkładkę opłukaną z piany gąbkę, a następnie wylała wodę z resztkami płynu do mycia naczyń do głębokiego, emaliowanego zlewozmywaka. Opróżnioną kwadratową miskę odstawiła na blat obok suszarki, na której ociekały już filiżanki, spodki i talerzyki. Odsapnęła. Nikt nigdy nie był w stanie przekonać jej, że można bezpiecznie myć dobrej jakości porcelanę, nawet taką bez złocien, w zmywarce. Garnki oraz patelnie i owszem, lecz na pewno nie to, co odziedziczyła po babce. Na koniec zdjęła długie gumowe rękawice, przewiesiła je przez uchwyt od szuflady i odwróciła się plecami do kuchennego okna. Widok na własny ogród oraz na podmiejski park, rozciągający się tuż za ogrodzeniem, z którego zazwyczaj była dumna, zaczął jej nagle przeszkadzać. Piękno zawsze działało na nią rozpraszająco, a ona musiała się skupić. Od kilku dni przepełniały ją złe przeczucia.

Usiadła przy kuchennym stole i, wciąż tyłem do ciemnej tafli okna, omiotła wzrokiem salon. Wszędzie panował porządek, tak jak lubiła. Swoim niechlujnie rozciągniętym ciałem nieznacznie mącił go tylko jej mąż. James Leddill, odziany w domowe, nieco sprane już ubrania, drzemał beztrosko na sofie przed telewizorem. Z pilotem w ręku, jak zwykle udawał, że ogląda wieczorne wiadomości. Obudzi się pewnie dopiero w połowie serialu. Cały on. Wiedziała, że cokolwiek by się nie działo, znowu została z tym sama. James nie pomoże jej zbyt wiele. W każdym razie nie do czasu, gdy będzie aż tak źle, że nawet tchórz nie dałby rady

dłużej trzymać głowy w piasku. *Jebany struś...* – wymyśliła jej się nagle w myślach to, czego nigdy nie wypowiedziałyby na głos.

Tak było zawsze. Od dziecka z wszelkimi problemami musiała mierzyć się sama. Nie, żeby nie dawała sobie rady. Wręcz przeciwnie. Niemniej byłoby miło choć czasem mieć w kimś prawdziwe oparcie, drugi bystry i decyzyjny umysł obok siebie, a nie tylko klakiera, który zachwyca się każdym jej dokonaniem. *Ech, przynajmniej mnie nie ogranicza ani nie krytykuje.* Tak, mogło być dużo gorzej. James to na szczęście nie jej toksyczny szwagier, który nie dość, że sam nic nie robi, to jeszcze nieustannie wyśmiewa poczynania pozostałych. Kogoś takiego by nie zniosła.

Obok Jamesa, wciśnięty pomiędzy oparcie a brzuch właściciela, równie beztrudnie spał czarny cocker spaniel.

Wstała. *Dodatkowa herbata po kolacji dobrze mi robi* – postanowiła. *I dodatkowe ciasteczko.* Czasem pozwalała sobie na taką samotną przyjemność, ale nawet przyparta do muru za nic nie przyznałyby się do tego przed innymi. Tę słodką skłonność No również z nią współdzieliła i ona także czyniła to w sekrecie. Z tym że Norma robiła potajemnie prawie wszystko.

Miriam nalala świeżej wody do czajnika. Z suszarki zdjęła jeden ze spodków. Ułożyła na nim trzy ulubione herbatniki przekładane waniliowym kremem i sięgnęła po filiżankę w delikatne błękitne ornamenty. Do jej wnętrza wrzuciła jedwabną piramidkę i zalała ją wrzątkiem. Nie zwracała sobie głowy zaparzeniem sypkich liści w imbryku, używała za to torebek najwyższej jakości, które nabywała głównie w Waitrose, a czasami nawet w Harrodsie. Nie rozumiała, jak inni potrafili

wlewać w siebie hektolitry PG-a lub innych podobnych świństw. W jej domu taki chłam nigdy nie zagościł. Kiedy napar nabrał odpowiedniej barwy i mocy, posrebrzaną łyżeczką usunęła torebkę, dodała dwie płaskie łyżeczki cukru i kapkę pełnotłustego mleka. Wymieszała. Tak właśnie, w jej mniemaniu, powinna wyglądać prawdziwa angielska herbata.

Ponownie zajęła miejsce na swoim ulubionym krześle, zamoczyła prostokątne ciasteczko w parującym płynie i ugryzła. Już z pierwszym rozmiękłym kęsem spłynęło na nią oświecenie. Pospiesznie wsunęła do ust pozostałe słodczyce. Prawie się zakrztusiła. Nie był to jednak skutek zachłanności, a raczej nagłej potrzeby działania. Przeczucia Miriam Leddill w tym momencie samoistnie zmieniły się bowiem w pewność. *N o r m a j ą o s z u k i w a ł a*. To znaczy, nie pierwszy raz i nie dopiero teraz. Miriam chodziło raczej o to, że od jakiegoś czasu jej córka musiała szykować coś grubszego. Nie wiedziała jeszcze dokładnie co, ale z pewnością coś się święciło. Wszystko szło po prostu zbyt gładko. Jej regularne wyjścia z domu. Posiłki zjadane do ostatniego kęsa. Uprzejmość. Nawet humor No miała jakby lepszy. Niby świetnie, lecz... *Matki długo nie da się zwodzić*.

Upiła kilka łyków, by przełknąć ostatnie okruszki i splukać z języka słodki posmak. *Może rzuciła pracę i jedynie udaje, że jeździ do centrum? Trzeba będzie tam jutro zadzwonić. Może nie bierze leków? To jeszcze bardziej prawdopodobne. Co prawda liczę tabletki pod jej nieobecność, ale pewnie gdzieś je chowa lub wyrzuca. Albo poznała kogoś w sieci, jak to teraz młodzi robią. Gada z tym kimś po nocach i planują razem*

samobójstwo lub coś podobnego. Czytałam przecież niedawno... O Boże!

Poderwała się. Zahaczyła spódnicą o krzesło, które teraz przewróciło się z hukiem. Nawet tak głośny hałas nie obudził jednak Jamesa. Spaniel poruszył zaś jednym uchem, ale na tym się skończyło. *Ale No mogła coś usłyszeć...*

Ostrożnie odstawiła mebel z powrotem na miejsce i ruszyła w stronę salonu. Przystanąła chwilę przed telewizorem, pogłośniła. Ponownie zerknęła na śpiących, po czym udała się do holu.

Zbyt długo cackała się z córką, chodziła wokół niej na paluszkach, godziła się na przynoszenie jedzenia na górę, odpuszczała spacerów, gdy padał deszcz, wiał wiatr, świeciło słońce, czy co tam jeszcze sobie Norma wymyśliła. Pozwoliła też na wieczne zasłanianie okien i życie w półmroku, ponieważ tak zalecał doktor Singh. „Proszę stosować metodę małych kroków”, mówił. „Trochę wymagać, lecz zawsze dawać coś w zamian oraz unikać konfrontacji”. Z początku działało. Nie mogła tego zakwestionować. Normie się polepszyło. Zgodziła się na pracę hybrydową i zaczęła trochę o siebie dbać. Dała się także namówić na spotkanie z babcią. Ale teraz Miriam miała nieodparte wrażenie, że wszystko to była jedynie gra – podwójny blef, mający na celu uśpienie jej czujności. Och, a ona strasznie nie lubiła przegrywać.

Przebiegła korytarz, potem powoli i jak najciszej zaczęła wspinać się po schodach. Dotarła na szczyt. Po prawej miała otwarte drzwi do ich małżeńskiej sypialni. Weszła tam i z miejsca podążyła w kierunku mahoniowej toaletki, która również była pamiątką po babci.

Z bocznej szufladki wyjęła klucz. Natychmiast opuściła własny pokój, minęła główną łazienkę i podeszła pod drzwi córki. Wytężyła słuch.

Z dołu dochodziły do niej całkiem wyraźne dźwięki gadającego telewizora. Nadal trwały wiadomości. Ponura twierdza córki wydawała się być natomiast pogrążona w ciszy. Przyłożyła ucho do drewna i dopiero wtedy coś usłyszała. Fragmenty stłumionej rozmowy. Bardzo poszarpane. Właściwie równie dobrze mógł to być monolog, ponieważ potrafiła rozróżnić tylko głos Normy. Ale No robiła przerwy, jakby czekała na odpowiedź, stąd doszła do wniosku, że słowa kierowane były jednak do kogoś. *Więc się nie pomyliłam!*

Nie czekała ani chwili dłużej. Pospiesznie przekręciła klucz w zamku, nacisnęła kłamkę i wtargnęła do środka.

Pomieszczenie pogrążone było w półmroku, przy czym jedyne źródło światła stanowiły świece poustawiane na rozmaitych płaskich powierzchniach. Miriam zamrugła. Minęło kilka sekund, zanim jej oczy przywykły do braku elektrycznego oświetlenia. Pierwsze, co wtedy zauważyła, to to, że kotary na dużych oknach nadal były szczelnie zasunięte, ale odkryto boczne okienko. *Dziwne*. Zaslona została odgięta na bok i przytwierdzona do jakiegoś uchwyty lub gwoźdźnika w ścianie, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia.

Norma, zaskoczona nieoczekiwanym pojawieniem się matki, zastygła naprzeciwko tego okienka jak sparaliżowana. Miriam na razie widziała ją tylko z profilu. Dość bladej twarz córki wydała się jej teraz jeszcze bladejsza. *Czyżby miała na sobie makijaż?* Spoczywający na biurku laptop wyglądał na wyłączony. *Hmm*. Kolejnymi rzeczami,

które rzuciły się jej w oczy, były opróżniona mniej więcej do połowy butelka whisky oraz prawie pusta szklanka w dłoni córki. Druga zaś, także z resztkami brązowego płynu, stała nieco dalej.

– Zatem tak zabawiasz się wieczorami!?! – Miriam Leddill wrzasnęła na całe gardło i w dwóch krokach podbiegła do wciąż odrętwiałej No. Miała ochotę nią potrząsnąć i robić to tak długo, dopóki wszystkie fałdy w chorym mózgu córki nie ułożą się w dawnym porządku.

Norma wciąż nie poruszyła ciałem nawet o milimetr, mimo że wściekła Miriam napała na nią z całej siły. Odwróciła za to głowę, ukazując matce całe oblicze.

– O Jezu, dziecko, co ty wypra...

Jej twarz faktycznie pokryta była warstwą prawie białego podkładu. Znamcy określiliby odcień mianem alabastru lub kości słoniowej. Oczy i brwi miała natomiast mocno zaznaczone czarną kredką, a powieki pomazane ciemnymi cieniami. Całości dopełniały pomalowane soczystą czerwinią usta.

– ...wiesz?! Pijesz przed lustrem alkohol?! Do tego wypacykowana jak pierwsza lepsza lafirynda!

Miriam oderwała na moment wzrok od córki i spojrzała w stronę okienka, które przesłaniała owalna, srebrzysta tafla przytwierdzona do karnisza. Teraz odbijały się w niej obie. Poczowała, jak ponownie narasta w niej złość, a wraz z nią coś znacznie gorszego – rozpacz i ostateczne zwątpienie. Poczowała, że właśnie traci nad sobą panowanie. Chwyliła butelkę i z całej siły cisnęła nią przed siebie. Lustro w jednej chwili rozbiło się na dziesiątki drobnych kawałków. Część z nich odpadła, a pozostałe utworzyły

makabryczną pajęczynę, spomiędzy której wyzierały dwa wykrzywione i pocięte oblicza.

Prawie martwa do tej pory twarz No nagle ożyła. Z jej gardła wydobył się ryk, jaki mogłoby wydać z siebie ranne, umierające zwierzę, a jej oczy zaszyły łzami.

– Zabiłaś moją Alice! – zawyła. – Ty podła, zawistna suko, zabiłaś moją Alice! – powtórzyła, a szklanka, którą przez cały czas ścisnęła w ręce, wylądowała na skroni matki.

Pani Leddill zachwiała się i upadła na wykładzinę. Brunatne krople rozpełzły się po jej włosach.

– Dlaczego musiałaś skrzywdzić Alice?! – No szlochała teraz bez opamiętania.

Z potłuczonej tafli oderwała jeden luźny odłamek. Ucałowała go, pozostawiając na nim delikatny szkarłatny ślad. Spojrzała na matkę i jednym ruchem wbiła jej szkło w szyję. Po paru sekundach wszystko wokół także zabarwiło się na czerwono.

– Co się tam dzieje? – Z dołu dobiegł wciąż zaspany głos Jamesa.

W telewizji właśnie rozpoczął się ulubiony serial jego żony.

KRZYSZTOF SZABLA

POD MASKĄ

Przejeżdżając nocą przez miasto, co jakiś czas dostrzegałem sunące chodnikami samotne postacie. Zastanawiałem się, czy to zwykli przechodnie, którzy znikną w mroku i być może już go nie opuszczą, czy ci drudzy. Nazywałem ich demonami. Nieraz byłem świadkiem ataku, ale nic nie mogłem zrobić. Ludzi wciągano w boczne uliczki, a potem było słycać jedynie krzyki, których nie zagłuszało nawet ustawione na największą głośność radio. Posiadanie własnego samochodu miało znaczące plusy. Czułem się w nim bezpiecznie, choć i tak wolałbym przebywać w domu.

Do nocnych przejażdżek zmuszała mnie praca w centrum telefonicznym. Dzwoniły tam osoby z różnymi problemami. Zazwyczaj o tak późnej porze nie było zbyt wielu zgłoszeń, jedynie od tych, których gnębiła bezsenność i mieli ochotę z kimś pogadać. Najczęściej nie musiałem się zbyt wiele odzywać ani służyć dobrą radą, bo nie dawali dojść do słowa, nawijali bez przerwy o swoich problemach, aż wreszcie głos im się załamywał

i przerywali połączenie. Zależało im jedynie na tym, by usłyszeć po drugiej stronie słuchawki ludzki głos.

Problem w tym, że zaczynałem czuć pierwsze oznaki przemiany. Możliwe, że sobie to tylko wyobrażałem, ale zdawało mi się, że mój głos stawał się coraz bardziej metaliczny, brzęczący, ruchy mechaniczne, a od czasu do czasu słyszałem odgłos terkoczących trybików, który zdawał się dochodzić z mojego wnętrza. Po przebudzeniu w ustach czułem chrzęszczące drobinki, jakbym naźarł się piasku albo ścierał sobie zęby w silnych atakach bruksizmu. Często stawałem przed lustrem i przyglądałem się swojej skórze, sprawdzając, czy nie pojawiają się na niej jakieś zmiany. Potem jednak zdawałem sobie sprawę, że nie widzę siebie od środka. Może moje organy straciły dawny wygląd i zamiast wątroby, płuc oraz serca mam już tylko przesuwające się metalowe mechanizmy, a mózg zamienił się w procesor. Czym były demony, snujące się po ulicach, jak nie osobami, które zatraciły ludzkie odruchy, automatami napędzanymi jedynie przez własne destrukcyjne pragnienia? Nie chciałem stać się jednym z nich.

Tej nocy, kiedy siedziałem w pustym centrum telefonicznym, wyczekując kolejnego połączenia, otrzymałem wiadomość od siostry, która napisała, że trafiła do szpitala i muszę do niej jak najszybciej przyjechać. Chociaż ostatnio nie kontaktowaliśmy się ze sobą, nie mogłem zignorować jej prośby. Oddzwoniłem do niej, ale nie odebrała.

Dotrwałem do końca zmiany, nie mogąc się skupić. Na szczęście nie musiałem odbierać wielu telefonów, dzwonił tylko mężczyzna dzielący się informacjami o tym, że rzekomo jego sąsiad kogoś zamordował. Całość

opisywał z takimi detalami, jakby sam dopuścił się tej zbrodni, co chwilę obleśnie chichocząc. Kiedy skończył swoją opowieść, po prostu się rozłączył. Nie wiem, czy miał świadomość, że wszystkie rozmowy są nagrywane. Zapisaną wersję niezwłocznie przesłałem odpowiednim służbom. Niech oni się zajmują ocenianiem, czy to fantazje, czy może realne zdarzenia. Miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Po robocie zamówiłem taksówkę i poczekałem na przyjazd kierowcy. Mój samochód niestety się zepsuł i musiałem oddać go do mechanika, który stwierdził, że to poważna sprawa, ale nie chciał wdawać się w szczegóły. Zresztą i tak bym pewnie tego nie zrozumiał.

Taksówkarz nie wzbudził mojego zaufania, załatwywało od niego papierosami, a co gorsza, alkoholem. Powiedziałem mu, żeby zawiózł mnie do szpitala. Zaśmiał się i stwierdził, że wyglądam na w miarę zdrowego, ale widząc moją skwaszoną minę, kazał wsiadać. Wnętrze taksówki prezentowało się nie najlepiej. Na suficie dostrzegłem liczne plamy sugerujące, że dach pojazdu przeciekał, a w powietrzu dało się wyczuć zapach wymiocin. Zaniepokoiły mnie także obicia siedzeń. W dotyku przypominały ludzką skórę, wydawało mi się nawet, że wyczuwam delikatne włoski. Było jednak zbyt ciemno, żeby się lepiej przyjrzeć.

Od czasu, gdy jeden z telefonicznych rozmówców podzielił się ze mną teorią na temat ludzi zmieniających się w maszyny i na odwrót, zacząłem się baczniej przyglądać mijanym osobom. Szybko odkryłem różne niepokojące symptomy. Sporo z nich miało nieobecne twarze, poruszało się dziwnie, a ich skóra błyszczała.

Zamiast mówić, jedynie metalicznie chrobotali. To oni wychodzili nocami na ulice i atakowali przechodniów. Z jakiegoś powodu nienawidzili ludzi, choć przecież sami nimi niegdyś byli.

Taksówkarz milczał, co było mi na rękę. Zerknąłem na telefon. Nie otrzymałem żadnych nowych wiadomości od siostry. Kiedy podniosłem wzrok znad niewielkiego ekranu, dostrzegłem idącego chodnikiem osobnika w szarej bluzie. Twarz skrywał pod kapturem. Poruszał się w specyficzny sposób, jak ludzie chodzący na szczydłach. To od razu wzbudziło moje obawy. Zastanawiałem się, czy kierowca także to zauważył. Być może wciąż tkwił w nieświadomości i nie zwracał uwagi, że świat zaczyna się zmieniać.

W pewnym momencie osobliwemu przechodniowi coś wypadło i potoczyło się po ziemi. Nie zwrócił na to uwagi, za to taksówkarz zatrzymał się i powiedział, że zaraz wróci. Myślałem, że chce zawołać tamtego i poinformować o zgubionej rzeczy, ale on wyszedł na chodnik i zaczął się przyglądać przedmiotowi wyglądającemu jak fragment rury. W końcu podniósł go i schował do kieszeni. Pokręciłem głową, żeby tego nie robił, ale nie patrzył w moją stronę.

Atak nastąpił niespodziewanie. Tajemniczy osobnik w bluzie wyskoczył z mroku i przewrócił taksówkarza. Zaczęła się szarpanina. Widziałem tylko plecy napastnika, a kiedy kaptur zsunął mu się z głowy, dostrzegłem, że nie ma włosów ani skóry, a jedynie metalicznie błyszczącą powłokę. Nie było wątpliwości, że to jeden z demonów. Kierowca nie miał szans. Przedostałem się na jego siedzenie i spróbowałem uruchomić

samochód. Nic z tego. Nowsze wozy wyposażano w multum zabezpieczeń zapobiegających kradzieży i mogły sterować nimi tylko konkretne osoby. Niwelowało to moje szanse na ucieczkę.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się pub, czynny do późnych godzin nocnych. Demon był nadal zajęty swoją ofiarą, więc postanowiłem zaryzykować i pobiec w tamtym kierunku. Powoli i w miarę bezgłośnie otworzyłem drzwi, a potem już znacznie szybciej oddaliłem się od pojazdu. Obejrzałem się tylko raz, ale nikt mnie nie ścigał. Udało mi się dotrzeć do pubu i będąc już w środku, odetchnąłem z ulgą. Oprócz barmanki nikogo więcej nie dostrzegłem.

Oferta lokalu była wyjątkowo skromna. Zamówiłem pierwsze lepsze piwo. Sącyłem je powoli, nie tylko dlatego, że smakowało ohydnie, ale chciałem także wydłużyć moment spokoju, gdy przebywałem w czyimś towarzystwie. Barmanka co prawda miała mnie gdzieś i bawiła się telefonem, ale nie przeszkadzało mi to. Najważniejsze, że chwilowo trafiłem do bezpiecznego miejsca. Incydent z demonem mocno mnie przestraszył. Zawsze podczas podobnych ataków przebywałem we własnym samochodzie i mogłem szybko się oddalić, a pozbawiony tego udogodnienia stałem się bezbronny.

Niestety nie mogłem przebywać w pubie do rana. Barmanka wreszcie oderwała się od telefonu, schowała go do kieszeni i podeszła do mnie.

- Zamykamy – powiedziała.
- Już?
- Orientuje się pan, która jest godzina?

– Późna, prawda? A nie dałoby się zostać tutaj jeszcze chwilkę?

– Niestety musi się pan zbierać. Ja też muszę kiedyś spać.

Zawahałem się. Jak miałem dotrzeć do szpitala? Zamówić kolejną taksówkę? O tak późnej porze nie kursowały już żadne autobusy, a spacer nie wchodził w grę.

– Ale ja... nie mam samochodu.

– Czy powinno mnie to obchodzić?

– Podwiezie mnie pani?

– Nie ma mowy.

– Zapłacę.

Zrobiłem najbardziej żalowaną minę, na jaką było mnie stać, i opowiedziałem, co spotkało mnie na ulicy, oraz o tym, że siostra przebywa w szpitalu i bardzo się o nią martwię. W końcu barmanka zmiękła i się zgodziła. Wsunąłem jej do kieszeni kilka banknotów i poczekałem, aż zamknie lokal. Na szczęście nie rozmyśliła się i zaprosiła mnie do swojego auta. Taksówka nadal stała w tym samym miejscu, co wcześniej, ale nigdzie nie dostrzegłem kierowcy ani napastnika. Przynajmniej otrzymałem możliwość szybkiego odjeżdżania stamtąd, co niezmiernie mnie ucieszyło.

W trakcie jazdy nie rozmawialiśmy, słyszałem jedynie metaliczny chrobot, który dobiegał z wnętrza samochodu. A może to od dziewczyny z pubu? Wołałem nie wnikać. Wysiadłem pod szpitalem i podziękowałem, a ona, nie zwlekając, odjechała w sobie znanym kierunku.

Budynek znajdował się zaledwie kilka kroków ode mnie, ale wciąż nie mogłem czuć się bezpiecznie.

Pod drzwiami stało kilka osób wyraźnie blokujących przejście. Ich twarze błyszczały metalicznie w nikłym świetle padającym ze szpitalnych okien. Na mój widok zachichotali, zupełnie jak mężczyzna, który zgłaszał, że jego sąsiad to morderca. Czyżby to któryś z nich do mnie wtedy dzwonił?

A co jeśli chcieli wciągnąć mnie w pułapkę? Zapewne moja siostra wcale nie przebywała w szpitalu i nic jej nie groziło. Dałem się nabrać jak staruszki z przekrętem na wnuczka?

Rzuciłem się do ucieczki, ale zbyt późno. Największy z agresorów powalił mnie na ziemię i zaczął szarpać. Pozostali przypatrywali się temu z obojętnymi twarzami. Poczułem, jak napastnik rozorał mi brzuch przedmiotem przypominającym rozciętą rurę. Zrozumiałem, że to już koniec, ale nagle coś się zmieniło. Demon zawahał się i przestał mnie atakować, po czym wstał i oddalił się razem ze swoimi towarzyszami. Popatrzyłem na ranę. Z brzucha zamiast jelit wysunęły się pozwijane przewody.

– A jednak... jednak... – wymamrotałem.

Udało mi się wstać. Próbowałem wsunąć śliskie kable z powrotem do wnętrza ciała, ale nie dałem rady. W oddali zobaczyłem warsztat mechanika i powoli zacząłem sunąć w jego kierunku. Bardzo możliwe, że to u niego zostawiłem swój samochód. Z brzucha kapąła mi krew zmieszana z olejem.

Warsztat był nieczynny o tak późnej porze. Podczołgałem się pod drzwi i znieruchomiałem. Musiałem poczekać do rana, aż przyjdzie mechanik i mnie naprawi. Przypominałem sobie, jak kiedyś jechałem samochodem i usłyszałem płacz. Wsiadłem i spróbowałem zlokalizować

źródło dźwięku. Wydawało mi się, że dochodzi spod maski mojego auta. Podniosłem ją. Coś tam pulsowało. Przyświeciłem latarką i w bladym świetle dostrzegłem, że silnik zniknął, a w jego miejscu ktoś wstawił serce. Po karoserii ściekały łzy. Samochód płakał.

Zorientowałem się, że jakiś obcy mężczyzna przygląda mi się z przerażeniem. Czy to mechanik? Czyżby nigdy nie widział nikogo z rozszarpanym brzuchem? Nieraz rozkładał maszyny na części i nie budziło to jego odrazy, a teraz wahał się, co zrobić?

– Proszę mi pomóc – wyrzęziłem. – Chyba się zepsułem.

PRZEMYSŁAW ZDZISŁAW
TRAFALSKI

FILIŻANKA Z PORCELANY

Chata była tak stara, że Bóg jeden raczył wiedzieć, jakim cudem wciąż trzymała się kupy. Być może tajemnicę tę, oprócz domniemanego stwórcy, знаła również kobieta siedząca niemal nieruchomo przy solidnym dębowym stole, okupującym centralną część izby, jednak w pobliżu nie było nikogo, komu mogłaby ją wyjawić. Nie było nikogo, komu chciałaby ją wyjawić.

Nikogo, kto byłby w stanie zrozumieć.

I choć ściany z przeoranych próchnicą, rozchodzących się desek doprowadziłyby do łez niejedną gwiazdkę programu ze stajni „odpicuj mi chatę”, a trzeszcząca podłoga skrywała multiwersum skrytek dla niezliczonych, bezwstydnie mnożących się włochatych lokatorów, to jednak kobieta właśnie tutaj czuła się dobrze. Brak elektryczności i ciepłej wody w kranie nie odpychał jej, nie wizualizował marzeń o pięciogwiazdkowym hotelu obok rajskiej plaży. Lubiła światło staromodnych naftowych

lamp w kanciastych szklano-stalowych oprawach. Lubiła, gdy płomienie tańczyły z nienachalną subtelnością, idealnie dopasowując się do ciszy.

Za oknem uspokajająco mruzczał nocny deszcz, który do środka chaty przedostawał się przez dach tylko – o dziwo! – jedną szczeliną. Pojedyncze krople skapywały rytmicznym kap, kap, kap, prosto do dużej emaliowanej, metalowej miednicy na precyzyjnie wyceLOWANYM taborecie.

Kobieta nie była ani stara, ani młoda. Ktoś kto podejmując wyzwanie, spróbowałby odgadnąć wiek gospodyni, poległby doszczętnie. Bywało, że wydawała się świeżo upieczoną panną magister, całkiem gibką i zwawą, by po chwili nieokiełznane demony przeszłości wyginały jej plecy w skostniały pałak, spopieliały włosy na głowie i wysysały wodę ze skóry. Opierała się wtedy o cokolwiek, co dawało oparcie i było w zasięgu ręki. Oddychała płytko i szybko, jakby próbując uciec w myślach przed złem, przed którym uciec już się nie dało. W końcu podchodziła powoli do stołu, siadała na drewnianym krześle z prostym oparciem, chowała starczą, pooraną zmarszczkami twarz w dłoniach i przymykała oczy. A wtedy okazywało się, że szczeliny nie są wyłącznie domeną dachów w starych, rozlatujących się chatach, i nie tylko przez nie przelatują krople deszczu.

Kap, kap, kap.

Kobieta drgnęła, gdy przez okienną szybę przeniknął kwant światła. Najpierw jeden, potem następny i jeszcze jeden. Noc odchodziła zrazu powoli, ale z każdą chwilą coraz szybciej. Opuszczała dachy, gałęzie drzew, trawy i powieki. Spływała do ziemi razem z krwią utoczoną

z ciał, które nie zdołały umknąć przeznaczeniu. Pożegnalną pieśnią odprowadzały je ostatnie sowy i pierwsze drozdy.

Kobieta odsunęła krzesło, wstała z wysiłkiem i podeszła do wolnostojącej kafłowej kuchni, która niczym serce pompowała przyjemne ciepło do każdego zakamarka chaty. Za jej pięknie rzeźbionym ceramicznym płaszczem ogień nigdy nie gasł. Kobieta nie mogła pozwolić, by płomień skarłały i przepadły w wypalonych trzewiach pieca, kryjących się za solidną metalową klapą. Przeczowała, że to oznaczałoby koniec wszystkiego. Na szczęście ogień płonął, a ona mogła podgrzać zupę. I to sprawiało, że była szczęśliwa.

Skrzypienie otwieranych drzwi zespolone z uderzeniem chłodnego powietrza, które ze starszylachecką butą wtargnęło do izby, nie oderwało jej od mieszania ogórkowej, wypełniającej sporych rozmiarów gar rezydujący na kuchennej płycie. Wrażenia nie zrobił na niej również odgłos ciężkiego metalowego narzędzia odstawianego tuż przy drzwiach.

– Dzień dobry, synku – powiedziała, nie odrywając wzroku od zupy wirującej niczym derwisz fantazujący o zjednoczeniu z Allahem.

Odpowiedzią były jedynie masywne kroki i pojękiwanie uginających się pod nimi podłogowych desek, a potem chrobot odsuwanego krzesła i odgłos lądujących na nim blisko stu kilogramów.

Kobieta wsunęła dłonie w rękawice kuchenne, dźwignęła gar z zupą i odwróciła się do stołu. Uśmiechnęła się, bo cóż mogło ucieszyć matkę bardziej, niż widok dziecka, które całe i zdrowe wróciło do domu.

– Ciepłutka – powiedziała, gdy ogórkowa wylądowała na blacie i zaczęła przesiadać się do głębokiego talerza. – Pewnie zmarzłeś?

Pokręcił głową. Nie zmarzł, ale z całą pewnością zgłodniał. Przysunął talerz bliżej, nabrał pełną łyżkę i bezbłędną trajektorią trafił do ust. Jedzenie przez drewnianą maskę nie było łatwe, jednak zdążył się nauczyć. Te kilka kropel, które zatrzymywały się na krawędzi otworu wyciętego wokół ust, a potem ześlizgiwały się wzdłuż sęków, by w końcu odważnie skapywać na blat stołu, nie stanowiło problemu.

Kap, kap, kap.

Kobieta usiadła po przeciwnej stronie stołu, podparła dłońmi brodę i cieszyła oczy.

Jej syn. Był tutaj. Ubrany w rozciągnięty szary sweter o grubym splocie, ciemnozielone, luźne, sztruksowe spodnie i skórzane trapery, które nigdy nie odmawiały ciepła właścicielowi. Nie wiedziała, czy był przystojny – nigdy nie zdejmował maski – ale wiedziała, że wyrósł na silnego mężczyznę. To wystarczało.

– Jak dzisiaj poszło? – Nie oczekiwała odpowiedzi, syn był niemową, ale wystarczyło, że przeniosła wzrok na dwuręczną siekierę opartą o ścianę tuż przy drzwiach i już wiedziała, że poszło dobrze. Głowica mieniąca się świeżo utoczoną czerwienią potrafiła porozumiewać się bez słów. Tak samo, jak krople skapujące do czerwonej kałuży wzbierającej pod spodem.

Kap, kap, kap.

Uzupełniające spojrzenie pozwoliło kobiecie dostrzec mniejsze i większe plamy czerwieni wgrzające się w sweter syna.

– Gdy zjesz, zdejmij... – powiedziała, łagodnie wskazując na pobrudzone ubranie. – Upiorę.

Skinał na zgodę, po czym odsunął pusty talerz, bezgłośnie prosząc o repetę. Matka bezbłędnie odczytała z oczu ukrytych za otworami wydrążonymi w drewnie, że zupa była dobra, że smakowała.

Świtało, gdy mężczyzna w masce skończył posiłek. Wstał od stołu i podszedł do kanapy ustawionej w najciemniejszym kącie izby. Usiadł ciężko i przez jakiś czas wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w bliżej nieokreślony punkt czasoprzestrzeni. Cokolwiek zajmowało jego umysł, stanowiło tajemnicę nawet dla przypatrującej mu się z troską kobiety. Po chwili leżał już z głową zanurzoną w dużej puchowej poduszce. Matka nakryła go grubym wełnianym kocem, delikatnie pogłaskała po głowie, nachyliła się i ucałowała odsłonięty fragment ukochanego czoła.

– Śpij dobrze, skarbie – wyszeptała, po czym wróciła do stołu i w ciszy patrzyła na promienie słoneczne wkradające się przez szybę jedyne okna. Nigdy nie docierały dalej niż do krawędzi blatu. Nigdy nie otuliły jej sobą. Część chaty, w której przebywała z synem, otulał, w najlepszym razie, półmrok. Zawsze.

Patrzyła tęsknie na nieuchwytne światło, a potem zasnęła. Nie uprała swetra. Syn go nie zdjął. Nigdy tego nie robił.

Kap, kap, kap. Za oknem znowu padało.

– Już noc, synku...

Mężczyzna w masce drgnął, zbudzony delikatnym głosem i czułym dotykiem.

– Musisz iść.

Wstał bez marudzenia i od razu ruszył do drzwi.

– Zrobiłam ci kanapki. – Matka podała mu posiłek zamknięty w papierowej torbie. – Takie jak lubisz.

Nim wyszedł, przytuliła go mocno, próbując zapamiętać zapach, kształt mięśni pod swetrem, rytm serca pod skórą. On przyłożył uwięzioną w masce twarz do czubka głowy matki, niby w synowskim pocałunku, a potem poklepał ją po ramieniu, uspokajając, że przecież nad ranem znowu wróci, że nie musi się martwić.

Odprowadziła go przez szybę wzrokiem, gdy zniknął w ciemnościach między drzewami, z zarzuconą na bark siekierą. Wiedziała, że gdy wróci, głównia będzie jeszcze bardziej czerwona i jeszcze bardziej lepka. *Niech cierpią, synku* – pomyślała. A potem zabrała się za zmiatanie izby, nucąc cicho piosenkę z dzieciństwa, tę o niegrzecznych chłopcach, którzy dokuczali małej dziewczynce, za co spotkała ich zasłużona, choć bardzo nieprzyjemna kara. W miejscu, w którym stała siekiera, kobieta użyła mopa – krew ją mierziła, mimo wszystko.

Zmęczona pracą usiadła przy stole, żeby na chwilę złapać oddech, zanim zabierze się za gotowanie obiadu. Zaplanowała spaghetti. Widok makaronu wciąganego przez otwór w drewnianej masce syna zawsze wprawiał ją w dobry humor.

Dawniej tak bardzo lubiła się śmiać.

I był ktoś, z kim robiła to najchętniej. Miał na imię Igor, choć ona zwracała się do niego po prostu Igo. Wspólne wygłupy często kończyły się zadyszką wywołaną nieumiarkowanym chichotem. Igo potrafił ją rozbawić jak nikt inny: wtedy gdy byli dziećmi z jednej podwórkowej piaskownicy i spod jednego podwórkowego trzepaka, potem, kiedy jako para nastolatków włączyli się bez celu po niemal bezkresnych łąkach, kwitnących za dusznym, neurotycznym blokowiskiem, jeszcze później, gdy waleutował u niej w akademiku, bezbłędnie rozpracowując system skanujący wbudowany w oczy i uszy pani Heli z portierni, i w końcu – gdy pierwszy raz nie wypalił. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć i sprawić, że troski były mniej dokuczliwe. Zdumiewające, ale nigdy nie myślała o relacji z Igo jako o związku. Odkąd pamiętała, zawsze byli ze sobą, stanowili dla siebie środowisko naturalne i nigdy nie przechodzili do żadnego innego.

Sytuacja uległa symbolicznej przemianie, gdy okazało się, że jest w ciąży. Wtedy Igo zdecydował, że będą im potrzebne fundusze i że on je zdobędzie. Wyjechał do „Ju Kej” zarabiać pieniądze, ona cierpliwie czekała, obmyślając, na co je wydadzą, a brzuch rósł bez opamiętania, ciesząc się na myśl o fajnych rzeczach, które czekają go na tym świecie.

Gdy termin porodu zbliżał się nieubłaganie, postanowiła odpocząć od miejskiego zgiełku i pędu, nabrać sił, by nie zabrakło ich w najpiękniejszym dniu jej życia. Na kilka dni wynajęła domek w lesie, żeby słuchać szumu liści, śpiewu ptaków, żeby spacerować. I wśród tych kilku krótkich dni nastąpiła jedna długa noc, która otworzyła bramy piekieł i gruchoczącym kość nosową uderzeniem pięści

przepchnęła kobietę przez próg. Atrakcyjna, bezbronna i samotna wśród dzikiej głuszy, stała się łakomym kąskiem dla kilku opryszków, których ścieżki przypadkowo przecięły współrzędne leśnego domku. Nie przeszkadzał im ani brzuch dziewczyny, ani syn, który mieszkał w środku.

Tak bardzo lubiła się śmiać...

Kap, kap, kap.

Teraz nie pamiętała już wszystkiego tak dokładnie. Ogień piekielny wypalił lub zniekształcił nawet najlepsze wspomnienia, zostawiając jedynie wyniesione na wyżyny ból, cierpienie i gniew, które zastygły w wieczności niczym wskazówki zegarka w godzinie śmierci. Pamięć o tym, co było dawnym życiem, wracała do kobiety jedynie w postaci kawałków rozbitej porcelanowej filiżanki, której nie potrafiła posklejać na nowo. Każda próba napełnienia jej mogłaby konkurować z wysiłkiem podejmowanym bez końca przez skazańca, któremu kiedyś wydało się, że zdoła bezkarnie oszukać samego Hadesa.

Jednak teraz nie było źle. Nie było... Jej syn niedługo wróci. Będzie miał na rękach krew. Krew tych bydlaków. I wszystkich następnych. To sprawiedliwa zapłata.

I przedpłata.

Tak, sprawiedliwa – pomyślała i pokiwała głową sama do siebie.

Zapach przypalonego makaronu wyrwał ją ze studni myśli. Całkowicie odparowana woda unosiła się pod sufitem w zjawiskowym, efemerycznym obłoku. Kobieta zdjęła garnek z rozgrzanych fajerek, napełniła wodą, a następnie całość wylała do metalowego sitka. Wyglądało na to, że makaron da się uratować. Na piecu

wyłądował rondel z przygotowanym wcześniej sosem pomidorowym – wystarczyło podgrzać. W samą porę. Drozdy obwieszczały powrót syna, który musiał się najieść i wyspać, aby w nocy znowu wyjść na łowy.

Zgarbiony przy szpitalnym łóżku młody mężczyzna z trudem tamował łzy, trzymając bezwładną rękę pogrążonej w śpiączce narzeczonej. Błada, chuda i posiniaczona twarz kobiety utrudniała wiarę w to, że wszystko będzie dobrze. Na szczęście tony aparatury medycznej monitorującej i podtrzymującej funkcje życiowe nieśmiało szeptały co innego. Wciąż dawały nadzieję.

Kap, kap, kap.

Do sali cicho, bez pośpiechu wszedł lekarz i stanął za plecami mężczyzny.

– Niech pan jedzie do domu, panie Igorze, powinien pan się przespać – zwrócił się do mężczyzny łagodnym głosem. – Musi pan odpocząć.

– Panie doktorze, czy...?

– Nic nie jest pewne. – Lekarz cieszył się, że mężczyzna nie odwrócił głowy, by na niego spojrzeć. – Robimy, co możemy.

Kap, kap, kap.

– To już trwa tak długo. Jutro będzie dwa tygodnie.

– Pańska narzeczonej doznała wielonarządowych, bardzo poważnych uszkodzeń. – Lekarz cierpliwie powtórzył to, co mówił już wielokrotnie. – A nikt nie jest

w stanie ocenić precyzyjnie, jakie spustoszenie dokonało się w jej umyśle.

Kap, kap, kap.

– Gdybym tylko mógł dorwać tych skurwysynów... – syknął mężczyzna.

– Złapią ich, może pan być pewien – zapewnił lekarz. – Teraz jednak musi się pan skupić na opiece nad narzeczoną. A do tego potrzeba siły. Marna to pomoc i wsparcie, gdy zasypia się na siedząco, nie uważa pan?

– Ale jak jej to wszystko wytłumaczę, gdy już się obudzi? – Igor już nie był w stanie powstrzymać łez. – Nasz syn... Jak jej to...?

Kap, kap, kap.

– Czy ktoś mógłby w końcu zrobić coś z tym kranem, siostrze?! – Lekarz po raz pierwszy ucieszył się w myślach, że stan szpitalnej armatury jest, jaki jest. Nawet on, stary wyga, nie był przygotowany na to, z czym musiał się mierzyć w przypadku narzeczonej Igora. Bezradność była niczym młot rozłupujący czaszkę na trylion ostrych kawałków, które następnie wbijały się w mózg i serce. Miał tylko nadzieję, że umysł kobiety, mimo wszystko, radzi sobie z tym lepiej. Z nieludzkim poczuciem ulgi i wdzięczności dla wiecznie nieobecnego hydraulika, odwrócił się i otworzył drzwi. – Siostrze! Co z tym kranem?!

BARBARA UZNAŃSKA-LOCH

PIEŚŃ WODOSPADU

Mieszkamy tu od zarania dziejów. Wpisani w cykle natury, nieuchronni jak pory roku, zmienni jak bryza nad brzegiem morza i niewzruszeni jak gwiazdy. Nasze przyzwyczajenia nie są chwilowymi kaprysami, to odwieczne rytuały, które nadają rytm i sens istnieniu. O zachodzie słońca wyplatam długie zielone włosy spomiędzy roślin i zatopionych w zatoce gałęzi. Smakuję wodę. W moim zakątku bywa słodka niczym w jeziorze, zaś w inne dni sztormy i pływy przynoszą aromat oceanu. Rozglądam się, nasłuchuję melodii nocy. Najbardziej lubię, kiedy na niebie płoną polarne zorze lub gdy świeci księżyc w pełni, a ponad urwiskiem wilkołaki wyją po lasach. Wychodzę wtedy na kamienisty brzeg u stóp wodospadu i zasiadam na największym głazie. Onegdaj potężny lodowiec upuścił go tutaj na mą prośbę. To moje wybrane miejsce i ulubiona scena. Sięgam ku zimnym strumieniom. Lgną do mojej dłoni i układają się w siedem drżących strun. Trącam je, zwołując siostry na koncert. Przybywają pospiesznie. Srebrne, łuskowate ogony burzą spokojną taflę wody. Już po chwili piękne panny moszczą się wokół

na skałach, w oczekiwaniu na muzyczną ucztę. Przez całą noc śpiewam pieśni dla mych czarujących towarzyszek. Jeśli milknę w zamyśleniu, zachęcają mnie pocałunkami i pluskaniem trzepoczących płetw. Tuż przed nadejściem świtu odwdzięczają mi się tańcem w kręgu. Jest w tym straszliwe piękno i obezwładniająca moc, która tak prze-raża śmiertelników.

Śmiertelnicy...

Jakiś czas temu bliżej ujścia zatoki, gdzie brzeg był niższy, ludzie postanowili wybudować osadę. Jej mieszkańcy na ogół wiedzieli, kiedy nie zakłócać naszego zgromadzenia. Zajmowali się swoimi przyziemnymi sprawami i bezsensownymi wojenkami. Budowali łodzie z wiosłami i żaglami, wieszali tarcze na burtach i wyprawiali się na morze. Powracali z łupami. Na co dzień pozwalaliśmy im swobodnie pływać i łowić, a oni czasem przynosili nam dary. Dziewczęta chętnie przyjmowały błyskotki zrabowane na odległych wybrzeżach. Bardzo rzadko wśród miejscowych trafiał się ktoś głupi lub nieostrożny, kto zapuszczał się zbyt śmiało w kręte odnogi zatoki i nazbyt daleko od domu. Wtedy siostry igrały z nim, a ich perlisty śmiech niósł się nad falami, łaskocząc moje uszy. Kończyły harce syte i uszczęśliwione, a ja nucąc, uwalniałem z chmur deszcz, który zmywał krew z kamieni. Śmiertelnicy truchleli i przez jakiś czas trzymali się z dala, ale potem życie wracało na stare, utarte ścieżki.

Wiedziałem, że niektórzy z nas bywali ciekawscy i lubowali się w prostych podstępach. Mnie także zdarzało się kłusować o świcie po ukwieconych łąkach i przywozić na grzbiecie nieprzytomnych z zachwyty ludzi. Pełnym pędem rzucałem się w objęcia zatoki, rozbryzgując

kopytami wodę i rżąc triumfalnie. Nagłe zimno otrzęwiało jeźdźców i zaczęli krzyżeć, wabiąc tym moje czujne siostrzyce. Przybywały i natychmiast oddzierały pierwsze kęsy, a uścisk głębi tłumiał wrzaski ofiary. Dziewczęta bywały tak zręczne, że rozdzielały między siebie całą zdobycz, zanim zdążyłem wrócić do zwykłego kształtu i dołączyć do uczyty. Nie gniewałem się; przeciwnie, robiłem to przecież dla nich. Lubiliśmy sobie nawzajem sprawiać drobne przyjemności. Ja zaspokajałem ich apetyt na krew. One zaś, rozradowane i najedzone, śpiewały mi dziękczynne serenady. Jednak z czasem ludzie zaczęli się mnie wystrzegać, a bez owocnych polowań wycieczki na ład mi zbrzydły. Wycofałem się i już od dawna nie opuszczałem swojego wodospadu. Stałem się przewidywalny, a śmiertelnikom tym łatwiej przychodziło respektować moje terytorium i nie zakłócać pieśni nieśmiertelnych.

Do czasu.

To mogła być kolejna uroczysta, upajająca noc. Nadchodziła pełnia księżyca. Polarne zorze wiły się po nieboskłonie, tak jak moje włosy falowały pod powierzchnią wody. Niebiańskie światło wpadło mi w oczy i od razu nabrałem ochoty na koncert. Wynurzyłem głowę w poszukiwaniu sióstr. Nie przybyły jeszcze, więc musiałem przywabić je pieśnią. Machnąłem płetwami i z pluskiem ruszyłem do podnóża wodospadu.

Zamarłem, bo na brzegu dostrzegłem skuloną postać. Ktoś tam na mnie czekał! Skrzywiłem się z odrazą, rozpoznając młodego człowieka. Jak śmiał kalać miłą okazję swoją obecnością? Takie wieczory od zawsze należały do nas i jego starsi pobratymcy powinni byli go uprzedzić.

Musiałem w grymasie odsłonić zęby, bo zląkł się i wycofał. Przyklęknął, wysuwając przed siebie dłonie, by zwrócić moją uwagę na złożone dary. Ociekając wodą, wyszedłem na brzeg. Strząsnąłem wodorosty, które uczepiły się promieni płetw na moich łydkach, i odgarnąłem włosy z twarzy. Postąpiłem parę kroków, żeby przyjrzeć się podarunkom. Dziwaczna to była kolekcja. Na kamieniach leżały martwy kruk i manierka, a obok stała pusta gliniana miseczka. Nie miałem pojęcia, dlaczego w jego mniemaniu podobne śmieci miałyby mnie zainteresować, a co dopiero udobruchać. Tymczasem chłopak zdjął przeźrucony przez ramię spory tobołek, ostrożnie odłożył na bok. Sięgnął do sakiewki przy pasku i wydobyl z niej nożyk. Obnażył ostrze i skaleczył się w mały palec lewej dłoni. Trzymając go nad miseczką, starannie odmierzył trzy krople krwi, po czym otulił ranę zwitkiem płótna. Przysiadł krzywo na jednej pięcie. Już wcześniej jego ruchy zdały mi się niezdarne, teraz dostrzegłem, że ma zniekształconą nogę. Kiedy przemówił, głos mu drżał. Zdołał jednak wydusić z siebie kilka wyuczonych zdań.

– Duchu wodospadu, przyjmij uszanowanie. Przebacz śmiałość, wysłuchaj prośby. Oto wódka, czarne zwierzę i moja własna krew, ofiarowane z pokorą i wedle prastarej tradycji.

Próbowałem zrozumieć sens, niepomierne zdumiony bezczelnością śmiertelnika. Powoływał się na jakieś zwyczaje, które ludzie sami wymyślili, natomiast nie szanował moich, wynikających z praw natury. Nie tylko zakłócił mój spokój, jeszcze spodziewał się pomocy? Obrażał mnie czynem, a chciał obłaskawić pustymi słowami? Nie tak załatwia się sprawy z niksami.

Usłyszałem cichy chichot bulgoczący tuż pod taflą wody. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie cisnąć tego durnia dziewczętom.

Uważniej przyjrzałem się nieproszonemu gościowi. Jasnowłosy. Wychudzony. Nosił połatane ubranie, które na niego nie pasowało, bez ozdób. W swojej społeczności zajmował raczej niską pozycję. Może nie posiadał majątku. Gdyby przyprowadził czarną klacz, upolował czarnego wilka, to byłoby coś godnego uwagi. Tymczasem on zabił dla mnie kruka, który do niego nie należał, a jako trofeum łowieckie nie przedstawiał żadnej wartości. Zresztą symbolicznie ta ofiara miałaby posmak bluźnierstwa. Jeden dar nie do przyjęcia, a pozostałe? Manierkę z alkoholem zapewne ukradł. Jego własna krew miała wąty, pospolity zapach. Skoro niczego nie mógł oddać, czego oczekiwał w zamian?

Chłopak chyba wziął moje milczenie za przyzwolenie, bo mówił dalej, coraz śmieiej podnosząc na mnie wzrok.

– Mój ojciec zginął dawno temu, okryty niesławą. Matka zdołała ponownie wyjść za mąż. Przez kilka lat było dobrze... Potem jednak złamałem nogę i nigdy się należycie nie zrosła. Od tej pory ojczym najchętniej by się mnie pozbył. Gdy on przebywa w domu, ja śpiam w szopce albo ze zwierzętami. Jutro wypadają moje szesnaste urodziny. Kiedy tylko wojownicy wrócą z wyprawy, ojczym mnie przegna, zapowiedział to już dawno. Ale jak mam sobie poradzić? Nie jestem silny ani sprawny, nie wyuczyłem się pożytecznego fachu.

Straciłem cierpliwość, lecz kiedy już miałem przerwać jego lamenty, otworzył tobolek i wyciągnął z niego malowaną lirę o siedmiu strunach. Misterne rzeźbienia

bardzo udatnie wyobrażały głowę smoka. Powstrzymałem swój gniew, skoro ten obszarpaniec przyniósł mi jednak godny podarek. Ale nie spieszył się z jego przekazaniem. Opowiadał dalej.

– Kiedy byłem mały, dziadek uważał, że mam ucho do muzyki. Gdybym został skaldem, moje kalectwo by mi nie przeszkadzało. Zdobyłbym szacunek. Lecz nie miałem możliwości rozwijania talentu. – Trącił niezgrabnym gestem struny, wydobywając przykry, nieczysty dźwięk. – Potężny władco wód. Powiadają, że od twych pieśni ludzie umierają z zachwytu. Że splatasz melodie, które wstrzymują wodospad, a drzewa poruszają do tańca. Oraz że możesz tym darem obdarzyć kornego człowieka, jeśli zdoła cię ubłagać. Nie mam nic, co mógłbym ofiarować. Nawet tę lirę wykradłem ze skrzyni z łupami, inaczej nie miałbym na czym się uczyć. Zorientują się, że ją zabrałem. Nie mogę wrócić, jeśli mi nie pomożesz. Jeżeli odmówisz, nie ma dla mnie nadziei. Jeśli jednak zechcesz mnie wysłuchać, do końca życia będę sławił twą łaskawość. Proszę...

Skłonił przede mną głowę, tuląc lirę do piersi.

Ach, więc zamierzał sobie zatrzymać ten instrument? Co za marnotrawstwo. Rozzłościłem się, także na siebie samego. Zgnusiałem. Minęły lata, odkąd kogoś uprowadziłem. Ludziom zaczęło się wydawać, że można mi przynosić żebracze podarunki. Podjąłem decyzję. Nieobecność drakkarów mi sprzyjała; nie ryzykowałem zatargu z zazdrośnymi walkiriami. Terror bez rozlewu krwi wojowników; idealnie. Wyminąłem klęczącego natręta i podszedłem do wodospadu. Zająłem swoje stałe miejsce na głazie. Spojrzałem na majestatyczne niebo, potem na nędznego człowieka i odezwałem się do niego po raz pierwszy.

– Najbardziej kocham grać, kiedy świecą zorze – rzekłem i targnąłem wodne struny; rozbrzmiał złowieszczy, jękliwy akord.

Po powierzchni zatoki przebiegły zmarszczki. Siostry natychmiast zrozumiały moje intencje i zaczęły śmigać w wodzie, uderzając błyszczącymi od łusek ogonami. Grałem dalej, splatając nieodparcie hipnotyzującą melodię. Nadawałem rytm, a dziewczęta wynurzyły się z oddechu i zawirowały w tańcu śmierci. Porażony naszym występem chłopak szlochał niepowstrzymanie, drżąc na całym ciele. Kiedy przerwałem, z trudem łąpał oddech.

– Strażniku głębin! Naucz mnie tak grać, błagam! – wysapał. – Zyskam poważanie. Zdobędę sławę i zaniosę twą wspaniałą sztukę przed oblicza naszych władców. Gdziekolwiek się udam, z wdzięcznością będę błogosławił twoje imię.

Potrząsnąłem z niedowierzaniem głową. Od mego imienia wara śmiertelnikom! Czy niczego nie potrafili uszanować?! Usłyszałem nienawistne syki sióstr, ale poskromiłem je jednym stanowczym brzęknięciem wodnej struny. Dziewczęta bywały nazbyt niecierpliwe.

– Pokaż mi tę lirę – zażądałem.

Chłopak posłusznie podszedł. Sprawdziłem i skorygowałem strojenie, oddałem mu instrument i gestem wskazałem, gdzie ma usiąść.

– Nauczę cię – oświadczyłem. – Tylko jednej, ale potężnej melodii, która wstrząśnie ludzkimi sercami. Lecz jeżeli urok ma zadziałać, musisz wystąpić przed swoimi pobratymcami podczas jutrzejszej pełni, zaraz po zachodzie słońca. W wieczór swych urodzin. Zagrzasz dla matki,

pozostałych kobiet, niedorostków i starców. Powiedz im, że w ten sposób chcesz uczcić wejście w dorosłość. I pokaż, jak bardzo cię nie doceniali. Wtedy czar ostatecznie się splecie, a twoje palce same odnajdą właściwe struny. Melodia cię poprowadzi, a ty oczarujesz słuchaczy. Zanim wrócą wojownicy, cała osada będzie świadczyć o twoim wyczynie.

– Tak zrobię – obiecał ze łzami w oczach. Ledwie go słuchałem. Jego wola została już złamana. Omotany wdziękiem mych towarzyszek nie mógł przecież odpowiedzieć inaczej.

– Zatem słuchaj uważnie i staraj się mnie naśladować – nakazałem i znów szarpnąłem struny wodospadu.

Improwizowałem, dokładając kolejne motywy. Wplotłem w swą grę nieodparty zew, hipnotyczny przymus i poryw desperacji. Sięgnąłem po akordy instynktów ciała i potrzeb ducha, po nuty eskapizmu i zatracenia. Byłem cierpliwy, a siostry pomagały mi niestrudzenie, chóralnie nucąc komponowaną przeze mnie melodię. Chłopak ujął lirę i próbował nam wtórować, początkowo zupełnie nieudolnie. Powiedział jednak prawdę: jeśli chciałem, mogłem podarować człowiekowi muzykę nieśmiertelnych. Stopniowo przenicowała jego żaloszny, niemal zwierzęcy mózg i wypaliła się trwale w pamięci. Wypuściliśmy go przed świtem. Odszedł chwiejnym krokiem, wyczerpany i oszołomiony. Moje towarzyszkę wypełzły na przybrzeżne skały i węszyły za oddalającym się chłopakiem. Wysilek sprawił, że zgłodniały. Mnie także zaostrzył się apetyt. Oblizałem wargi i zeskoczyłem z głazu. Podniosłem manierkę, upiłem kilka łyków wódki. Resztę przekazałem dziewczętom, na pocieszenie.

– Jutro, najdroższe – obiecałem, wchodząc do wody. – Dzisiejsza noc niestety stracona, ale nie będziemy długo czekać na zadośćuczynienie.

Dzień przespaliliśmy, umościwszy się w wodorostach.

Gdy słońce zbliżyło się do horyzontu, delikatnie rozplotłem obejmujące mnie ramiona i wychynałem na powierzchnię. Wystawiałem tylko głowę i popłynąłem w kierunku otwartego morza, długim zakolem zatoki aż w pobliże osady, gdzie brzegi były łagodne. Obserwowałem z daleka codzienną ludzką krzątanicę, dymy nad chatami, zaganianie zwierząt do zagród. Nadstawiłem uszu. Zapadł zmierzch i wśród zwykłych odgłosów wyłowiłem pierwsze nuty mojej melodii. Przez chwilę zakłóciły ją zdumione nawoływania i gniewne pokrzykiwania... Zaraz jednak dźwięki liry zabrzmiały pewniej, głośniej, a powietrze zadrzało od magii. Zanurkowałem i czym prędzej pognałem, żeby obudzić siostry.

Już nie spały. Czekały, zgromadzone w pobliżu wodospadu. Raz po raz wyskakiwały z wody, podekscytowane, błyszczące i zwinne. Dołączyłem do nich, wpłynąłem w środek kręgu. Wirowały wokół mnie, ścigały się, pluskały. Pozwalałem na te harce, dopóki znowu nie dosłyszałem znajomej melodii.

– Uciszcie się – zamruczałem, zadzierając głowę. – Nadchodzą.

Dziewczęta zgodnie popatrzyły w tym samym kierunku, na szczyt urwiska, z którego spadał nasz potok. Po chwili ukazały się pierwsze sylwetki ludzi. Grajek przyprowadził ich prostą trasą przez las, krótszą niż droga wodna, którą ja płynąłem. Dostrzegłem chłopaka z lirą, zatrzymał się nad przepaścią i nie przestawał szarpać strun.

– Teraz możecie zaśpiewać – powiedziałem.

Siostry dołączyły swe nieziemskie głosy do melodii, w harmonii tak doskonałej i straszliwej, że zadrzałem z rozkoszy. Oczarowani śmiertelnicy podążyli na spotkanie przeznaczenia. Wpatrzeni w nieskończoną dal, zatopieni w wizjach. Urzeczeni. Nieświadomi niczego poza majakiem, w którym uwięziła ich moja kompozycja. Jedna po drugiej, ofiary składały się na kamienistym ołtarzu. Stos ciał rósł szybko. Kobiety. Dzieci. Nawet dwóch młodych, dorodnych mężczyzn, którzy mieli strzec osady. Na ich widok dziewczęta klasnęły z uciechy.

Na szczycie urwiska pozostała już tylko samotna sylwetka kulawego chłopaka. Niezdolny do odłożenia instrumentu i przerwania koncertu, trząsł się z wyczerpania. Osobiście wydałem z siebie końcowy trel, ostatni zew, nieodwołalny nakaz. Grajek runął w przepaść. Rzeźbiona lira zatoczyła łuk i roztrzaskała się o mój ulubiony głąz. Doprawdy marnotrawstwo.

Wyszliśmy na ląd; ja pierwszy, za mną pełzły siostry. Wybrałem dla siebie delikatne mięso, dziewczęta wołały coś konkretniejszego. Niektórzy skoczkiem jeszcze żyli, to dodawało zabawie pikanterii. Pożywialiśmy się wśród beztroskich śmiechów i agonalnych jęków, podrzucając sobie co ciekawsze kąski. Szybko stało się jasne, że stawy mamy aż nadto. Byłem syty i zadowolony, więc postanowiłem się podzielić.

Obmyłem się w zatoce i wróciłem pod wodospad. Ująłem wodne struny i zaśpiewałem. Splotłem pieśń ze światłem księżyca, przywołując wilkołaki na wspólną ucztę. Spodziewałem się, że poruszenie w lesie oraz unoszący się wokół urwiska zapach krwi nie umknęły

ich uwadze. Wcześniej trzymały się z dala od błędnego orszaku, nie śmiać ruszać cudzej zdobyczy. Teraz natychmiast przybiegły, wyjąc z uciechy. Kosmate łby wychyliły się znad krawędzi. Goście zaskomlili pytająco, więc gestem zachęciłem ich do zejścia nad wodę. Łapy wilków nie nadawały się do wspinaczek po stromych skałach. Bestie zsuwały się niezgrabnie, aż nieuchronnie odpadły od ściany. Zwaliły się na kamienie, ale blask księżyca zaraz przywrócił im zdrowie. Zerwały się i doskoczyły do mięsa. Razem z nimi przybyły kruki; mądre ptaki potrafiły rozpoznać dobrą okazję. Kiedy obsiadły ciało grajka, nie zdołałem powstrzymać złośliwego śmiechu.

Po wszystkim wilkołaki były tak uprzejme, że rozwlekły szczątki aż do obrzeży osady. Powęszyły tam trochę, ale były zbyt obżarte, żeby jeszcze sprawiać kłopoty. Podobno dostrzegły dwoje staruszków kulących się przy oknie jednej z chat. Może byli głusi lub niezdolni nadażyć za grajkiem. Kalectwo ich ocaliło.

Drakkary przypląnęły dopiero po kilku dniach. Byliśmy nadal syci i znużeni dramatami śmiertelników, więc wycofaliśmy się w głąbiny. Słyszeliśmy tylko stłumione odgłosy poruszenia nad zatoką. Mężczyźni biegali, krzyczeli, przeklinali. Ktoś próbował siekać mieczem wodę. Co wytrwali kilka dni błakali się wzdłuż brzegu. W końcu lamenty ucichły. Ciekawskie dziewczęta popłynęły zajrzeć do osady. Z daleka wydała im się opuszczona, zniknęły także wszystkie drakkary i sneki. Początkowo sądziłem, że wojownicy popłynęli sprowadzić sobie nowe żony albo branki z odległych krain, jednakże do tej pory nie powrócili. Może nareszcie spotkali godnych

przeciwników i zabrały ich walkirie? Niewiele mnie to zresztą obchodzi.

Kiedy na niebie świecą zorze i księżyc stoi w pełni, gram dla mych towarzyszek. Noce nad zatoką znów należą wyłącznie do nas.

EMIL ZAWADZKI

BLISKIE SPOTKANIE Z OBŁĘDEM

Muszę was ostrzec przed czymś, co wydarzyło się w trakcie moich wakacji w Warszawie, a może przytrafić się również komukolwiek innemu. Od razu pragnę zaznaczyć, że nie będzie to przyjemna opowieść. Podejrzewam, że większość z was mi nie uwierzy, może nawet uznacie mnie za szaleńca. Szczególnie, jeśli nie doświadczyliście jeszcze nigdy tej drugiej, mroczniejszej strony miasta. Czasami, kiedy zapada zmrok, stolica się zmienia, dosłownie przeobraża się w swój wypaczony obraz. Tak, wiem, jak niedorzecznie to brzmi... Na Boga, czasami sam nie jestem w stanie uwierzyć, że to wszystko nie było jedynie złym snem! W takich chwilach łudzę się, że tragiczne wspomnienia to tylko wytwory mojej chorej wyobraźni. Jeśli jednak istnieje choćby cień szansy na to, że moja przygoda była prawdziwa, to mam w obowiązku działać, muszę dotrzeć do jak największej liczby ludzi, zanim stanie się coś złego...

Edwin był jedną z tych osób, które krzywią się z niesmakiem na samą myśl o wypoczynku na plaży z drinkiem w ręku. Pasjonowały go za to muzea, zabytkowa architektura i zgłębianie historii miejsc oznaczonych w przeszłości wojną. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdecydował się spędzić swój zasłużony urlop w Warszawie. Tam mógł skupić się na odkrywaniu bogatego dziedzictwa kulturowego stolicy. Przez pierwszych kilka dni Edwin wypoczywał aktywnie, zwiedzając wszystkie możliwe zabytki w mieście. Dopiero po tygodniu postanowił zwolnić i oddać się błogiemu odprężeniu. Wałęsał się wówczas bez celu po starówce i nieśpiesznie chłonał to, co Warszawa miała mu do zaoferowania. Był wówczas już przekonany, że zna miasto niczym własną kieszeń, że nic nie mogło go zaskoczyć. Bardzo się w tej kwestii mylił...

Przedostatniego dnia urlopu mężczyzna wybrał się do ulubionej kawiarni przy ulicy Piwnej na Starym Mieście, następnie odwiedził jedną z tamtejszych restauracji, a na koniec postanowił wybrać się na wieczorny spacer. Miała to być beztraska przechadzka bez określonego celu, Edwin szedł tam, gdzie niosły go nogi, i oddawał się beztraskiemu podziwianiu widoków.

Pech chciał, że tego wieczoru zaszedł znacznie dalej niż do tej pory i nim się obejrzał, zapadł zmrok. W ciągu dnia pogoda dopisywała, ale noc zaskoczyła mieszkańców stolicy wszechobecną mgłą. Mimo wszystko Edwin dalej przemierzał ulice dziwnie uśpionego miasta, spowitego tym nieprzeniknionym, gęstym całunem. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że od dłuższego czasu nie spotkał

żywej duszy. Było to osobliwe odkrycie, ale nie wydawało się szczególnie niepokojące. Przynajmniej jeszcze nie w tamtym momencie. Miasto ponownie zaczęło zaskakiwać turystę, a podziwianie widoków zajmowało całą jego uwagę. Oglądał budynki wyłaniające się z mgły, która nadawała im niespotykany do tej pory i tajemniczy urok. Edwin był po prostu zachwycony, a spacer przez pozornie wymarłe miasto wydawał się dla niego doświadczeniem niemalże onirycznym.

Przechadzka mogła równie dobrze trwać godzinę, jak i niemal całą noc. Edwin stracił rachubę czasu, podążał przed siebie niczym w transie i przestał zwracać uwagę na nazwy mijanych ulic. Co jakiś czas oglądał się trwożnie przez ramię, wyraźnie czując czyjąś obecność. Zawsze w takich sytuacjach widział wyłącznie gęstą mgłę. Instynktownie wiedział jednak, że coś było nie tak. W miarę, jak stawiał kolejne kroki, gdzieś w głębi jego umysłu narastało poczucie niepokoju. Był przekonany, że ktoś szedł jego śladem, pilnując przy tym, by zawsze być poza zasięgiem wzroku. A miasto tymczasem zmieniało się coraz bardziej...

W tak niepokojących okolicznościach Edwin po raz pierwszy zobaczył budynek, który miał później nawiedzać go w snach aż do końca jego marnego życia. Niespodziewanie z mgły wyłonił się okazały klasztor wybudowany z czarnych bloków kamienia. Budowla wznosiła się wysoko w górę, a jej szczyt ginął gdzieś w białych oparach. Do środka prowadziły wielkie, misternie zdobione stalowe drzwi. Po dokładniejszej inspekcji Edwin zauważył, że wzory przedstawiały sceny wielkiej wojny aniołów z demonami. Nietypowe było to, że wyobrażenia diabłów

zajmowały górną część wrót, natomiast skrzydlate postacie ulokowane zostały na dole. Godziło to w powszechnie przyjęty porządek świata. Z drugiej strony mógł to być równie dobrze głupi błąd przy montażu drzwi.

Co dziwne, fasada tego jednego budynku z jakiegoś powodu prezentowała się zupełnie wyraźnie, tak jakby broniła się przed objęciami całunów mgły. Zaprzeczało to wszelkim prawom fizyki, ale gęste opary po prostu urywały się nagle w jednym miejscu i zaczynały ponownie kilka metrów dalej, ukrywając przed wzrokiem Edwina wszystko poza klasztorem.

Tuż nad wejściem mężczyzna dostrzegł coś, co sprawiło, że pobladł i cofnął się o krok. Szczęrzyła się tam do niego para paskudnych, nieludzkich istot z malutkimi rogami i nietoperzymi skrzydłami. Dopiero po chwili Edwin zrozumiał, że były to tylko rzygacze wyrzeźbione na podobieństwo groteskowych gargulców.

– Jestem po prostu zmęczony – wyszeptał sam do siebie.

Ozdoby były wykonane tak kunsztownie, że mężczyzna po prostu pomylił je z żywymi istotami. Przez ułamek sekundy mógłby jednak przysiąc, że poruszyły się na jego oczach.

Edwin zaczął wyliczać na palcach wszystkie zabytkowe kościoły, które zdążył zwiedzić w Warszawie, ale żaden z nich nie pasował do budynku, który bez wątpienia stał tuż przed jego oczami. Nie było też możliwości, żeby przez nieuwagę opuścił stolicę. Nie był aż tak rozkojarzony. Wszystko wskazywało na to, że budowla nie miała prawa istnieć. A jednak była rzeczywista i najwyraźniej skrywała zakazaną tajemnicę.

Po plecach mężczyzny przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Z trudem przemógł w sobie pierwszy odruch i, pomimo później pory, zmusił się, by podejść bliżej. W końcu znajdował się przed nim nieznany, zagadkowy zabytek i pokusa zbadania go była silniejsza niż podświadomy strach. Zdrowy rozsądek krzyczał, że Edwin powinien wrócić do hotelu i odnaleźć to miejsce za dnia, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jak jednak miałby tego dokonać? Nigdzie w pobliżu nie było tabliczki z nazwą ulicy, a wszystkie pozostałe budynki wydawały się zupełnie obce. Mężczyzna nie wiedział nawet, w jakiej części miasta się znalazł. Odruchowo sięgnął do kieszeni po telefon. Bateria była rozładowana, a tym samym całe urządzenie po prostu bezużyteczne.

Pod wpływem impulsu Edwin podjął szaleńczą decyzję, żeby zajrzeć do środka klasztoru. Był to fatalny w skutkach wybór, który miał doprowadzić go do wyjątkowo przykrego położenia. Przede wszystkim Edwin chciał przekonać się, czy umysł nie spłatał mu figla. Niewiele się nad tym zastanawiając, sięgnął do klamki.

Kiedy szykował się, aby wejść do budowli, poczuł nagle silne uderzenie w plecy. Cios dosłownie powalił go na kolana. Było to trochę tak, jakby ktoś wpadł na niego i popchnął z całej siły, jakby z pełną premedytacją próbował przewrócić go na chodnik.

– Jest tu ktoś? Halo? – zapytał, kiedy podniósł się już z ziemi i otrzepał ubranie.

Kątem oka dostrzegł tylko niewyraźny, ciemny kształt, który momentalnie rozpląnął się we mgle. Nie zarejestrował, co to było, ale pierwsze skojarzenie z sylwetką nieznanego obudziło dziwne, pierwotne ostrzeżenie

skryte głęboko w ludzkim umyśle. Dopiero później wszystko miało ułożyć się w spójną całość. Na tym etapie Edwin uznał, iż potrafił go jakiś przechodzień, ktoś równie mocno zagubiony w gęstej mgle.

Nieoczekiwanie ciężkie żelazne wrota prowadzące do środka uchyliły się ze zgrzytem. Przez długą chwilę mężczyzna stał przed monumentalną bryłą czarnej świątyni, aż poczuł chłód przenikający go na wskroś mimo ciepłego płaszcza. Miejsce napawało niepokojem, ale Edwin wiedział, że jeśli nie zajrzy do środka, to tajemnica klasztoru już nigdy nie da mu spokoju. W końcu przemógł strach i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Pomyślał, że przecież nikt go w takim miejscu nie zabije ani nie zrobi mu krzywdy. Nawet pomimo późnej pory.

Przekroczywszy próg, znalazł się w ciasnym, bardzo ciemnym pomieszczeniu. Jego nozdrza zaatakował ostry zapach kadzidła, a uszy wypełniło ogłuszające wycie wiatru. Silny przeciąg sprawił, że stalowe drzwi zamknęły się za plecami Edwina z głośnym łoskotem. Nieszczęśnik natychmiast obrócił się na pięcie i bezskutecznie zaczął się siłować ze starą klamką.

Nagle ktoś trącił go delikatnie w ramię, przez co odskoczył od drzwi niczym poparzony. Przed Edwinem stała niska zakonnica w wyjątkowo podeszłym wieku. Kobieta trzymała w dłoni świecę woskową, którą musiała dopiero co zapalić. Niewielki płomyk rozświetlił pomieszczenie, a Edwin zobaczył szeroki, choć nieco wymuszony uśmiech nieznajomej.

– Turysta! – zaskrzeczała kobieta i odsłoniła swoje wybrakowane uzębienie. – Nieczęsto mamy gości o tej porze. Ale zapraszam, zapraszam! Załapał się młodzieniec

akurat na nocne zwiedzanie naszego zabytkowego klasztoru. A widzę, że dzisiaj nie mamy innych chętnych, więc ma panicz okazję odbyć indywidualną wycieczkę.

Serdeczne usposobienie zakonnicy z początku uspokoiło mężczyznę, uspiło jego czujność. Edwin wymamrotał coś w odpowiedzi, niepewny, jak się zachować. Staruszka go nie usłyszała albo zignorowała. Bardzo możliwe, że imponujący wiek przytępił już jej słuch, a nie wypadało krzyżować na nią w środku nocy w świętym miejscu. Zakonnica podreptała pośpiesznie w stronę mniejszych drzwi naprzeciwko wejścia, zabierając ze sobą jedyne źródło światła. Edwin ruszył za nią, nie chciał zostać samemu w ciemnym przedsionku. Czuł się nieco dziwnie, jakby był lekko odurzony. Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że może w kadzidłach było coś otepiającego, co plątało jego język i zaburzało ocenę sytuacji. Z drugiej strony to zmęczenie mogło po prostu dawać o sobie znać.

Wkrótce znaleźli się oboje w skąpanej w mroku nawie bocznej klasztoru. Edwin dostrzegł ciemny zarys ołtarza i krzyża, który z jakiegoś powodu pochylony był na bok.

– Panicz wybaczy te ciemności. Mamy tu dziś awarię prądu. Tędy, zapraszam... – tłumaczyła zakonnica, prowadząc gościa ku stromym, wąskim schodom.

Jak na swój wiek poruszała się bardzo szybko. Edwin musiał praktycznie biec, by za nią nadążyć i nie zostać samemu w egipskich ciemnościach. Wspinał się po starych skrzypiących stopniach, podążając za kobietą niczym ćma za oddalającym się blaskiem świecy. Bez względu na to, jak szybko pokonywał kolejne schody, stara zakonnica ciągle była daleko przed nim. Jednocześnie Edwin czuł się jak w potrzasku, jakby ciemność tuż za nim miała go

lada chwila pochłonąć. Karcił się w myślach za dziecinne zachowanie, ale podświadomie bał się obejrzeć za siebie.

W końcu udało mu się dotrzeć na górę. Dysząc ciężko, stanął w długim, wąskim korytarzu, a kilka metrów dalej cierpliwie czekała jego przewodniczka. Wydawała się lekko zaskoczona tym, że turysta za nią nadażył.

– W tym korytarzu jest nasza galeria obrazów. Moje siostry są bardzo uzdolnionymi artystkami – oznajmiła dumnie i skierowała płomień świecy w stronę rzędu obrazów wiszących na ścianie.

To, co Edwin zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. W pierwszej chwili uznał, że to mętne światło świecy oszukało jego wzrok. Podszedł jednak bliżej do pierwszego z obrazów i zrozumiał swój błąd. Malowidło przedstawiało postać zagubioną we mgle, na tle złowrogiego czarnego klasztoru. Kolejny obraz był bardzo podobny, z tą różnicą, że tuż za zagubionym człowiekiem widać było ledwie zauważalny zarys większej sylwetki. Na następnym płótnie mroczna postać zdawała się być nieco bliżej nieświadomego zagrożenia człowieka. Na głowie rozmazanej zjawy widać było coś na kształt długich rogów. Biorąc pod uwagę okoliczności, bujna wyobraźnia Edwina zaczęła wariować. Zastanawiał się, czy i jego tuż przed wejściem do klasztoru nie próbował zaatakować obrzydliwy demon. Na kolejne płótna po prostu bał się spojrzeć.

– Co przedstawiają te obrazy? – zapytał szeptem.

– Tematem był grzech – odpowiedziała staruszka.

Jeszcze chwilę temu zakonnica sprawiała wrażenie przygłuchej, a teraz usłyszała najcichszy szept. Edwin spojrzał na nią, próbując opanować drżenie. Coś mu tu

bardzo nie pasowało, czuł się tak, jakby ktoś go oszukał. Kobieta uśmiechnęła się, ale tym razem mniej uprzejmie, a bardziej drapieżnie. Nagle zakonnica przeżegnała się, po czym własnymi palcami zgasiła świecę. Zrobiła to tak szybko, że Edwin nie był tego pewien, ale zdawało mu się, że czyniąc znak krzyża, kobieta wszystkie gesty wykonała w odwrotnej kolejności.

Mężczyzna nie miał zamiaru czekać na ciąg dalszy horroru. Zachowanie staruszki przelało czarę goryczy. Obrócił się i na ślepo skoczył w kierunku schodów. Wymacał dłońmi barierkę i zaczął zbiegać tak szybko, jakby jego życie od tego zależało. Mimo, iż gnał na złamanie karku, przeklęte schody wydawały się nie kończyć. Po jakimś czasie nasza go bardzo nieprzyjemna myśl: a co, jeśli dawno minął już poziom parteru i schodził w podziemia klasztoru? Wspinając się wcześniej na górę, nie zwrócił uwagi na to, czy schody ciągnęły się również w dół!

W całym tym pośpiechu nie zorientował się w porę, kiedy schody faktycznie się skończyły, i boleśnie upadł twarzą na ziemię. Powitało go zimne, ubite klepisko, utwierdzające w przekonaniu, że Edwin ominął poziom parteru. W pierwszej chwili chciał wrócić na górę, ale usłyszał w oddali skrzypienie schodów. Zrozumiał, że dziwna zakonnica podążała jego śladem.

Podziemny korytarz ciągnął się daleko w obie strony. Tyle Edwin był w stanie rozpoznać po kształtach, kiedy jego oczy przyzwyczyły się już odrobinę do panujących tam ciemności. Nagle po swojej prawej stronie, gdzieś przy poziomie podłogi dostrzegł nikły blask. Obolały i otumiony doczołgał się w tamtą stronę, lgnął do światła

oznaczającego szansę na ocalenie. Okazało się, że blask pochodził z pomieszczenia zamkniętego za wiekowymi drewnianymi drzwiami. W środku musiały płonąć świece lub pochodnie, biorąc pod uwagę sposób, w jaki migotało światło sączące się przez szparę. Dysząc ciężko, Edwin podniósł się na nogi, na oślep odszukał klamkę i po chwili wahania lekko uchylił drzwi. Łudził się, że było to boczne wyjście z klasztoru.

Zobaczył wielką salę pozbawioną okien, na której środku zawieszony był ogromny żyrandol pełen setek dogasających już świec. W pomieszczeniu ustawiono wiele sztalug, przy których kręciły się zakonnice w nieco postrzępionych szatach. Wszystkie kobiety stały plecami do wejścia i każda wpatrzona była w swój obraz. Powolnymi ruchami, niczym w transie nakładały kolejne warstwy farby. Edwin nie zdołał dojrzeć, co dokładnie malowały, ale szybko się tego domyślił. Nagle drzwi zaskrzypiały głośno, w wyniku czego zakonnice zamarły w bezruchu. Trwały tak chwilę, po czym wszystkie na raz opuściły swoje pędzelki na podłogę i zaczęły obracać się powolutku w stronę wejścia. Edwin cofnął się do korytarza i zamknął drzwi z głośnym łoskotem. Instynktownie wiedział, że zakonnice nie powinny go zobaczyć.

W tamtej chwili Edwin czuł się już jak bohater horroru. Samotny, zrozpaczony, błąkający się po mrocznych podziemiach tajemniczego klasztoru. Wiedział, że lepiej było nie wracać w stronę schodów. Nawet z pewnej odległości słyszał skrzypienie starych drewnianych stopni, z każdą sekundą coraz bliżej. Modlił się o to, żeby w głębi korytarza były kolejne schody albo chociaż niewielkie okienko wychodzące na ulicę.

W panice pognał dalej w nieznane. Nie oglądał się za siebie, a lewą ręką przytrzymał się ściany. Tylko dzięki temu udało mu się kilkakrotnie uniknąć zderzenia z murem, kiedy ciemny korytarz skręcał niespodziewanie w jedną lub drugą stronę.

Wkrótce po ucieczce mężczyzny drzwi do pracowni malarskiej otworzyły się z hukiem, a na korytarz wybiegło kilkanaście zakonnic. Ruszyły w pogoń za intruzem, szamocząc się przy tym i odbijając od siebie nawzajem.

– Niewierny! Złapać! Zatrzymać! Aaa! – krzyczały, wyjąc co chwilę niczym dzikie zwierzęta.

Edwin nie miał pojęcia, jak długo uciekał. Zatrzymał się dopiero wówczas, kiedy tuż pod sufitem zauważył szerokie okno wychodzące na ulicę. Nie spodziewał się, jak cudownym widokiem okaże się być księżyc wychylający się nieśmiało zza ciemnych chmur. Niestety nigdzie nie było nic na tyle stabilnego, żeby pozwoliło mu na wspięcie się na odpowiednią wysokość.

O dziwo, okno uchyliło się lekko samoistnie, a nozdrza mężczyzny poraził ostry, wręcz dławiący zapach siarki. Do środka zaczęła wpełzać jakaś postać. Edwin bardziej niż oczami, czuł jej obecność pozostałymi zmysłami. W jego głowie rozległ się ten sam pierwotny alarm, co wówczas przed klasztorem, kiedy został popchnięty. Na tym etapie nie rozróżniał już jawy od snu i przestał ufać własnej poczytalności. Lekarze tłumaczyli mu później, że o ile wcześniejsze wydarzenia były jeszcze prawdopodobne, to spotkanie niematerialnej istoty w podziemiach musiało być wytworem jego wyobraźni. Edwin wiedział jednak, że jego umysł nie byłby w stanie wymyślić bestii, której sama

obecność byłaby tak alarmująca dla człowieka. Wierzył, że pamiętnej nocy stanął przed obliczem samego diabła.

W tamtej chwili wiedział już, że to nie obłąkanych zakonnic powinien obawiać się najbardziej, że w podziemiach klasztoru czaiły się o wiele straszniejsze zagrożenia. W ułamku sekundy Edwin całkowicie przeobraził się w spanikowane zwierzę, a nad jego ciałem zawładnęła najbardziej prymitywna część umysłu, której celem było tylko przetrwanie.

Dalszą ucieczkę pamiętał jak przez mgłę. Przerazenie pchało go do szaleńczego biegu korytarzem, przy czym Edwin nie wiedział już nawet, czy zapuszczał się dalej w głąb podziemi, czy też może wracał tam, skąd wcześniej przybył. Zapamiętał tylko pojedyncze obrazy, które utkwily w jego głowie i miały śnić mu się aż do śmierci.

W pewnej chwili wpadł na kogoś lub na coś, ale tylko odepchnął się od przeszkody i pobiegł dalej. Uszy wypełniał mu odbijający się echem od ścian korytarza śpiew zakonnic oraz wtórujący mu obrzydliwy śmiech.

Dotarł w końcu do stromych schodów i zaczął wspinać się po nich na czworaka. W dalszym ciągu niewiele widział w ciemnościach, ale nadal czuł, że ktoś czaił się tuż za nim. Śpiew zakonnic ucichł, ale ciągle słyszał niezemiński rechot. Głośny, gardłowy, ogłuszający wręcz śmiech.

Nagle schody się skończyły, a Edwin uderzył głową w drewniane drzwi. Długo szarpał się z oporną klamką, ale gdy już otworzył wrota, poczuł na twarzy przyjemny powiew wiatru. Nareszcie był na zewnątrz! Zerwał się na nogi i zaczął biec, ani razu nie oglądając się za siebie. Z ulgą dostrzegł, że mgła przed nim rozwiewała się stopniowo, a co ważniejsze, niebo jaśniało kojącym blaskiem

gdzieś daleko na wschodzie. Edwin wiedział, że kres nocy oznaczał ratunek, koniec koszmaru. To była jego ostatnia świadoma myśl, zanim stracił przytomność.

Podobno byłem w tragicznym stanie, kiedy ludzie znaleźli mnie nad ranem na ulicy. Zziębnięty, brudny, poobijany. Majaczyłem coś o zakonnicach, wskazywałem ręką na różne budynki i co chwilę zatykałem uszy. Byłem w totalnej rozsypce i nie dziwię się, że zamknęli mnie w klinice psychiatrycznej.

Teraz już mi lepiej, miałem dość czasu, żeby przemyśleć sobie wszystko na spokojnie. Mówię wam, zakonnice z tamtego klasztoru przywołały coś, co nie powinno było nigdy znaleźć się w naszym świecie! Trzymają to w podziemiach, ale w ciemne, mgliste noce wypuszczają monstrum na zewnątrz! Teraz już wiem, że to właśnie demon zaatakował mnie, zanim wszedłem do klasztoru. Tę samą istotę spotkałem później w piwnicach pod budynkiem! A te szalone kobiety są na tyle bezczelne, że malują potwora na swoich bluźnierczych obrazach! Wielbią go i uwieczniają w trakcie polowania na zbłąkane dusze!

Nadal myślicie, że moja opowieść jest tylko majaczeniem osoby chorej psychicznie? Nie bądźcie tacy pewni siebie... Jak wytłumaczycie fakt, że już kilka razy chciały mnie odwiedzić siostry zakonne? Podobno wypytywały, czy już mi lepiej. Doktor mówił, że jedna z nich podawała się za moją krewną i próbowała umówić się na widzenie. Nie zgodziłem się! Nikt z mojej rodziny nie jest w zakonie!

Nie rozumiem, dlaczego personel szpitala nie chce przyjąć tego do wiadomości!

A wiecie, co jest najgorsze? Sanitariusze czasami otwierają okna w moim pokoju, gdy już zasną. Kiedy tylko się budzę, od razu je zamykam. Często widzę wtedy za oknem gęstą mgłę i wiem, że gdzieś tam czai się moja zguba. Boję się, że kiedyś nie obudzę się w porę, a mgła wpłźnie do mojego pokoju. Razem z nią wejdzie on, diabeł z widmowego klasztoru!

ROBERT ZAWADZKI

DOM PANI NYX

Kiedy zapytałaś, skąd u mnie takie przywiązanie do higieny snu, naprawdę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Stałe godziny zasypiania towarzyszyły mi od dawna jako sztywne ramy dnia i czułem się z nimi zwyczajnie dobrze, ale dopiero pod wpływem twojego pytania zacząłem zastanawiać się, co tak naprawdę ukształtowało we mnie ten nawyk.

W pierwszej kolejności przypominałem sobie swój okres licealny. Intensywnie trenowałem wtedy na siłowni, czytałem kulturystyczne czasopisma i inne publikacje na temat budowania masy mięśniowej, gdzie minimum siedmiogodzinny czas snu podawano jako jeden z najważniejszych czynników wpływających na regenerację i wzrost mięśni. Zdaje się jednak, że nie musiałem wcale dostosowywać swoich nawyków związanych ze spaniem do intensywnego trybu życia, bo już wcześniej przykładałem dużą wagę do właściwego uregulowania tej właśnie dziedziny. Jakie wydarzenie czy też splot wydarzeń skłonił mnie do wprowadzenia tego reżimu, nie mogłem sobie przypomnieć.

Właśnie kładłaś się spać, więc obiecałem, że porozmawiamy o tym jutro. Do mojej zwyczajowej godziny spoczynku zostało jeszcze trochę czasu. Próbowałem zająć się czymś produktywnym, ale szybko okazało się, że natrętne myśli uparcie przeciwstawiają się wszelkim próbom przekierowania ich na inny tor. To rzucone mimochodem pytanie coś we mnie poruszyło, jego wibrujące echo kołatało się w mojej głowie i powodowało nieprzyjemne wiercenie w brzuchu. Niekompletność moich wspomnień została niespodziewanie obnażona i czułem się przez to jak ktoś przyłapany na czymś wstydliwym i niestosownym.

Dopiero w ciepłe twojego ciała i miarowym oddechu odnalazłem spokój i zasnąłem niemal w tej samej chwili, w której położyłem się obok.

Następnego dnia po pracy zadzwoniłem do matki. Kiedy skończyła zdawać mi relacje z bieżących spraw, przeszedłem do najbardziej interesującego mnie tematu i sparafrazowałem pytanie, które męczyło mnie od poprzedniej nocy. W słuchawce po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Wybacz synku, ale też nic takiego nie pamiętam – powiedziała w końcu, powoli i z wahaniem, jakby bała się mnie urazić albo okłamać. Zapewniłem ją, że to nic takiego i nie ma co się tym przejmować, po czym z udawaną swobodą zmieniłem temat. Zapytałem jeszcze o kilka błahostek: samopoczucie, zdrowie i takie tam, ale kiedy stwierdziła, że nie będzie dłużej zajmowała mi czasu, z ulgą pożegnałem się i zakończyłem rozmowę. To chwilowe rozluźnienie nie miało jednak wpływu na stale nawarstwiający się napięcie związane z całą sytuacją.

Po powrocie nie zauważyłaś mojej nerwowości. Nie mogłem się temu dziwić – po całym dniu pracy z dziećmi twoją głowę wypełniały zupełnie inne kwestie niż wczorajsza rozmowa. Być może nawet gdybym sam wrócił do tego tematu, nie potrafiłabyś sobie przypomnieć, o co pytałaś mnie przed snem, ale jednak obiecałem, że porozmawiamy o tym następnego dnia i teraz ciężar tej obietnicy przygniatał mnie do ziemi jak młyński kamień. Mimo to nie miałem zamiaru niczego przyspieszać i czekałem, aż temat sam wypłynie, do czego nie doszło ani w trakcie kolacji, ani po niej.

Kiedy położyłaś się spać, po raz kolejny tego dnia odzyskałem względny spokój. Nie potrafię jednak powiedzieć, jak dokładnie spędziłem kolejne minuty – nic z tego okresu nie zapisało się w mojej pamięci. Prawdopodobnie snułem się po mieszkaniu bez celu.

Z bezmyślnego odrętwienia wyrwał mnie dopiero dźwięk telefonu.

Dzwoniła matka. Choć pozornie ton jej głosu był równie serdeczny, co poprzednio, miałem nieodparte wrażenie, że wybrzmiewa w nim jakaś obca nuta, tak jakby za fasadą ciepłych słów kryło się jakieś wahanie, niepokój.

– Myślałam o tym, o co pytałaś... – zaczęła z wahaniem, kiedy zapytałam, czemu dzwoni. – I chyba coś sobie przypomniałam. Pamiętasz, jak przeprowadziliśmy się do miasta? Pewnie nie, byłeś wtedy jeszcze całkiem mały.

Nic nie odpowiedziałem, ale mój mózg rozpoczął wykonywanie gorączkowej kwerendy. Pamiętałem bardzo mało sprzed przeprowadzki, ale co zadziwiające, w mojej pamięci zachowało się jeszcze mniej wspomnień z okresu, który nastąpił po niej. Wydało mi się to niepokojące tym

bardziej, że z dokonanych naprędce obliczeń wynikało, że miałem wtedy między dziesięć a dwanaście lat. Natychmiast poinformowałem o tym matkę.

– Tak, rzeczywiście – zgodziła się po chwili wahania. – Może nie byłeś już wcale taki mały, ale nadal zachowywałeś się jak dzieciaczek. Wyjazd i nowa praca ojca bardzo źle na ciebie wpłynęły, zrobiłeś się strasznie nerwowy i marudny. Brakowało ci naszej uwagi, jego widziałeś tylko wieczorami, a ja miałam więcej obowiązków i mniej czasu dla ciebie. To chyba stąd te problemy ze snem.

– Problemy ze snem? – wyrwało mi się mimochodem.

– Tak, nie byłeś przyzwyczajony do mieszkania w bloku, odgłosów dobiegających zza ścian i dźwięków miasta nocą. Mówiłeś, że słyszysz pracujące maszyny, przez które nie możesz spać, a czasem opowiadałeś mi swoje złe sny z takim przekonaniem, jakbyś rzeczywiście nie spał przez całą noc, tylko krążył po śpiącym mieście, doświadczając niesłychanych dziwów. Oczywiście nic z tego nie miało miejsca, pilnowaliśmy cię. Miałeś po prostu wyobraźnię dziecka, a do tego dużo stresu związanego z przeprowadzką i całą resztą.

Na moment w słuchawce zapanowała cisza, ale ja nie zamierzałem przerywać i cierpliwie czekałem, aż matka wznowi opowieść. Czułem się, jakbym słuchał historii o kimś całkowicie obcym i ta dwoistość jeszcze potęgowała kiełkujący we mnie od wczoraj niepokój.

– Próbowaliśmy różnych rzeczy, żeby ułatwić ci zasypianie: masaży, gorących i zimnych kąpeli, mleka z miodem do picia, olejków i kremów do smarowania... Przez jakiś czas próbowałeś zasypiać przy grającej cicho muzyce, bajce albo zapalanej lampce; pilnowaliśmy,

żebyś nie kładł się zaraz po jedzeniu ani głodny, żeby pokój był zawsze wywietrzony przed snaniem... Nic z tego na ciebie nie działało.

Umilkła na chwilę i usłyszałem, jak bierze łyk czegoś do picia.

– To w zasadzie wszystko – podsumowała po przerwie. – W końcu ci przeszło, wyrosłeś albo przyzwyczyłeś się do nowego miejsca. Niektóre z nawyków, które wtedy wykształciłeś, musiały zostać z tobą na stałe.

– Jak to możliwe, że o tym wszystkim zapomniałem? – zapytałem, ale szybko zrozumiałem, że matka nie będzie w stanie udzielić mi odpowiedzi, dlatego podziękowałem jej za wszystko i życzyłem dobrej nocy. Nie byłbym w stanie wydusić z siebie nic więcej, więc znów byłem wdzięczny matce za to, że nie próbowała na siłę przedłużać rozmowy.

Kiedy w końcu zostałem sam ze swoimi myślami, przytłumione do tej pory emocje uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą. Nie byłem w stanie zrozumieć, jak tak istotny fragment życia mógł całkowicie wyparować z mojej pamięci, zniknąć, nie pozostawiając po sobie nawet najmniejszego śladu.

Co dziwniejsze, im więcej czasu mijało od mojej rozmowy z matką, tym silniejszy sprzeciw wzbudzały we mnie jej słowa. Niemogące znaleźć zaczepienia w moim umyśle opisy zaczynały stopniowo natrafiać na coś więcej, niż tylko bierny opór. Z niedostępnych dla mnie do tej pory rejonów pamięci napływały chaotyczne obrazy; z czasem ich spontaniczne pączkowanie, gorączkowe łączenie się i podział prowadziły do wyodrębnienia się i okrzepnięcia

coraz wyraźniejszych scen, które pochopnie mógłbym nazwać wspomnieniami.

Czy były nimi w istocie, czy też stanowiły raczej konglomerat przygodnych wyobrażeń, kolaż efemerycznych fantazmatów i zrodzonych z potrzeby chwili autobiograficznych fikcji, nie potrafiłem powiedzieć. Niezależnie od pochodzenia i istoty fluktuujących w mojej głowie wizji, ich charakter i treść zdecydowanie różniły się od tego, o czym opowiadała mi matka.

Podstawowa niezgodność ujawniała się już na najbardziej fundamentalnym poziomie – wyłaniające się z moich niby-wspomnień doświadczenie bezsenności stanowiło w swojej najgłębszej istocie zetknięcie z niezrozumieniem, które urastało do rangi egzystencjalnego kryzysu. Nie tylko postać ojca była w nim całkowicie nieobecna – matka również pełniła rolę marginalną, a jej stosunek do mnie jawił się jako nadspodziewanie zimny i obojętny.

Jeśli więc były to rzeczywiste wspomnienia, dlaczego w żadnym stopniu nie pokrywały się z jej relacją? Nie chciałem wierzyć, że mogłaby zwyczajnie kłamać, tym bardziej, że z dzieciństwa wyniosłem obraz jej jako czułej i cierplivej, co odpowiadało jej wersji wydarzeń i nijak nie dawało się pogodzić z kształtującą się w mojej głowie wizją.

Było już grubo po pierwszej, kiedy nie widząc szansy na wyjście z impasu, postanowiłem się położyć. Niespokojne myśli i niby-wspomnienia nadal jednak fermentowały i szybko zrozumiałem, że nie uda mi się tak po prostu zasnąć. Z braku lepszych pomysłów postanowiłem więc nadać stałą formę temu, co uporczywie nie dawało się złożyć w całość.

Nadrzędnym celem tych zapisków nie jest oddzielenie rzeczywistych wydarzeń od fikcji i dotarcie do tego, co faktycznie miało miejsce. Nie dysponuję żadnym kluczem czy punktem odniesienia, który pozwoliłby mi na tak daleko idącą kategoryzację. Mimo że sceptyczny racjonalizm radziłby odrzucić wiele z tego, co będę opisywał, jako przejaw dziecięcej imaginacji czy przemieszania porządków snu i jawy, rezygnuję z tego typu ingerencji i prób racjonalizacji w nadziei, że czysty opis zachowa więcej treści i sensów, z których teraz mogę nie zdawać sobie sprawy.

Kierując się ekonomią tekstu oraz dbając o przejrzystość wypowiedzi, decyduję się traktować przedmiot opisu jako moje autentyczne wspomnienia. Jako że jakakolwiek, nawet najbardziej nieinwazyjna i naturalna próba narracyjnego okiełznania tak niestałej i plastycznej materii nie może istnieć bez uporządkowania, będę pozwalać sobie na łączenie wynikających z siebie organicznie scen czy swobodne przechodzenie od jednego zdarzenia do następnego, kiedy uznam to za uzasadnione. Jednocześnie w pełni zdając sobie sprawę z arbitralności tych zabiegów, postaram się ograniczyć je do minimum.

Szukając punktu wyjścia, jądra krystalizacji wszystkich pozostałych wspomnień, nie trafiam na obraz, ale dźwięk – dysharmonijny odgłos trwającej w nieustannym ruchu maszynierii. Zgrzyty i trzaski pracujących ociężałe pod powierzchnią miasta mechanizmów stanowiły rdzeń i spoiwo kolejnych bezsennych nocy. Niezależnie od

tęgo, czy spędzałem je biernie w łóżku, czy też decydowałem się wykroczyć poza mikrokosmos swojego pokoju, one zawsze towarzyszyły mi jak emitowany nieustannie komunikat bez treści.

Niemal równie nieprzyjemne, co industrialny jazgot, stanowiący akompaniament wszelkich moich działań, były towarzyszące bezsenności dolegliwości somatyczne: tępy, pulsujący ból głowy i brzucha, wrażenie zalegającego pod powiekami piasku i przejmujący chłód błyskawicznie ogarniający całe ciało i zalewający je falami zimnych dreszczy.

Mimo nieprzyjemnych okoliczności, repertuar zajęć, którym się oddawałem, był całkiem pokaźny, chociaż niemal w każdym wypadku musiałem wykazywać się jakąś dozą ostrożności, zadbać o pewne pozory. Szybko zorientowałem się, że moja przedłużająca się bezsenność irytuje matkę i każda kolejna konfrontacja wystawiać będzie jej cierpliwość na próbę. Z tego powodu udawałem, że śpię, wtykając koc pomiędzy framugę a drzwi tak, aby z korytarza nie było widać, że światło w moim pokoju pozostaje zapalone przez całą noc.

Później zazwyczaj włączałem telewizor, oczywiście ścisząc go najbardziej, jak było to możliwe. Nocne pasma ochoczo otwierały przede mną rejony wcześniej niedostępne, niewyobrażalne w swojej odmienności, nic dziwnego więc, że ukradkowe seanse wypełniały istotną część mojego czasu. Ich treść i tematyka były różnorodne, od epatujących nieuzasadnioną brutalnością b-klasowych horrorów i filmów akcji, przez czarno-białe kryminały noir, aż po kino autorskie i ciężkie do sklasyfikowania arthousowe eksperymenty. Przynależność

gatunkowa nie miała dla mnie znaczenia tym bardziej, że przez stan dziwnego rozedrgania, w którym znajdował się mój umysł, filmowe fabuły docierały do mnie fragmentarycznie, mieszały się i nakładały na siebie, tworząc całkowicie nowe groteskowe kompozycje. Czasem przez długie godziny obserwowałem, jak pozbawione kontekstu kadry układają się w surrealistyczne ciągi, cut-upowe quasi-narracje, rytmizowane i uspołniane przez dźwięk pracującej pod miastem maszynerii.

Osobną kategorię stanowiły programy dla dorosłych, które pozwalały mi na swobodną eksplorację dziedziny cielesności i wprowadzały mnie w jej arkana. Nie mieliśmy wtedy satelity, a wybór kanałów był ograniczony, więc kiedy trafiałem na tego typu treści, każdorazowo udawało mi się pokonać zmęczenie i na czas emisji skupić swoją uwagę. Część obrazów i scen zostawała ze mną znacznie dłużej, stając się pretekstem do dalszych nastoletnich inicjacji i wtajemniczeń.

To w trakcie jednego z tych właśnie zapadających w pamięć programów natrafiłem po raz pierwszy na reklamę Domu pani Nyx. Spokojne ujęcia płynnie przechodzące pomiędzy kolejnymi symetrycznymi kadrami przedstawiały korytarz uporczywie przywodzący mi na myśl wnętrze ludzkiego ciała. Pomędzy długimi ciemnoczerwonymi kotarami przechadzała się ubrana w koronkową bieliznę dziewczyna. W jej ruchach i towarzyszącej im muzyce było coś intrygującego, zapowiedź, której wtedy nie potrafiłem odczytać; obietnica czegoś, czego nie byłem jeszcze w stanie właściwie nazwać, choć wyraźnie łączyło się z tak upragnionym przeze mnie snem.

Mimo przedziwnego wrażenia, jakie wywarła na mnie reklama, musiało minąć jeszcze wiele bezsennych nocy, nim trafiłem na nią ponownie i zdecydowałem się zadzwonić na widoczny u dołu ekranu numer. Zanim jednak do tego doszło, wielokrotnie widywałem coś budzącego we mnie skrajnie odmienne emocje, przez co czułem się tak, jakbym uczestniczył w zmaganiach dwóch przeciwstawnych sił.

Transmisje te w niczym nie przypominały zwyczajnych programów. Ich nadejście zwiastowały zakłócenia: dźwięk zagłuszały metaliczne zgrzyty, szумы i trzaski, obraz zaczynał śnieżyć, a po skaczącym ekranie wędrowały pionowe i poziome pasy. Później następowało gwałtowne przejście i odbiornik pokazywał pogrążone w ciemności pomieszczenia pełne pracujących jednostajnie maszyn. Ze względu na brak ludzkich postaci oraz innych punktów odniesienia niemożliwe było właściwe oszacowanie wielkości wnętrza i ich wyposażenia, ale mechanizmy sprawiały iście tytaniczne wrażenie, tak samo, jak ciągnące się w nieskończoność hale.

Męcząca powtarzalność kadrów powodowała we mnie dziwne, niemal fizyczne zmęczenie, które wcale nie mijało po wyłączeniu odbiornika. W końcu nawet jeśli maszynaria zniknęła z mojego pola widzenia, nadal docierały do mnie odgłosy jej pracy. Czasem wręcz czułem, jak dobiegający spod ziemi rytm przenika moje ciało, pozbawiając go pozorów samoistności i odsłaniając się jako element przynależący do dziedziny maszyn. Być może to właśnie te momenty stanowiły główne źródło lęku, który nie pozwalał mi usnąć.

Byłem właśnie w takiej sytuacji – po raz kolejny ogarnęła mnie totalna niemoc, przez którą nie byłem nawet w stanie wyłączyć telewizora, który uparcie wyświetlał kolejne segmenty industrialnego labiryntu, kiedy obraz nagle podskoczył kilka razy i zniknął, zastąpiony przez inny sygnał. W kadrze, jako kontrapunkt dla zimnej, ciemnej monotoni maszyn, pojawił się znajomy czerwony korytarz i postać dziewczyny w koronkowej bieliźnie. Tym razem nie miałem już wrażenia obcowania z reklamą, ale z czymś zupełnie innym – przekazem, który został intencjonalnie skierowany właśnie do mnie. Nagle zrozumiałem kryjącą się w ruchach dziewczyny z ekranu obietnicę – oferowała mi szansę na dołączenie do siebie i ostateczne wyrwanie się spod władzy mechanizmów.

Natychmiast sięgnąłem po kartkę i długopis, a potem uważnie zapisałem widoczny na ekranie numer. Nie mogłem jednak zadzwonić od razu. W tamtym czasie nie miałem jeszcze własnej komórki, a salon, w którym znajdował się telefon stacjonarny, stanowił jednocześnie sypialnię. Chęć wykonania połączenia była jednak we mnie zbyt silna, żebym czekał do rana.

Droga z budynku do stojącej nieopodal budki telefonicznej dłużyła mi się w nieskończoność, a narastający strach przed nakryciem kazał mi przystawać za każdym razem, kiedy do moich uszu docierał jakikolwiek dźwięk. Nie przeczuwałem wtedy, że na przestrzeni kolejnych tygodni jeszcze wielokrotnie będę opuszczał mieszkanie w podobnych okolicznościach.

W końcu udało mi się dotrzeć do stojącego na rogu ulicy automatu i wrzucić do niego kilka monet zaoszczędzonych

pierwotnie na zupełnie inne cele. Po krótkim oczekiwaniu w słuchawce rozległ się kobiecy głos.

– Czego szukasz, dzwoniący? – zapytał, a pełen dobroci i ciepła ton kazał mi wierzyć, że za pytaniem tym stoi coś więcej, niż zwykła służbowa uprzejmość.

– Szukam snu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Więc szukasz nas. Sen czeka na ciebie w Domu pani Nyx.

– Jak mogę go znaleźć?

Nagle rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane, a ze słuchawki dobiegał już tylko zgrzytliwy odgłos pracującej rytmicznie maszynerii. Spróbowałem wrzucić kolejną monetę, ale automat odmawiał współpracy.

Z bolesną świadomością odniesionej porażki wróciłem do mieszkania.

Podczas kolejnych, ciągnących się w nieskończoność nocy, Dom pani Nyx ani razu nie pojawił się na ekranie, natomiast transmisje ukazujące niekończące się korowody maszyn stały się wyjątkowo częste i skutecznie obrzydzały mi kolejne seanse. Poczucie bezsilności, które przychodziło wraz z nimi, niejednokrotnie pacyfikowało mnie na całe godziny.

Nie potrafię przypomnieć sobie, jakie okoliczności czy wydarzenia pozwoliły mi wyrwać się ostatecznie z tego stuporu, ale po okresie bierności i rezygnacji nastąpił przełom. Pierwsza nocna eskapada wymagała olbrzymiej dozy samozaparcia, ale z każdą kolejną wysiłek stopniowo malał, aż niepostrzeżenie spontaniczne wędrówki ulicami miasta zmieniły się w nawyk. Każdej nocy po

zaśnięciu rodziców ukradkiem wymykałem się z mieszkania i wyruszałem na poszukiwania Domu pani Nyx.

Małe triumfy, które odnosiłem w trakcie tych wypraw, zawsze okazywały się tylko połowiczne. Czasem na słupie ogłoszeniowym odnajdywałem wyblakły plakat ze znajomą kobiecą postacią w koronkowej bieliźnie, innym razem dostrzegałem reklamę Domu pani Nyx na ostatniej stronie porzuconej gazety, jednak charakterystycznej grafice nigdy nie towarzyszył żaden konkret, poza znanym mi już, niedziałającym numerem telefonu.

Mimo tego braku spełnienia, wędrowni niosły ze sobą pewne pocieszenie i pozwalały mi inaczej spojrzeć na swoją sytuację. Ludzie, na których natrafiałem – pracujący na nocną zmianę, bezdomni czy inni, podobni mi nocni tułacze – znacznie różnili się od typów spotykanych za dnia. Mimo że ich wygląd i zachowanie na pierwszy rzut oka nie były niecodzienne, już krótka rozmowa pozwalała dostrzec pewne emocjonalne rozchwianie, świadczące o tym, że tak jak ja cierpieli na bezsenność i chociaż nigdy nie zapytałem o to żadnego z nich, byłem przekonany, że w ich przypadku przyczyną również była pracująca pod miastem maszyneria.

Często rozpytywałem natomiast o cel swoich poszukiwań. Dom pani Nyx ujawniał wtedy swoją niezwykłą efemeryczność – chociaż jego nazwa rzadko była obca moim rozmówcom, ich odpowiedzi przeczyły sobie nawzajem już na tak elementarnym poziomie, jak określenie, czym właściwie jest obiekt mojego zainteresowania.

Nocny portier z motelu mieszczącego się na uboczu ruchliwej drogi wylotowej z miasta, podczas swojej

przerwy na papierosa opowiedział mi, że właśnie tam pracował poprzednio. „Hotel jak każdy inny” – stwierdził, ale kiedy próbowałem dopytywać go o szczegóły i lokalizację, zmarkotniał i wykręcił się od odpowiedzi brakiem czasu. Kelnerka, pracująca na nocnej zmianie w jedynym w okolicy całodobowym barze, opowiadała o nim jako o czymś w rodzaju specjalnego klubu, w którym spotykają się ważni i bogaci, ale siedzący przy stoliku obok mężczyzna, który usłyszał naszą rozmowę, zaprzeczył jej, mówiąc, że jest to tytuł filmu, który jakiś czas temu grali w kinach. Zgodnie z jego sugestią przy najbliższej okazji zapytałem o niego w wypożyczalni kaset. Właściciel był pewien, że posiada produkcję o takim tytule, jednak nie udało mu się znaleźć jej ani na półce, ani w katalogu.

W takich momentach sam mam problem z zawieszeniem niewiary i moje wątpliwości rozsadzają złożoną ze wspomnień narrację. Bo czy to możliwe, żeby wszystko to naprawdę się wydarzyło? Czy nocne wędrówki i rozmowy rzeczywiście stanowiły część mojego dzieciństwa, czy były jedynie nieświadomymi zapożyczeniami ze świata snów, fragmentami filmów i strzępkami ścieżek dialogowych wychwyconych przez mój półprzytomny umysł? Chociaż to drugie wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, chłodny racjonalizm takiego podejścia ma w sobie coś z wygodnego kłamstwa i elegancji mechanizmów obronnych, chroniących naszą psychikę przed tym, co irracjonalne i niebezpieczne.

Z czasem jałowość poszukiwań zaczęła coraz bardziej dawać mi się we znaki. Pewnej nocy zdecydowałem się skierować w przeciwnym kierunku niż zwykle, w stronę oświetlanej fabryczną łuną dzielnicy, w której na co dzień

pracował mój ojciec. Jej przemysłowy charakter odstraszała mnie przez oczywiste skojarzenia z dziedziną mechanizmów, uznałem jednak, że być może przełamanie tej niechęci przyniesie lepsze efekty, niż ponowne odwiedzanie znanych mi już miejsc.

Klucząc pośród posępnych sylwetek magazynów z czerwonej cegły i innych industrialnych zabudowań, nie mogłem powstrzymać myśli o ojcu. Ostatnio wracał z pracy coraz później, w pośpiechu zjadał niewielką kolację i kładł się spać. Kiedy pewnej nocy przystanąłem przy niedomkniętych drzwiach sypialni rodziców, dochodzący ze środka miarowy, charczący oddech był nierozróżnialny od odgłosu pracującej pod miastem maszynerii.

Nagle z ponurych rozważań wyrwał mnie niespodziewany widok – stałem naprzeciwko fabrycznej hali, jednej z wielu, a jednak wyjątkowej ze względu na nazwę zdobiącą jej fasadę: czerwone litery układające się w tak oczekiwany przeze mnie napis „Dom pani Nyx”.

Oniemiały zbliżyłem się do ciężkich drzwi, które o dziwo nie okazały się zamknięte. Z trudem otwarłem na oścież najpierw jedno, a później drugie skrzydło. Przeciągły zgrzyt przerdzewiałych zawiasów boleśnie rozdarł panującą dookoła ciszę.

Snop światła ulicznych latarni wpadł do środka, oświetlając całkowicie puste pomieszczenie. Przesząpiłem jego próg, nie chcąc rezygnować zbyt szybko w obliczu pierwszego tak namacalnego śladu, jednak dochodzące spod powierzchni rytmiczne dudnienie, odbijające się szyderczym echem od ścian opuszczonego budynku, ostatecznie zmusiło mnie do kapitulacji. Po powrocie doszedłem

do wniosku, że napis na ścianie hali musiał być częścią zdemontowanego baneru reklamowego.

Jak więc w końcu go znalazłem? Choć trąci to banałem, to on odnalazł mnie.

Nie wiem, czy taki schemat odkrywania indukują w naszym umyśle literatura i kino, czy jest to jakaś nadrzędna struktura obecna w naszej psychice od zawsze. Niezależnie od tego, właśnie ten model rozwoju opowieści wydaje się naturalny – śledztwo powinno posuwać się do przodu, postęp nie musi być linearny, może zachodzić skokowo, perypetie i zwroty akcji są wręcz mile widziane, zawsze jednak liczymy na rozwój, progres.

Moje poszukiwania nie przybliżyły mnie do żadnej odpowiedzi. Być może wszystkie działania tylko oddalały mnie od celu, a najkrótsza droga do niego prowadziła właśnie przez bierność. Ta chwyciła mnie i trzymała w swoim uścisku przez kolejne dłużeńce się w nieskończoność noce, które spędzałem, leżąc w zimnym odrętwieniu. Biały szum zakłóceń wylewał się z telewizora i wypełniał pokój, a pionowe i poziome pasy spacerowały po moim zdrętwiałym ciele. Co jakiś nieokreślony interwał czasu na powierzchnię wydobywał się metaliczny zgrzyt, a mną wstrząsał bolesny dreszcz.

Rozciągliwa materia nocy wydawała się owijać wokół mnie, nie dając żadnych nadziei na zaśnięcie czy wstanie z łóżka, kiedy nastąpiła niespodziewana odmiana. Śnienie ustało i z telewizora wylało się ciepłe czerwone światło. Jego odbłaski wypełniały pokój, a ściany zdawały się falować organicznie pod ich wpływem.

Poczułem, że odrętwienie opuszcza moje ciało. Podniosłem się z łóżka i zobaczyłem, że nie jestem już w swoim

pokoju. Znajdowałem się w korytarzu, którego ściany stanowiły falujące bordowe kotary. Tknięty niezrozumiałą potrzebą uchyliłem poły jednej z nich i wyjrzałem na zewnątrz. Za kotarą nie było ściany, jedynie nieograniczona niczym kosmiczna pustka, bezkresna przestrzeń wypełniona całkowitą ciemnością.

Z przerażeniem cofnąłem się, niemal wpadając na przechodzącą obok mnie postać. Ubrana w koronkową bieliznę dziewczyna oddalała się ode mnie, a jej harmonijne ruchy zdawały się pozostawiać w powietrzu delikatne rozmycia, niczym słoneczne powidoki albo ślady poruszenia na długo naświetlanej kliszy. Puściłem się za nią biegiem, przekonany, że nie mogę stracić jej z oczu, bo jeśli do tego dojdzie, utracę na zawsze możliwość dostępu do miejsca, które czeka na końcu korytarza.

Z czasem zdałem sobie sprawę, że nasze kroki nie wydają żadnego dźwięku, tak jakby miejsce, w którym się znajdowaliśmy, funkcjonowało na zupełnie innych zasadach, niż znana mi przestrzeń. Nie zatrzymując się, spojrzałem w dół i zauważyłem, że moje ruchy również nabrały charakterystycznej miękkości i pozostaje po nich taki sam rozmyty ślad. Po chwili moje myśli powróciły do kwestii dźwięku i dotarło do mnie, że po raz pierwszy od tygodni nie słyszę odgłosu pracujących maszyn.

Jakby w odpowiedzi na tę konstatację, korytarz rozszerzył się, płynnie przechodząc w pomieszczenie przedzielone dziesiątkami identycznych ciemnoczerwonych zasłon. Sala nie była pusta – na dziwnie wypiętrzonych podłodze, której powierzchnia pokryta była tym samym obiciem, leżało kilkanaście kobiet. Ich ciała były nagie, a one same pogrążone we śnie, o czym świadczyły swobodne,

bezpruderyjne pozy i miarowy ruch klatek piersiowych, unoszących się we wspólnym rytmie oddechu. Sen ten był jednak bezgłośny – przestrzeni nie mącił nawet najcichszy dźwięk, tak jakby ałtasowa tkanina wchłaniała każdy odgłos, zanim ten zdąży zaistnieć i zmącić panujący w pomieszczeniu spokój.

Wszystko to miało w sobie coś z ekranu telewizora oglądanego przy wyłączonym dźwięku albo przebywania wewnątrz obrazu Delvauxa. Stałem na brzegu pulsującej płataniny ciał i dopiero z tej perspektywy dostrzegłem, że wszystkie są jednakowe – ich kształty i rysy twarzy nie różnią się od siebie. Chociaż nigdy nie widziałem jej twarzy, z jakiegoś powodu wiedziałem, na czyje oblicze patrzę.

Ogarnęła mnie przytłaczająca senność i osunąłem się na podłogę, która okazała się przyjemnie miękka i ciepła. Patrząc na swoje członki zagłębiające się w ciemnoczerwonej powierzchni, zorientowałem się, że jestem nagi, ale nie zdziwiło mnie to ani nie przstraszyło, tak jak nie zdziwił ani nie przstraszył mnie dotyk nagich kobiecych ciał, kiedy te zaczęły mnie oplatać. Rytm ich oddechów stał się moim rytmem, a ja zdałem sobie sprawę, że im również został nadany z zewnątrz, że całe to miejsce przeżywa organiczne pulsowanie.

Nade mną falowała czerwień. Obserwowałem, jak taniec wybrzuszących się zasłon formuje spoglądające na mnie z góry oblicze – oblicze dziewczyny z telewizora, oblicze tej, która gościła mnie w swoim domu. Jej usta poruszały się i choć żadne słowo nie zmąciło ciszy, wszystkie trafiały bezpośrednio do mnie.

Z mechanizmami nie można wygrać. Możliwa jest tylko ucieczka, a jedyna droga ucieczki prowadzi w sen. Ci, którzy nie dostąpili łaski snu, mogą dostąpić jej tutaj. Ci, którzy nie dostąpili łaski ciszy, mogą dostąpić jej tutaj. Łaska nie oznacza jednak zwycięstwa. Z mechanizmami nie można wygrać. Możliwa jest tylko ucieczka, ucieczka w sen.

Kiedy zamykam oczy, pod powiekami nadal mam twarz pani Nyx.

Patrzę na nią też teraz, kiedy pytasz mnie, dlaczego nie śpię, a ja śmieję się, bo to najbardziej absurdalne z pytań, jakie można mi zadać. Bo przecież śpię, śpię cały czas, odkąd lata temu wszedłem do Domu pani Nyx. Całe moje życie jest snem, a ty, niezależnie od tego, czy jesteś tego świadoma, czy nie, jesteś jego częścią. Dlatego śmieję się, a ty patrzysz na mnie ze zdziwieniem, kiedy wstaję i wychodzę z pokoju.

Za drzwiami czeka na mnie korytarz, falujące czerwony zasłony rozpościerają się po obu stronach, a w oddali widzę sylwetkę mojej przewodniczki, sylwetkę pani Nyx, twoją sylwetkę. Wiem, co czeka mnie na końcu korytarza, bo kiedy człowiek uświadamia sobie, że śni, musi się przebudzić. To nie wybór ani akt odwagi, tylko konieczność.

Docieram do głównej sali i widzę tylko jednego śniącego. Przez chwilę patrzę jeszcze na jego twarz, a potem oczy otwierają się i nie ma już śniącego i śnionego, jest tylko lodowata ciemność, w którą opadam, i dźwięk poprzedzający zaistnienie świata, dźwięk poprzedzający wszystko – zgrzytliwy odgłos pracującej maszynierii.

OLGA ZEGARTOWSKA

KSIĄŻĘ LASU

Wrzesień, 1939 rok

Huk silników towarzyszył Sarze długo po tym, gdy opuściła granice miasta. Warszawa upadnie. Wszyscy to wiedzieli, nawet ci, którzy do ostatniej minuty próbowali się oszukiwać. Nie było nic złego w ucieczce, gdy nadzieja wsiąkała w błotnistą glebę jak krew z szarozielonych mundurów.

Matka pierwsza zarządziła ewakuację, ale to było wcześniej, zanim pocisk z samolotu obrócił ich kamienicę w gruz. Matka nigdy nie wyszła. Musiała leżeć gdzieś wśród poplątanych szczątków sąsiadów, między resztkami roztrzaskanych mebli. Sarę wyrzuciło przez okno i stłukła rękę. Nieduża krzywda porównując z dołą innych.

Gdy tylko piszczenie w uszach zamilkło, uciekała. Uciekała tak szybko, jak tylko pozwalały szesnastoletnie nogi. Biegła na przełaj, chowając się w skorupach domów, próbując dostrzec gwiazdy na wieczornym niebie. Ale nad Warszawą nie było już nieba, jedynie zwały dymu.

Wypełniały płuca odorem prochu strzelniczego i pożaru. Kilka razy przystawała, by złapać oddech, wypić łyk z brudnej kałuży. Natknęła się na piętękę suchego chleba, ale bezpański pies okazał się szybszy. Kaszłała i słała się na nogach, wiedząc, że przerwa, nawet bardzo krótka, nie wchodziła w grę. Trzecia Rzesza była już blisko. Inni, których mijała, przepowiadali, że rodzima armia podda się na dniach, że nie było nadziei. Będą okupowani, a to oznaczało, że zginie jeszcze więcej ludzi.

Po pewnym czasie zabudowania miejskie zastąpiły wiejskie domy, niektóre popalone, inne z drzwiami i oknami rozwartymi na oścież. Nie przyszło jej do głowy, by poszukać szczęścia i spenetrować cudze spiżarnie.

– Żerowanie na cierpieniu innych jest gorsze niż morderstwo – powtarzał ojciec. Ojciec, który zgłosił się do obrony miasta upadającego na ich oczach. Od wielu dni ani matka, ani Sara nie miały od niego żadnej wiadomości. Przez wzgląd na pamięć ojca musiała poszukać jedzenia gdzie indziej.

Nastała już noc, gdy po raz pierwszy zaryła nosem w trawę. Z początku chciała zmusić ciało do dalszego marszu, ale organizm się zawziął. Chłód wrześnie nocy nie pomagał. Mięśnie równe dobrze mogły być odlane z granitu. Leżała, wdychając zapach rosy i traw, tak inny od gryzącego dymu. Była w lesie. Nie wiedziała nawet, że równie gęsty zagajnik rósł nieopodal. Idealna kryjówka dla obcych wojsk. Przez moment spodziewała się odgłosu maszerujących buciorów i szczekliwych rozkazów w nieznanym języku, ale jedynym, co słyszała, były nawoływania nocnych ptaków oraz szum liści. Niedaleko stąd płonęło miasto i umierali ludzie,

ale las trwał niewzruszony, obojętny na wszystko, co nie dotyczyło go bezpośrednio.

Uniosła się na drżących dłoniach, chociaż szybko upadła z powrotem. Nie było sensu walczyć. Sen nadszedł bez zapowiedzi jak zasłona dymu, która nagle otuliła dawny świat. Nie było do czego wracać, ale tutaj, w samym sercu gęstwiny, obojętniała na wszystko.

Zamknęła oczy i śniła. Nie o rodzicach ani Warszawie sprzed pół roku, ale o dziwnym mieście pełnym strzelistych wieżyczek. Niektóre były tak wysokie, że przecinały chmury. Turkusowe marmury i kamienie o barwach tęczy odbijały się w taflach krystalicznych jezior. Podobnie jak okrążył Księżyc, który we śnie posiadał oczy i usta odciśnięte w pucułowatej twarzy. Wąskimi kanałami pływały długie łodzie z latarniami, a maleńcy ludzie spoglądali ku Sarze zza burty. Ich ciała fosforyzowały w ciemnościach, podczas gdy wielkie sowe oczy mrugały w absolutnym terrorze. Bali się jej nie mniej, niż ona ich.

Wyciągnęła dłoń, a wtedy Księżyc spojrział bezpośrednio na Sarę i wizja rozmyła się. W jej miejscu pozostała ciemność. Zerwała się, przy okazji zabierając z gleby sporą garść trawy. Pod koronami pobliskich drzew stał mężczyzna. Zachłysnęła się. Smukła postać, jasne, niemal białe włosy wijące się do granicy ramion i koszula oraz spodnie utkane z tak cienkiego materiału, że zdawały się być dziełem leśnych pajaków.

Z początku wzięła go za dorosłego, może nawet wiekiem zbliżonego do rodziców. Ale gdy wykonał kilka kroków, zrozumiała, że mógł być jej rówieśnikiem. Pociągnęła twarz i szpiczasty nos dodawały powagi, ale nie był stary.

– Jak się tu znalazłaś? – Pytanie zadał rzeczowo i bez ogródek.

Wciąż kompletnie zaskoczona, nie dała rady zmusić głosu, by współpracował. Pokręciła niemrawo głową.

– Nie umiesz mówić?

Używał polskiego, bez akcentu i bez szczególnego wyrazu. Trochę jak nauczyciel, gdy recytował matematyczne formułki.

– Jak ci na imię?

– Sara – przemówiła wreszcie.

– I co tutaj robisz? – Zbliżył się, ale zachowywał bezpieczny dystans. Emanował światłem niewiadomego pochodzenia i tylko dlatego tak dobrze go widziała. Na próżno szukała w jego dłoniach latarni.

– Uciekam przed wojną – odparła cicho.

Usłyszał i oblizał wargi. Na tyle szybko, że zamiast języka zanotowała jedynie długi cień. Zęby też miał osobliwe, bardzo cienkie i długie siekacze.

– Na zewnątrz wybuchła wojna? – zainteresował się, jakby las stanowił odrębne państwo. Skinęła szybko głową. W odpowiedzi westchnął z nutą zniecierpliwienia.

– Zawsze jest jakaś wojna, prawda? – Pochylił się nad nią i zanotowała słodkawą woń. Zapach wiatru hulającego po kwiecistych łąkach.

– Mama została pod gruzami, a ojciec zgłosił się do obrony miasta.

Na jej słowa mężczyzna przekrzywił głowę.

– Czyli chwilowo zostałaś sama. Jeśli pozwolę ci przejść, wiesz, dokąd mogłabyś pójść?

Popatrzyła bez zrozumienia.

– Idę przed siebie. Nie mam pojęcia dokąd.

– Armia, która otoczyła twoje miasto, stacjonuje tuż za granicą lasu. Nie przejdą tędy, bo nie są głupi. – W tym miejscu posłał jej chytry uśmiech. – Niedługo zwyciężą, a wiesz, co się stanie potem?

– Nie – przyznała szeptem.

Płając na czubkach palców, stanął tuż przed nią i pochylił się, ręką muskając kosmyki włosów Sary.

– Świat, który znamy, przestanie istnieć? – zapytała jeszcze ciszej.

Pokręcił głową, rozbawiony do żywego. Ostry paznokcie ukłuł ją w czoło. Odsunęła się, jakby wycelował nożem.

– To zawsze w was było. Nie pierwszy i nie ostatni raz wychyla łeb.

Nie miała pojęcia, o czym mówił. Przypominał zagadkę, która zmaterializowała się pośród drzew.

– Kim jesteś? Nie przedstawiłeś się.

– Jestem kimś, kto przechodził obok i zauważył dziewczynkę omdlałą w lesie. – Zamyślił się na sekundę. – Ale możesz nazywać mnie Rej.

– Rej – powtórzyła, a drzewa zaszumiały imię pośród mroku.

– A teraz powiedz... – Zawinął rękawy pajęczej koszuli. – Jesteś głodna?

– Umieram z głodu. – Sara nie zamierzała udawać. Chwila odpoczynku jedynie wzmogła świadomość, jak bardzo burczało jej w brzuchu.

– To się doskonale składa. – Rej klasnął w ręce. – Niedaleko jest mój dom. Będziesz mogła się najeść, ile chcesz.

– Jesteś bogaty?

– Nie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa.

Podał dłoń, ale Sara jej nie ujęła. Usta chłopaka zadrżały lekko, chociaż nie mogła dojść, czy z zawodu czy z rozbawienia.

– Chodź. – Kiedy ruszył na przód, trzymał dłonie w kieszeniach, a ona podążyła za nim. Gdziekolwiek prowadził, musiało być tam lepiej, niż pośrodku pól z Trzecią Rzeszą czekającą w okopach.

Spodziewała się małego domu, leśnej chatki ukrytej pośród listowia, ale zamiast do budynku Rej zaprowadził Sarę pod pień wiekowego drzewa. Nienaturalnie rozrośnięta jarzębina pochylała ku nim ostre gałęzie. Ciężkie kiście czerwonych koralii nęciły, by sięgnąć ku nim i zerwać, ale Sara nie śmiała nawet drgnąć. Nigdy nie widziała jarzębiny o tak szerokim pniu. Bardziej przypominała kilkusetletni dąb.

– Wejście jest niskie. Proszę, pochyl głowę. – Ostrzegł Rej i sam zaczął iść w kuckach. W pniu drzewa widniała przerwa, otwór jamy na tyle niski, by zmieścić jedynie bardzo małego człowieka.

– Czy tu mieszkają krasnoludki? – zapytała naiwnie.

Roześmiał się głucho, a potem przyłożył palec do ust.

– Cicho. Nie lubią, kiedy inni ich obgadują.

Na czworakach, ramię w ramię, wpełźli do środka jarzębiny. Pień drzewa emanował zapachem grzyba oraz starej ściółki. Kilka czerwonych muchomorów obrastało wewnętrzne ściany. Komora tworzyła nieduży pokój,

idealny, by przeczekać ulewę, ale zbyt płytki, by móc w niej mieszkać czy ukryć się przed wrogiem.

– Tutaj. – Dłoń Reja wyrwała kawał drewna na przodzie.

Gestem zachęcił Sarę, by spojrzeła. Mimowolnie rozwarła usta, a pomiędzy warg uciekło westchnienie. Świat niedużych ludzików o wielkich oczach, który widziała we śnie. Tafla jezior połyskiwała w oddali, a wieżyczki przebijały się przez pokłady chmur. Tym razem widziała coś jeszcze. Suto zastawione stoły na środku placu, który mógł robić za centralną część miasta – rynek swego rodzaju. Zwoje kielbas, puchary owoców i ciężkie bochny chleba zalegały każdy wolny centymetr. Pomędzy nimi zapalono pochodnie. Sekretne miasto szykowało się do świętowania.

– Idź. – Rej pchnął Sarę w plecy. – Nie krępuj się. Wiem, że jesteś bardzo głodna.

Byłoby łatwo posłuchać jego głosu, pokonać szczelinę i sięgnąć po frykasy, ale absolutna cisza po drugiej stronie zastanowiła Sarę. Ulice świeciły pustkami, chociaż w każdej wieży paliły się światła. Mieszkańcy na coś czekali.

– Nie mogę – wychrypiała.

Rej złapał ją za rękę i pociągnął w stronę szczeliny. Skórę miał lodowatą, nie pasującą do jasnej, młodzieńczej twarzy. W dotyku bardziej trup niż żywy człowiek.

– Nie daj nam czekać – kuśił.

Wyrwała się do tyłu i poleciała na plecy. Zasyczał z irytacją, ale nie pomógł jej wstać.

– Nie mogę, przepraszam. To była pomyłka... – Pobieгла, jeszcze zanim skończyła mówić. Odpoczynek w lesie dodał jej sił i kiedy wypadła z pnia jarzębiny, pognąła przed siebie. Wybrała północ, licząc, że obce wojska nadciągały od zachodu. Drzewa próbowały ją zatrzymać, szarpiąc ubranie i włosy, ale nie poddała się. Serce zatrzepotało radośnie, gdy dostrzegła błyski lamp. Skraj lasu. Potknęła się o coś miękkiego i wyrznęła jak długa. Ból odezwał się w stłuczonej wcześniej ręce. Dopiero po dwóch głębszych oddechach sprawdziła otoczenie. Zwłoki. Prawdziwy las trupów. Pisk uwiązał w gardle i uciekł między zębami pod postacią stłumionego skowytu. Ciała musiały puchnąć na dworze od dobrych kilku dni. Byli tu wszyscy: mężczyźni, kobiety i dzieci. Kilka domów płonęło na horyzoncie – jedna z podwarszawskich wiosek. Resztki samochodu i wozów zalegały rowy. To było wszystko, co zostało. Jeśli wcześniej łudziła się jeszcze, że miała dokąd uciekać, w tamtej chwili dostała odpowiedź.

Rej stanął na skraju lasu. Zaanonsował go szept liści i pachnący wiatr z ziejącej czernią gęstwiny. Poza lasem jego blask nie działał. Sylwetka chłopaka tonęła w mroku.

– Uciekaj, ile chcesz, ale istnieje tylko jedno miejsce, do którego możesz się teraz udać. – Zrobił pauzę, ważąc słowa. – Jedyne bezpieczne miejsce.

– Kim jesteś? – Po raz pierwszy użyła wobec niego suchego tonu. Brzmiała wtedy zupełnie jak matka.

– Jestem dzieckiem lasu. Zostań ze mną, a las cię ochroni. Przetrawsz wojnę. Tę i każdą następną, a wierz mi, będzie ich więcej.

Sara zacisnęła zęby, aż poczuła ból wszystkich trzonowców. Dygotała z zimna, a dziki głód odbierał moc

logice. Jeszcze zanim otworzyła usta, wiedziała, że drugi raz mu nie odmówi.

– Jeśli z tobą pójdę, obiecasz, że mnie nie znajdą?

– Nigdy. – Szept zatańczył przy jej uchu, kiedy Rej wyciągnął rękę. Ujęła ją i poszła za nim.

Las przyjął ich niczym zbłąkane dzieci, a im dalej się zagłębiali, tym szczelniej gałęzie zasklepiały się nad nimi. Stara jarzębina czekała, a w niej wrota do osady małych ludzi. Miasto o ostrych wieżyczkach, gdzie Księżyc spoglądał łaskawym okiem. Rej pchnął Sarę w stronę otworu i nie opierała się, gdy porwał ją nurt. Zacisnęła powieki.

Nie był dezertorem. Kiedy człowiek ratuje własną skórę w obliczu masakry, nikt nie ma prawa go za to winić. Tak Waław tłumaczył sobie decyzję o niechlubnym opuszczeniu polskiego wojska. Oczywiście, gdy go znajdą, zarówno swoi, jak i obcy, zostanie rozstrzelany. Ale lepsze to, niż trafić z transportem do więzienia, albo jeszcze lepiej do tych obozów, gdzie niby kazali ludziom pracować, a kominy podejrzenie dymiły przez okrągłą dobę. Ten kraj był skończony. Okręt tonął i każdy rozsądny marynarz powinien skoczyć za burtę. I Waław nie był sam. Zenek, ledwie dziewiętnastoletni szczawik, poszedł za nim bez mrugnięcia. Dziesięć lat różnicy wieku robiło swoje i z miejsca potraktował Waława jak mistrza.

Przedzierali się przez spopielone wiochy, kiedy natrafili na ten las. Przeklęty, jak mawiało miejscowe porzekadło. Kto wchodził raz, nie wychodził w ogóle, albo

z pomieszzanymi zmysłami. Drwale od pokoleń nie rąbali tu drewna, a stare baby na zapieckach opowiadały o leśnych nimfach, które mieszkaly w jarzębinie i nocami żywiły się ludzkim mięsem.

– Ciemno tu – zawyrokował Zenek, przyciskając karabin do piersi. – I jesteśmy za blisko Warszawy.

– Najciemniej pod latarnią, słyszałeś to kiedyś? – burknął Waław.

Mieli latarki, ale te należało oszczędzać na sytuacje krytyczne. Młody umilkł i przez moment posuwali się w milczeniu. Droga była wyboista, zarośnięta jak diabli. Kilka badyli dziabnęło Waława pod okiem, jakby celowały z rozmysłem. A potem usłyszał krzyk Zenka.

– Wodzu, musisz to zobaczyć!

Dziwny to był las. Kompletnie pozbawiony echa. Niby otaczała człowieka głusza, a czuł się jak zamknięty w podziemnej norze. Waław wygramolił się z krzaków, by zobaczyć Zenka kucającego pod pnem zdziczałej jarzębiny. Drzewo z piekła rodem. Wielki pień rozsadzony pod naporem czasu i zaschnięte, poczerniałe owoce. Już kiedy się zbliżał, poczuł odór pleśni.

– Zdechłego drzewa nie widziałeś? – sapnął Waław. – Rusz się, nie możemy tu zamarudzić.

Poprawił strzelbę na plecach i czapkę, która obsunęła się poniżej ucha. Mundurów dawno się pozbyli i zamienili na stroje biednych wsioków, których SS rozstrzelało Bóg wiedział za co.

– Tu jest otwór. – Zenek wskazał szczelinę, przez którą dorosły chłop mógł się tylko czołgać z wciągniętym brzuchem. – Byłem w środku.

– I co znalazłeś?

Chłopak zagryzł wargę i błysnęło mu w oczach.

– Trupa żem znalazł.

– Trupa? Nasz czy obcy?

– Chyba nasz. – Spuścił wzrok. – To dziewczyna.

Wacław zamrugnął oczami. Kucnął przy otworze i poświecił latarką. Zenek nie kłamał. Pod przeciwległą ścianą leżała kobieta. Brudna spódnica, znoszone trzewiki i dziurawy sweter otulający ciało sugerowały, że skądś uciekała.

– Pewnie z Warszawy – bąknął. – Kiedy brali miasto, część ludzi spanikowała.

Schylił się jeszcze bardziej i precyzyjnie do wnętrza jarzębiny. Cuch trupa był nie do pomylenia. Podobnie jak nabrzmiałe kończyny dziewczyny i sine plamy na twarzy. Całkiem ładna musiała być za życia, chociaż Kostucha zdążyła już wciągnąć džiaśta i policzki. Czarne włosy i dobra cera. Nie pomylił się, dziewczyna z miasta. Wciąż miała otwarte oczy, a na ustach zastygły śmiech. Cokolwiek ją tu dopadło, sprawiło jej wcześniej radość.

– Wodzu, lepiej stąd chodźmy – ponaglił Zenek.

Wacław drgnął i sprawnym ruchem dłoni zamknął dziewczynie powieki. Oczywiście zasprężynowały. Ciało było zbyt sztywne. Wycofał się, po czym wrócił na zewnątrz, gdzie zgasił latarkę. Zenek przestępował z nogi na nogę.

– I co?

– I nic. – Wzruszył ramionami, prowokując przedłużające się milczenie.

Pochowali wielu kompanów i z biegiem czasu człowiek niby się przyzwyczaja, ale takie widoki zawsze podcinały skrzydła. Dlaczego nie starała się poszukać schronienia w wioskach, których jeszcze nie przejął Wehrmacht? Dlaczego weszła do przeklętej jarzębiny?

– Żyjemy w dziwacznych czasach, Zenuś – mruknął Wacław. – Tylko zmarli mają odwagę się uśmiechać.

Nocne ptaki zatrzepotały nad nimi i rozległ się przesywający skrzek. Odeszli w pośpiechu, ściskając karabiny i strzelbę. Były jedynym, co znaczyło dla nich granicę między życiem a śmiercią. Kiedy znikali pośród wysokich krzewów, delikatny wiatr wygrywał na liściach perlistą melodię, którą wprawne ucho mogło wziąć za śmiech. Smukłe cienie spoglądały zza pokracznej jarzębiny. Ruszona przez dezertarów ściółka przyduszała natrętnym odorem. Zapachem przemocy i nienawiści. Zapachem śmierci i absolutnej ciszy.

PIOTR ŻYMEŁKA

NA DNIĘ CIEMNOŚCI

Otworzyłem oczy, gdy pierwsza łopata ziemi spadła na wieko mojej trumny. Drewniany sarkofag był nieco przyciasny i grabarze mieli wcześniej spory problem, żeby mnie w niego wcisnąć. Pomagali sobie kolanami, więc czułem teraz tępy ból w ramionach. Ale jeśli pozorujecie własną śmierć, trzeba się liczyć z niedogodnościami, prawda?

Przez ostatnie kilkanaście lat pełniłem zaszczytną funkcję szeryfa Dead Creek, niewielkiego miasteczka zagubionego pośród bezkresnych przestrzeni Utah. Zadanie miałem ułatwione, ponieważ jako żyjący od prawie dwóch tysięcy lat wampir nie musiałem przejmować się świszczącymi koło ucha kulami z rewolwerów i winchesterów, trucizną dolaną do whisky, oskalpowaniem, groźbą powieszenia, wizją spalenia żywcem czy znalezieniem noża w plecach. Tego samego nie dało się oczywiście powiedzieć o moich przeciwnikach – brudnych i zepsutych do szpiku kości bandziorach, wszelkiej maści desperados szukających draki, czujących się bezkarnie mordercach i wielu innych indywiduach, których można

wyłowić z ludzkiego szlamu. Robota naprawdę mi się podobała, ale cóż, jak wszystko, co w życiu dobre (złe na szczęście też), musiała się kiedyś skończyć. Ząb czasu mnie nie narusza, więc zawsze staram się ewakuować, nim zdążą to spostrzec okoliczni nadgorliwcy w zwalczaniu tego, czego nie rozumieją, a więc między innymi istot nadnaturalnych. Kilka razy w przeszłości nie wykażałem się wystarczającym refleksem i... powiedzmy, że rany od wideł, noży, maczet, mieczy, kul, szrapneli oraz zaostzonych patyków wbitych w różne miękkie części ciała goją się zaskakująco długo.

Spakowałem manatki, napisałem list „samobójczy”, w którym wyjaśniłem, że mam dość, nie wytrzymuję presji i inne podobne brednie, a potem dokonałem żywota w swoim biurze. Najgorsze w tym wszystkim było to, że strasznie dużo czasu zajęło, nim ktoś mnie znalazł. Półtorej dnia dyndałem pod sufitem niczym wahadło jakiegoś makabrycznego zegara. Nudy jak cholera. Za to potem poszło szybko – wezwali łapiducha, takiego od koni, bo lekarz z prawdziwego zdarzenia mieszkał w miasteczku oddalonym o dziesięć dni jazdy dyliżansem. Serce mi nie bije, więc nawet dla weterynarza z zapadłej wiochy na Dzikim Zachodzie było jasne, że odwaliłem kitę. Następnie pofatygowano się po grabarza i w ciągu sześciu godzin (liczyłem!) zaczęli kopać dół, do którego mnie w końcu opuścili. Teraz na wieko trumny spadały kolejne łopaty ziemi, a ja mogłem wreszcie przestać udawać sztywniaka. Wprawdzie połowicznie, bo nadal musiałem czekać pod ziemią, aż nieliczny tłum żałobników się rozejdzie.

Po upływie czasu, który wydał mi się odpowiedni, postanowiłem wrócić do świata żywych. Wymagało to nieco

siły, twardych pięści i sporo determinacji, ale dla chcącego nic trudnego. Przekopując się w stronę powierzchni, miałem nadzieję, że zapadła już noc. Bo wierzcie mi, nie ma nic gorszego, niż wyłonić się z grobu na oczach spanikowanych ludzi odwiedzających nekropolię. Wiem, co mówię, zdarzyło mi się kilka razy. Na szczęście dobrze oszacowałem porę i gdy wydostałem się z dołu, na niebie świecił księżyc w pełni.

Szybko oddaliłem się z cementarza, zabrawszy tylko przemyślnie wcześniej ukryty rewolwer i sporo gotówki. A później pieszo dotarłem do najbliższej stacji kolejowej – zabrało to kilka dni – i ruszyłem na jeszcze dziwszy zachód.

W pociągu zająłem miejsce przy oknie, licząc, że jeśli będę się wystarczająco intensywnie wpatrywał w krajobraz za szybą, uniknę jałowej, czyli w zasadzie jakiegokolwiek konwersacji. Nie wiedziałem, dokąd zmierzam, ale nie obchodziło mnie to. Potrzebowałem jakiejś odmiany od ścigania bandziorów. Na szczęście duży zapas dolarów sprawił, że nie musiałem się w najbliższej przyszłości o nic martwić.

Kilka godzin upłynęło nad wyraz spokojnie, a przesuwająca się za oknami monotonna preria, poprzetykana gdzieniegdzie niewielkimi wzgórzami i kaktusami, sprawiała, że powieki same zaczęły mi opadać. Nie potrzebuję aż tyle snu, co zwykli śmiertelnicy, ale ja to akurat lubię. Niestety, tym razem nie dane mi było odpłynąć do królestwa Morfeusza. Przedemną usiedli bowiem dwaj

dżentelmeni i zaczęli między sobą rozmawiać. Ich słowa dolatywały do moich uszu i to nawet bez wyostrzenia słuchu. Zaciekawilo mnie, o czym opowiadali. Gdybym wtedy wiedział, co stanie się później, czym prędzej wyskoczyłbym z tego pociągu na łeb...

– To mówisz, Winston, że nie wierzysz w ani jedno jego słowo? – odezwał się pierwszy jegomość, z okazałymi bokobrodami, które łączyły się w jedno z imponującym wąsem pod jeszcze bardziej imponującym nochem.

Winston, otyły mężczyzna w nieco sfatygowanym meloniku, chrząknął.

– Coś ty, Wilbur, głupoty gadał!

Wilbur nie dał się zbić z tropu. Skrzywił się i powiedział:

– Jak dla mnie wcale nie zmyślał. Wprawdzie to, co mówił, brzmiało trochę nieprawdopodobnie...

– Nieprawdopodobnie?! – przerwał mu Winston. – Wyssane z palca opowieści o nawiedzonym mieście nieprawdopodobne?! Toć to kompletna bzdura! Facet jest nienormalny albo głupi! Albo jedno i drugie!

Nadstawiłem ucha. Pociągają mnie wszelkie miejsca, gdzie rzekomo pojawiają się siły nadprzyrodzone. Zazwyczaj dlatego, że to bujda – proste umysły przypisują mocom nadnaturalnym rzeczy, których nie potrafią wyjaśnić. Kiedyś ludzie modlili się do słońca, a później zastąpili to religiami, wszędzie widząc demony lub cuda. Ale czasami rzeczywiście można natknąć się na jakies paranormalne byty. Zazwyczaj kończy się to jednak źle i powoduje ogromne kłopoty dla wielu istnień. Z reguły staram się trzymać od tego z daleka, bo walka z nadnaturalnym to żadna przyjemność, ale jednocześnie ta

przeklęta ciekawość ciągnie mnie do sprawdzenia, czy tym razem ktoś rzeczywiście spotkał kogoś z innej płaszczyzny istnienia.

Na szczęście mężczyźni, pogrążeni w rozmowie, nie zwracali uwagi na otoczenie i nie zauważyli, że zacząłem się im przysłuchiwać.

– Posłuchaj, Wilbur – ciągnął Winston z głębokim przekonaniem o słuszności swoich poglądów. – Nie wierzę, że w tej zapadłej, opuszczonej przez Boga i ludzi dziurze straszy. Stary wariat rozpusza takie plotki, żeby dobrać się do złota. A inni je powtarzają.

Wilbur nie wydawał się przekonany.

– Tam żadnego złota już przecież nie ma. Dlatego wszyscy mieszkańcy opuścili miasto.

– Wszyscy oprócz tego dziada, Billy’ego Cane’a. I nawet jeśli złoża się wyczerpały, to on najwyraźniej wciąż wierzy, że znajdzie fortunę. To świr.

Bardzo chciałem poznać nazwę tej tajemniczej miejscowości. Nawet myślałem, czy by nie włączyć się do rozmowy, ale Wilbur wybawił mnie z kłopotu:

– W każdym razie moja noga nigdy nie postanie w Hangman’s Gulch. Nawet jeśli nic tam nie straszy, nie mam zamiaru dostać kulki w pierś od obłąkanego starca. No i nie zapominaj o tej tragedii...

Drugi z jegomości tym razem nie próbował już dyskutować z towarzyszem.

– Racja. To straszne. Taka strata... Kobiety i dzieci... Tylko o tym słyszałem, ale już same opisy napawają mnie przerażeniem.

Zapadła długa cisza, po której Wilbur zmienił temat. Obaj rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, lecz przestałem słuchać. Wiedziałem natomiast, gdzie udam się w następnej kolejności.

Hangman's Gulch, tydzień później

Na przedmieściach Salt Lake City kupiłem konia. Młody, o jasnym umaszczeniu, rażno galopował przez prerię. Z początku musiał się do mnie przyzwyczaić, zazwyczaj bowiem zwierzęta wyczuwają, że nie jestem zwykłym człowiekiem i reagują bardzo nerwowo, ale ten ogier miał odważną duszę, więc szybko udało się go okiełznać. Rozpytywałem też o Hangman's Gulch, ale jedni robili wielkie oczy i nie chcieli rozmawiać, a inni wykonywali znak krzyża i zaklinali na wszystkie świętości, żebym się tam nie udawał, bo to upiorne i przeklęte miejsce. Zaciekawili mnie jeszcze bardziej.

Już z daleka dostrzegłem, że Hangman's Gulch, zgodnie z tym co usłyszałem w pociągu, zostało dawno opuszczone. Zaniedbane budynki, wiszące krzywo szyldy, wybite szyby i ogólny brak życia – nikt nie zachwalał swoich towarów, kury nie przechadzały się ulicami, nie zauważyłem też ani jednego człowieka. Na miejsce dotarłem o zmierzchu, ale w żadnym z budynków nie paliły się lampy, nigdzie też nie widziałem ogniska ani nawet płomienia lampy olejnej czy świecy.

Poczułem za to niepokój. Taki podskórny, trudny do zidentyfikowania. Zupełnie jakby jakaś zadawniona

groza, lata temu uśpiona, obudziła się w złym nastroju. Nagle w powietrzu zawisł również strach. Ciemne fasady budynków sprawiały teraz wrażenie zmieniających kształty, surrealistycznych potworów, otwory okienne z wybitymi szybami wyglądały jak oczy złowrogo mi się przyglądające, a puste framugi po drzwiach – jak usta pragnące mnie pożreć. Przepływające przez szpary między deskami podmuchy wiatru wydawały dźwięki przypominające słowa z jakiegoś pradawnego, nieznanego języka. Gdzieś skrzypiały stare okiennice. Na prerii, daleko za miastem, zawył kojot. Zrobiło się też jakby chłodniej.

Mimowolnie zadrzałem. Tu działo się coś złego. Jeszcze nie wiedziałem, co zrobię. Przyjechałem tu bez konkretnego zamiaru. Po prostu rozejrzeć się i zorientować w sytuacji.

Wtem w powietrzu rozległ się huk wystrzału. Obok jednej z nóg konia wykwitła fontanna piasku. Zwierzę zarżało, ale nie spanikowało. Dobry konik.

– Czego tu szukasz, przybłądo? – zabrzmiał szorstki głos.

Rozejrzałem się dyskretnie i mniej więcej zlokalizowałem miejsce, z którego dochodził.

– Przejeżdżałem akurat w pobliżu i...

Znów strzał i jeszcze jedna fontanna piasku.

– Łiesz! Nikt tu nie trafia przypadkowo!

Zagryzłem zęby. Mój tajemniczy rozmówca nie mógł mi zrobić poważniejszej krzywdy swoimi kulami, ale nigdy nie wyzbywam się od razu asów w rękawie.

– Ma pan rację. Jestem dziennikarzem i zainteresowała mnie historia tego nawiedzzonego miasta.

Zapadła długa cisza. Mężczyzna zastanawiał się zapewne, czy mi uwierzyć, czy też kolejną kulę posłać w mój tors albo w czachę. Minęło chyba kilkadziesiąt sekund, nim znów się odezwał.

– Powoli, bardzo powoli zsiądź z konia. Później łapy w górę!

Zrobiłem, co kazał.

– I co teraz? – spytałem.

– Pogadamy.

Mężczyzna, który okazał się starszym człowiekiem z siwą, zaniedbaną brodą, w znoszonym, przybrudzonym miejscami ubraniu, poprzecieranych spodniach ogrodnickich i postrzępionym kapeluszu, zaprowadził mnie do saloonu. Ani przez chwilę nie opuszczając lufy winchestera mierzącej w środek moich pleców. Facet miał ewidentne problemy z zaufaniem.

Saloon wyglądał na typowy przybytek, jak Stany długie i szerokie. Po przejściu huraganu i eksplozji kilku lasek dynamitu. Powywracane stoły, połamane krzesła, krzywe półki za pełnym dziur kontuarem, przewrócone pianino, rozbite lustro i niekompletne schody bez poręczy prowadzące na górę. Pod jedną ze ścian znajdowała się scena, nad którą smętnie wisały resztki kurtyny. Nawet żyrandol zwisał z brudnego sufitu pod dziwnym kątem, a większość świec z niego pospadała. O dziwo, przy ladzie stało kilka stołków w całkiem niezłym stanie.

Stary kazał mi zająć jeden z nich, po czym usiadł na drugim, w odpowiedniej odległości, i dokonując cudów ekwilibrystyki, sięgnął pod bar i wydobył stamtąd dwie oszczerbione szklanki oraz butelkę whisky. Wciąż mierząc do mnie z karabinu, wyciągnął ustami korek i solidnie połał.

– Do dna! – polecił, a tłuste włosy opadły mu na policzek.

Cóż miałem robić. Są dwie sytuacje, w których nie odmawia się alkoholu – będąc w Polsce (choć kraju tego nie ma już na mapach) lub gdy ktoś trzyma cię na muszce. Wychyliłem szklanicę. Alkohol był podły i palił przetyk, jakby ktoś siłą wepchnął mi w gardło rozżarzony pogrzbacz (co zresztą miało kiedyś miejsce, nie polecam).

Z hukiem odstawiłem szklanicę na blat i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Mało! – powiedziałem zdecydowanie.

Dziadek połał na drugą nóżkę. Wypiliśmy. Sytuacja powtórzyła się kilka razy. Muszę przyznać, że miał chłop mocną głowę i przebiłby nawet syberyjskiego drwala, który wyrósł karmiony spirytusem i niedźwiedzim mięsem. Nie wziął pod uwagę tylko jednego (bo nie mógł o tym wiedzieć) – alkohol na mnie nie działa. To znaczy działa, ale musiałbym wypić połowę tego, co ważę. Tak więc po godzinie oldtimer miał już ostro w czubie, jego czerwony nos nabrał teraz barwy dojrzałej wiśni poprzetykanej fioletowymi żyłkami, a ja czułem się trzeźwy jak rabin w szabas.

– Po co żeśśś... tu przy... przyjechaała? – wybełkotał Billy, próbując nalać kolejkę.

Nie trafił do szklanki i sporo alkoholu wylało się na kontuar. Nie było to oczywiście zbyt mądre z jego

strony – nawalić się jak dzika świnia w obecności nieznanego, ale trochę mu pomogłem podjąć tę lekkomyślną decyzję, wpływając na jego umysł. Normalnie odznaczał się silną wolą, jednak gdy procenty zaszumiały w głowie, stał się podatny na sugestię z mojej strony. Nakłoniłem go więc, by pił dalej.

– Słyszałem o tym miejscu. Że jest nawiedzone. Zaintrygowało mnie to, choć nie wierzę w podobne bajki – zacząłem.

Oldtimer klepnął się w dłoń w udo.

– Hangman’s Gulch to najba... rdziej nawiedzzzzzona dziura na całym, hik, Zachodzie! Każdy ci to powie! Hik!

Rozejrzałem się demonstracyjnie i z lekkim znużeniem.

– Naprawdę? Wyjątkowo tu spokojnie...

Kłamałem. Atmosfera wokół była tak gęsta, że gdyby zaczął padać krwawy deszcz, a przede mną zmateriałizował się Belzebub z zastępami piekielnymi i urządzili rzeź niewiniątek, to nawet bym się specjalnie nie zdziwił. Włoski na przedramionach miałem tak nastroszone, że widząc je, pruski instruktor musztry zzieleniałby z zazdrości.

Dziadek zapatrzył się w przestrzeń. Gdy zaczął mówić, sprawiał wrażenie, jakby w momencie wytrzeźwiał. Ale zapewne po prostu skupił się na wspomnieniach, co przegnało na chwilę alkoholowe upojenie.

– Dawno temu, będzie ponad dziesięć lat, Hangman’s Gulch tętniło życiem. Gdy rozeszła się wieść, że w pobliżu znaleziono złoto, zjechali się tutaj ludzie z całego stanu. A i z okolicznych nie brakowało gości. Otwierali sklepy, pralnie i inne przybytki, a w saloonie co wieczór tańczyły

dziewczyny z trupy Miss Boulevard, z samego Paryża! Wszystko dzięki tym niepozornym żółtym kamynom!

Strasznie się zapalał, gdy wspominał o złocie. Widywałem już takie zachowania. Potrafiły odebrać rozum, wpędzić w paranoję i obsesję. Trochę jak z miłością, tylko chyba jeszcze gorzej.

Czknął i pociągnął solidy łyk ze szklanki.

– Tak, miasto prosperowało. Piękne czasy... – Rozmarzył się. – Czasem wybuchały bijatyki, jacyś bandyci chcieli się wzbogacić i napadali na bank lub dyliżans. Ale to w tych stronach normalne.

W podobnych historiach idylla zazwyczaj nie trwa długo, więc spodziewałem się dramatycznego zwrotu. I rzeczywiście.

– Aż zaczęły dziać się dziwne rzeczy. – Znów pociągnął łyk.

– Jakie rzeczy?

Otarł usta rękawem i podjął:

– Najpierw pojawił się indiański szaman i twierdził, że miasto zbudowano na starym cmentarzu. Zawodził jakieś ichnie pieśni, wrzeszczał i wymachiwał kijami. Przegnałszy go na cztery wiatry.

Takie działania zazwyczaj nie kończą się dobrze.

– Zgaduję, że to był błąd?

Billy wzruszył ramionami. Wzrok miał nieco mętny, ale mówił rzeczowo, jeśli nie liczyć czkania.

– Przez parę miesięcy panował spokój. Ale później... Później się zaczęło. Z początku to były drobnostki. Komuś odpadło koło od wozu, zdechł koń albo ktoś złamał

nogę. Z czasem jednak pechowych przypadków przybywało. A po jednej z popijaw szuler Earl White utopił się w korycie przed saloonem.

Przysłuchiwałem się tej historii, podejrzewając, co będzie dalej.

– Po tym zdarzeniu znów przez chwilę było spokojnie. Aż wydarzyły się te tragedie... – Pokręcił głową z rezygnacją.

Zapadła cisza. Opowieść w połączeniu z atmosferą tej zapadłej, zrujnowanej dziury sprawiły, że wzdrygnąłem się mimowolnie.

– Jakie tragedie? – spytałem, by popchnąć historię do przodu oraz odgonić nieprzyjemne myśli.

Billy spojrział na mnie i zamrugał, jakby przypominając sobie, gdzie jest.

– W pobliskiej kopalni – kciukiem wskazał kierunek – zginęło czternastu górników. Zawalił się szyb i zostali pogrzebani. Słyszeliśmy, jak krzyczą, próbowaliśmy się do nich dokopać. Nie zdążyliśmy. Wszyscy zmarli. Z ran, z pragnienia, z braku powietrza... Nawet nie wydobyliśmy wszystkich ciał. Nie daliśmy rady. Gdy ich znaleźliśmy, robactwo, szczury i muchy już zaczęły żer. Nie wiem, jak się tam dostały, może przez jakieś szczeliny. I ten smród... Nigdy go nie zapomnę!

Ostatnie zdanie wykrzyczał. Może aby zdystansować się od tej makabrycznej historii. Okropne wspomnienia sprawiły, że praktycznie całkowicie wytrzeźwiał.

– Mówiłeś, że tragedii było więcej... – wtrąciłem.

Uniósł na mnie umęczony wzrok. Myślałem, że już nie będzie chciał wracać do przeszłości, ale po chwili odezwał się ponownie:

– Tak. Gdy trwała jeszcze akcja ratunkowa, wydarzyło się kolejne, jeszcze gorsze nieszczęście. Spłonął kościół.

Gwałtownie zamrugalem. Może ktoś nazwie mnie zbyt cynicznym, ale potrafię sobie wyobrazić większe dramaty. Po chwili jednak Billy dodał coś, co zmroziło mi krew w żyłach. To znaczy zmroziłoby, gdyby była ciepła.

– Podczas nabożeństwa. W środku znajdowało się ponad sześćdziesiąt osób, głównie kobiet i dzieci. Modliły się tam, a mężczyźni ratowali górników. Wybuchł pożar, nikt nie zdołał się wydostać z płomieni. Wszyscy zginęli.

Nie wiedziałem, jak to skomentować. No bo co można w takiej sytuacji powiedzieć? Na szczęście Billy nie oczekiwał, że się odezwę.

– Spłonęli żywcem. Mężowie i ojcowie oszaleli, gdy wrócili do miasta. Wielu z nich odebrało sobie życie. Hangman's Gulch już nigdy nie podniosło się po tym wydarzeniu. Ludzie zaczęli stąd uciekać. Zresztą złoża złota i tak były już na wyczerpaniu...

Teraz to ja pociągnąłem solidny łyk whisky. Pożałowałem, że nie mogę się po prostu nawalić. Słuchanie takich wstrząsających historii to naprawdę żadna przyjemność. Nawet jeśli w czasie swojego długiego życia widziałem sporo okropieństw.

– Ty jednak tu zostałeś – zauważyłem, pragnąc prze-rwać milczenie.

Wydął usta.

– Rodziny nie mam, lat też sporo już na karku, zawsze byłem samotnikiem. Uznałem, że starych drzew się nie przesadza.

Przyjrzałem mu się uważnie.

– Nie bałeś się, że i ciebie spotka jakaś tragedia?

Pokręcił głową.

– Jak widzisz, minęło kilka lat, a ja wciąż żyję. – Roześmiał się głośno, ale odrobinę nerwowo.

Przyjrzałem mu się uważnie. Nie trudił się nalewaniem do szklanek, pociągnął alkohol z butelki. Wydoił prawie wszystko, odstawił ją na blat i uśmiechnął się smutno, ukazując brudne, zepsute zęby. Odechciało mi się kolejnej porcji trunku.

– No, pogadaliśmy, czas spać! – zarządził oldtimer.

Zdziwiłem się, sądząc, że zyskałem jego zaufanie. Po tak krótkim czasie wydawało się to mało prawdopodobne. I skrajnie głupie ze strony Billy’ego. Przecież mnie nie znał. Procenty procentami, ale jakąś dozę zdrowego rozsądku warto zawsze zachować.

Szybko jednak rozwiązał moje wątpliwości.

– Zapraszam do biura szeryfa, hik, mają tam pierwszorzędne prycze i wygodną celę. W sam raz dla nieznaaa... jomych!

Wróciło alkoholowe upojenie, najwyraźniej nieodpychane już przez wspomnienia.

Wprawdzie bycie zamkniętym na noc w mieście, w którym każdy ciemny kąt przyprawia o palpacje serca i w którym nawet piasek wydaje się złowrogi, nie stanowiło mojego ulubionego sposobu spędzania wolnego czasu, ale póki co musiałem grać zgodnie z jego zasadami.

Zazwyczaj, gdy wstaje dzień, wszelkie nocne strachy bledną i wydają się głupie. Ale nie w Hangman's Gulch. Prawdę mówiąc, jakimś cudem groza tylko się zwiększyła. Paradoksalnie fakt, że nie pasowała do anturażu, potęgował ją, eliminując jakiegokolwiek poczucie bezpieczeństwa. Promienie słońca nie tylko nie odpędziły lęków, ale wręcz zdawały się je podsycać. Niby grzały, ale jakoś inaczej niż zwykle. Przyjemny zazwyczaj wietrzyk kąsał skórę, a łagodne w normalnych okolicznościach kształty chmur zdawały się raczej złowrogie. Jakby ktoś nałożył na rzeczywistość filtr wysysający radość i napełniający wszystko podskórnym niepokojem.

Ruiny miasta osaczały i miałem wrażenie, że powoli, acz nieustannie nad moją głową zamyka się jakaś śmiertelna pułapka. Do tego dochodziło stałe poczucie czyjejs obecności. Jak gdyby ktoś, oprócz Billy'ego oczywiście, ciągle mnie obserwował. Miałem coraz mniejszą ochotę na eksplorowanie tej dziury i poważnie zastanawiałem się, czy nie spieprzać stąd byle dalej. Ciekawość ciekawością, ale nie ma co wsadzać łapy między drzwi a framugę. Zwłaszcza, że istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś tymi drzwiami przywali i zmiażdży ci palce.

Budynek więzienia o dziwo zachował się w dobrym stanie, co zapewne wynikało z faktu, że mieszkał w nim oldtimer, który dbał o mury i wnętrza. Cela jak to cela – drewniana prycza z brudnym i podziurawionym kocem, kraty w oknie, kraty zamiast drzwi i wiadro na nieczystości. Nocowałem w gorszych miejscach, ale atmosfera Hangman's Gulch przyprawiała o ciarki, co potęgowało wrażenia. Przyjrzałem się metalowym prętom oddzielającym mnie od wolności. Nawet mimo mojej nadludzkiej

siły nie zdołałbym ich wyłamać. Budowniczo wie się sprawili, ale nic w tym dziwnego, wszak cela miała gościć największe męty, jakie zawitają w te strony. Nigdy nie można być zbyt ostrożnym.

Billy chrapał jeszcze w najlepsze, a ja bardzo chciałem rzucić okiem na ten feralny kościół. Wciąż nie mogłem strząsnąć z siebie makabrycznej opowieści. Przez wieki naoglądałem się mnóstwa okrucieństwa, widok Jerozolimy skąpanej we krwi, gdy zdobyli ją krzyżowcy, nadal czasem śni mi się po nocach, ale... Wizja ginących w płomieniach dzieci i kobiet ruszyłaby nawet Zenona z Kition. Choć jeśli czegoś się przez te wszystkie lata nauczyłem, to tego, że śmierć nie wybiera, wszystkich kosi równo. Przy czym nadal wydaje mi się wyjątkowym skurwysyństwem, jeśli jej ostrze trafia na dziecko. Nie wiem, czy istnieje Bóg albo inny byt zarządzający całym tym burdelem, ale musi mieć wyjątkowo mroczne poczucie humoru. A jeśli wszystkie te gówna, które dzieją się na świecie, miałyby wynikać z jakiejś innej jego cechy lub zachcianki, chyba lepiej, żeby jednak pozostał mrzonką. Choć w zasadzie jeśli umiera pięciolatek albo młoda kobieta w ciąży, to czy jest jakaś różnica między wkurwianiem się na bóstwo albo na zwykłą przypadkowość? Wszak niezależnie od przyczyny boli tak samo...

– Ej! – krzyknąłem, chcąc obudzić oldtimera i przegnać niewesołe myśli. – Dziadek! Wstawaj!

Z początku Billy tylko przewrócił się na drugi bok, ale gdy chwyciłem metalowy kubek i zacząłem przesuwać nim po kratkach, otworzył oczy i zwlekł się ze swojego barłogu. Rzucił jakieś paskudne przekleństwo, splunął prosto na podłogę.

Nie przestawałem wygrywać mu koncertu.

– Przestań! Czego chcesz? – warknął.

– Żebyś mnie wypuścił – odpowiedziałem tym samym tonem.

Billy potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego wieczora, po czym klepnął się w kolano i roześmiał.

– Aleśmy pochłali! – powiedział. – Niewielu potrafi dotrzymać mi kroku przy whisky!

– Świetnie, to możesz teraz otworzyć celę? – spytałem.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym sięgnął po winchestera. Z kieszeni wy dobył klucze i ruszył w moją stronę.

– Dobra! Ale będę cię miał na oku! – Pogroził mi palcem.

Dzwoniąc pękiem kluczy, otworzył drzwi celi. Cały czas starał się mieć karabin w zasięgu ręki, choć nie była to poręczna broń na tak mały dystans. W jego spojrzeniu zauważyłem coś dzikiego i nieobecnego, jakby częściowo przebywał zupełnie gdzie indziej. Zwróciłem na to uwagę już poprzedniego wieczora, ale teraz, w świetle dnia, dostrzegałem to znacznie wyraźniej. Cóż, facet od kilkunastu lat mieszkał sam jak palec w tym przeklętym mieście, to nie powinienem się dziwić, że klepki mu się trochę poprzestawiały. Musiałem wszelako uważać, bo ze świrami różnie bywa.

– Może zjemy śniadanie? – zaproponowałem. – Mam zapas fasoli i kawy.

Stary ożywił się na to drugie, a rysy jego twarzy odrobinę się wygładziły.

– O, świeżo zaparzona kawa to jest to!
Świetnie, najpierw zjemy, a potem się tu rozejrzę.

Posiłek upłynął w całkowicie neutralnej atmosferze. Stary poopowiadał jeszcze o historii Hangman's Gulch, jak miasto świetnie prosperowało w czasach gorączki złota. Mówił o tym z nostalgią, ale wyglądało na to, że on wierzy w powrót tamtych czasów. A może po prostu ich do końca nie opuścił i wspomina szczęśliwsze lata? Przecież każdy tak ma.

Gdy kubki z kawą pokazały dno, powiedziałem, że chciałbym zobaczyć ruiny kościoła. W jego wzroku na ułamek sekundy pojawiła się niechęć i prawdę mówiąc oczami wyobraźni widziałem, jak sięga po winchestera, ale w końcu wzruszył ramionami i pokazał mi kierunek. Nie omieszkał kolejny raz dodać, że będzie mnie uważnie obserwował.

Wyszedłem z budynku szeryfa. Sprawdziłem, czy z moim wierzchowcem wszystko w porządku. Zachowywał się nieswojo, coś go wyraźnie drażniło, ale poza tym był w dobrej formie.

W dzień Hangman's Gulch sprawiało jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż nocą. Gdyby czas chciał się zareklamować, pokazując, jak świetnie wychodzi mu niszczenie tętniących niegdyś życiem miejsc, to miasto mogłoby znajdować się na okładce folderu.

Ruszyłem pustą ulicą, a raczej pokrywającym ją zaschłym błotem. Uczucie niepokoju narastało we mnie

z każdym krokiem. Rozglądałem się, oczekując, że dojrzę w ruinach twarze żądnych krwi bandytów. Ale nic, pusto. Tylko to wrażenie bycia obserwowanym...

W pewnym momencie zorientowałem się, że nie ma tu żadnych ptaków. Ani w ogóle żadnych zwierząt. Zawsze zdarza się przecież jakaś jaszczurka, mysz polna albo skorpion. A tu – nic. Nie widziałem ani nie słyszałem nawet owadów, a muchy to udręka w tych stronach. Zupełnie jakby wszelkie życie omijało to parszywe miasteczko.

W przeszłości zdarzało mi się być parę razy w takich martwych miejscach. I za każdym razem wolałbym o tym zapomnieć.

Zbliżając się do ruin kościoła, coraz wyraźniej czułem czyjąś obecność. Wprawdzie Billy trzymał się w pewnej odległości za mną, ale to nie o niego chodziło. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale miałem wrażenie, że ktoś wwierca we mnie swój wzrok.

Spalony przed laty budynek – a właściwie to, co z niego zostało – wyglądał przynębiająco. Osmalone deski wciąż jeszcze nosiły ślady płomieni, a sterczące w niebo resztki ścian, mocno wygładzone przez wiatr i deszcz przywodziły na myśl palce gigantycznej dłoni zmarłego, który chce się wydostać z grobu.

Wszedłem na miejsce tragedii i przystanąłem w punkcie będącym niegdyś centrum budowli. Choć wiedziałem, że to niemożliwe, przysiągłbym, że czułem woń spoielonego drewna oraz paskudny smród palonych ciał. I coś jeszcze... Coś, co trudno zdefiniować. Słyszałem jakieś słowa, wymykające się wszelkim próbom ich zrozumienia. Jakby ktoś chciał mi coś powiedzieć, ale nie potrafił się do mnie przebić. Jak na okręcie podczas sztormu, gdy

marynarze starają się przekrzyczeć wyjąca okropnie wichurę – ruszają ustami, ale zagłuszanego przez wiatr dźwięku nie da się usłyszeć.

Spalony kościół wciąż promieniał bólem, żalem, paniką i strachem. W miejscach, gdzie wydarzyły się podobne tragedie, emocje jakoś wnikają w ich strukturę. Nie wiem, może niezwykle silne uczucia mogą wpływać na materię, a może to tylko siła sugestii i czułem coś, czego tu wcale nie było. Ale podczas moich wojaży bywałem również na scenach wielkich jatek i za każdym razem, nawet jeśli nie znałbym historii tych miejsc, potrafiłem wyczuć, że jakieś wielkie nieszczęście się tam wydarzyło. Ziemia nasiąka myślami ludzi, szczególnie mocno w chwilach przerażenia i amoku.

Przed oczami pojawiły mi się czarne plamy i zachwiałem się, odruchowo szukając dłonią jakiegoś oparcia. Moje palce natrafiły na resztki jednej ze ścian. Złapałem je, ale mocno naruszone zębem czasu drewno rozsypało się, a ja upadłem na ziemię. I chyba straciłem na moment przytomność. Zapadłem w sen, nie sen. Ujrzałem ten kościół, cały w płomieniach. I krzyczących ludzi, próbujących wydostać się z płonącego piekła. Wrzeszczeli przeraźliwie, drapali w ściany. Nie mogli wyjść. Nie zauważali mnie, skoncentrowani na skazanej na porażkę ucieczce.

Trwało to bardzo krótko. Ocknąłem się, wciąż lekko oszołomiony, i zacząłem gramolić się na nogi. Wciąż jeszcze pod powiekami miałem powidoki... wspomnień?... które z każdą chwilą się zatracaly. Obrazy z przeszłości.

Niepewnie stanąwszy, potrząsnąłem głową. Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. To Billy biegł w moim kierunku.

– Wszystko w porządku? – spytał, ale bez troski w głosie.

Poczułem się nieco lepiej. I od razu wiedziałem też, co powinienem zrobić w następnej kolejności.

– Tak. Już dobrze. – Przeniosłem na niego wzrok. – Proszę mi pokazać kopalnię.

Billy chwilę się opierał, ale odniosłem wrażenie, że generalnie nie miał nic przeciwko. Poprowadził za miasto, przez suchą, spaloną słońcem prerię. Spodziewałem się chociaż tutaj ujrzeć jakieś stworzenia, wszędobylskie muchy albo krążące nad naszymi głowami sępy. Ale nie, jedynym przejawem życia na tym odludziu były z rzadka rosnące kaktusy. Oprócz tego jedynie piasek, kamienie i skały. Nie widziałem nawet karłowatych drzew i krzewów.

Szliśmy w milczeniu, ja na przedzie, a oldtimer za mną. Nie musiałem się oglądać, by wiedzieć, że trzyma winchestera w gotowości i mierzy w środek mojego korpusu. Nie mógł mnie poważnie skrzywdzić, ale to średnia przyjemność biegać z dziurą na pół pleców. No i na domiar złego robiłem się głodny krwi. Zazwyczaj zaspokajam tę potrzebę, polując na szczury lub inne równie poważane przez ludzką stworzenia. Ponieważ jednak Hangman's Gulch było martwe jak biblioteka w piątkowy wieczór, wkrótce będę zmuszony zmierzyć się z ważkim problemem.

– Daleko jeszcze? – zagadnąłem.

– Nie – odburknął Billy.

Nie próbowałem ciągnąć tej konwersacji, więc znów zapadło milczenie. Dalsza droga minęła spokojnie i po jakichś dwudziestu minutach szybkiego marszu – oldtimer miał naprawdę dobrą kondycję – dotarliśmy do podnóża niewielkiej góry. W skale wydrążono korytarz, którego koniec nikał w ciemności, podobnie jak zardzewiałe tory. Przed wejściem, obok szyn leżał przewrócony wagonik. Drewniane szalunki sprawiały wrażenie solidnych, choć wyraźnie widziałem, że są nadgryzione zębem czasu. Nikt nie zabarykadował otworu, najwyraźniej nie było po co.

Spojrzałem w prowadzący w czeluści kopalni korytarz. Ciemność, coraz gęstsza, zdawała się w głębi falować. Mamiła nieostrożnych śmiałków, którzy mają czelność zakłócić jej spokój. Wyteżyłem wzrok, ale nie dostrzegłem nic podejrzanego.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił zupełnie niepotrzebnie Billy.

Pokiwałem głową.

– Wchodzę – oznajmiłem.

Oldtimer splunął pod nogi.

– Też pójdę. Znam te korytarze jak wnętrze własnej dłoni. Beze mnie zgubisz się w ciągu kilku minut.

Wzruszyłem ramionami. Spodziewałem się, że będzie mi patrzył na ręce. Ciekawe po co, przecież w tej kopalni nie ma już złota, więc mogę z niej ukraść najwyżej zardzewiały kilof albo kamienie. Billy mógł też mieć złe zamiary, zobaczymy.

Ująłem lampę górniczą, sprawdziłem, czy jest napełniona tłuszczem, zapaliłem ją i wkroczyłem w tunel. Poczucie czyjejś bliskiej obecności narastało z każdą

chwilą. Zupełnie jakby trzewia tej kopalni stanowiły leże przedwiecznej istoty, nienawidzącej wszystkiego i wszystkich. Nie zaliczam się do osób przesadnie strachliwych, ale wtedy trwoga towarzyszyła mi cały czas, narastając, gdy zagłębiałem się w tunel.

Odgłos naszych kroków wracał, zwielokrotniony przez echo. Gdzieś kapąła woda, a pęd powietrza świszczwał w szczelinach skalnych. Słyszałem też chrapliwy oddech Billy'ego i przyspieszone bicie jego serca. Wizyta w tym miejscu niezmiernie go ekscytowała, martwiłem się, że mi tu wykorkuje.

Szliśmy równym tempem. Korytarz sprawiał wrażenie zaciskającego się coraz bardziej nad nami, choć wiedziałem, że to tylko iluzja. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu zagłębiania się w trzewia śpiącego potwora.

– W którym miejscu wydarzyła się tragedia? – spytałem.

Billy wyciągnął dłoń przed siebie.

– Jeszcze trochę.

Szedł za mną i trzymał lampę, która oświetlając moją sylwetkę, rzucała cień na skalne ściany, sufit i podłogę. Przesuwająca się czarna, widmowa postać idealnie pasowała do panującej tu atmosfery.

Korytarz kilka razy zakręcał, w pewnym momencie zaczął się też dość ostro obniżać. Mijaliśmy prowadzące w bok odnogi, ale stary prowadził bezbłądnie. Omijaliśmy ziejące mroczną czernią rozpadliny, do jednej o mało co nie wpadłem. Światło zewnętrzne już dawno przestało tu docierać, klaustrofobiczny klimat natomiast z każdą chwilą się nasilał. Znalazłem się w innym świetle, gdzie

istniały tylko szare skały, nikłe światło lamp oraz dwie ludzkie sylwetki – jedna w jesieni życia, druga półżywa.

– Jesteś pewien, że tu już nie ma żadnego złota? – spytałem w pewnym momencie, a mój głos zabrzmiał jak huk grzmotu.

Naruszając panującą w tym miejscu nabożną niemalże ciszę, całkiem ją zdesakralizowałem.

– Złóża wyczerpały się dawno temu. Ale wierzę, że jeszcze czeka tu na mnie trochę żółtych kamyków – odparł i znów splunął.

Ledwo powstrzymałem się od grymasu obrzydzenia. Uszliśmy kilkadziesiąt metrów, gdy ujrzałem przed sobą wielką jamę w podłożu, szeroką na cały korytarz i tak długą, że jej przekroczenie, a nawet przeskoczenie było niemożliwe.

– Chyba zabłądziliśmy... – zacząłem i wtedy wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, usłyszałem złośliwy charkot oldtimerów. A po drugie, zrozumiałem, że popełniłem błąd.

Odwróciłem się do niego. Mierzył do mnie z winchestera.

– Przeciwnie – powiedział. – Jesteśmy dokładnie tu, gdzie powinniśmy.

Pociągnął za spust. Huk wystrzału, zwielokrotniony przez echo, był niemalże nie do wytrzymania. Ale mnie to już nie obchodziło. Dostałem w sam środek piersi. Poleciałem w tył. Prosto do tej ciemnej jamy bez dna. Grzmotnąłem plecami w kamień i przestałem czuć cokolwiek.

Przynajmniej na jakiś czas. Ani strzał w klatkę, ani masaż pleców skalnym podłożem mnie nie zabiły, a jedynie mocno osłabiły. Zapadłem w coś w rodzaju transu albo snu. Wyjątkowo intensywnego snu, będącego chyba kontynuacją wizji, której doznałem w ruinach kościoła.

Znajdowałem się w kopalni. Ale wcześniej, w czasach jej świetności. Mężczyźni przybrudzeni pyłem, w znoszonych ubraniach, ze spoconymi ramionami, pracowali, wytrwale szukając złota. Uderzeniom kilofa w skałę towarzyszyły sprośne żarty, a niektórzy śpiewali jakieś piosenki przypominające szanty. Ktoś zakasłał. Postacie górników, w świetle kołyszących się lamp, rzucały falujące cienie na nierówne skalne ściany. Panowała nie najgorsza atmosfera.

– Myślisz, że znajdziemy tu jeszcze złoto? – zagadnął jeden.

– A juści! Trza ino kopać dalej!

Widziałem i słyszałem to wszystko równie wyraźnie, jakbym tam był. Ale wiedziałem, że to tylko wizja.

Nagle ktoś pojawił się w polu widzenia. Wśród górników zapanował rwetes.

– Uwaga!

– Ma dynamit!

Spojrzałem na przybysza. Pył na chwilę opadł i ujrzałem jego wykrzywioną w grymasie szaleństwa twarz. Wyglądał nieco inaczej, młodziej, ale poznałem Billy'ego bez trudu.

– Nie martwcie się, wasze żony i dzieci wkrótce do was dołączą! – krzyknął i zaśmiał się obłąkańczo.

Następnie przytknął laskę dynamitu do lampy, zapalił lont i cisnął ją na środek korytarza. Później pobiegł w kierunku wyjścia.

Górnicy rzucili się do ucieczki. Jeden próbował zgasić dynamit, ale w momencie, gdy dopadł tłącej się laski, ładunek eksplodował. Rozległ się przerażający huk i korytarz runął.

Otworzyłem oczy. Zrozumiałem wszystko. Nie było żadnej klątwy, żadnego indiańskiego cmentarza. Tylko jeden potwór, którego duszę przepęniało pierwotne zło.

Spróbowałem się poruszyć. Bolało mnie całe ciało, ale dałem radę wstać. Zachwiałem się i oparłem o chłodną skałę. Panował taki mrok, że nawet moje wyostrzone zmysły nic nie mogły tu poradzić. Musiałem się stąd wy dostać. Nie posiadając lin ani żadnych narzędzi, miałem tylko jedną możliwość.

Zakląłem szpetnie.

Skoncentrowałem się, co w obecnym stanie wymagało niemalże nadludzkiego wysiłku. Wtem świat zawirował i nagle stał się lekko zniekształcony. Odbierałem go teraz głównie za pomocą dźwięków. Przemiana w nietoperza przychodzi mi z trudem, nie cierpię tego robić, ale czasem nie mam wyjścia.

Leciałem niezbyt pewnie, wściekle machając skrzydłami oraz wciąż odczuwając skutki postrzału i upadku. Kilka razy odbiłem się od ścian, a raz spostrzegłem coś, co mnie skutecznie zdekoncentrowało: w kopalni rzeczywiście było jeszcze złoto. Zdarzyło mi się też zgubić w licznych rozgałęzieniach korytarzy. W końcu jednak,

po czasie, który wydawał mi się godzinami, wydostałem się na zewnątrz.

Tam wylądowałem na ziemi i z powrotem zamieniłem się w człowieka. Byłem śmiertelnie zmęczony, brudny, łeb mi pękał, a do tego świeciłem gołym tyłkiem, bo ubranie zostało na dnie tej jamy, w którą wpadłem. Bywało wprawdzie gorzej, ale nie powiem, że wspominam tę chwilę miło.

Zaprzagnąłem znaleźć się od tego miejsca jak najdalej. Ale miałem tu do załatwienia jeszcze jedną rzecz.

Billy siedział w dawnym biurze szeryfa. Pociągał whisky z gwinta i o ile mogłem się zorientować, miał zadowoloną minę. Chciałem zbliżyć się do niego bezszelstnie, ale byłem tak zmęczony i obolały, że potrąciłem jakąś puszkę. Rozległ się metaliczny dźwięk, a oldtimer zerwał się na równe nogi. W jego rękach od razu zmateriałizował się winchester.

Nie kryłem się, przeciwnie. Stałem przed nim w całej okazałości. Z dziurą w piersi. Pozwoliłem kłom się wydłużyć, a na twarzy przybrałem wściekły wyraz.

Billy zmartwiał i zbladł.

– Wiem wszystko, morderco! – warknąłem. – Zabiłeś górników i podpaliłeś kościół! Żadna klątwa nie istniała! Tylko jeden parszywy demon w ludzkiej skórze!

Oldtimer uniósł winchestera.

– Złoto jest moje! Oni chcieli mi je odebrać!

Pociągnął za spust. Kula trafiła mnie w ramię. Ale tym razem tylko lekko zatoczyłem się do tyłu.

Dopadłem go w dwóch susach. Jedną ręką złapałem go za szyję. Drugą wyrwałem mu broń i odrzuciłem ją byle dalej.

– Nie zasługujesz na to, by żyć, śmieciu! – wycharczałem.

Kły jeszcze bardziej mi się wydłużyły. Ale nim wbiłem je w jego tętnicę, dodałem:

– I miałeś rację. W tej kopalni wciąż jest złoto. Ale ty go nie dostaniesz.

Dopiero teraz jego oczy rozszerzyły się ze strachu. Dbał tylko o ten przeklęty żółty kruszec. Nie wiem nawet, czy zdawał sobie sprawę, jakim był bydlakiem. Puste, pełne szaleństwa źrenice jednoznacznie wskazywały, że Billy znajduje się na samym dnie ciemności. Z dziką satysfakcją zanurzyłem kły w jego szyi. Przez chwilę się szarpał, ale w końcu znieruchomiał.

Kwadrans później porzuciłem ciało oldtimera na pustej ulicy. Nie zamierzałem go chować w ziemi. Nie zasłużył na to. Niech gnije.

W rozbitej szafie w saloonie znalazłem jakieś stare ubranie. Mniej więcej pasowało. Złota z kopalni nie chciałem brać. Było unurzane we krwi. Niech pozostanie tam na wieki.

Znalazłem swojego konia, który wyraźnie ucieszył się na mój widok. Dosiadłem go i ruszyłem w stronę zachodzącego słońca. Nie oglądałem się za siebie, ale z Hangman's Gulch zniknęła atmosfera strachu i wisząca w powietrzu groza. Powrócił tam spokój. Martwy spokój.

Na niebie ujrzałem krążącego sępa.

– No, bracie – mruknąłem pod jego adresem. – Czeka cię niezła uczta.

Odjechałem z tego miasta z prawdziwą przyjemnością. Nie pierwszy raz spotkałem demona w ludzkiej skórze, ale zawsze mnie to zaskakuje. Starą prawdę, że trzeba bać się żywych, a nie zmarłych, zrozumiałem już dawno. Ci pierwsi potrafią być prawdziwymi skurwysynami, a ci drudzy zazwyczaj chcą po prostu, by zostawić ich w spokoju. Takie prawo natury.

Konik zarżał, spałem jego boki ostrogami i pogalopowaliśmy niezmierzoną prerią przed siebie.

SPIS TREŚCI

Łukasz Dubaniowski	
<i>Czwarty do brydża</i>	5
Flaga-Andrzejewska Kaja	
<i>Siostrzyczki roztoczańskie</i>	18
Agnieszka Fulińska	
<i>Nikt nie zaśnie</i>	30
Adrian Iwaniak	
<i>Światła mroku</i>	43
Mariusz Kaszyński	
<i>Pajęczyna okruchów snów</i>	66
Marek Kolenda	
<i>Pleń w kokonie</i>	94
Michał P. Lipka	
<i>Go to hell</i>	102
Michał P. Lipka	
<i>Trzydzieści sekund</i>	117
Michał P. Lipka	
<i>Winding road</i>	131

Michał P. Lipka <i>Włochate fasolki</i>	144
Rafał Łoboda <i>Jerzy i kobiety</i>	154
Marcin Bartosz Łukasiewicz, Paulina Kajoch <i>Hitokiri</i>	162
Jarosław Adam Pankowski <i>Mrokołazy</i>	176
Jarosław Adam Pankowski <i>Nocny legion</i>	193
Marek Pieczara <i>Boguś</i>	210
Weronika Rogalska <i>Pożeracz</i>	228
Hubert Smolarek <i>Mężczyzna w płaszczu</i>	248
Ola Sukiennik <i>Alice</i>	263
Krzysztof Szabla <i>Pod maską</i>	284
Przemysław Zdzisław Trafalski <i>Filizanka z porcelany</i>	292

Barbara Uznańska-Loch	
<i>Pieśń wodospadu</i>	302
Emil Zawadzki	
<i>Bliskie spotkanie z obłądem</i>	314
Robert Zawadzki	
<i>Dom pani Nyx</i>	328
Olga Zegartowska	
<i>Księżę lasu</i>	347
Piotr Żymełka	
<i>Na dnie ciemności</i>	359